

Jan Parandowski

Juvenilia

Przedmowa

Może bym nigdy nie pomyślał o wydaniu *Iuveniliów*, gdyby nie głosy czytelników, którzy po ukazaniu się moich *Pism wybranych* najpierw w jednym tomie, później w trzech tomach, wyrażali zdziwienie, że pominąłem w nich takie publikacje, jak *Antinous w aksamitnym berecie* lub *Rzym czarodziejski*, a znaleźli się tacy, co pamiętali o mojej pierwszej książeczce: *Rousseau*. Ten i ów, zachęcając mnie do wypełnienia tej luki, jakby się rozprawiał z moimi obiekcjami, dowodził, że pisarz nie powinien lekceważyć swych młodzieńczych utworów, i nawet określenie „iuvenilia” nawinęło się pod pióro paru z tych, co pisali do mnie w tej sprawie.

Jak wszystkie listy od czytelników, tak i te, a może te więcej, wzruszyły mnie i zmusiły do zastanowienia. W tym czasie Instytut Badań Literackich przesłał mi bibliografię moich opowiadań, felietonów, artykułów drukowanych w czasopismach od roku 1912 do 1939. Zawierała blisko czterysta pozycji, lecz od razu zwrócono mi uwagę, że nie jest to pełna lista, bo nie rozporządzano wielu czasopismami, zwłaszcza sprzed r. 1914, a po tym okresie brakowało w niejednym roczniku kilku czy kilkunastu numerów.

Sam to spostrzegłem, że się tak wyrażę, „gołym okiem”. Miałem wrażenie, że trzeba tę liczbę podnieść do pięciuset. Dziś widzę, że i to nie wystarczy, sygnalizują mi wciąż nowe pozycje, nie uwzględnione dotąd czasopisma. Prof. Stefan Wierczyński nadesłał mi materiały bibliograficzne z własnego instytutu w Poznaniu i choć zastrzega się, że i tu mogą być luki, i choć objął niewielki okres czasu i same tylko wydawnictwa poznańskie, ogromnie rozszerzył moją listę i otworzył mi tak szerokie perspektywy, że gotów bym pójść do tysiąca pozycji w swych przypuszczeniach.

Zaskakuje mnie to i oszołamia nie tylko liczbą, ale i wielu tytułami. Trudno się temu dziwić: kto pisze i drukuje od pięćdziesięciu lat, nie potrafi wszystkiego spamiętać. Lecz wnet wyłoniły się inne kłopoty; okazało się, że nie ma dziś w Polsce wielu naszych czasopism z dawnych lat, i nawet gdy wiem, gdzie i kiedy daną rzecz drukowałem, nie mogę sobie sporządzić odpisu, ponieważ nie ma tych publikacji w żadnej z naszych bibliotek.

Oczywiście daleki jestem od zamiaru ogłaszania dziś wszystkiego, co kiedykolwiek drukowałem, i te ograniczenia, jakie mi narzuca trudność w zebraniu pełnego materiału, przyjmuję z lekkim sercem. W tym, co zdołałem zebrać, dokonałem wyboru mając na uwadze największą różnorodność tematów i rodzajów literackich, którym po dziś dzień pozostałem wierny.

Patrzę na ten tom jak na rodzaj pamiętnika -- jest on do niego podobny nie tylko przez komentarz, w jaki zaopatrzyłem każdy z utworów, ale i przez nie same, bo tematem, sposobem

ujęcia, interpretacją zjawisk, faktów czy postaci niosą w sobie moją przyszłość literacką. Jest to nieodmierzone prawo w naszym zawodzie, że w młodości kształtuje się wszystko, co później rozwijamy bardziej świadomą, bardziej skupioną i bardziej cierpliwą pracą. Każde zdanie w tej książce napisałbym inaczej, niejedno znikłoby i ustąpiło miejsca innemu dla pełniejszego lub subtelniejszego wyrażenia myśli czy obrazu, ale postąpiłbym niegodnie, gdybym chciał wprowadzać jakieś zmiany lub poprawki.

A niełatwo się oprzeć pokusie! Są wyrażenia, zwroty, zdania, które mnie dziwią i rażą, zżymam się na tego młodzieńca za to na przykład, że tak nadużywał przekładni. Lecz to nie jego wina, wszyscy tak pisali w owym czasie i za kunsztowne przekładnie dostawało się nie tylko celujące noty, ale i pochwały autorytetów literackich. Był to ulubiony zabieg stylistyczny, Orzeszkowa przepadała za nim, a Jeż bardzo ją za to chwalił: „Pani -- pisał do niej -- posiadasz w stopniu wysokim tajemnicę szykowania wyrazów i wiązania okresów w sposób ponętny.” Pozbyłem się tej zalety razem z wiekiem XIX, który jak wiadomo, skończył się w roku 1914.

Takie spotkanie z własną, na wpół zapomnianą przeszłością ma dla pisarza swój urok, jak dla każdego człowieka. Śnimy swoje życie nieustannie, ale bieżąca chwila pożera nam minione chwile i trzeba przypadku, by prześnić jakiś dzień zagrzebany pod rupieciami miesięcy i lat. Tu miałem w bród podobnych okazji i pisząc komentarz do poszczególnych utworów musiałem hamować pióro, by przy każdym z nich nie opowiadać dłużej, zawilej, dla mnie tylko wzruszającej historii dni, kiedy go pisałem, a który wstawał nieraz w całej urodzie pory roku, pogody, nie istniejącego już dziś domu, z mnóstwem ubocznych zdarzeń, znajomych twarzy, rozmów, trosk i radości. Gdybym się dał porwać temu strumieniowi, aniby się spostrzegł, jak by mnie poniósł w latami trwającą powieść, w proustowski wir, co ostatecznie może nie byłoby klęską. Stare dzieje: u brzegu karty pisarz widzi wschodzący horyzont, który go kusi i urzeka.

Rousseau

Szkic Literacko-Filozoficzny

In magnis et voluisse sat est.

Propertius

W mojej karierze pisarskiej „Rousseau” ma podwójne znaczenie: jest pierwszą książką, jaką wydałem., i co ważniejsze -- jest to pierwsze zamówienie, fakt rzadki, jeśli nie wyjątkowy, u młodzińskich autorów. Po otrzymaniu moich jelietonów o Zygmuncie Krasińskim redaktor „Przeglądu” Ludwik Masłowski napisał do mnie list z zapytaniem, czy nie byłbym skłonny opracować podobnej rzeczy na drugą wielką rocznicą 1912 r., na dwuchsetlecie Jana Jakuba Rousseau.

Byłem zaskoczony. O Krasińskim sam pomyślałem, co nie było trudne, bo właśnie wchodził on do naszych zajęć szkolnych. Ale Rousseau? List redaktora wprowadził mnie w popłoch. Oczywiście niepodobna było odmówić, odpisałem zaraz, że chętnie podejmę się tej pracy, lecz zabierze mi ona trochę czasu.

Trochę czasu! Jakże go tu znaleźć w zamęcie VII klasy, której program z nieumiarkowaną szczodrobliwością zsyłał mi „Odyseję” i Demostenesa, Cycerona i Wergilego, a tu profesor Mordawski czytał z nami „Hermann und Dorothea”, a do domu zadawał „Wilhelma Tella”, a tu jeszcze nowy przedmiot: logika, wabił i przerażał. Barbara, celarent, dario... recytowaliśmy oszołomieni. O matematyce nie mówię, bo doszedłem już do tego punktu, że wszelkie usiłowania, by nawiązać z nią porozumienie, byłyby daremne i śmieszne.

Redaktor „Przeglądu” nic o tym nie wiedział ani nie mógł się domyślać, że jego współpracownik chodzi w granatowym mundurku z trzema złotymi paskami na kołnierzu. Znaliśmy się tylko z korespondencji. Dziś trudno mi odtworzyć kłopoty, jakie nastęczało pogodzenie nauki szkolnej ze studium życia i dzieł Jana Jakuba, o którym tak mało wiedziałem. Z całą jednak sumiennością przebrnąłem przez „Nową Heloizę”, „Emila”, „Wyznania”, a miałem w ręku nawet jego „Devin du village” i mógłbym wskazać ten róg stołu w czytelni Ossolineum, gdzie go przerzucałem w jakimś sędziwym wydaniu.

Samo pisanie nie zajęło wiele czasu. W tym wczesnym okresie pisałem prędko, prawie bez skreśleń. Brulion mało się różnił od czystopisu. Jakże daleko odszedłem od tej niefrasobliwości! Mój rękopis wydał mi się olbrzymi, obawiałem się, że redakcja go odrzuci lub zażąda skrótów. Lecz „Przegląd” był bardzo pakowny, jeden jego odcinek pochłaniał parę

tuzinów moich kartek, mimo to „Rousseau” szedł w kilku felietonach, przez tydzień. Moja klasa była tym bardzo przejęta, a prof. Wiktor Strusiński, który nas uczył logiki, jedno ganił, z tym i owym się spierał, w końcu zaproponował mi na swoich godzinach odczyty o filozofii greckiej, co zostało zrealizowane dopiero w następnym roku, w klasie VIII, gdy miał z nami dwie godziny psychologii tygodniowo.

Był to już rok 1913 i kiedy pierwszy raz stanąłem na katedrze, by mówić o Talesie i filozofach jońskich, mój „Rousseau” właśnie ukazał się w formie książki, z napisem „Odbitka z «Przeglądu»”. Do dziś nie wiem, czy miał prawo tak się nazywać, nie był bowiem wzięty ze składu gazety, ale na nowo zbżony i odbity u Szykowskiego na Zimorowicza. Z bijącym sercem wchodziłem do tej drukarni, do tego samego pokoju, w którym przed ośmiu laty, mikrus z jednym, srebrnym paskiem na kołnierzu, wysłuchałem opowieści starego drukarza o Kraszewskim.

Nikt mnie tu nie poznał -- oczywiście. Cóż mógł mieć wspólnego ośmioklasista obrośnięty bujnymi bokobrodami z jakimś nikomu już niepamiętnym chłopcem? Niedobrze też rozumiano, co ma wspólnego z tym plikiem felietonów z „Przeglądu” i czy w istocie warto z nim mówić o „większej ósemce” i kroju czcionek. Ze wszystkich rodzajów najbardziej mu się podobał „cycero”. Nie wiedział, jak wygląda, ale nazwa była najgodniejsza. Cycero! oczywiście cycero! „Quousque tandem abutere, Catilina, patientia nostra...” niosło się przez oszołomioną głowę.

Na wszelki wypadek wzięto od niego zaliczkę i dano do podpisania zamówienie. Czy tysiąc egzemplarzy wystarczy? Chyba wystarczy... Tysiąc egzemplarzy! Tysiąc osób kupujących tę książkę! Tysiąc osób czytających ją rano czy wieczorem, czy w nocy! Mój Boże! Tysiąc osób -- starych, młodych, chłopców, dziewcząt, profesorów, urzędników, aż strach pomyśleć. Rozkoszny strach. Podpisałem zamówienie na tysiąc egzemplarzy.

A potem przyszły korekty, pierwsze korekty w życiu. Jak o tym mówi France? Mówi, że z zazdrością patrzył w dzieciństwie, jak ktoś robił korektę, i latami marzył, by to szlachetne i tajemnicze zajęcie stało się kiedyś jego udziałem. I dodaje z melancholią: „Niestety, człowiek na wszystko obojętnieje, nawet na korekty.” Nie dorosłem jeszcze do takiej melancholii, dziś, po pół wieku, korekta nie straciła dla mnie uroku, który mnie nawiedził w tych odległych latach.

Nie wiedziałem jednak wówczas, jak się ją robi, i po mojej pierwszej korekcie musiałem wysłuchać w drukarni ostrej reprimendy. Nie krępowano się, tym bardziej że mówiono: „Proszę powiedzieć autorowi, że jego poprawek żaden zecer na świecie nie zrozumie. O, proszę mu to pokazać, niech się nauczy robić korektę.” I podsunęto mi kartkę, gdzie były podane główne znaki korektorskie. Złożyłem ją nabożnie i schowałem do kieszeni. Wychodząc

zapytałem chłopca, który się tam uwijał, kto jest ten pan, co ze mną rozmawiał. Chłopiec szepnął z przejęciem: „Pan metrampaż.” I ja byłem przejęty, to brzmiało w moich uszach nieomal jak marszałek.

Gdy książka już była gotowa (bladozielona, półsztywna okładka, na niej i na karcie tytułowej pod tytułem: „Rousseau”, pozornie skromne: „Szkic literacko-filozoficzny”), drukarnia na moją prośbę odesłała cały nakład do księgarni Altenberga. Oznaczono tam cenę: 1 korona. Co mnie zdziwiło, Altenberg wyrównał rachunek drukarni i dołączył dla autora kartkę, że „honorarium będzie wypłacone w miarę rozprzedaży”. Dopiero po maturze, jako student uniwersytetu, odważyłem się zajść do księgarni, by się upomnieć o honorarium.

Tu zacytuję to, co temu zdarzeniu poświęciłem w szkicu o moich początkach literackich. Gdy wyjaśniłem Altenbergowi cel mojej wizyty, najpierw się zmarszczył, potem przyjrzał mi się uważnie, przypomniał sobie, że ostatni raz widział mnie w mundurze z czterema złotymi paskami, zawołał: „A to heca!” i pobiegł na pięterko, gdzie były biura. Wodząc spojrzeniem po galerijce zawieszanej nad księgarnią czułem się jak Filon z Aleksandrii na audiencji u Kaliguli. Altenberg wrócił po kwadransie w najświetniejszym humorze. Podał mi obliczenie z rozprzedaży i sam poszedł do kasy, gdzie wypłacił mi z górą trzysta koron. Był to niewątpliwie cud, że taka kwota znalazła się pod ręką, jak wielki cud, zdołałem to zrozumieć dopiero w osiem lat później, gdy jako kierownik literacki firmy poznałem jej interesy prowadzone z czarującą niefrasobliwością.

Wtedy jednak zupełnie inne myśli szumiały w głowie. Gdy wyszedłem na ulicę Akademicką, w migotliwym od mrozu powietrzu wydawała mi się ona wysadzana diamentami. Trzysta koron! Jeśli teoretycznie odpowiadało to trzystu frankom szwajcarskim, w rzeczywistości siła kupna tej kwoty w grudniu 1913 była dwukrotnie wyższa. Większość kapitału wróciła do Altenberga dość prędko, gdyż był on moim głównym dostawcą książek.

Reszty honorarium nigdy nie otrzymałem. Ilekroć się o nie upominałem, Altenberg mówił, że na razie nie ma o czym gadać, bo sprzedaż idzie kapaniną, potem przypomniał sobie o zapłaconym rachunku drukarni, wreszcie wybuchła wojna, a po wojnie, wśród dzikiej inflacji, któż by się troszczył o takie bagatele!

Któregoś dnia zapytał mnie Altenberg:

-- A może by tak zrobić nowe wydanie?

-- Czego?

-- No, tego „Rousseau”.

Parsknąłem śmiechem. Ze wszystkich zabawnych pomysłów mojego wydawcy ten wydał mi

się najśmieszniejszy. Trochę urażony, a trochę sam rozweselony, pokazał mi stary numer czasopisma „Książka”, a w nim recenzję mojego „Rousseau”. Znałem ją dobrze, była to pierwsza recenzja w moim życiu, pierwszy raz ktoś pisał o mnie i mojej książce. Kto? do dziś nie wiem, kim był autor, dr Julian Sławkowski. Niechże on jednak w tym zbiorze powtórzy słowa, którymi mnie tak niegdyś wzruszył.

„Zaszczytnie znany na niwie dziennikarskiej autor ogłosił obecnie szkic, który pod wielu względami musimy uznać za świetny. Filozofa z Genewy w stosownym postawić świetle, stosownie wedle zasług ocenić -- jest rzeczą bardzo trudną, bo psychologia tego człowieka była bardzo dziwna i skomplikowana, a pisma jego też wyjątkowe zajmują miejsce w literaturze europejskiej. Przez współczesnych rozmaicie oceniany, później niejednokrotnie do wysokich wynoszony zaszczytów -- prawie nigdy nie był sądzony surowo, ale sprawiedliwie. To właśnie uczynił p. Parandowski.

Objąwszy całą twórczość Rousseau'a i rzuciwszy okiem na społeczeństwo i epokę, do których należał, autor nie mógł się cofnąć przed zdaniem, że jest ten filozof przeszłych stuleci tylko «genialnym dzieckiem», mającym wielkie zamysły, ale nie mającym sił na ich wykonanie. Trzeba bardzo kochać prawdę, aby o człowieku, o którym tak wielu ludzi ma wysokie wyobrażenie, powiedzieć, że razem ze swymi pozorami nauki był nieukiem, że swoimi porywami do pisania powieści -- lichym powieściopisarzem; aby to powiedzieć, trzeba mieć odwagę wystąpić przeciw zakorzenionym jak przesąd mniemaniom.

Wielkie zrozumienie całej zagadkowej postaci genewskiego myśliciela wykazał autor, kreśląc żywot jego w przytoczonej rozprawie. Bo też żaden może pisarz, żaden poeta czy filozof nie byli tak ściśle ze swym życiem związani, jak właśnie Rousseau. Życie przynosiło mu troski i strapienia, radości i uśmiechy losu, a to wszystko jak u nikogo innego odbija się na jego twórczości tak pod względem artystycznym, jak ideowym. Zrozumiał to p. Parandowski doskonale i -- stąd jego Rousseau zjawia się na tak wspaniale podmalowanym tle biograficznym. Piękny też jest życiorys filozofa, skreślony stylem poetycznym, a niektóre opisy stanów duszy są czule odczutyimi sylwetkami psychologicznymi.

Przy tych zaletach posiada jednak szkic ten i niektóre braki. Nie można sobie wprost wyjaśnić, dlaczego autor pominął teologiczne poglądy Rousseau'a; dalej przy omawianiu *Discours* oraz *Umowy społecznej* nie przedstawił choćby pobieżnie prądów socjologicznych, nurtujących w wieku XVIII, co byłoby doskonałym wstępem do omawiania tych dzieł. A wreszcie zanadto często karci Rousseau'a jako człowieka, przez co naprowadza czytelnika na

mylny domysł, że sąd ten wpłynął i na ocenę myśliciela.

Drugorzędne te usterki nie mogą bynajmniej zmniejszać wartości pracy p. Parandowskiego; owszem, każdy, kto ją przeczyta, musi oddać sprawiedliwość jej wartości naukowej, jak i ujmującej piękności języka. Powiedzieć można z powodu tej pracy, że postulat Bergsona, aby badanie naukowe łączyć z poetyckim polotem, już się w znacznej mierze urzeczywistnia.”

Dr Julian Sławkowski

Parandowski Jan. Rousseau. Szkic literacko-filozoficzny. Lwów, 1913. (H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i sp.)

Życie i dzieła

Potęga i bogactwo Francji w XVIII stuleciu wpłynęły ujemnie na obyczaje mieszkańców i szczególnie w sferach wyższych, arystokratycznych pokrywały swym blaskiem najgorszą zgniliznę moralną i zepsucie. Wśród takich jednak stosunków wyrastał gmach uczoności i poezji francuskiej, który niedługo począł imponować całej Europie. Tak zwana „literatura oświecenia” ze swymi racjonalistycznymi poglądami zdobyła sobie najszersze uznanie i prawo obywatelstwa, bo przedziwnie nadawała się do tych eleganckich salonów, gdzie wśród dźwięków walca, wśród śmiechów i zabawy roztrząsano w wolnej i potocznej konwersacji najzawilsze problemy filozoficzne. Wyszukana elegancja i wykwinność salonów taki sam wygląd nadawała ówczesnej literaturze, tak że z kart najuczestszych nawet książek wiał jakby zapach perfum, i szelest jedwabów dawał się słyszeć czytelnikowi, który zamiast zadowolenia znajdował w nich jakiś przesyt, budzący wstręt nareszcie do tych wymuskanych i banalnych utworów. Jak czuć było nad upadającą monarchią gromy rewolucji, tak nad zdegenerowaną literaturą wisiały chmury, z których jednak miał spaść deszcz złoty natchnienia, geniuszu i pełnego, szczerego uczucia, tak już dawno nieznanego w francuskim piśmiennictwie. Tym człowiekiem, co śmiało wydał wojnę dotychczasowemu stanowi rzeczy, był Jan Jakub Rousseau, człowiek rozliczne mający wady, ale i geniusz prawdziwy, szczerzy zapał i natchnienie.

Urodził się on 28 czerwca 1712 r. w Genewie, w domu dość zamożnego zegarmistrza Izaaka Rousseau. Matka zaraz po jego urodzeniu zmarła i pozostawiła w nieutulonym żalu małżonka, który ją szczerze kochał i często potem z Janem Jakubem siedząc samotnie wylewał łzy gorące na jej wspomnienie. Rousseau więc matki nie znał i nigdy w życiu nie zaznał prawdziwej

macierzyńskiej miłości i pieczy, co się potem -- jak zobaczymy -- niekorzystnie odbiło na jego charakterze, myślach i dziełach. Ojciec, któremu jeszcze z lat młodych pozostała trzpiotowata natura, okazał się teraz wprost bezradnym, mając wychowywać dziecko. Jednakże swą nieumiejętność w tym kierunku pokrywał szczerym przywiązaniem rodzicielskim i czynił, co tylko mógł, by chłopak chował się zdrowo i rósł w duchowe siły.

Matka Rousseau'a, wykształcona i inteligentna, posiadała bogatą bibliotekę, zaopatrzoną prócz romansów w dzieła historyczne, między którymi błyszczały *Żywoty* Plutarcha. Kiedy Jan Jakub miał lat zaledwie siedem, czytał z nim ojciec wszystko, czego dostarczał ów księgozbiór. Izaak Rousseau miał też marzycielską duszę i nieraz w noc późną zaczytany w jakimś romansie zapominał o spaniu i dopiero świt go budził z zadumy. W kilkadziesiąt lat później wyznaje nam Jan Jakub, że *Żywoty* Plutarcha działały nań silnie, prawie silniej od różnych romansów, którymi zapelniał swą dziecinną wyobraźnię. Nie trzeba nawet wspominać, że taka lektura w tak wczesnym wieku nie mogła na rozwój umysłowy podziałać stosownie i wiele z późniejszych błędów filozofa do niej właśnie odnieść należy.

Prócz trzpiotowatości i lekkomyślnego usposobienia posiadał jeszcze ojciec Rousseau'a niezwykle krewką naturę, która go wstawiła w nader przykre położenie, w czasie gdy mały Jan Jakub kończył lat dziesięć. Zawikławszy się w jakąś sprawę honorową, musiał przeciąć węzeł gordyjski i wyzwąć przeciwnika na pojedynek, z którego wyszedł zwycięzcą. Według ustaw genewskich podlegał karze i aby się przed nią uchronić, jak najprędzej umknął z ojczyznościami. Nie chcąc syna narażać na nieznośną tułaczkę, oddał go do wuja Bernarda, który przyjął chętnie Jana Jakuba, mając własnego syna w takimże wieku. Obu chłopców oddano na edukację do pastora, niejakiego Lamberciera, w miejscowości Bossey.

Lata przepędzone u zacnego pastora zaliczał Rousseau do najszcześliwszych w swym życiu, gdyż tu, wśród rodziny szlacheckiej i spokojnej, z przyjacielem u boku, napawał się w całej pełni pięknnością przyrody, którą tu po raz pierwszy prawdziwie pokochał i począł rozumieć. W domku tego pastora pokazało się jednak, jak niedostateczne otrzymał od ojca wychowanie, jak zły wpływ nań miały owe romanse wspólnie czytane z ojcem, skoro w tak młodym wieku poczyna się budzić u niego zmysłowość. W jego rozbudzonej wyobraźni powstają raz po raz obrazy jak na wiek chłopięcy za wczesne, a gdy go panna Lambercier chwali, sprawia mu to zmysłowe zadowolenie, które mu każe zapominać o bólu, owszem, tak mu się to podoba, że umyślnie stara się coś zbroić, by go ona karała.

Po jakimś czasie oddano go jako pomocnika pisarza do jakiegoś biura, gdzie jednak długo „nie zagrzeł -- jak mówią -- miejsca”, albowiem już wtedy pod wpływem marzeń poczynało się

w nim budzić upodobanie do samotności. Gdy mu tę posadę odebrano, wszedł na służbę do rytownika, gdzie jednak pryncypał, człowiek szorstki, obchodził się z nim surowo i brutalnie. Rousseau, czuły na każdą niesprawiedliwość, każdą, choćby najdrobniejszą krzywdę, bolał niejednokrotnie nad swym losem, stając się coraz bardziej mrukliwym, upartym i krnąbrnym. Złe ziarna, w które jego dusza obfitowała, poczęły się rozwijać pod wpływem niegodziwości otoczenia, gnębiącego go przez całe życie. Jedyłą jego rozrywką był teraz robienie wycieczek za miasto, gdzie przed nim otwierał się pole i uchylało jakby małe okienko na świat, przez które nieraz patrzył Jan Jakub z jakąś niewysłowioną tęsknotą. Ona go nareszcie popchnęła na włóczęgę, kiedy raz wieczorem zastał bramy miasta zamknięte. Obawiając się kary ze strony pryncypała, mając wielką ochotę do wędrowki -- pożegnał na długo rodzinną Genewę.

Był rok 1728. Odtąd Jan Jakub na parę tylko miesiący zwykle osiadał spokojnie, a resztę życia przepędzał na włóczędze od miasta do miasta, od zamku do zamku.

Parę dni po opuszczeniu Genewy błądził Rousseau koło murów miasta, przyjmując gościnę u uprzejmych wieśniaków. Gdy razu jednego znalazł się w Sabaudii, w miejscowości Conflignon, zaszedł do tamtejszego proboszcza katolickiego, nazwiskiem de Pontverre. Ten przyjął go bardzo chętnie, a dowiedziawszy się o jego genewskim pochodzeniu i przynależności do wyznania Kalwina, począł mu wykazywać błędy herezji i nakłaniać do przyjęcia katolicyzmu. Rousseau, któremu w duszy nie starano się zaszczerpić trwałych podstaw kalwińskiej konfesji, chętnie się na to zgodził, tym bardziej że swym wrażliwym sercem już przyłgął do zacnego księdza, co mu tak chętnie ofiarował swój dom, po ojcowsku go żywił, nie wiedząc, czy jakiego złodzieja nie przyjmuje. To wszystko przemówiło do jego duszy za katolicyzmem silniej niż teologiczne wywody księdza de Pontverre. Skoro swą gotowość przyjęcia nowego wyznania oświadczył proboszczowi, ten, obdarzywszy go listem polecającym, kazał mu udać się do Annecy, miejscowości nieco od Conflignon oddalanej, leżącej nad jeziorem tej samej nazwy -- do pani de Warens, która opiekowała się młodymi nawróceńcami.

Pani de Warens, która swego czasu także z powodu jakiejś awanturki musiała umykać z rodzinnej miejscowości Vevey -- do Sabaudii i przyjąć katolicyzm, okazywała wielką gorliwość religijną i zajmowała się troskliwie losem tych, co porzucając luterskie albo kalwińskie nauki, przechodzili na wiarę katolicką. Za to pobierała od króla Sardynii pensję roczną w kwocie dwóch tysięcy franków. To jednak była za mała suma, by wystarczyła pani de Warens, która z pieniędzmi liczyć się nie umiała i rozsypywała je bez zastanowienia na wsze strony.

W r. 1728 w Niedzielę Palmową przyszedł Jan Jakub do Annecy i po raz pierwszy ujrzał

kobietę, która tak ważną odegrała rolę w późniejszym jego życiu. To spotkanie dokładnie opisuje w swych Wyznaniach i to pozwolę sobie, bodaj w drobnej części, przytoczyć.

„Nasze spotkanie -- opowiada -- miało miejsce w jednym z wyjść jej domu; po prawej ręce był potok, po lewej mury dziedzińca, a furtka wiodła do kościoła Franciszkanów. Chcąc już wejść w furtkę, obróciła się pani de Warens na dźwięk mego głosu. I cóż w sercu odczułem na jej widok?

Wyobrażałem sobie ją jako starą, gderliwą dewotkę, bo też, według mego mniemania, jakże inaczej wyglądać mogła owa tak chwalona przez proboszcza de Pontverre, dobra, zacna pani de Warens? Tymczasem widzę pełne słodyczy, piękne, niebieskie oczy, delikatną płeć twarzy i precudne kształty piersi.”

Oto z tych słów już widać, jakie na nim zrobiła wrażenie. Sam mówi, że od razu pokochał wiarę katolicką całym sercem i niezwykłą do niej uczuł ufność, wierząc, że musi być niezwykle dobra i niezwykle piękna, skoro takie osoby ją wyznają i głoszą. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, podał pani de Warens dwa listy: jeden od księdza Pontverre, drugi swój własny, który sam napisał stylem, jak mógł, najbardziej wyszukany i pięknym, by tym ująć za serce i dla siebie przychylnie usposobić swoją opiekunkę.

Ona jednakże nie zatrzymywała go długo przy sobie, bo Rousseau, lubo już posiadał pewne zasady wiary katolickiej, jeszcze w tym przedmiocie całkiem oświecony nie był i dlatego konieczność nakazywała, by udał się do Turynu, gdzie by go w klasztorze reszty nauczone. Chociaż do pani de Warens przywiązał się od razu jak do matki i pokochał ją, jak to on tylko umiał -- gwałtownie, to przecież podróż do odległych okolic miała dlań tyle uroku, że ani chwili nie zwlekał i wzięwszy pieniężny zasilek na drogę, udał się w drogę piechotą.

Per pedes apostolorum -- zawsze lubił podróżować, bo to najlepiej odpowiadał jego naturze, kochającej nade wszystko swobodę. A teraz nic go nie krępowało. Chciał spocząć w jakiejś pięknej, uroczej okolicy, to nie wahając się ni chwili rozkładał się pod drzewem i przysłuchiwał mruczeniu strumyka, szelestowi drzew i śpiewającym ptaszętom. To wszystko niejednokrotnie wyciskało mu łzy z oczu, bo serce miał nader czułe i wrażliwe i sam w takich razach nie wiedział, dlaczego płacze, czuł tylko, że coś mu wewnątrz kwili, że dusza rwie się do czegoś, ale nie rozumiał dobrze ani przyczyny tego, ani nie znał celu. Najważniejszym atoli etapem tej podróży były Alpy, które przeszedł szesnastoletni włóczęga, mając głowę nabitą przygodami nieśmiertelnego Punijczyka. Góry, lasy, wierchy, uwieńczone girlandą mgieł i tęcz, lodowce, lśniące tysiącami barw w słońcu: oto, co każdy świt odkrywał przed jego oczyma. Znow otwierało mu się tam na szczytach Alp okienko, przez które spozierał w dal, gdzie widział

jakby lekko w jego wyobraźni rysujące się kontury świata, tego pięknego świata, którego wdzięk wyrwał mu z duszy wołanie: „Powinien się każdy czuć szczęśliwy, że żyje!” I gdy się wtedy zadumał, zdawało mu się, że tak przewędrować ziemię całą, życie całe i pójść do grobu z wiązką wspomnień...

Przybył do Turynu. W klasztorze pobierał czas jakiś naukę i skoro uznano go za wtajemniczonego we wszystkie dogmata katolicyzmu, wypuszczono go w świat, ale już jako należytego wyznawcę swej nowej wiary. Skoro znalazł się na bruku miejskim, począł oglądać się za zajęciem i wreszcie znalazł je u pewnej pięknej kupcowej, pani Basile, w której się zaraz zakochał. Kiedy to atoli mąż zauważył, wypędził go ze swego sklepu, i biedny Jan Jakub z sercem, w którym żywił jeszcze niewygasłą miłość dla pięknej pani Basile, zmuszony był znowu szukać miejsca, gdzie by przyjęli jego usługi. Po długiej tułaczce u hrabiny Vercellis przystał za lokaja.

Pominę już tę okoliczność, że Rousseau nie pochodził z takiej rodziny, której dzieci przyzwyczajone by były do poniżających je posług, ale był on i czuł się duchem wyższym od swego otoczenia, i takie stanowisko, jakie teraz zajmował przyczyniało się do tego, że poczęły wypełzać z ukrycia pewne złe skłonności, dotąd na dnie duszy spokojnie drzemiące. Sam opowiada, że nieraz to lub owo skradł i nie umiał sobie nawet tego wyrzucać, a to był właśnie złego początek. Za tym poszły i inne występki.

U hrabiny Vercellis służyła niejaka Marion, dziewczyna bardzo skromna i cicha. Razu jednego Rousseau skradł wstążkę czyjąś, którą za parę dni znaleziono u niego. Gdy go pytano, dlaczego to uczynił, odpowiedział, że to nie on wziął wstążkę, ale Marion, która mu ją następnie dała do przechowania. Zrozpaczona dziewczyna zaklinała go, aby cofnął swe oskarżenie, lecz on trwał przy swoim, tak że oboje opuścili dom hrabiny Vercellis. Do końca życia nie darował sobie tego czynu. Zawsze mu się zdawało, że biedna dziewczyna wypędzona z domu, gdzie jej było bardzo dobrze, poszła szukać na zaułkach zarobku i w upadku resztę swego przepędziła życia. Lubo jednak żałował, nie mógł tego odrobić, co już się stało. Przepadło.

Gdy opuścił dom hrabiny Vercellis, poszedł na parę tygodni znowu do kupcowej Basile, którą jednak niedługo potem opuścił, by przyjąć posadę sekretarza u księdza Gaime, człowieka nadzwyczaj zacnego. Wspomina go później zawsze z rozrzewnieniem i mówi, iż on mu właśnie dostarczył materiału do określenia osoby i charakteru „sabaudzkiego wikarego”. Tutaj było mu bardzo dobrze. Poczciwy abbé zwrócił uwagę na jego zdolności i chciał mu powierzyć swe sprawy, których miał pełno, i zrobić z niego zaufanego sekretarza, ale włóczęgowska natura, owa *manie ambulante*, jak ją sam Rousseau nazywa -- nie dała mu spokoju. W chwili gdy

ujrzał dawnego przyjaciela z Genewy, który mu przypomniał razem spędzone dni szczęścia, ani się przez chwilę nie wahał i opuścił dom księdza, chcąc się udać do pani de Warens, albowiem dawno za nią już tęsknił.

Z mocno kołującym sercem zbliżał się do domu w Annecy. Zdawało mu się, że go tam przyjmą chłodno, ale mimo to szedł prosto przed siebie, bo chęć rzucenia się do kolan pani de Warens była od strachu mocniejsza. I jakąż miłą niespodzianka! Ona, zamiast nakrzyczawszy za drzwi go wypędzić, otworzyła mu ramiona, przyjęła do swego domu i otoczyła opieką. Zwał ją już odtąd *maman*, a ona go *mon petit* -- mój mały. Włóczęgę, obieżyświata, który nie znał matki, ojca miał koło siebie na krótko, owiało teraz serdeczne ciepło rodzinnego ogniska. Wdzięczność napelniła jego serce. Nie mógł tego pojąć, jakim sposobem ta obca mu osoba zajęła się nim tak żywo, dlaczego go do siebie tak przygarnęła czule, skąd do tego przyszło, że on po latach sieroctwa znalazł w niej matkę? Im więcej sobie tych pytań zadawał, tym mniej znajdował odpowiedzi, ale tym bardziej wzbierało mu serce miłością ku ukochanej „mamie”.

Ona mu zaś chciała wyszukać zajęcie. Gdy kogoś ze znajomych powoływała do rady, otrzymywała stale odpowiedzi, że Rousseau jest chłopak głupi, ograniczony, dwóch zdań porządnie skleić nie potrafi, i że nim się zajmować nie warto. To wszystko napelniało ją smutkiem i troską, ale czasem zdawało się jej, że znajomi mają rację. Albowiem Jan Jakub, gdy się znalazł w towarzystwie, albo milczał, albo prawił niedorzeczności. Szybka konwersacja do szybkiego zmuszająca myślenia odurzała go, ogłuszała i do reszty odbierała przytomność, której prawie pozbawiony, siedział w salonie, nie umiając na żadne pytanie sformułować dorzeczej odpowiedzi. To go w jak najgorszym stawiało świetle, i nieraz z przykrością odczuwał, że go natura w tym kierunku prawdziwie po macoszemu wyposażyła. „Mama” jednakże, troszcząc się o los „małego”, oddała go do duchownego seminarium, by stamtąd wyszedł księdzem, mogącym osiąść na jakiejś parafii i wieść życie spokojne, bez troski.

Dla jego jednak umysłu, pokaranego „manią błąkania się”, owego włóczęgostwa, nie dającego mu spocząć na miejscu -- nic niestosowniejszego nie było, jak właśnie klauzura w murach seminarium. Jego pierś tęskniła za wolnym powietrzem, wzrok chciał mieć rozległy widnokrąg, myśl jak ptaszę w klatce szamotała się w ciasnym kole lekcji. Słowem cała atmosfera dusiła go. Nie mógł dłużej wytrzymać i opuścił seminarium. Poświęcił się teraz muzyce, do której czuł pociąg od dawna, i chociaż nie miał najmniejszego pojęcia o melodiach, nutach i prawach tonów -- występował w miastach francuskiej Szwajcarii bądź to jako kompozytor, bądź też nawet jako nauczyciel muzyki. Przy owych lekcjach sam wiele korzystał, sam -- zamiast uczyć -- pobierał naukę.

W tych swoich wędrówkach zaszedł do Vevey, miasta rodzinnego pani de Warens, a wszędzie napotykał zachwycająco urocze widoki, okolice, od których oczu oderwać nie był w stanie, i -- jak sam powiada -- w takich miejscach siadał na pierwszej lepszej murawie lub jakimś przydrożnym głązie i rzewnie płakał, sam nie wiedząc czemu. Już nieraz o tych wylewach jego uczucia mieliśmy sposobność mówić i jeszcze do tego często powrócimy. Więc teraz już nasunąć się może mniemanie, że skoro Rousseau takie miewał porywy -- musiał mieć duszę przepełnioną poetyckimi marzeniami, które go przeciw mogły do pisania, do tworzenia z tych uczuć pieśni, gdzie by one znalazły swój upust. I tak w istocie był o, Jan Jakub jeszcze we wczesnej młodości pisał wiersze i nieraz do kajetu w mowie wiązanej notował swe wrażenia. Owe wierszyki nie miały zapewne większej wartości, bo i późniejsze utwory poetyckie Rousseau'a nie odznaczają się ni formą zbyt wykwintną, ni myślą zbyt głęboką. A jednak nieraz on cierpiał z tego powodu. Poezja go pociągała, jak ciągnęła go ku sobie muzyka, a do obydwóch sztuk nie miał prawie żadnych zdolności.

Kiedy mu już brakło środków dochodu z muzyki, której nie znał, a więc i z niej nie mógł się utrzymać -- przyjął posadę sekretarza u jakiegoś archimandryty greckiego, jeżdżącego po Europie ze składkami na odnowienie grobu Chrystusa w Jerozolimie. Był to najprawdopodobniej oszust, ale Rousseau chętnie z nim dalszą drogę odbywał, chcąc tak podróżować przez całe życie, i być może los by go zapędził aż w głąb Rosji, do której zdążył ów archimandryta, gdyby nie przypadek, jaki go zapoznał z posłem francuskim, wracającym do Paryża. Poseł ów, widząc w nim młodzieńca niecodziennego, zajął się nim i wysłał go do stolicy dla studiów w kadeckiej szkole. Ów lokaj, niedoszły ksiądz, uczeń rytownika, sekretarz i tyle innych piastujący „godności” młodzieniec -- wreszcie nową dla siebie znalazł drogę, która go jednak nie miała prowadzić do celu.

Po raz pierwszy w życiu zobaczył Paryż. Ogarnął go wir życia, płynącego gwałtownym wodospadem, nie jak w Genewie lub w Annecy spokojnie i cicho; ogłuszył go huk ulic; odebrał resztę przytomności ten pośpiech, z którym wszyscy tu załatwiali swe sprawy, z jakim wszystko biegło, nie mając czasu nawet rzucić Rousseau'owi odpowiedzi na jego naiwne pytanie: „Gdzie biegiesz, życie, i czemu tak śpieszysz?” Stał zdumiony. Wszystko go wprawiało w podziw, ale zarazem budził nieufność przed tym życiem, przed tą huczną i gwarną stolicą brał go strach. Zdawało mu się, że tu zginie i nikt się nawet nie dowie, nikt nań nie spojrzy, bo na to nie ma tu czasu. Zdawało mu się, że on tu nic nie znaczy, że jest tu zerem, z którym się nikt i nic nie liczy i liczyć nie myśli. I po części tak było. W szkole obchodzono się z nim nie jak z kadetem, nie jak z uczniem, który chce pobierać lekcje sztuki wojennej, by

osiągnąć rangę oficera, ale jak ze służącym; a on zagłuszony, odurzony poddawał się temu biernie, nie umiejąc się bronić, bojąc się zaprotestować. Jediną rzeczą, którą mógł wykonać, było usunięcie się stąd. I na tę myśl przypomniał mu się luby dom kochanej „mamy”, i począł tęsknić za nią i za owym spokojem, który wlewał mu dziwną harmonię do duszy i serce kładł na różach nadziei i rozkoszy. Nie mógł się oprzeć tym myślom: powędrował z powrotem do Sabaudii, do pani de Warens.

Do Chambery, gdzie wówczas „mama” mieszkała, odbył podróż pieszo według swego zwyczaju. Chęć ujżenia pani de Warens pę działa go naprzód i poczucie, że ją niedługo zobaczy, złociło mu po prostu drogę i każdy krzew, każdy gaj lub wzgórze obsypywało nowym urokiem i zdawało mu się, że rajską drogę odbywa, tak mu w duszy byb wesoło, tak wszystko dokoła niego gorzało życiem radosnym i swobodnym.

Wreszcie przybył. Jak zwykle przyjęła „mama” „małego” czule i z wylaniem, a chcąc, żeby Rousseau koniecznie wziął się do jakiego zajęcia, umieściła go w biurze geometry. Zawsze początek u Jana Jakuba był dobry; każda nowa robota porywała go na jakiś przeciąg czasu, podczas którego był najgorliwszym pracownikiem, rzecz swą odrabiał starannie i z przyjemnością, po czym atoli z wolna ostygądla swego zawodu, aż wreszcie rzucał go i szedł w świat lub w obję cia ukochanej „mamy”, patrzącej na wszystko z pobłażliwym uśmiechem. Tak się stało i teraz. Parę miesięcy nie było pilniejszego robotnika w biurze od niego; nie tylko na czas, ale przed oznaczonym czasem kończył swą pracę, wypełniał polecenia i był wprost zakochany w swym nowym zawodzie. Od chwili jednak, w której zapał zniknął, począł zaniedbywać się, wreszcie ustąpił. Było to do przewidzenia. Albowiem kantorek ciasny i posępny, ze swymi kratami w oknach i swą mechaniczną pracą nie był nie tylko stosowny dla Rousseau'a, ale wprost dlań zabójczy.

Powrócił więc do muzyki, w której zawsze dla siebie znajdował urok niepomierny, a teraz, gdy już więcej nieco posiadał techniki, mógł uczyć z lepszym skutkiem. Uczył młode i piękne panny i ów okres opisuje w swych Wyznaniach jako najrozkoszniejszy. Teraz przypominamy sobie, cośmy mówili o zmysłowości Rousseau'a, która już w bardzo młodym wieku poczęła się w nim budzić. Oto teraz, przy lekcjach muzyki, oczym a pożerał piękne twarze swoich uczennic, doznawał jakiegoś zadowolenia, które w nim budziło jednak żądze, nie dające mu spokoju ni wytchnienia; rozigrana imaginacja podsuwała mu obrazy, ciągnące go do siebie nieprzepartą siłą, one upajały go, a zarazem czasami budziły w nim wstręt. To wszystko jednak wytwarzało jakąś dziwną mozaikę uczuć, przenoszących umysł Jana Jakuba w sferę marzeń, mogących mu świat ubrać w tęczę, spod których by nie zdołał dojrzeć brudu i podłości.

Inaczej atoli zapatrywała się na to „mama”. Nie chcąc, aby Rousseau uległszy namiętności zeszedł na złą drogę, z której mógłby przy swojej krewkości i gorącej krwi, a słabej woli nigdy nie wrócić, lecz owszem zaginąć -- poczęła sama na własną rękę odkrywać przed nim tajemnice miłości i po uprzednim dostatecznym przygotowaniu przypuściła go do stosunku z sobą. Dziwny to sposób odwracania młodego umysłu od żądz, budzących się pod wpływem spotykanych kobiet, ale pani de Warens nie znała innego i nie mogła nawet tego odczuć, że jej „mały” bardzo cierpi nad tym, iż ich stosunki zacieśniły się, jak sobie tego nigdy nie wyobraził ani nie życzył. Tym bardziej nie musiało mu to być przyjemnym, gdy dzielił względy pani de Warens z niejakim Klaudiuszem Anet, ogrodnikiem, który prowadził interesy „mamy” i podtrzymywał jej majątek, bardzo mocno nadszarpany i wciąż jeszcze jej hojnością nadszarpywany. Ten ogrodnik atoli umarł niedługo potem, a Rousseau, nie mogąc już teraz z panią de Warens się rozłączyć, podał jej radę, by zaniechała finansowych spekulacji, którym się oddawała z prawdziwą namiętnością, mimo że ją rujnowały, a kupiwszy willę z kawałkiem gruntu, na roli szczęścia szukała. „Mama” postąpiła za jego poradą i zakupiła willę niedaleko Chambery, i oddała się wiejskiemu gospodarstwu.

Cisza wiejska, spokój sielankowego życia wzbudziły w nim pociąg do nauki. Ogarniał codziennie kochającym okiem przyrodę i czuł coraz więcej przywiązania do tych pól ozłoconych zbożem, łąk zieleniejących szmaragdową murawą, do tej winnicy obciążonej gronami, ale zarazem źle mu było, że nie rozumiał wszystkiego, że na każdym kroku spotykał się ze swą nieświadomością, nieraz bardzo przykrą. To wszystko zachęciło go do wzięcia się do nauki. Dawniej już książek czytał wiele, a raz (jak opowiada w swoich Wyznaniach), zapisawszy się do jakiejś czytelnicy, nie mógł się oderwać od książki i czytał na ulicy, czytał przy pracy, czytał, gdy inni już się spać pokładli, czytał, gdy ledwo świt nastał na dworze -- słowem, pochłaniał tom za tomem, tak że wkrótce poznał wszystkie książki w tej wypożyczalni. Teraz znów go ta żądza ogarnęła. Lecz teraz będąc starszym i dojrzałym, bardziej zważał na wybór dzieł, jakie brał do rąk, i czując, iż bezmyślne romanse i mdłe historyjki nie przystoją już jego poważnemu umysłowi, zwrócił się do filozofii.

Dr Salomon, jego lekarz i przyjaciel, był zapalonym czcicielem Kartezjusza i w rozmowach z Rousseau'em namawiał tego ostatniego do zajęcia się wspomnianym myślicielem. Zachęcony do tego Jan Jakub wziął się do czytania dzieł Kartezjusza i ze zdumieniem spo strzegł, jak z dniem każdym więcej i więcej łgnie już nie tylko do nauk tego filozofa, ale do filozofii w ogóle, że na nim ta *mater scientiarum* robi potężne wrażenie i porywa go. Po Kartezjuszu zabrał się do czytania Voltaire'a Listów angielskich, w których znów spotykał się z krytyką całej filozofii

Kartezjusza i z uczonymi, logicznie ujętymi systemami angielskich koryfeuszy filozofii i wiedzy: Locke'a i Newtona. Oczarowany głębokością ich poglądów, szczerze przywiązany do Kartezjusza, doprawdy nie wiedział, za kim pójść, i dwa bieguny pogodził ze sobą w swej myśli czytając równie gorliwie Listy angielskie, jak i Rozprawą o metodzie. Malebranche i Fenelon, którzy go teraz równie poczęli zajmować, dopełniają liczbę tych poważnych autorów, jakich Rousseau w tym czasie poznawał.

Rousseau ujrzał się nagle w innym świecie. Mimowolnie porównywał marne romanse, którymi karmił się od dzieciństwa, z tymi dziełami, pełnymi logiki, głębokiego ujęcia i nade wszystko wspaniałych myśli o świecie, Bogu i ludziach. Przed nim stanął otworem jakby nowy świat -- świat ducha, piękny i wspaniały, wielki i pociągający. On dotąd ledwie czasem, gdy się wieczorem przy księżycu przechadzał, odczuwał, że jest coś, czego dotąd nie zna, a co go ciągnie ku sobie. Była to filozofia, był to owo zastanawianie się nad światem i rozumienie wszystkiego, co dawniej już nieraz zajmowało myśl Jana Jakuba. I teraz, gdy poznał dzieła filozofów, gdy w nich znalazł szereg wielkich zagadnień wraz z odpowiedziami, stał się wielbicielem owej wzniosłej nauki, która uczy myśleć o Bogu, ludziach, wszechświecie i jest niby królem, dającym wyroki.

Lecz tu zarazem ujrzał, że posiada ogromne braki w wykształceniu i że jego wiedza, z którą dotąd był tak dumny, nic właściwie nie znaczy, i począł starać się zapępiać te luki. Nauka łaciny, historii, a w części matematyki zajmowała teraz większą część dnia i on -- leń znany -- siedział nad książką od wczesnego rana do późnej nocy. Z wolna, jak zaczął coraz więcej nabywać wiadomości, odzyskiwał pewność siebie, wyżej głowę podnosił, bo czuł, że coraz więcej ma do tego prawa. I po części dla zarobku, a po części też dla pokazania światu swej wiedzy, począł szukać miejsca nauczyciela lub sekretarza przy jakiejś zamożnej rodzinie.

Atoli te wszystkie zamiary najzupełniej spełzły na niczym, albowiem w organizmie jego z natury nie bardzo zdrowym poczęb się coś psuć, a Rousseau, mając fantazję bardzo zawsze podnieconą, wyobrażał sobie, że jest obłożony jakąś straszliwą chorobą, aż wreszcie rozdrażniony, zdenerwowany, zgodził się udać do Montpellier (miasta niedaleko Morza Śródziemnego w departamencie Hérault), aby tam zasięgnąć rady lekarza.

W drodze jednak ciekawa spotkała go przygoda, która mu pozwoliła nie jechać już do Montpellier, albowiem dzięki niej wyzdrowiał. Spotkał się mianowicie z niejaką panią Delarnage, która go od pierwszego wejrzenia kokietowała i ostatecznie po dość niedługich ceregielach nawiązała z nim miłosny stosunek, mający właśnie taki zbawienny wpływ na chorego Rousseau'a. Ponieważ nie było potrzeby jechać dalej, wrócił do „mamy”, lecz tu

zastawszy na swoim miejscu jakiegoś perukarza, z którym nie chciał dzielić łask pani de Warens, odjechał do Lyonu, gdzie jako nauczyciel domowy dawał lekcje u jednej z zamożnych tamtejszych rodzin.

Tu jednak trudności piętrzyły się jedna na drugą, i młodemu pedagogowi stało się nareszcie jasnym, że nic tak dlań nie ma niestosownego na świecie, jak właśnie wychowywanie młodzieży. I jak zwykle w takich razach począł tęsknić do drogiej „mamy”. W każdym, kogo spotkał, widział, jeśli już nie wroga, to przynajmniej zupełnie dla się zimnego i obojętnego człowieka, a tylko tam, w piersiach pani de Warens, bił o dlań serce macierzyńskie, będące zawsze z wylaniem dla kochanego „małego”. Pilno mu było w jej objęciach poskarżyć się na świat i ludzi, więc jak mógł, najspieszniej zdążył do Chambery.

W domu pani de Warens nic się nie zmieniło, chyba to, że stosunki pieniężne były w jeszcze bardziej opłakanym stanie: wszystko zapowiadało ruinę. Nie chcąc jej ciążyć, chociaż z bólem serca, pożegnał ją i odjechał do Paryża, bo i tam pilno mu było o, gdyż wiozł ze sobą pomysł pisania nut cyframi, który mu miał sławę zapewnić i stanowisko w owym wielkim świecie, od jakiego niedawno temu, będąc młodą chłopcem, odsunął się ze strachem i niechęcią. Teraz jednak ufny, że Akademia Umiejętności na pewno przyjmie jego wynalazek i ogłosi go genialnym wynalazcą, śpieszył z błogą nadzieją do tego miasta, które z daleka można było poznać po gwarze i huku. Ale teraz nie bał się już w nim zginąć.

Miał wtedy lat dwadzieścia dziewięć.

W Paryżu atoli czekał go zawód. Akademia Nauk od razu niechętnym okiem i z podejrzliwością patrzyła na ów nowy system pisania nut, a gdy jeszcze -- zapytany o radę -- słynny muzyk Rameau uznał go za zupełnie niedorzeczny, odrzuciła i zburzyła Rousseau'owi cały precudny gmach jego nadziei. Dla takiej natury jak jego był to cios straszliwy i bolesny nie do wypowiedzenia. Albowiem on w swej żywej imaginacji widział się otoczonym już przyjaciółmi i wielbicielami, a teraz ów wyrok Akademii rozbił te myśli rozkoszne, które pierzchły jak stado ptactwa na odgłos wystrzału.

Dziwna rzecz jednak: przebolewał to i zniósł mężnie cios tym gwałtowniejszy, że niespodziewany. Być może, iż nie miał czasu długo nad tym rozmyślać, albowiem miał dokoła siebie ludzi, których nazwiska znane mu były od szeregu lat, bo o nich od dawna głośno było w świecie. Poznał on Holbacha, Diderota, Grimma, prawie wszystkich encyklopedystów oraz innych wybitnych uczonych, wśród jakich atoli było mu nieswojo, bo on -- nic nie znaczący wynalazca „bezsensownego” pisma nut -- nie mógł odgrywać w tym towarzystwie literackich znakomitości jakiejś znaczniejszej roli. Wpierw ogłuszyli go, ale tak zarazem przykuli go do

siebie, że nie wyjechał z Paryża przed upływem kilku lat. W tych czasach znowu zarabiał lekcjami muzyki.

Na lata 1741-1753 przypada napisanie jego pierwszych oper. Nie dając się bliżej określić czas stworzenia takich drobnych dziełek operowych, jak *Ifis i Anaxareta* lub *Odkrycie nowego świata*, odnieść właśnie należy do lat wyżej wymienionych, do pierwszej połowy tego okresu. Następnie pisze *Zuchwałą kondycję* i *Narcyza*. Tego ostatniego w r. 1752 wystawił w Paryżu, lecz sztuka ku wielkiej jego rozpaczy upadła a i nawet marzyć nie mógł, by kiedyś raz jeszcze zdecydowano się ją zagrać. Ogółem wzięwszy te utwory nawet na to nie zasługują, by je tu wymienić, tak są marne, ale czynię to z tego powodu, że mimo wszystko Jan Jakub wkładał w swą pracę muzyczną niezwykle wiele miłości i wciąż nęciły go laury na tym polu, laury, które było mu raz jedyny w życiu sądzone osiągnąć.

W tym czasie układano sławną w dziejach Encyklopedię francuską, do której o artykuły niezwykle gorliwie starał się Diderot, prosząc fachowców o pisanie rozpraw z zakresu ich umiejętności. Widząc, że Rousseau się muzyką entuzjastycznie zajmuje, uprosił u niego artykuł *O muzyce*, który on chętnie napisał. Inny zaś jego artykuł o ekonomii politycznej posiadał nie mniejszą wartość, bo jak i powyższy był napisany sumiennie i z wielką znajomością rzeczy.

Wreszcie sprzykrzył sobie Rousseau pobyt w Paryżu, z którego i tak od czasu do czasu po prostu uciekał, i począł oglądać się za jakimś zajęciem, mogącym go zarazem wyrwać z wiru stolicy. Przyjaciele jego mający wszędzie szerokie wpływy wyrobili mu posadę sekretarza przy poselstwie francuskim w Wenecji. Stamtąd jednak rychło powrócił do Paryża.

W 1749 roku razu jednego w parny dzień letni odbywał pieszą podróż do Vincennes, do bawiącego tam podówczas Diderota, i po drodze znużony usiadł pod drzewem, a chcąc przejrzeć nowiny, wyjął z kieszeni numer „*Mercure de France*”, w którym z wielkim wzruszeniem odczytał, że Akademia Umiejętności w Dijon rozpisała konkurs na następujące pytanie: „Czy odrodzenie nauk i sztuk przyczyniło się do podniesienia moralności publicznej?” Odczytał on to, jak nam w *Wyznaniach* opowiada, ze wzruszeniem, albowiem dawno już o tej kwestii rozmyślał, i teraz, ujrawszy nadarzącą się sposobność do zmanifestowania swego credo, rozplakał się jak dziecko. Opowiadanie to całe trzeba jednakowoż brać *cum grano salis*, albowiem -- jak nieco dalej w swej autobiografii pisze -- Diderot, którego on odwiedził i którego się pytał o radę w tej kwestii, polecił mu dać odpowiedź na to pytanie negatywną. To drugie opowiadanie bardzo nas podejrzliwie usposabia względem pierwszego, tak dalece, że wierzymy prawie, iż to Diderot poddał tę myśl Rousseau'owi. Jaki z tego wniosek da się wyprowadzić, zobaczymy w drugiej części niniejszego szkicu.

Jakkolwiek jednakże było, na teraz nas to nie obchodzi i ra czej zajmiemy się samą rozprawą, którą pisze w roku 1750 pt. *Discours sur les sciences et les arts* i posyła Akademii Umiejętności w Dijon. Ta zaś, widząc śmiałość poglądów i z zapałem świeże i nieprzewidziane wygłoszone idee, nagrodziła ją, czyniąc zarazem jej autora człowiekiem sławnym i wziętym.

Rousseau na pytanie Akademii Umiejętności odpowiedział przecząco, udowadniając, że sztuki i nauki nie tylko nie podnoszą poziomu moralności, ale owszem przyczyniają się do zepsucia obyczajów. Przytaczał na to -- co prawda -- bardzo ciekawe dowody historyczne, wykazując na dziejach Aten i Rzymu, że ze wzrostem oświaty oraz z postępowaniem cywilizacji opadał poziom moralności coraz niżej i coraz bardziej ludzie brnęli w błędach, ćwicząc się zarazem w sztukach i naukach, w których coraz większej nabywali doskonałości. Od stanu natury człowiek się oddala -- oto jest całe nieszczęście -- a oddala się przez kultywowanie wiedzy, zajmującej jego umysł zupełnie niepotrzebnymi kwestiami, które coraz więcej umysł jego odwodzą od cnoty i prawdy. Bo też wszystkie gałęzie wiedzy wypłynęły z jak najgorszych źródeł: astronomia z zabobonu, fizyka z ciekawości, etyka z pychy itd. „Tak również -- rozumuje Rousseau dalej -- wszelkie sztuki piękne służą do zepsucia obyczajów.” (Na ten brak logiki powołamy się przy krytyce jego doktryny.) Nawet żądę wiedzy nazywa niską skłonnością, a bezcelowe sztuki piękne, jako też i sucha uczoność na nic się nie zda nikomu, *ergo* jedyna droga: wrócić do natury.

Oto mniej więcej treść dzieła i jego przewodnia idea. Nieco o paradoksalności tych myśli, z wielkim -- co prawda -- mistrzostwem rzuconych na papier, pomó wimy niżej, a teraz tylko wspomnimy, że cała rozprawka, pisana językiem wspaniałym, w piękne zdobnym okiesy, prawdziwym tryskająca zapałem, odznacza się niezwykle szczerością uczucia i czystą w wielu miejscach poezją. Co do języka nadmienię jeszcze, że we Wszystkich pismach posługuje się Rousseau zwrotami archaicznymi, zwrotami zeszytych stuleci, ale tak je umie przerobić, tak w nie umie tchnąć swego ducha, bogatego przede wszystkim w niekłamane uczucie, że naprawdę czytelnika porywa. Nic to, że czujemy, iż go temperament unosi, iż wiemy o całej niedorzeczności poglądów -- przez palce na to wszystko patrzymy, bośmy nim zachwyceni. Tym się tłumaczy owo ubóstwianie późniejsze Rousseau'a, tym się i to nawet tłumaczy, że Akademia w Dijon nagrodziła jego rozprawę, tak mało naukową i tak mało dorzeczną.

Ważnym wypadkiem z tych lat jest poznanie się Rousseau'a z Teresą Levasseur, służącą w jednym z hotelów, gdzie czas jakiś Jan Jakub mieszkał. Wspomniana dziewczyna była skromna i cicha i to go ujęło za serce. W pensjonacie często ją ktoś zaczepiał, dokuczano jej lub z niej szydzono. Jan Jakub bronił jej przed tymi napaściami. W końcu, czując do niej coraz większe

przywiązanie, wziął ją do siebie, nie poślubiwszy jednakże uprzednio.

Teresa Levasseur była kobietą dobrą i spokojną, ale przy tym tak wprost bajecznie ograniczoną, że -- jak nam opowiada Rousseau -- nie znała na pamięć nazw wszystkich miesięcy, liczyć nie umiała, a nawet jej mowa była tego rodzaju, że nierzadko się zdarzało, iż co innego chciała powiedzieć, a co innego powiedziała. Wielu z autorów piszących o Rousseau'ie twierdzi, że związek z Teresą był największym dlań w życiu nieszczęściem, albowiem ona nie umiała ocenić jego talentu, nie rozumiała go, będąc mu jedynie ciężką u nóg kłodą. Dziwić się należy, skąd tym autorom przyszło do głowy płakać nad tym filozofem, któremu przy boku jego Teresy było bardzo dobrze. I gdyby nie matka Teresy, przykra i kłóliwa Ksantypa -- nie życzyłby sobie szczęśliwszego życia przy domowym ognisku.

Nigdy na nią w swych Wyznaniach nie narzeka, zawsze o niej mówi jako o osobie miłej, pełnej słodyczy i przywiązania do niego. I istotnie. Tak było i być musiało. Rousseau czuł się swobodniejszym wobec kobiety o całe niebo stojącej niżej od niego, której ani przez myśl przejść nie mogło, by go zrozumiała kiedykolwiek. Miał on i choroby pewne, jakie by wolał ukrywać, a na jakie znów niewiasta bystrzejsza zapatrywałaby się całkiem inaczej. Prócz tego potrzebował on pielęgniarki, a do tego nie nadawałaby się osoba wykształcona i rozumna.

Z nią więc żyje spokojnie i szczęśliwie, zarabiając przepisywaniem nut, a roboty i dochód w ma pod dostatkiem, bo od czasu wydania owej rozprawy o sztukach i naukach stał się człowiekiem głośnym i sławnym, a każdy pragnął go poznać. Z pożycia z Teresą staje się ojcem pięciorga dzieci, które oddaje do domu podrzutków. Niejeden wzdygnie się przeczytawszy te słowa, i rzeczywiście ten postępek Rousseau'a napawa odrazą nawet najzacieklejszych wielbicieli filozofa z Genewy. I naprawdę był to największy błąd w jego życiu: nigdy przedtem ani potem czegoś podobnego nie uczynił. Sam to czuł może lepiej od drugich i pragnął się początkowo najróżnorodniejszymi sofizmatami usprawiedliwić. Ale wreszcie dał spokój i odtąd się oskarża jawnie, żałując szczerze swego postępuku, tak że niejednokrotnie w późniejszych swych pismach smutne pisze zdania i przestrogi dla ojców, które dadzą się sformułować w napomnieniu: „Niech z was każdy, komu Bóg pozwolił mieć dzieci, sam je wychowuje, jeś li chce mieć spokojne sumienie!”

To jednak stało się o wiele później, a teraz Rousseau, żyjąc z Teresą, poczyną pisać najlepszą swą operę pt. *Le devin du village* -- *Wiejski czarodziej*, którą wystawia wobec dworu królewskiego w Fontainebleau. Król; pani de Pompadour, księżęta krwi i całe wysokie towarzystwo bije oklaski, sławi i wynosi autora pod niebiosa, słowem, sztuką się entuzjazmuje. A Jan Jakub siedział w swej łoży i ze łzami w oczach patrzył na to i pierś mu bezmierną

wzbierała radością, bo był to rzeczywiście najpiękniejszy dzień w jego życiu. Nazajutrz oświadczone mu, że król mu udziela posłuchania i prawdopodobnie chce mu wydzielić dożywotnią pensję. On jednak nie poszedł, do końca życia -- jak myślę -- nie mogąc sobie zdać sprawy: dlaczego. Najkomiczniejsze powody przytacza w *Wyznaniach*, którymi nie może się usprawiedliwić, bo czytelnik z całej jego obrony uśmieć się musi serdecznie.

Co do samej opery, to treść jej niezbyt bogata. Opowiada bowiem poeta, jak pewna wiejska dziewczyna imieniem Colette, zakochana w Lolinie, urodziwym młodzińcu -- idzie do starego wieśniaka, mającego sławę czarodzieja, by jej coś poradził na niewierność kochanka. On jej daje jakiś środek, który na Lolina działa w ten sposób, że zazdrosny o swoją Colette powraca do niej ku wielkiej jej radości. Treść skąpa, ale muzyka, która głównie działała na publiczność przez siłę uczucia i zachwycającą wprost harmonię między słowami a melodią, porywała słuchaczy. Słowa zaś tchnęły zapachem pól i łąk i wszędzie czuć było ową sielskość, która Rousseau'a natchnęła do napisania tej opery.

Tymczasem Akademia w Dijon ogłasza znowu konkurs na pytanie: „Jakie są przyczyny nierówności między ludźmi i czy ta nierówność stanów jest zgodną z prawem natury?” To pytanie jakby znowu był wyzwaniem Rousseau'a. Rzeczywiście siada przy biurku i natychmiast pisze *Discours sur l'origine de l'inégalité parmi les hommes -- Rozprawa o genezie nierówności stanów*.

Już prawie kończył ową rozprawę, gdy w roku 1754 pojechał do ojczyznanego miasta do Genewy, za którą w cichości zawsze tęsknił. Teraz atoli wracał do niej katolikiem i nawet nie zdawał sobie sprawy, ile przykrości spotkać go może w kalwińskim mieście. Chłodnym przyjęciem przypomniano mu zaraz na wstępie, że on przecież zmienił wyznanie swych ojców i tym samym zerwał węzły łączące go z rodakami wiernie stojącymi przy sztandarze Kalwina. Nie wahając się ni jednej chwili wraca natychmiast do kalwinizmu, sądząc, że Ewangelia jest dla wszystkich jednakowa. Tu widzimy pierwsze kielki zasad Umowy społecznej i Wyznania wiary sabaudzkiego wikarego. Już wtedy według wszelkiego prawdopodobieństwa wyznawał Rousseau swą religię serca, nie opierającą się na żadnych dogmatach, oraz twierdził, że w jakim państwie się żyje, powinno się stosować do wymogów i zasad tego państwa.

Zachwycony Genewą, jej mieszkańcami i wszystkim, co tam napotkał wraca do Paryża, by tam wydać swoje *Discours*, które dedykuje rzeczypospolitej genewskiej. Jakież było jego zdziwienie, gdy na tezy zawarte w jego rozprawie poczęto się w jego rodzinnym mieście krzywić i jawnie okazywać niezadowolenie. Zmartwił się bardzo i poprzednio powzięty swój zamiar przesiedlenia się do rodzinnych stron odłożył na później, ale porzucił go niebawem

całkowicie, gdy mu doniesiono, że w pobliżu Genewy osiadł Voltaire i utrzymuje stosunki z miejscowymi władzami.

Aby wyjaśnić przyczynę tego strachu przed Voltaire'em, trzeba wspomnieć, że Rousseau z nim nigdy nie żył, a przecież czuł w nim zawsze swego wroga. Ostra krytyka jego dzieł po niektórych czasopismach wychodziła spod pióra Voltaire'a i to było powodem, że on tego władcy opinii publicznej bał się, nienawidził, ale zarazem go ubóstwiał, nie mogąc tego nigdy ukryć. Podziw i cześć dla niego zachował przez całe życie, ale zarazem bał się z nim zetknąć, wiedząc, że ze strony Voltaire'a nic dobrego go nie spotka.

Tymczasem Paryż rozchwytywał jego *Rozprawę*, którą czytano pilnie i komentowano w bardzo niedwuznaczny sposób, tak że gdyby władze ówczesne były przezorniejsze, powinny by były zabronić jej jako niebezpiecznej broszury. Bo też od początku do końca były tam słowa, z których potem ułożył *Umowę społeczną*, będącą dla Rewolucji jakby *credo*, jakby zakon, jakiego też ona się trzymała.

Udowadniał on na kartach swej *Rozprawy*, że nierówność stanów jest złem, które głupia ludzkość na siebie ściągnęła przez założenie tak niedorzecznych instytucji, jak społeczeństwo lub państwo. „Pierwszy ten -- mówił Rousseau -- który odważył się ograniczyć kawałek ziemi i wyrzec do innych: oto moja własność -- i znalazł głupich aż nadto wielu, co mu wierzyli, był właściwym założycielem obywatelskiego społeczeństwa. I to było najgorszym, co tylko być mogło, bo odtąd coraz bardziej zaczęto zapominać o tym, że ziemię stworzył Bóg dla wszystkich, że jej płody są dla całej ludzkości i każdy do nich ma równe prawa... Od jakich zbrodni -- woła filozof dalej -- od jakich wojen i nędzy i okropności uwolniłby cały ród ludzki ten mąż, który by wówczas powyrywał pale graniczne i napomniwał innych, mówiąc: «Strzeżcie się, nie słuchajcie tego oszusta; zgubieni będziecie, jeżeli o tym zapomnicie, że owoce ziemi są dla wszystkich, a ona sama do nikogo należeć nie może.», I tak do końca. Karta za kartą nowe paradoksy, wyrzucone siłą uczucia, i nowe zdania, które dobrze potem pamiętali i jasno komentowali Mirabeau i Robespierre.

Akademia w Dijon, gdy otrzymała ową rozprawę, nie nagrodziła jej w obawie, by i na nią nie spadła przypadkiem część winy, gdyby się na tendencji utworu poznano i gdyby go szczegółowo zaczęto rozbierać. On jednak niewiele sobie z tego robił bo miał inne troski, a to: oplakany stan finansowy pani de Warens i zawiedzione jego nadzieje co do osiedlenia się w Genewie. Pani de Warens -- jak zresztą można było wyprorokować -- cały swój majątek straciła, bądź na wspomnianych wyżej spekulacjach, bądź też z powodu swej wielkiej hojności, która była zarazem cnotą jej i wadą. Teraz żyła prawie w nędzy, a ten zasilek pieniężny, jaki z

własnych szczupłych funduszków dał jej Rousseau, niewiele pomógł do poprawienia sytuacji. A i w Paryżu nie mógł już dłużej wytrzymać. Wszystko go drażniło, a tęsknota za spokojem, ciszą wiejską i marzeniami wśród pięknej przyrody skłoniły go przyjąć gościnność pani d'Epina, ofiarowującej mu zaciszną wiejską siedzibę, zwaną Pustelnią -- l'Ermitage.

Jak wszystkie ówczesne kobiety, i pani d'Epina była zepsuta i złe obyczaje panowały w jej domu. Z pewnością do *Wyznań* swoich mógłby Jan Jakub zapisać jeszcze jeden miłosny stosunek, gdyby nie bliskość pani d'Houdetot, w której Rousseau, jak sam przyznaje, po raz pierwszy w życiu szczerze się zakochał. Ta pani była krewną d'Epina, a kochanką d'Alemberta, którego ostatecznie Rousseau znieść nie mógł, gdy ten wrócił z podróży. Lecz to rzecz prawie uboczna, bo to, co twierdzą niektórzy autorowie, że *Nowa Heloiza* wzięła swój początek z tej miłości i że w wymienionym romansie ta miłość jest przedstawiona -- wcale mi się słusznym nie wydaje, albowiem *Nową Heloizą* uważam jedynie za marzenia Rousseau'a, za tęsknotę do wielkiej, prawdziwej i wzajemnej miłości, której w życiu nigdy nie zaznał. Jego bowiem romantyczna dusza zawsze czegoś potężnego pragnęła, nie mogąc się zadowolić przelotnymi miłostkami. A taką właśnie była miłość do pani d'Houdetot, ponieważ Jan Jakub zerwał niedługo z nią wszelkie stosunki i nie robiąc sobie wiele z tego zerwania chwycił w rękę autorskie pióro.

Wśród lasów Pustelni, którymi ona gęsto była otoczona, najlepiej mu się marzyło, a woń żywiczna drzew, świergot ptasząt i owa harmonia ciszy leśnej dziwnie do jego uczuciowej duszy przemawiały. On słuchał, jakby chciał ducha przyrody wysłuchać, jakby chciał porozmawiać z tą knieją, w której tylko głębokie echo tonęło. I pierwsze miesiące pobytu poświęca czas jakiś poezji, która jak zwykle odmawia mu posłuszeństwa, ślizga się w rytmie -- i wreszcie daje temu pokój, przekonawszy się, że poezję duszy można zamknąć i w zwykłej prozie. Teraz właśnie, pod tymi najrozliczniejszymi wpływami, zaczyna marzyć o miłości. Zdawało mu się dawniej, że miłość poznał aż nadto dobrze, ale to była nieprawda. On znał jedynie zmysłową, zwierzęcą rozkosz, dającą chwilowe zadowolenie, a budzącą potem namiętności do jeszcze żywszej gry, po której czasem straszliwy następuje przesyt, przeradzający się w tak zwany z niemiecka weltschmerz, jak to przykładem swym stwierdza lord Byron. Rozważył to, i teraz, wśród cichej kniei, ozwało mu się w duszy jakby dalekie wołanie: „Pójdź”, a on szedł mocą wyobraźni za ową jasną Julią, co mu w myśli się ukazała i prowadziła go hen nad genewskie jezioro do uroczonego Vevey, gdzie najdroższa „mama” (ach! gdzie ona teraz?) przyszła na świat. Ocknął się. Tyle myśli na raz, tyle uczuć, tyle pragnień i to wszystko prosi się, by je w słowa zamknąć i opowiedzieć ludziom. Rousseau usłuchał głosu

serca i zabrał się do pisania *Nowej Heloizy*.

Pierwsze dopiero listy powstały, gdy Rousseau zerwał wszelkie stosunki z panią d'Epinau, Diderotem tam obecnym i Grimmem. Możemy śmiało powiedzieć, że to są już pierwsze objawy manii prześladowczej, jaka go w późniejszym wieku trapiła. Oto ten dzikus, mało do ludzi przyzwyczajony, nagle opuszcza Ermitage, cały wzburzony i -- Bóg wie co wygadujący na cały dom pani d'Epinau i na encyklopedystów. Ale już zanedo podówczas był sławny, aby musiał prowadzić życie nędzne. Nawet najznakomitsze rodziny uważały sobie poniekąd za zaszczyt, gdyby przyjął u nich gościnę. A potrzebował jej teraz i w dodatku opieki możnych, albowiem zerwanie z encyklopedystami narażało go na najrozmaitsze nieprzyjemności. Dlaczego zaś z nimi zerwał, wyjaśniłem powyżej, ale na usprawiedliwienie Rousseau'a przytoczę przykład złościwości Voltaire'a. Oto gdy wyszła w roku 1755 rozprawa O nierówności stanów, Voltaire po jej przeczytaniu pisze list do autora i między innymi tak dowcipnie krytykuje jego książkę:

„Niedawno otrzymałem nową Pańską książkę, skierowaną przeciw rodzajowi ludzkiemu, i dziękuję Panu za nią. Wprost nie wydaje mi się prawdopodobnym, by ktoś mógł jaskrawszymi barwami odmalować ohydę naszego społeczeństwa, od którego my w swoim zaś lepieniu oczekiwaliśmy tyle dobrego. Nikt przed Panem nie zużył tyle geniuszu, by nas znowu w zwierzęta przemienić; gdy się czyta Pańskie dzieło, odczuwa się wielką chęć chodzenia na czworakach. Ponieważ atoli od lat sześćdziesięciu tego przyzwyczajenia się pozbyłem, czuję, iż niepodobnym mi będzie -- niestety! -- do niego powrócić.” Te słowa wzmogły nienawiść w sercu Rousseau'a do Voltaire'a i zrodziły nieufność do wszystkich jego przyjaciół, satelitów i wielbicieli.

Teraz jednakowoż nie potrzebował dbać o łaskę Holbachów, Grimmów, Diderotów czy d'Alembertów, albowiem gdzie by tylko zakołatał, wszędzie by go z otwartymi przyjęto ramionami. A nawet i kołatać nie miał potrzeby, bo książkę Luksemburg, marszałek Francji, poprosił go, by jego dom za swój uważał, i dał mu do zamieszkania willę Montmorency, przypominającą trochę dom w Ermitage'u, albowiem dokoła szumiały przecudne lasy. Tutaj znowu wrócił do swej *Nowej Heloizy*, bo znów mu każdy strumyk przypominał plusk fal geneńskiego jeziora, a gdy spojrzął na uśmiechnięte słońce, wiedział, że ono tak samo się śmieje i do jego ukochanego Vevey, i czuł w nim przyjaciela, a w jego promykach znajdował natchnienie.

Wreszcie skończył swój romans. W formie listów w sześciu częściach zamknął dzieje miłości dwojga ludzi i dał swej powieści tytuł *Julie ou la Nouvelle-Héloïse -- Julia albo Nowa Heloiza*. Istotnie podobne były te dzieje do dziejów w miłości mnicha Abelarda i Heloizy. Aby

tytuł zrozumieć, opowiem pokrótce ten epizod z historii średniowiecza. Mnich Abelard z XI stulecia posiadał głęboką wiedzę i sławę, szczególnie z dysput filozoficznych, a młodzię francuska garnęła się zewsząd do niego jako do znakomitego mistrza. Zdarzył mu się być raz w Paryżu, gdzie poznał niezwyklej urody dziewczicę imieniem Heloiza. Niedługo potem potajemnie ją poślubił. Chcąc atoli dostąpić wyższych urzędów kościelnych, odesłał ją do klasztoru, ściągając przez to na siebie zemstę stryja swej żony, który go w okrutny sposób okaleczył. Zgorzkniały i niemocą przytłoczony Abelard usunął się i w okolicy Nogant wybudował klasztor, gdzie przełożoną uczynił Heloizę. Pod koniec życia miał jeszcze zatarg z kościołem za głoszenie wolnomyślnych nauk. Listy jego do Heloizy pełne uczucia i poezji wydano i one, krążąc w tysiącach egzemplarzy po Francji, ostatni impuls dały Rousseau'owi do napisania jego *Nowej Heloizy*.

Tyle do objaśnienia; a teraz do samej przystąpimy powieści. W Vevey, nad genewskim jeziorem, mieszka bogata rodzina, której córka Julia pobiera nauki od niejakiego Saint Preux, trochę filozofa, od dawna zakochanego w Julii. Przyjrzyjmy się tym postaciom wpiery pod względem powierzchowności. Oto jak je sam autor opisał, gdy genewczyk Coindet podjął się ozdobienia ilustracjami romansu: „Julia, blondynka, powierzchowności miłej, delikatnej, skromnej i uroczej, we wszystkim przebija u niej prosta elegancja; on zaś -- człowiek młody, postać zwykła, niczym się zbytnio nie wyróżniająca, jedynie twarz ma wzbudzającą zajęcie i pełną wrażliwości, ubiór nader prosty, zachowanie się dość trwożliwe, nieco zakłopotania, ale charakter gwałtowny, kipiący i zdolny do uniesień w chwilach namiętności.” Tak się ma z zewnątrz przedstawiać para kochanków, a duchowo on -- umysł trochę abstrakcyjny, ona -- egzaltowana panienka. Są to więc dusze bratnie, które do siebie wnet uczuły skłonność, tak że wyznanie miłości nie przedstawiało dla Saint Preux'ego żadnej trudności, a ona znów, również niedługo się namyślając, rzuca mu się w objęcia, porwana dawno tłumioną namiętnością. Małżeństwo jest tu niemożliwe, ponieważ on -- z niskiego rodu, a ona szlachcianka, on biedny, jej rodzice bogaci. Tu się więc poczyna tragedia ich miłości. Wybierać musi Julia pomiędzy kochankiem a rodzicami; gdy tych ostatnich opuści, zawiśnie nad nią przekleństwo ojca i nad grobem stojącej matki; gdy poświęci swą miłość -- dla niej rozpoczną się dni bólu i smutku. Już sama ta walka jest dla niej okropnie bolesna, ale wreszcie wychodzi z niej zwycięsko i poświęca kochanka dla spokoju ojca i matki.

Gdy się już raz jeden na tak stanowczy krok zdobyła, dąży dalej tą drogą i zaślubia lorda Edwarda de Wolmar. Początkowo Saint Preux szaleje z rozpaczy, ale wreszcie rozsądek bierze nad uczuciem górę, i on postanawia wszystko, co dotąd miało miejsce, puścić w niepamięć, a

panią de Wolmar tylko z daleka szanować, jako wyżej od niego urodzeniem stojącą, z jej mężem zaszczytną dla siebie zawrzeć przyjaźń, a gdyby lordostwo miało dzieci, zająć się ich edukacją. Lord de Wolmar zaprzyjaźnia się z Saint Preux'em i nawet, gdy wyjeżdża na jakiś czas z domu, pozostawia swą żonę na opiece jej dawnego kochanka, nic o ich wzajemnym stosunku nie wiedząc ani go się nie domyślając. Dla młodych dwojga ludzi następuje czas nieznośnej próby. Wszystko dokoła nich się śmieje młodością i pięknem, natura im w sercach podnosi mgłę przeszłości, za którą tęczowe lśnią wspomnienia. Jednakże wszczepione za młodu podstawy moralności i pewne zasady podają im teraz dłoń i chronią od upadku. Julia nie zdradziła męża. Ale czuje zarazem, że była to straszna walka z sercem, z uczuciem, które zgwałciła siłą, jakiej nie mogła sobie obiecywać, gdyby kiedyś po raz drugi owiała ją i kochanka cisza i samotność. Stąd powstaje pragnienie ożenienia Saint Preux'ego, i w tym celu sprowadza do siebie Klarę, przyjaciółkę od serca, „pikantną brunetkę” -- jak ją określił sam autor -- i chce, by między tymi ludźmi skojarzyło się małżeństwo. Wtem razu jednego podczas zabawy nad jeziorem wpada w wodę mały synek Julii, a ta się za dzieckiem rzuca w toń. Ratają ją jeszcze, a ostatnie chwile przedgonne poświęca Julia, by prosić Saint Preux'ego o opiekę nad dzieckiem i o dobre dla tego ostatniego wychowanie.

Mamy więc przed sobą treść owej Nowej Heloizy i teraz słó w parę o jej wykonaniu. Formę listu, którą się posługiwał Rousseau, zapożyczył -- być może -- od Richardsona piszącego w ten sposób liczne powieści albo też -- co prawdopodobniejsze -- na pomysł ten wpadł sam znając listy mnicha Abelarda i wiedząc, że w takiej formie można wypowiedzieć więcej niż w jakiej innej zasad moralnych lub pięknych sentencji. A o to głó wnie mu chodziło. Nie wiem, czy ktoś nawet po bardzo starannych poszukiwaniach w literaturze wszechświatowej mógłby znaleźć powieść nudniejszą, bardziej rozwlekłą i napisaną z mniejszym poczuciem artystycznym. Jedynie Chiny powinny by dostarczyć nam czegoś podobnego, ale rzecz, która by miała wyżej wymienione wady, więcej jeszcze spotęgowane, prawdopodobnie nie istnieje. Wprzó d sama forma listów ogromnie nuży, akcję co krok obciąża i odbiera jej wszelką werwę i życie, nadając jej postać czegoś bardzo papierowego i bardzo marnego. Trzeba mieć wrodzone poczucie wykwintnej harmonii między formą a treścią, jakie miał choćby Richardson (nie mówiąc już o Goethem), żeby stworzyć w formie listów rzeczy piękne i wdzięczne. Ale gdy ktoś, jak Rousseau, przez tysiąc dwieście stronic bitego druku (!) wlecze, jak znużony pielgrzym swój kij podró żny, akcję całą i przerywa ją dygresjami filozoficznymi (co prawda głębokimi i pięknie napisanymi), opisami przyrody, historią, geografią i czym tam jeszcze kto chce -- to niech mi darują wszyscy przyjaciele Rousseau'a, ale uważam tego za prawdziwego męczennika dla idei,

kto jak ja przebrnął przez tę gęstwinię. Nie darowano by mu, gdyby on, filozof, piorunujący na romanse, pisał je sam. Ale gdy on pisał romans dydaktyczny, każdy mówił: Owszem, owszem. A przecież ten dydaktyczny pierwiastek -- to całe nieszczęście *Nowej Heloizy*; bo przecież nawet w chwili śmierci Julia musi bardzo wiele mówić o cnocie, przyjaźni, wspomnieniach itd., sądzi nawet, że ze szkodą dla siebie i dla swego dogorywającego zdrowia. Streszczanie jego własnej nauki, plejada komunałów o cnotach i przywarach, dalej nieraz nadto konwencjonalne zachwywanie się przyrodą zapełniają połowę książki. Dlatego też, jeśliby zwolennicy geneńskiego myśliciela pragnęli *Nowej Heloizie* przysporzyć czytelników, niechaj wydadzą ją w skróceniu; niechaj listy, które nieraz dochodzą rozmiarów rozpraw doktorskich, obetną, a wtedy i korzyść będzie większa, nie mówiąc już o zainteresowaniu. To były wady, lecz są i zalety. Oto *Nowa Heloiza* wpadła w świat ówczesny na kształt bomby, w literaturze uczyniła spustoszenie i przewrót, opinię publiczną porwała za sobą, a dokoła ustawiła szereg wielbicieli oraz zdumionych romansopisarzy, którzy z powodu nowego zjawiska zapomnieli języka w gębie. I teraz pytanie, cóż takiego mogło ową powieść, w której my tyle wad odkryliśmy, postawić na piedestale pierwszeństwa? -- Uczucie. Tak jest, to wystarcza. Przypomnijmy sobie, cośmy na samym wstępie zaznaczyli, że cała ówczesna literatura była jakaś niby nieżywa, jakaś sztuczna, jak lokaj w liberii, wymuskany, etykietalny, bojący się choćby jednym żywszym ruchem kogokolwiek obrazić. O uczuciu mowy być nie mogło, bo ono by zmyliło wprawna rękę autora i zamiast ładnego bujnego okresu wypadłyby jakieś wykrzykniki, szeregi kropek itd. Ale ludziom było dość tego. Czytali, chwalili, choć czuli, że mdle i że im od tego aż gorzko w ustach. A teraz nagle dostawał świat osiemnastego wieku powieść tchnącą uczuciem, werwą, życiem. Miłość po raz pierwszy przedstawiona ze strony psychicznej, nie zaś jak dotąd ze strony dobrego tonu i etykiety. Dusza ludzka odsłoniła swe tajemnice, przyroda nie była już marną, bo pomijaną pogardliwie dekoracją, ale czymś, co może do siebie przykuć. Po raz pierwszy usłyszano, że w naturze można się zakochać, że bory, lasy, łąki, jeziora można wspomnieniami ożywić i dla ich piękności, i dla owych pamiątek przywiązywać do nich duszę. To było nie tylko nowe, ale zarazem śliczne i porywające. Nic to, że na tysiąc dwustu pisane stronicach, że listy wyglądają jak szkice literackie: czego nie chciał się czytać, opuszczano, a tylko wyobraźnię podsycano owymi istotnie pięknymi, pełnymi poetycznego wdzięku scenami, których przecież -- przyznać musimy -- *Nowej Heloizie* nie braknie. Poezja, nawet miejscami wzniosła, unosi się na skrzydłach geniuszu nad całą powieścią i nawet tam, gdzie sytuację można uważać za zgubioną dla artyzmu przez jakiś nie w porę detalicznie omawiany przedmiot, ratuje ją owa poezja kilkoma słowami lub jednym wdzięcznym obrazem. Stąd też doczekała się

Nowa Heloiza mnogich wydań, a za granicą, podobnie jak w kraju ojczystym, wywarła ogromne wrażenie. Tłumaczona na rozliczne języki rozchodziła się wszędzie, wszędzie ją czytano, każdy że tak powiem student czytał ją w szkole pod ławką i zachwycał się pięknnością Julii. Wpływ miała ogromny, bo nie tylko we Francji, ale w całej Europie poczęła literatura się ruszać jak długo więziony niewolnik i z wolna zrywać kajdany pseudoklasycyzmu. Jak zmora dotąd unosiły się nad piersiami poetów i pisarzy twarde prawa estetyki i literackiej etykiety; czuwały one, aby, broń Boże, któryś z nich nie dał się unieść natchnieniu i nie zburzył pracy tyłu zasłużonych znawców poetyki Arystotelesa i Horacego. I w te właśnie zasady ugodziła *Nowa Heloiza*. Uwierzono w nią, przyjęto ją z zapalem niby mesjasza nowego prądu, nowego światła, którego oni, brnący w ciemności zasad pseudoklasycyzmu, nie znali. Z chwilą pojawienia się *Nowej Heloizy*, rozpoczęła się nowa epoka w literaturze ogólnoeuropejskiej.

Rousseau nie spieszył się z wydaniem *Nowej Heloizy* i trzymał ją długo w biurku, ustawicznie poprawiając. Podczas tego nadarzyła mu się sposobność do napisania czegoś nowego. Oto d'Alembert radził Genewie, by wybudowała w mieście teatr. Gdy się Rousseau o tym dowiedział, chwycił za pióro i napisał pełen zapалу i uniesienia *List do d'Alemberta o widowiskach*, w którym wygłasza tezę, że takie miasto jak Genewa, póki jeszcze nie ma teatru, jest szczęśliwe, bo zbliżone bardziej do stanu natury niż Paryż. Dla tego ostatniego nawet by sam doradzał jak najczęstsze widowiska, bo tu już zło się zagnieżdżyło, ale w Genewie na wespół wiejskiej to zgroza zakładać coś tak niemoralnego.

Na ten czas również przypada napisanie jego dwóch najważniejszych dzieł: *Umowy społecznej* i *Emila*. Pierwsze z nich dzieło polityczno-społecznej treści, drugie pedagogicznej.

Contrat social -- *Umowa społeczna* jest, w porządku chronologicznym idąc, wcześniejsza, dlatego też nią się wprawdzie zajmujemy.

Przygotowanie do tego dzieła mniej więcej stosownie Rousseau posiadał, albowiem od czasu swego pobytu na weneckich lagunach zajmował się gorliwie literaturą polityczną, ekonomiczną i historyczną. Niedawno temu -- jak już wspomniałem -- na prośbę Diderota napisał do Encyklopedii obszerny artykuł pt. *Economie politique*, w którym wyłożył podstawy swych zapatrywań na ten przedmiot. Od dawna już przygotowywał Rousseau wielkie dzieło, opisujące różnorodne ustroje społeczne; pracę tę jednak zarzucił i wydał tylko *Contrat social*, będący zaledwie drobną cząstką nie skończonego nigdy i zaginionego fragmentu większego studium.

„Każdy człowiek rodzi się wolny, a mimo to zawsze i wszędzie jest w okowach” -- brzmią pierwsze słowa *Umowy społecznej*. Już z tego łatwo wywnioskować, jaka będzie tendencja całej rozprawy i co w niej autor będzie apoteozował. I rzeczywiście: tęsknota za wolnością i jej

pochwała są prawie drugą treścią książki. We wstępie, zawierającym kilka zdań tego rodzaju, co wyżej przytoczone, zabiera się Rousseau do rozstrzygnięcia kwestii powstania państwa w jego dzisiejszej postaci. Po rozumowaniach, niejednokrotnie długich i przykładami obciążonych, przychodzi do następujących rezultatów: państwo nie może się opierać na prawie ojca rodziny, albowiem jemu podlegają jedynie niemowlęta i wyrostki; nie może tworzyć podstaw państwowych prawo silniejszego, bo ono właściwie nie jest prawem, ale gwałtem, ani też prawo wojenne, ponieważ trwa ono dopóty, dopóki trwa wojna. Wobec tego wynika z owych rozumowań, że dzisiejsze państwo nie ma za sobą żadnego prawa, ponieważ zostało założone przez ludzi, którzy na to swą władzę przelali na jednego zwierzchnika, aby tym snadniej obronić się przed gwałtem sąsiadów. To było w czasach bardzo odległych, a i wtedy założyciele państwa, wybierając dla siebie „władcę” -- nie dawali mu jakiejś nieograniczonej władzy ani też na rzecz jego swej się nie zrzekli wolności, tylko samowolę swoją ukracać dozwolali, nie tracąc przez to bynajmniej prawa do władzy i do wolnego rozporządzania sobą i swym mieniem. Wszystkim rządzi wola narodu (*volonté générale*), która ani podzielić się nie może, ani też nikt jej dla siebie nie może zabrać, albowiem wszelkie uchwały, kontrakty lub umowy zawierane z wolą wszystkich w danym czasie żyjących jednostek (*volonté de tous*) nie mogą obowiązywać dalszych pokoleń, nic o tym nie wiedzących, czyli nie mogą krępować „woli narodu”, która tylko razem z całym ludem zginąć może, więc też i aż do śmierci narodu przy nim zostaje wszelka suwerenna władza i każdy król, mieniący się wszechwładnym panem „życia i śmierci” -- jest uzurpatorem, którego należy usunąć. Następnie rozbiera on pojedyncze formy rządu i dochodzi do przekonania, że najlepsza jest demokratyczna, ale ta wtedy mógłaby mieć zastosowanie, gdyby na ziemi mieszkali bogowie, dla ludzi jest ona nie już niebezpieczną, ale wprost zabójczą. Dalej dowodzi, że każdy naród winien mieć inną formę rządu, zależnie od warunków, w jakich żyje; ogólnych praw stanowić nikt nie może, byłoby to bowiem po prostu niorzecznością.

„Gdy mówimy o ludziach -- mówimy, jakimi są, gdy o prawach, jakimi być powinny” -- jest dewizą *Umowy społecznej*. Pod tym godłem chciał pisać całe owo obszerne dzieło o społecznych ustrojach, pod tym godłem stworzył *Contrat social*. Podał tu historię prawa, a na podstawie tej rozwinął filozofię prawa, dając początek tej nauce. Toteż *Umowa społeczna* nie ma charakteru jakiejś pracy historycznej: na każdym kroku przez wszystkie cztery księgi rozprawy napotyamy krytykę najrozmaitszych systemów władzy, form rządu i ustrojów społeczno-politycznych. Pomimo jednakże wielkiej powagi uczoności, jaką to dzieło nosi na sobie, ma ono charakter marzycielski i fantazja zastępuje tu miejsce logiki. Wciąż stykamy się z

paradoksami, niemal na jednej stronie zaprzecza temu, co na drugiej twierdzi, niekonsekwencji rwie się wciąż i gmatwa w jakiś fantastyczny wir, z którego więcej wygląda dzieło literackie, pełne zapału i poezji, niż studium, oparte na głębokich i ścisłych badaniach. Toteż stała się *Umowa społeczna* ewangelią najbardziej na brak logiki cierpiących instytucji -- skrajnych partii rewolucji francuskiej. Język cały, zwroty, wyrażenia, myśli chwytało w lot i upajano się nimi; tezy, poglądy objaśniano. Mirabeau komentował je tłumowi, że człowiek jest wolny, nikt jego woli krępować nie śmie; władza pochodzi od ludu, a lud jest panem nieomylnym; a siła i przemoc, na zasadzie których panuje król, z prawem nie miały nigdy nic wspólnego: od prawa są dalekie. Gdy tłumy słuchały tych słów przy blaskach pochodni i roziskrzonych oczu, słychać było zgrzyt zębów, zaciskające się pięści chciały opaść jak najprędzej na głowy tych, co potępiali te wspaniałe nauki. Gdyby nie *Umowa społeczna*, kto wie, czy i jaka byłaby rewolucja.

Przystępujemy do *Emila*.

Jest to romans, ale akcja jego wlecz się przez tysiąc stron niezwykle leniwo i tak często znika nam z oczu bohater, że chcąc zapamiętać treść, trzeba zapisywać sobie każdy szczegół pojawiający się wśród chaosu refleksji, dowodów, przykładów i wniosków, w chaosie całego aparatu źle uporządkowanej, pisanej bez dyspozycji rozprawy o wychowaniu. W pierwszej księdze *Emila* podaje Rousseau ogólne uwagi o dzieciach, wychowaniu, nauczycielu czy wychowawcy, a wreszcie zamieszcza wzmiankę o Emilu, z której się dowiadujemy, że ta zmyślona przezeń postać jest synem bogatych rodziców, którzy Jana Jakuba poty prosili, póki nie zgodził się ich dziecko wziąć na edukację. Ponieważ był dawnym przyjacielem tej rodziny, więc o zapłacie mowy być nie mogło, tylko zażądał tyle pieniędzy, ile go będą kosztować liczne, potrzebne na wychowanie wydatki. Wśród wesołych zabaw na wsi, na łonie przyrody, pośród dziecięcych igraszek, których mu nikt nie broni ani nie ogranicza, spędza Emil szczęśliwie pierwsze lata swego życia. Nie powijano go, gdy był mały, nie krępowano nigdy jego ruchów, więc też i woli nikt się krępować nie waży. Do pracy nikt go nie zmusza, najwyżej w mądrej rozmowie ktoś z otoczenia albo i sam Rousseau poucza go o potrzebie rzemiosła nauki. Ale to bardzo rzadko. Pisać uczą go, aż gdy sam przychodzi do przekonania, że jest to rzecz bardzo pożyteczna, choćby z tego względu, że można przeczytać list doń adresowany i nie trzeba z tym iść do innych, tak zawsze zajętych, a zarazem tak niegrzecznych ludzi. Bo też nieraz otrzymuje listy zapraszające go to na podwieczorek, to na jakąś zabawę -- biegnie z takim pismem od jednego do drugiego: prosi i błaga, by mu przeczytano, lecz nikt go nie słucha, bo nikt nie ma czasu. Dopiero nazajutrz, kiedy już na podwieczorek wczorajszy za późno,

odczytuje mu ktoś kartkę. Dwunasty rok życia przynosi ze sobą wiele dla Emila nowości, bo odtąd poczyną mu Rousseau opowiadać pewne rzeczy z astronomii, uczy go trochę historii i z innych nauk coś niecoś dorzuca, ale książek prócz Robinsona Kruzoe żadnych mu do rąk nie daje. W piętnastym dopiero roku życia sprowadza wychowawca dla Emila swego znajomego, wikarego sabaudzkiego, który go poucza o Bogu i wszechświecie, pragnąc go natchnąć miłością dla Stwórcy, tą miłością, która materialistycznych nie dopuszcza zasad, lecz także (tu jest heretycki błąd Rousseau'a przeciw katolickiej wierze) nie każe mu słuchać dogmatów kościoła. Osiemnasty rok życia przynosi ze sobą nowe chęci, nowe uczucia, tak niebezpieczne dla młodych ludzi. By uchronić Emila od żądz i namiętności, rozmawia z nim Jan Jakub często o kobietach i wśród takiej konwersacji kreślą wspólnie obraz idealnej niewiasty, która by była najlepszą towarzyszką życia młodego wychowanka. Aby tym żywiej można było prowadzić rozmowy o tym ideale Emila, nadano mu imię Zofii. Rousseau jednak pewnego dnia bierze swego pupila w podróż, by mu znaleźć żonę do owej Zofii przynajmniej podobną, bo co innego marzenie, a zaś co innego rzeczywistość. Jadą do Paryża, gdzie Emila wprowadza jego mentor w towarzystwo wykwiłtne, które napelnia jednak dobrze wychowanego młodzieńca wstrętem i odrazą. Tęskni za swą cichą, swobodną wioszczyną, gdzie dzieckiem będąc hasał na kijku; bo i teraz by siadł tam gdzieś w lesie i dumał o tej pogodnej Zofii, którą z marzeń swych wysnuł. Zawsze bowiem myślał, że z wioski weźmie żonę, i nigdy by nie chciał po raz drugi spojrzeć na ten świat wielki, a tak w rzeczywistość ci niski, płaski i poziomy. Wyjeżdżają. Po drodze napadła ich burza z ulewą, która przerwała im drogę i zmusiła w pobliskim dworku szukać schronienia. Dom należał do rodziny bardzo zacnej, która ich z prawdziwą przyjęła serdecznością. Ojciec tej rodziny -- człowiek niezwykle szlachetny, wykształcony, trochę bogaty; żona jego -- wierna i kochająca małżonka, a córka ich Zofia -- wzór kobiet, zupełnie odpowiadający owemu ideałowi Emila. To całe spotkanie było z dawna uplanowane. Mentor Emila był zażyłym przyjacielem tej rodziny i wraz z ojcem Zofii ułożyli podstęp, który miał zbliżyć do siebie dwoje młodych serc. Emil i Zofia pokochali się też prawie na pierwsze wejrzenie, bo ciągnęła ich do siebie wspólność uczuć i myśli, wypiastowanych na łonie cichej wioski. Ślub wiąże ich na całe życie, i teraz Emil własne zakłada ognisko. Jakiś czas jeszcze Rousseau opiekuje się młodym małżeństwem, ale wreszcie pewnego dnia w ten sposób wyzwala swego wychowanka: „Kochany Emilu -- mówi doń -- człowiek potrzebuje całe życie rady i przewodnictwa. Ja tę powinność wypełniałem względem ciebie aż do tej chwili -- tak dobrze, jak tylko mogłem najlepiej. Teraz kończy się moja długoletnia praca, a czyjaś inna się zaczyna. W dniu dzisiejszym, gdy składam mą władzę, oddaję ją nowemu twemu przewodnikowi.” Nie tłumaczy

się jaśniej, kto ma być tym nowym przewodnikiem, ale domyślać się należy, że dobra i wierna żona, ognisko domowe, które go od występków ochroni, i samo życie, jakie go straszyć nie powinno, bo doń aż nadto dobrze przygotowany. Romans kończy się sceną, w której uszczęśliwiony Emil przybiega do Jana Jakuba, żeby się z nim radosną podzielić wieścią, że niezadługo ojcem zostanie. Pomnąc na zasługi swego mentora około swego wychowania, prosi go już naprzód, by gdy będzie syn, podjął się jego edukacji.

Oto treść *Emila*. Rozwlekłość powieści aż nadto wystarczająco usprawiedliwia tendencja utworu. Nie chciał tu bowiem Rousseau rozwijać jakiegoś romansu, ciekawego pod względem treści, szybko postępującej akcji lub pełnego wzruszających scen, ale po prostu wziął jakby przykład, jak powinno postępować wychowanie i jakie przynieść wyniki. Dalej, idąc za swą myślą przewodnią: „wróc do przyrody” -- przedstawił w *Emilu* ludzkość w stanie pierwotnym. Bo po napisaniu dwóch rozpraw konkursowych i *Umowy społecznej* było koniecznym i w tej kwestii zabrać głos, albowiem aby ludzkość mogła powrócić do złotego wieku o którym wciąż marzył Rousseau, trzeba ją było odpowiednio wychować. Wskazówki więc podał w swoim *Emilu*.

Niedługo po napisaniu dzieła o wychowaniu rozpoczyna nowy snuć romans, mający być niejako dalszym ciągiem wymienionej powieści. Mianowicie: *Emil i Zofia*, czyli *Samotnicy*, z czego jednak tylko nieduży pozostał urywek, albowiem późniejsze, smutne dlań wypadki, odebrały mu czas i ochotę do dalszej pracy nad owym tematem. Opowiada w tym fragmencie dalsze losy młodego małżeństwa. W kółku rodzinnym, u boku swej żony, przy dwojgu swych dzieciach, pędzi Emil życie szczęśliwe i bez troski. Ale nagle grom pada: ś mierć rodziców Zofii i córki, która była ulubioną szczebiotką w domu. Aby boleść z serca spędzić i rozproszyć smutek, radzi Emil wybrać się do Paryża. I tu, w tym mieście wyrafinowanej kultury, stracił w końcu resztę swego szczęścia. Gdy pewnego dnia głęboki smutek zauważył na obliczu swej żony, zażądał od niej odpowiedzi, wyjaśniającej mu ten objaw. A wtedy ona przyznała się do złamania wiary małżeńskiej. Na wpół obłąkany wypada Emil z domu, pędzi po ulicach, nawet w przystępie szału rani się, lecz potem powraca, gdzie stał a jego kamienica, żegna się z nią, żegna swe szczęście rodzinne i idzie na wieś. We wsi u majstra stolarskiego zgodził się do roboty (bo rzemiosło to posiadał od swego wychowawcy w latach dzieciństwa) i teraz staje mu się ona osłodą w cierpieniu. Miłość jednak do Zofii nie zmniejszyła się w jego sercu ani trochę; ciągnie go coś ku niej, lecz wśród okropnych walk wewnętrznych pokonywa się i zostaje na miejscu. Atoli nowe myśli nie dają mu spokoju: jego syn został u matki i będzie musiał cierpieć wiele od ojczyzna, kochającego tylko swe dziecko. Postanawia więc za wszelką cenę syna odebrać.

Tymczasem do owej wioski przychodzi jakaś nikomu nie znana niewiasta, za rękę chłopca prowadząc, i idzie do warsztatu, gdzie pracuje Emil. Przez szybę okna widzi go przy robocie i gładząc złote włosy chłopczyka, mówi doń: „Nie, synu, on ni gdy ci twej nie odbierze matki; chodźmy, tu już nie mamy nic do roboty.” Była to Zofia, która zaraz potem szybko odeszła. Emil dowiaduje się o tym wszystkim od żony majstra i widzi teraz jasno, że dziecka jej odebrać nie może, boby tym tylko swą słabość okazał. Nie chcąc się poddać takiej niestałości charakteru opuszcza wioskę bez wszelkich środków do życia. Kraj za krajem przechodzi, morza przepływa i brnie przez piaski pustyni. Kiedy się znajdował na statku wiozącym go z Marsylii do Neapolu, dostaje się wraz z całą załogą w ręce korsarzy, którzy go odwożą do Algieru. W niewoli zupełnie nie czuje się nieszczęśliwym. Dopiero gdy widzi niewolę dwóch maltańskich rycerzy, którzy nie mogą się z losem pogodzić, knuje spisek pomiędzy niewolnikami. Przedtem atoli przedstawia właścicielowi niewolników całą sprawę, donosząc mu, jak się jego dozorca z nimi obchodzi. Właściciel, który o tym wszystkim nic nie wiedział, napędza dotychczasowego dozorcę, a na jego miejsce ustanawia Emila. Dej jednakowoż, który się o całym zdarzeniu dowiedział, zapragnął mieć u siebie Emila, czując dlań szczerą sympatię. Emil idzie do swego nowego pana, i tu się fragment urywa. Z pewnym zdziwieniem czytamy powyższy romans, albowiem przywykliśmy widzieć w Emilu i Zofii istoty jakby dla siebie i dla wzajemnego szczęścia stworzone. Tymczasem dowiadujemy się z kart tego fragmentu, że małżonkowi swemu sprzeniewierzyła się... ta czysta Zofia. I cóż o tym sądzić? Najprawdopodobniej należy dopatrzyć się tu nowej tendencji: chciał tu autor opisem i przykładem odmalować brudy wielkiego miasta. Tutaj zepsucie jest tak straszliwe, że osiąść musi sadzą występku nawet na tak nieskalanej duszy, jaką posiadała Zofia. Ale tendencja ta widocznie autorowi nie wystarczyła i nie mogąc rozsunąć całej tkaniny myśli przewodnich, jak to lubił, porzucił pisanie romansu, który i tak mu się nie kleił. Naśladował tu różnych pisarzy, a szczególnie Defoe, odpisując prawie ustępy z jego nieśmiertelnego Robinsona, w miejscu gdzie kreśli schwywanie do niewoli Emila przez mahometańskich korsarzy, odwiezienie go do Algieru, a dalej spokojne poddanie się losowi i sympatię jego panów dla niego.

Emil i Umowa społeczna wychodzą prawie jednocześnie; ten pierwszy nieco później, bo aż na wiosnę roku 1762. Początkowo obie książki nie zrobiły hałasu, ale w miarę jak rozczytywano się w nich -- jedni się gorszyli, drudzy wydawali głosy podziwu i entuzjazmu. Wszędzie przytaczano jako probierz wartości Emila fakt, że niemiecki filozof Emmanuel Kant, największy może i najpunktualniejszy pedant, jaki kiedykolwiek istniał na świecie -- zaczytany w *Emilu* zapomniał wyjść na spacer! Z dniem każdym dzieło coraz bardziej stawało się

głośnym, a do króla i do parlamentu zanoszono skargi na *Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego*, jako na stek błędów heretyckich, które mogły w tych czasach jeszcze parę zwichnąć charakterów, a innym wiarę odebrać, już i tak bardzo problematyczną. Parlament usłuchał. W dniu 9 czerwca roku 1762 spaliłkat *Emila* na paryskim rynku, a zarazem wyszedł rozkaz aresztowania jego autora. Rousseau, uprzedzony przez marszałka Luksemburga, w nocy ze snu wyrwany, opuścił Montmorency, uciekając w powozie co koń wyskoczy do ojczystej Szwajcarii.

Gdy już przejechał granicę i na rodzinnej stanął ziemi, kazał zatrzymać konie, a sam wysiadłszy z karety, ze łzami w oczach rzucił się w proch i począł go całować. Tak witał Rousseau Szwajcarię, a jakże znów inaczej witała go ona. Tu właśnie, w Szwajcarii, w ukochanej Genewie, dnia 19 czerwca spalono Umowę społeczną i *Emila*, a autora tych dzieł nakazano aresztować, skoroby tylko przekroczył bramy miasta. Nie mogąc więc tam pojechać, pośpieszył do Neufchatel, pozostającego pod opieką Fryderyka II, gdzie znalazł (a szczególnie w Motiers, przyległej do miasta wsi) spokój, i wiódł tu czas jakiś żywot cichy, mając przy sobie życzliwego mu marszałka, lorda Keitha. Tutaj, w tej wiosce, uroczym położonej, cichej i miłej -- znów z ukochaną przebywał naturą, znów ona poczęła się doń wdzięczyci każdym kwiatkiem przy drodze, każdą trawką na murawie. Dotąd patrzył na przyrodę jak na coś pełnego piękna i czaru, teraz zapragnął ją rozumieć, chciał poznać istotę szaty ziemskiej, istotę ziół i kwiatów, i począł studiować botanikę. Po kraju wędrował z miejsca na miejsce, zbierał nowe okazy, badał je i ostatecznie -- nie mając żadnego przygotowania do tej nauki -- nie rozumiał nic, jak i poprzednio.

Z pism jego, pochodzących z tego czasu, godne zanotowania są *List do Krzysztofa Beaumont*, *arcybiskupa Paryża* i *Listy z gór* (*Lettres de la montagne*).

Pierwszy z tych listów, list do arcybiskupa, był odpowiedzią na jego krytykę *Emila*. Mając po temu sposobność niezwykle jasno wypowiada swoje zapatrywania pedagogiczne i religijne. Z kart tego pisma przebija nieraz jakiś żal do ludzi, jakaś dziecięca, naiwna obrona sówami: „dajcie mi pokój”, to znów rzuca ton rzewny i bije gromami, druzgoce, chbszcze biczem szyderstwa. To ostatecznie Rousseaua stawia jeszcze niżej w jego heretyckich przeciw katolicyzmowi błędach, bo w swym liście wyjawil takie poglądy, jakie go tylko gorszemu poddały prześladowaniu, tak że nawet prawa obywatelstwa genewskiego zrzeka się, zrozpaczony nowymi prześladowaniami.

Listy z gór zajmują się przeważnie tylko religią. Ostra krytyka wiary w cuda postawiła go ostatecznie w rzędzie przeklętych przez kościół heretyków. Wystąpiono teraz w samym nawet

Neufchatel przeciw niemu z kazaniami. Tłum się wzburzył, poczęto się zbierać pod jego domem i -- być może -- gdyby chwil kilka pozostał wtedy by zakończył swe życie. Umyka na precudnie na Jeziorze Bielskim położoną wyspę St. Pierre, gdzie żyje zupełnie na łonie natury. Dookoła niego cisza głucha, tak głucha, że nocną porą słychać bicie dzwonów z kościoła w Neufchatel i zegara ratuszowego. Las szumi, gę dźba jeziora dzwoni miło w uszach, a dokoła spokój i cisza...

Wtem przychodzą wysłańcy berneńskiego rządu (albowiem do tego kantonu ta wyspa należała) i wypędzają go stamtąd. Dawid Hume, słynny i wielki filozof angielski, który był serdecznym przyjacielem Jana Jakuba, bierze go z sobą do Anglii, i tam we wsi Wootton przy Davenport znów spędza Rousseau mile kilka miesięcy. Ale na nieszczęście tu się poczyna jego choroba, powiedzmy: obłąkanie. Dostaje tu manii prześladowczej i mniema, że ze wszech stron jakieś mu grożą niebezpieczeństwa i że ktoś nań czyha. W swej chorobliwej wyobraźni widzi cały spisek, który zwie „spiskiem holbachistów” -- ten spisek godzi na jego życie i dzieła. Ktoś go schwytać zamierza. Więc w Hume'ie, jego szczerym przyjacielem, widzi wroga i co prę dzej opuszcza Anglię. W nocy spać mu nie dają myśli, że teraz przyjdą „oni” i zabiją go lub uprowadzą. Ale nie tylko na życie jego dybią, także na jego cześć i dobrą sławę i skoroby tylko oczy zamknął, posypią się z wszystkich stron oszczerstwa, którym nie będzie mógł ani chciał nikt zaprzeczyć. Wtedy to wpada na myśl napisania swej własnej apologii, ale wkrótce pomysł zmienia i zaczyna pisać Wyznania, autobiografię, w której chce przedstawić wszystkie swoje błędy i niczego nie ukryć, aby tym większą zyskać wiarę co, do innych zwierzeń. W roku 1770 znajdujemy go w Paryżu, gdzie w miarę jak pisze owe *Wyznania*, odczytuje je w bardzo szerokich kołach.

Dzieło to, które wyszło dopiero po jego śmierci (aż w roku 1782), jest najciekawszym może dziełem, jakie wszechświatowa literatura posiada. Ze sławnych autobiografii: Celliniego, Hobbesa, Goethego i innych, ta nie tylko największa rozmiarami, ale też najwspanialej napisana, najszczersza i dlatego bezprzykładna. Jakie były tylko najczarniejsze strony jego duszy -- wyjawiał na tych kartach; w dwunastu księgach, na 1300 stronicach druku, przedstawił całe swe życie, nie pomijając choćby drobnych szczegółów. Kradł, oddawał się rozpuście, oczerniał drugich, oszukiwał, oddawał swe dzieci do domu podrzutekó w -- to wszystko światu i potomnym opowiedział, niczego nie zataił. Stąd miał prawo o sobie powiedzieć: „Od znanych mi ludzi tym się odróżniam, że ja, popełniając błędy, zawsze je sobie wyrzucam.” I tak rzeczywiście było. Oddał swe dzieci do domu podrzutekó w -- to tego czynu nigdy sobie nie darował. W Emilu czuć smutek z tego powodu i żal, a w Wyznaniach nie zawahał się sobie w

twarz rzucić całego łotrostwa takiego postępku. Słowem Wyznania, które zarazem można nazwać najniemoralniejszą książką, czyta się z wzrastającym raz po raz zdumieniem: wprost wierzyć się nie chce, by znalazł się człowiek, posiadający odwagę cywilną aż tak dalece do bezczelności posuniętą, żeby się nie wstydził w ten sposób całemu wypowiedać się światu. Dzieło pisane z niezwykłym uczuciem, językiem płynnym i ślicznym, ubranym w poezją owiane obrazy.

Wyżej wspomnieliśmy, że Rousseau za powrotem do Paryża odczytywał nieraz przy licznych zebraniach publiczności rozdziały swoich Wyznań. Ponieważ atoli kompromitowało to nawet na wysokich stanowiskach stojące osoby, więc pani d'Epinaay postarała się, by policja w to wejrzała. Odczyty niedługo potem wzbronione zostały.

W tym czasie na prośbę kilku Polaków pisze *Poglądy na ustrój polityczny Polski*, gdzie atoli umieszcza swoje paradoksalne, marzycielskie rady, bez najmniejszej znajomości stosunków, radzi zatrzymać złotą wolność, a tylko śmiesznie nieznaczące „ulepszenia” podaje co do ubiorów, orderów, odznaczeń. Prześliczne atoli są te ustępy, w których nawoływa Rousseau, by Polacy zachowali swój narodowy charakter, by ojczyznę kochali z całych sił. Od małości powinni -- radzi Rousseau -- rodzice i wychowawcy zwracać uwagę chłopaka na to, by zawsze miał w pamięci, że wielką jest chwałą i wielkim jest szczęściem urodzić się Polakiem i -- co najgłówniejsze, że polski chłopak powinien się starać okazać się w życiu godnym tego szczęścia. Tylko po to powinien zbierać wiadomości o innych krajach i ludach, by z tego poznać, o ile lepszą, o ile wspanialszą i godniejszą miłości jest jego własna ojczyzna. Nawet w ubraniu powinien okazywać się Polakiem, nawet w ten sposób ma się odróżniać od innych. Ale nade wszystko w świecie niech kocha mowę rodzinną, bo też obowiązkiem najpierwszym i najświętszym dla Polaka jest zachowanie swego ojczyznego języka. Albowiem dopóki naród ma tę mowę w ustach, dopóty sam żyje, dopóty postronne narody wstrzymują drapieżną swą rękę.

Oto są rady tego Francuza, który lubo naszej ziemi nie znał i owe marzycielskie rady pisał nie na to, by je wykonać można było, ale widać, jak Polskę szanował, czcił, a nawet, chociaż cudzoziemiec, kochał. W tym czasie również pisze swoje dialogi pod wspólnym tytułem Rousseau sędzią Jana Jakuba oraz Marzenia z przechadzek samotnych. Miejsca w tych ostatnich szczególnie są tak nieraz wspaniałe, że nic podobnego w jego najlepszych nie znajdziemy dziełach.

Uproszony przez markiza de Girardin, przyjechał do Ermenonville, wsi niedaleko Paryża, i tu swe życie zakończył 2 lipca 1778 roku. Błędne i zupełnie nieprawdopodobne wydaje mi się

mniemanie, jakoby Teresa Levasseur go zamordowała. Była to kobieta tak łagodna i tak doń przywiązana, że nigdy by się na ten krok nie odważyła. Atoli wielce zbliżonym do prawdy wydaje mi się podanie o samobójstwie filozofa. W tych czasach rozdrażnienia mogło się bardzo łatwo zdarzyć, że rozgoryczony do świata i ludzi starzec targnął się na swoje życie, w którym tyle wycierpiał.

Charakter

Gdyśmy przedstawili dzieje burzliwego żywota naszego filozofa, przypatrzmy się jego osobowości, a nade wszystko wejrzyjmy w jego duszę i nakreślmy jego podobiznę. Co do jego fizjonomii, to i wedle pozostałych z jego czasów portretów, i z jego własnego rysopisu, zamieszczonych w Wyznaniach, przedstawia nam się Rousseau bardzo korzystnie. „Byłem -- mówi o sobie -- smukłego wzrostu, miałem zgrabne nogi, ładnie zarysowujące się uda, żywe rysy, ładne usta, czarne brwi i włosy, małe, głęboko osadzone oczy, które atoli odbijały ogień w mej krwi płonącej.” Opisuje tu siebie jako szesnastoletniego młodzieńca, a że zmienił się z latami jedynie na korzyść, świadczą o tym portrety. Był to więc człowiek pełen zdrowia, sił, przystojny, więc nic dziwnego, że tyle grzechów nosił na sumieniu.

Ale więcej tym grzechem był winien charakter niż postać. Bo może z przeróżnych charakterów ten do najgorszych należy. Nie trzeba tu rozumieć słowa charakter, tak jak się to dzisiaj rozumie, gdy mówimy „człowiek z charakterem”, bo by w ten sposób Rousseau idealnym był człowiekiem. Był bowiem szczerym przyjacielem, gdy się do kogoś przywiązał. Diderotowi z całą otwartością, ze łzami w oczach rzuca się na szyję, wita go, jak małe dziecko cieszy się z widoku przyjaciela; o zemście na wrogach nigdy nie myślał, nawet potem, gdy prawie zmysły postradał, nie myślał o tym, by urojonym lub prawdziwym wrogom swoim szkodzić: wolał raczej sam sobie życie odebrać. Słowem, miał -- jak się to mówi -- charakter, bo był przy tym ambitny, do króla, gdy mu ten chciał dać pensję, nie poszedł, nie chcąc być od nikogo zależnym.

Jednakże to były nieliczne, a zarazem jedyne zalety jego charakteru. Bezczelność objawiająca się we wszystkich jego czynnościach, natura na wskroś próżniacza, do czego i sam się przyznaje, wytworzyły o wiele gorsze wady i przywary. Gdy czytamy jego Wyznania, przepełnione zwierzeniami o kradzieży, rozpuście wszelkiego rodzaju, oszczerstwie itp., wprost wierzyć się nie chce, aby do tego wszystkiego był zdolny filozof. A jednak to prawda od

początku do końca. Ta właśnie bezczelność charakteru, ta próżniaczość natury były bodźcami do najgorszych występków. Zanim jego leniwa myśl poczęła się zastanawiać nad czynem -- on już był dokonany; do wszystkiego zbliżał się porwany jakimś pierwszym zapałem, bez zastanowienia się nad celem swego działania, nie mówiąc już nad skutkami. Dlatego też z pełną słusnością można go potępić jako człowieka za jego rozpustne życie, za to zwyrodnienie, pod wpływem którego swych pięcioro dzieci oddał do domu podrzutek, można go nawet odsądzić od czci i wiary, ale tylko jako człowieka.

Teraz zaś zbliżamy się do filozofa. Jako myśliciel Rousseau pisał, głosił, wołał na wsze strony równość, braterstwo, wolność, powrót do natury; dalej miłość dla dzieci, moralność, a prócz kilku dziwactw do powyższych prawideł się stosujących, nie robił nic, co by było w harmonii z jego filozofią. Głosił moralność, upadł sam najniżej; wołał do ojców: „Kto nie może dzieci wychować, nie jest wart być ojcem”, a sam oddaje dzieci własne do domu podrzutek; proklamuje równość i nienawiść dla możnych tego świata, a w swych listach do marszałka księcia Luksemburg zdaje się lubować tytułami, które prawie co krok powtarza. I tak dalej, i tak dalej. A więc jako filozof nie spełnił całkowitego swego zadania, bo będąc nauczycielem nie stał się pierwszym uczniem swoich zasad i tym potwierdził to sceptyczne zdanie z cynicznym wygłoszone uśmiechem: „Piękne zasady i sentencje pisze się dla innych, nigdy dla siebie.” Stąd też, jeżeli coś cenić należy u niego, to pewno nie charakter, lecz sam umysł jego dzieła. Jeżeli cokolwiek pozostawił do naśladowania po sobie, to chyba coś niecoś ze swej filozofii.

Filozofia

Mówić o filozofii Rousseau'a nie jest tak łatwo, jak by się komuś zdawać mogło, bo nie mamy do czynienia z myślicielem, który pozostawił po sobie konsekwentnie ułożony system, jakiego trzymał się we wszystkich swych dziełach, i w obronie jego staczał literackie utarczki. Tak się ma rzecz, gdy się mówi o Kancie, Schopenhauerze, Platonie lub Spinozie, ale przy Rousseau'ie napotykamy na wielką trudność; na trudność zebrania jego myśli w jedną organiczną całość, na trudność wybrania -- z chaosu poetyckich uniesień pełnych marzycielstwa ustępów i epizodów, doprowadzających do rozpaczliwych, co chcą jego przedstawić naukę -- nitki na utkanie jego doktryny. Nie można powiedzieć, ażeby to była praca przykra i niewdzięczna, ale do najłatwiejszych nie należy i niejednokrotnie z prawdziwym mozołem brnie się przez gęstwą setek stron na to tylko, aby gdzieś przy końcu książki

napotkać zupełne prawie zaprzeczenie początkowych tez. A takich niejednostajności i sprzeczności całe mnóstwo w dziełach Jana Jakuba! Stąd też takie różnice zapatrywań na ideę filozofii Rousseau'a, a szczególnie na jej wartość. My w niniejszej rozprawie, nie chcąc być jakąś ewangelią w kwestii rozumienia Rousseau'a, podamy kilka uwag nad jego filozofią oraz ocenę jej wartości, wprzód jednakże przedstawimy ogólny jej obraz.

Już pierwszej miałem sposobność przy omawianiu poszczególnych utworów genewskiego myśliciela zaznaczyć, że owiane są przede wszystkim duchem marzycielskim, który jest zarazem główną cechą jego całej nauki. Ale nie tylko on tworzył w tym duchu, bo i cała filozofia francuska, wyjąwszy może niektóre pisma Descartesa, jest na wskroś poetyczna i więcej literacka niż naukowa, niż filozoficzna, we właściwym tego słowa znaczeniu. I Montaigne, i Voltaire, i Diderot, i cały szereg innych -- pisali pięknie, stylem gładkim, literackim, a jedną myśl przeciągali nieraz przez kilka rozdziałów, ubierając ją w różnorodne barwy i odcienie, strojąc obrazami. To odpowiadało francuskiemu duchowi. U nas także łatwiej -- niestety -- o rzeczy piękne niż głębokie i z prawdziwym ujęciem filozoficznym, że tak nazwę -- kantowskim, napisane. Anglicy lub Niemcy nie lubią się bawić w epizody i obrazy -- oni snują myśl za myślą w długich i nużących okresach, a we Francji znów nie mogłyby po prostu istnieć tego rodzaju dzieła, boby ich nikt nie czytał, nie mogąc wysiedzieć ze znużenia.

Z mlekiem matki wyssał już to Rousseau. Jego wszystkie pisma przepojone są marzycielską poezją, a myśli w tysiącznych bujają kształtach, ukryte jakby wśród kwiatów między ustępami pełnymi wdzięku.

Atoli mimo to wszystko z dzieł jego można wysnuć tyle szczegółów, by z nich jak z cegieł mały, bo mały, ale zawsze jego własny, wybudować domek, który nauka zwykła zwać systemem.

Filozofia Jana Jakuba rozpada się na trzy główne części: właściwą doktrynę, socjologię i pedagogię. W tych trzech kierunkach umysł jego pracował najwięcej. Te działy nie zawierają jeszcze wszystkiego, o czym on swoje wypowiadał zdania, ale inne nauki filozoficzne tak mało go nęciły, i tak mało w tym kierunku pracował że byłoby to chybieniem celu niniejszego szkicu, gdybyśmy zapuszczali się w takie szczególiki i chcieli nawet tak drobne przedstawiać fakta.

Właściwa jego doktryna, ów powrót do natury, jest substratem, na którym się wszystko inne opiera. Można zebrać tę jego naukę w następujący mniej więcej sposób:

Teza

Jedynie dobry jest stan natury; społeczeństwo i wszystko jemu pokrewne -- jak najgorsze i nie mogące nigdy przynieść korzyści.

Antyteza

Atoli musimy przystać na życie w społeczeństwie, bo z jego więzów nie można się już teraz uwolnić.

Synteza

Zbierając te dwa pewniki, przekonywamy się, że natura wszystko dobre rodzi, społeczeństwo wszystko złe. Stąd wynika, że kto chce stan społeczny poprawić, niech go zbliża do stanu natury.

Dwie konkursowe rozprawy omawiają kwestię naszej „tezy”, *Umowa społeczna* zajmuje się „antytezą”, „synteza” zaś jest treścią i przedmiotem Emila.

W samym charakterze autora tych poglądów możemy znaleźć wiele wytłumaczenia na pytanie, skąd się one wzięły. Owa bezcelowość charakteru, owa próżniacza natura, o której poprzednio mówiliśmy, były przyczyną, dla jakiej Rousseau chwycił się natychmiast zbawczej myśli: potępić wszystko, co nakazuje czcić kulturę, a zatem naukę i pracę, a wynieść, lubo niejawnie, próżniactwo i beczynność. Niektórzy autorowie twierdzą, że Diderot natchnął Jana Jakuba myślą odpowiedzi negatywnej na pytanie Akademii w Dijon, a ja się na to najzupełniej zgadzam. Diderot lubił absurdy, więc Rousseau'owi szepnął, by dla oryginalności dał całkiem inne rozwiązanie kwestii, niż jakiego by się spodziewać należało. Ten zaś, gdy mu błysnęła nagle także myśl wyśpiewania pochwał na cześć przyrody, którą kochał od dzieciństwa, porwał za pióro i z całym zapalem postawił swą bezmyślną tezę.

Krytyką jego krytyki urządzeń kulturalnych zajmować się nie będziemy, bo na to czasu, miejsca, pióra i druku szkoda, ale ot, tak sobie powiemy, że gdyby autor zechciał być spojrzeć na dzikie ludy i panującą wśród nich moralność, nie twierdziłby, że cywilizacja ujemnie wpływa na obyczaje. Kto zaś z naszych czytelników nie całkiem by wierzył w to moje zapewnienie, niechaj sobie przeczyta bardzo pięknie, uczenie, a zarazem z całą bezstronnością, z całym zamiłowaniem do przedmiotu napisane, znakomite dzieło p. Witolda Schreiber, pt. *Dzieje małżeństwa*, gdzie właśnie autor opisuje niski stopień moralności u tak zwanych ludów

pierwotnych.

My zaś zajmiemy się jedynie zbiciem dowodów Rousseau'a, które on opiera na „faktach” historycznych. Oto rzecz swoją ilustruje przykładem Rzymu i Aten w chwilach ich wysokiej kultury, opisując najzupełniejszy ich moralny upadek i wyciągając z tego wnioski, że cywilizacja gubi w człowieku dobre strony charakteru, siejąc zło i niemoralność. Ma tu na myśli czasy rzymskiego cesarstwa i poperyklesowe Ateny. Lecz na to łatwo odpowiedzieć, bo każdemu, co się choć trochę historią zajmował, wiadomo, że są to stany przemijające, że co jakiś czas pojawia się zhora zepsucia i trapi nieraz wiek cały dane społeczeństwo. Ani to nie jest atoli wynikiem cywilizacji, ani z nią nie ma nic wspólnego. Bo kultura zawsze wyplenia wszystko zło przez ukazywanie zgubnych jego skutków, przez swe zbawienne dla ducha rozumowanie, a jeżeli pomimo tak wysokiej cywilizacji ulegamy błędowi, zawdzięczyć to należy złym pierwiastkom, jakie od czasów naszego „stanu natury” nam pozostały. Gdy człowiek jeszcze żył dziko i o jakiegokolwiek cywilizacji nie marzył, żył tak, jak dziś żyją Buszmeni lub Bunurongowie, i dopiero całych stuleci potrzeba było, by go wyrwać z toni plugawych obyczajów, których atawistyczne objawy ukazują się i teraz w ucywilizowanych społeczeństwach pod postacią zbrodni i znajdują tu w kulturalnych, na inny cel przeznaczonych urządzeniach niejednokrotnie dla się bodziec i zachętę. To atoli Rousseau wziął za nieszczęśliwe wyniki cywilizacji.

Dość już -- sędzę -- o tej sprawie powiedziałem, i więcej mówić nie warto. Przejdźmy do jego socjologii.

Nauki tej z imienia Jan Jakub nie znał bo wprowadził ją dopiero August Comte (ur. 1798), atoli zagadnienia jej poruszył, łącząc swe poglądy na tę kwestię w *Umowie społecznej* wraz z filozofią prawa.

Ponieważ jednak przy omawianiu *Contrat social* jużemy jego socjologiczne poglądy wyłożyli, tu jedynie krótko raz jeszcze je zbierzemy.

Społeczeństwo -- uczy Rousseau -- jest wykoszlawieniem stanu natury i jego najdokuczliwszym zaprzeczeniem. Jest to wynik zepsucia ludzi; istnienie zaś swoje zawdzięcza społeczeństwo umowie, bo inne prawa nie mogą ani społeczeństwa, ani tym mniej państwa stanowić. Jedynie dobrowolny układ, nie obowiązujący atoli potomnych do niczego -- może być prawnym początkiem państwa.

Aby teraz to *malum necessarium*, którym jest życie społeczne, bodaj w części naprawić, trzeba dobrze rozpatrzyć ustroje polityczne jako też i prawa, jakimi ludzkość ma się rządzić. Ogólnych praw nikt stanowić nie może, bo co dla jednego państwa jest dobrem, zgubą się

stanie dla drugiego. Demokratyczna forma rządu może panować tylko w państwach małych obszarem, i lubo uważa ją Rousseau za najdoskonalszą formę rządu, nie zaleca jej i woli już pod względem bezpieczeństwa zatrzymania całości i utrzymania spokoju w państwie -- monarchię z zastrzeżeniem, by władca nie rościł sobie jakichś praw do wolności obywateli, którą oni w zupełności posiadają i nigdy jej stracić nie mogą.

Te poglądy łączą się z jego właściwą doktryną o bezwzględnie dobrym stanie natury. Przeklętym przezeń jest ten, który pierwszy ustanowił prawo własności, bo on właściwie zapoczątkował nierówność między ludźmi i dał początek kulturze, a co najgorsze -- społeczeństwu. Nie myślał tu, jak widać, Rousseau o tym, że tu nie wymysł ludzki rozstrzyga, do kogo plody ziemi należą, ale praca uprawniająca do posiadania. Czyż próżniak ma spożywać owoce znoej pracy drugiego?...

Co się zaś tyczy społeczeństwa, to Rousseau nie znał tego ani nie odczuł zapewne, co przed nim na całe wieki wielki Arystoteles powiedział, że człowiek jest *dzoon politikon*, zwierzęciem towarzyskim. I tu już *facta loquuntur*. Gdziekolwiek dziś spojrzymy po świecie, jakkolwiek daleko sięgniemy wzrokiem w historię, zawsze spotykamy ludzi tworzących większe lub mniejsze społeczeństwa, nigdy zaś (chyba bardzo niewygodnymi i przykrymi otoczonych warunkami) samotników. Człowiek jest naprzeciw potężnej, a jemu nieprzychylniej natury istotą słabą i jedynie swym rozumem oraz tym właśnie, że w większych żyje społeczeństwach, potrafił się wybić na tak wysokie stanowisko, z którego rządzi światem. Aby zaś mógł się utrzymać przy władzy, musi żyć z ludźmi pomagającymi mu w walce z przyrodą. Ale i na to genewski filozof nie miał czasu zwrócić uwagi i brnął dalej w niekonsekwencjach, z których już w końcu wyjścia nie było. Jeżeli początkowo sam temu, co pisał, nie wierzył, to z czasem tak się z tym żył, iż pomimo woli zaczął swój system uważać za jedyną prawdę. Najgłówniejszą atoli dlań rzeczą było teraz, gdy system swój już do takiej mnogości poglądów doprowadził, zając się tym, cośmy w naszej pomieścili syntezie. Społeczeństwo, uważane przezeń za *malum necessarium*, wymagało poprawy, i to gruntownej, do której ludzkość trzeba było przygotować, i aby spełniły późniejsze pokolenia przezeń poruczoną misję, trzeba je było stosownie wychować. Pisze więc *Emila*.

Poglądy jego na wychowanie dzieci musiały być w organicznym związku z poprzednimi tezami. Oparł je więc, jak i wszystko inne, na założeniu, że wszystko, co od natury pochodzi, jest dobre, a za dewizę swej pracy przyjął pierwsze zdanie Emila: „Wszystko jest dobre, co z rąk Stwórcy wychodzi, a w rękach człowieka wszystko się koszlawi.” Na tej podstawie staje do walki za naturalny rozwój sił fizycznych i umysłowych dziecka. Żąda bezwzględnej dlań

samodzielności. Wychowawca powinien być dla każdego dziecka jeden i tak je znać dobrze, by zgadywał jego myśli o wiele prędzej, zanim je ono wypowie. Do niego należy usuwanie zbyt trudnych przeszkód, nigdy zaś nie występowanie w roli zwierzchności, władzy lub czegoś podobnego. Ma być jedynie doradcą młodego pupila, a nie jego zwierzchnikiem, który groźbą lub karą stara się posłuszeństwo wymóc na dziecku. Ma ono mieć zupełną wolność; do nauk lub innej pracy nigdy nie należy go napędzać -- niech dziecko samo się przekona o ich potrzebie, niechaj zrozumie korzyści z nich płynące i niechaj je wprzód pokocha, zanim zacznij im swój czas i trud poświęcać. W zupełnej nieświadomości pozostawiać dziecko jak najdłużej, o Bogu mówić mu dopiero w szesnastym roku życia, nie dawali mu nic czytać -- niech tylko z naturą przebywa, niech ją odczuwa i rozumie, a już na porządnego wyjdzie” człowieka. Lecz przede wszystkim niech wychowawca pamięta o tym, by z dziecka nie robić jakiegoś specjalisty. Niech ono w każdym położeniu umie się znaleźć, niech w życiu potrafi się ostać przeróżnym przeciwnościom, a nie okazuje niedołęstwa wobec pierwszej lepszej trudności. Niech mu nikt nie mówi o jego zdolnościach, niech go głośno nie chwali, nie pieści, a nade wszystko nie okazuje mu, że jest ono dla kogoś skarbem nieocenionym, dla którego wszystko się poświęca. W końcu pedagog powinien z pominięciem wszystkiego kształcić w dziecku charakter.

Każdy spostrzega, jak tu między najniedorzeczniejszymi wskazówkami błyszczą niby na zamulonym dnie rzeki złota grudki -- myśli złote, rady wprost doskonałe. Zanim atoli przystąpię do omawiania jego pedagogii, zwrócę na chwilę uwagę czytelnika na niekonsekwencję poglądów Jana Jakuba na nierówność stanów w dziedzinie wychowania. W *Emilu* podał rady, których słuchać mogą tylko nieliczni ojcowie, mający miliony w swej kasie, i dlatego, czując to, wygłasza zdanie wprost burzące wszystkie jego poprzednie tak wspaniałe i poetyczne ustępy o nieszczęsnej doli ubogich -- zdanie brzmiące krótko, jak cięcie siekiery: „Ubogi nie potrzebuje wychowania!” Tu spotykamy się z potężnym absurdem, bo Rousseau chce odjąć wychowanie tłumowi, któremu właśnie należy najwięcej sił poświęcać, aby złe instynkta, wciąż tam kiełkujące, tłumić i wypleniać. Ale nie na tym koniec nedorzeczność z nedorzecznością w tym dziele jakby szła w zawody. A nakaz pozostawiania dziecka samemu sobie, jakże bezmyślny, bez zastanowienia, bez rozumienia rzeczywistości wypowiedziany! Rousseau, który miał przed oczyma nie życie, ale swego fikcyjnego Emila, nie zastanowił się nad tym, czy ten lub tamten przepis zgadza się z rzeczywistością, Czy go zastosować można, czy nie; on chciał tak czynić, a w dobry wynik wierzył, bo w swej powieści jedynie mówił o dobrych wynikach swej wychowawczej metody. Atoli dla nas dziecinną nierozwagą wydaje się taki przepis, każący nam

nasze dzieci pozostawiać własnej ich woli. My wiemy, że albowy idiotów z nich doczekać się było można, albo też prawdziwie „dzikich ludzi”. Gdy bowiem dziecku od wczesnych lat nie wpojmy pewnych zasad moralnych, pewnych przykazań, ono będzie w życiu pozbawione najważniejszego przewodnika: głosu sumienia. U niego głos wewnętrzny albo się nigdy nie odezwie, albo czasem tylko i to bardzo cicho, i bardzo nieśmiało. Taki człowiek, któremu od dzieciństwa nie wpajano przykazań miłości cnoty -- zbrodnię po zbrodni spełnić może, nie czując nawet, że postąpił przeciw sprawiedliwości; bo przecież ona dlań nie istnieje, on jej nie zna, nikt mu o niej nigdy nie mówił.

To, co Rousseau znów mówi o pogardzie nauk i o tym, by dziecku książek do rąk nie dawać i nic mu nie mówić o rzeczach wiedzy i sztuki, to każdemu wyda się marnym zakończeniem jego tyrad na temat złego działania kultury. On sam może tak dalece nie był obeznany ze światem i z życiem psychicznym dziecka, by nie wiedział, że ten, kto by do lat szesnastu dziecku nie wspominał o wiedzy lub nauce, zabiłby w nim wszelkie zdolności, wszelkie talenty, skazane przez gnuśnienie na zagładę.

Atoli pośród tych nedorzeczości lśnią -- jak już powiedzieliśmy -- niby pełne kłosa między chwastem i kłosem -- mądre i zbawienne dla pedagogii wszystkich czasów rady. Na czoło się wysuwa jego żądanie, by wychowawca głównie zważał na wyrabianie charakteru u dziecka. Mniejsza z tym, że do tego -- według wskazówek Jana Jakuba -- ma się dochodzić w sposób sztuczny, śmieszny, nieraz aktorski i błazeński, dla nas sama ta myśl tak godna zastosowania ma wielką wartość. U nas jak i wszędzie, jak i zawsze, zwracają wychowawcy na to uwagę, aby dziecku dać naraz wiele wiedzy, wiele nauki, wiele niepotrzebnych nieraz wiadomości, a o sam charakter mało dbają. To, że dziś młodzieńcowi oszukać nauczyciela, powiedzieć nieprawdę lub coś podobnego popełnić przychodzi tak łatwo jak orzech zgryźć, nikogo nie interesuje, i to jest fatalną wadą naszej pedagogii. Jakimi środkami należy kształcić w dzieciach charakter, nie tu czas rozprawiać, ale że jest to rzeczą konieczną i że brak jej brzydką i przepastną stanowi lukę w dzisiejszym, tak skądinąd godnym pochwał wychowaniu, to każdy sam odczuć może i potrafi.

Równie dobrze wielu już ludziom wiadomo, że pieszczoty, nadmierne chwalenie, jeżeli już nie mam powiedzieć, ubóstwianie dzieci, czyli tzw. „babskie wychowanie” już bardzo wielu na złe sprowadziło drogi, a inni znów w pozostali ograniczonymi, lecz” zaufanymi w swe siły i zdolności, których faktycznie nie posiadali. Ogromną szkodę wyrządza się dziecku, skoro się spełnia każde jego życzenie; gdy zapłacze, biegnie się doń na wyścigi, gdy się o nim mówi, to w słowach pełnych „dumy ojcowskiej”. Dziecko tak wychowane musi mieć olbrzymie zdolności, wielką energię, by mimo wady takiej edukacji ukazało się potem w pełni obywatelskich cnót. To

zrozumiał i to przejrzał doskonale, jak niewiele innych kwestii, Rousseau, i jego rady w tym kierunku są bardzo a bardzo pożyteczne i pozwalają zamknąć mi rozdział o jego filozofii uwagą, że zawsze u niego słusność z nedorzecznnością, prawda z fałszem walczyły.

Wpływy

Najsłabszy stosunkowo wpływ na swoją epokę wywarł Rousseau przez swego *Emila*. Gdy *Emilowi* paryski parlament najlepszą zrobił reklamę, skazując go na spalenie ręką kata na rynku wśród niezliczonych mas tłumu, w kilka dni potem *Emil* był rozchwytyany, a idee w nim zawarte poczęły z wolna przenikać w umysły ludzi, poczęto się nad nim zastanawiać i wreszcie wiele dobrych idei znalazło zastosowanie. Tak na przykład ciekawym, może nawet trochę komicznym do zanotowania jest fakt, że młode matki, nieprzywykłe dawniej do karmienia swych dzieci, same je teraz karmiły, a niech Bóg zabroni! -- nie pozwalały powijać chłopaczków. W ten sposób owe mądre rady, tak nieliczne w *Emilu*, poczęły zdobywać sobie prawo obywatelstwa.

Ponieważ jednakże liczne rozprawki *pro et contra* pojawiły się, których treścią była krytyka *Emila* mniej lub więcej trzeźwa, więc i literaci innych krajów poczęli się interesować dziełem francuskiego filozofa. I tak jego rodak, Pestalozzi z Zurychu, przejął się zasadami Jana Jakuba, atoli będąc bardziej z rzeczywistością obeznanym, wydoskonalił system Rousseau w licznych swych dziełach i dał podstawę nowszej pedagogii, która może się poszczycić bardzo pięknymi plonami. Poza tym w odległych nawet od Francji krajach, gdzie tylko *Emil* zaszedł, biegła za nim w ślad jego sława, a z nią urok, jaki na umysły wywierał. Wielu pod jego wpływem zmieniało swą pedagogiczną metodę, wielu atoli, których jedynie Wyznanie wiary, sabaudzkiego wikarego interesowało, odstępowało od wiary lub popadło w indyferentyzm. Złe wyniki z dobrymi, jak złe i dobre tezy, mieszały się zawsze w życiu i w pismach genewskiego myśliciela.

Nowa Heloiza, jak o tym już trochę napomknęliśmy, wywarła na ówczesny ruch literacki wpływ wprost bezprzykładny. Literatura francuska, przepełniona dotąd pseudoklasycznymi, suchymi romansami, w których nigdy uczucie nie śmiało wezbrać zanadto, aby nie popsuć ładnie wypolerowanych zdań, wymuskanych okresów, jakie stanowiły całą ozdobę powieści -- ta literatura wysyłała na wszystkie strony świata wzory, naśladowane przez zaślepionych Niemców, a jeszcze bardziej -- niestety -- zaślepionych Polaków. Mniejsza o to, że sama Francja długo chodziła jakby w jakiejś obroży, która jej ciążyła, i o jakiej zrzuceniu nikt przed

Rousseau'em nie myślał, ale głównie zasługa Jana Jakuba polegała na tym, że resztę świata uwolnił z tych kajdan, nie pozwalających skrzydłom poezji zerwać się do lotu.

Od razu tak w kraju, jak i za granicą rzucono się do naśladowania. Goethe pisze swego *Werthera*, który atoli od swego pierwowzoru aż nadto odbiegł daleko i jest dziełem o wiele doskonalszym od *Heloizy*. W Polsce Mickiewicz wiele przyjął od Rousseau'a, ale te nieznanne piękności, które drzemały w duszy genewczyka i czasem tylko w znikomej bardzo postaci ukazywały się światu -- geniusz naszego mistrza budził do życia i z myśli Rousseau'a nowe myśli tworzył, ale tak, że spoza tęcz poezji ledwo wygląda wytarta szata filozofa. W samej zaś Francji Chateaubriand, właściwy twórca francuskiego romantyzmu, nie tylko pod wpływem idei Rousseau'a jakiś czas w lesie przesiedział, ale -- co najważniejsza -- podjął przez mistrza porzuconą broń i uczuciem począł walczyć przeciw skostniałym dogmatom estetyki Boileau'a, i wreszcie zwyciężył, wiodąc za sobą cały szereg romantyków i ukazując światą Polskę i Niemcy, gdzie już nowy prąd wszechwładnie panował. I to jest najzbawienniejszy ze wszystkich wpływów, jakie dzieła Jana Jakuba wywarły na jego epokę. Zasługa wielka, bo może bez niego o całe kilkadziesiąt lat cofnęłaby się historia literatury wszystkich krajów i może by wiek XIX, tak zaszczytnie lśniący wśród innych stuleci -- mniej jasno świecił.

Zbliżamy się wreszcie do spraw politycznych.

Znaną jest rzeczą, że w XVIII wieku we Francji kotłowało. Skarb państwa zubożały, bez grosza, zadłużony -- stał jak mara straszna przed oczyma króla i ministrów. Ale na ową marę mało zważano, bo nie było czasu: trzeba się było bawić. Zabawy pożerały nieprawdopodobnie wielkie sumy, lud, i tak już biedny, jęczał pod -- jak nigdy dotąd -- gniotącą go śrubą podatkową i z wzrastającą nienawiścią patrzył na złociste karety króla i jego dworu, a mimowolnie ścisnęły mu się pięści, gdy wtedy na własną spojrział poszarpaną sukmanę lub walącą się lepiankę. W tym już czasie, gdyby ktoś rano był podszedł w niedzielę i podsłuchał cicho, lecz żywo rozprawiające gromadki ludzi -- dowiedziałby się, że tam w sercach coś się pali, coś skowycze, coś się rwie... I w ten wir ludzkich namiętności i zawiści, tłumionych bólów i jęków wpadła nagle, jak dobro wróżąca błyskawica -- Umowa społeczna i rozjaśniła umysły. Naraz poczęli chodzić po wsiach i miastach ludzie, którzy pokazywali dzieło filozofa, tłumaczyli chętnym i zawsze skupiali dokoła siebie grupy mieszkańców, w miarę wciąż rosnące. I słuchającym jeszcze groźniej błyskały oczy, jeszcze mocniej zacisnęły się pięści... Nadszedł rok 1789, ze swoimi przewrotami politycznymi, ze swoim zburzeniem Bastylji, a niejednen z tych, co tam szli, by zabijać i wołać o prawa dla ludu, niósł w kieszeni egzemplarz Umowy społecznej, w głowie szum jeszcze po wczorajszej dyspucie, a w sercu miłość dla tego, co chciał

mu dać władzę i potęgę, a nienawiść dla tych, co mu jego wydzierali prawa.

Nie można wszystkich błędów Rewolucji przypisać wpływom dzieł Rousseau'a, lecz wiele, wiele faktów za tym przemawia, że Napoleon miał rację, gdy będąc jeszcze pierwszym konsulem, stanąwszy nad grobem autora Umowy społecznej, rzekł: „Kto wie, czas osądzi, czy nie lepiej by było dla świata, żeby na nim nigdy nie było jego ani mnie.”

Znaczenie w dziejach myśli ludzkiej

Jako adeptowi francuskiej filozofii nie sądzonym jest Rousseau'owi odgrywać ważniejszej roli w dziejach ludzkiej myśli. On tylko coś niecoś rozpoczął, innym podał pomysły, drugich swym przykładem odstraszył i na inne zmusił pójść tory. Tylko to mógł zrobić genewski myśliciel, że na czas jakiś pod jego wpływem najwybitniejsi pozostawali filozofowie, bo nie było takiego w ówczesnej Europie, który by mógł pozostać głuchym i oprzeć się temu przezystemu źródłowi poezji i zapału, jaki płynął i płynie z pism Jana Jakuba, ale o większym wpływie swych idei nie mógł marzyć. W ten sposób nawet i tu traci Rousseau grunt pod nogami: nawet wpływami nie może sobie zdobyć miejsca odpowiedniego w historii filozofii. Dla niej jest Rousseau tak małym i marnym pyłkiem, że się nie tylko gubi wśród tych wielkich gwiazd, ale wprost się zapomina o jego istnieniu, gdy się mówi o historii filozofii. Jego poglądy są pomysłami poetycznymi, dzieła mają wielką wartość literacką, więc jego znaczenie rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy on stanie na gruncie stoją cym pod berłem nie Filozofii, lecz Literatury.

Tutaj istotnie zdobył sobie poważne stanowisko, i my, jego prawdziwą wielkość oceniając, musimy się głównie na tym jego znaczeniu opierać. Wszystkie jego dzieła są świetnie pisane, pełno w nich ustępów, których proza tak wdzięczna, jakby tam ukryte brzmiały rymy, a w *Nowej Heloizie* pierwiastek uczuciowy zerwał wszelkie tamy i miejscami płynie złotym korytem najczystszej natchnienia. Kto pisze francuską historię literatury, poświęca mu ogromny rozdział, wymieniając liczne na tym polu zasługi.

A rozbierając to wszystko i oceniając genewskiego myśliciela, nazwać go tu możemy, jak nazwaliśmy na wstępie -- geniuszem. Nie dorósł on w niczym tym wielkim geniuszom ludzkości ani do kolan, że się tak wyrażę, ale na to miano zasługuje, bo stworzył właściwy prąd romantyczny, stworzył bądź co bądź niedorzeczny, ale zawsze własny system -- a to już wiele. Nie każdy może siłą swej wyobraźni na podany mu przez drugiego temat osnuwać dzieła,

wspaniałe treścią, myślą, najwspanialsze formą. Przy takich pracach poczyna się już praca geniuszy. Atoli pamiętać należy, że do tej świetności, jaką mu niektórzy przypisują -- Rousseau'owi bardzo daleko i że to wcale nie taka gwiazda na horyzoncie ludzkiej kultury, by dokoła siebie rozsiewała jakieś słoneczne blaski. Owszem, to marny pył wobec innych, ale tym silniej błyszczący, im większą posiadał ów genewczyk oryginalność, im więcej dał nam z serca i z przekonania płynących rad i myśli.

Dalekie czasy inną go mierzyły miarą, my ludzie XX wieku, mający za sobą wiek XIX z jego wielkimi ludźmi i wielkimi dziełami, z uśmiechem już patrzeć możemy na dziecinne zamysły genewczyka, bo on dla nas już niczym nie jest innym jak genialnym dzieckiem, które w walce z rzeczywistością umarło, pozostawiając po sobie jakby wątle domki z kart, jakie lada wicherek strąca. Dziś nam już wolno patrzeć nań z góry, ale zarazem oceniać nam należy bezstronnie to, co w nim było prawdziwie wielkiego, i to, co w jego dziełach jest istotnie genialne. On zaczął wielkie rzeczy, miał wielkie zamysły; lecz sił nie miał po temu, by wszystko wykończyć, choćby nawet połowę z tego, więc pomnijmy na słowa poety i wraz z nim teraz szanując Rousseau'a jak wielkość umarłą -- powiedzmy:

In magnis et voluisse sat est.

Lwów 1913.

Chelidon

„Chelidon” nazywała się pierwotnie „Dziewczę z Heraklei” i była pod tym tytułem drukowana w roku 1919, później drukowałem ją jeszcze parę razy w różnych pismach na przestrzeni kilku lat. Napisałem ją zaś w 1916.

Przez długi czas byłem do niej przywiązany, w końcu jednak zupełnie o niej zapomniałem. Należy ona do tych fikcji, które często kuszą pisarzy: uzupełnić na swój sposób jakieś niedomówienie, jakąś aluzję w dziele innego autora. Oczywiście wybiera się zawsze wyższego od siebie, szuka się tego rodzaju tematów wśród arcydzieł. Tak Hauptmann z nikłej wzmianki u Szekspira wysnuł swojego „Hamleta w Norymberdze”, Giraudoux zabawił się postacią Elpenora, którego Homer zbył paru wierszami, Robert Graves zrobił nawet z Nauzykai córkę twórcy „Odysei”. Pełno takich igraszek we wszystkich literaturach.

Nic o tym nie wiedziałem pisząc swoje „Dziewczę”, nie mógłbym nawet wiedzieć, bo wymienione wyżej utwory Hauptmanna, Giraudoux, Gravesa jeszcze nie istniały. Mój temat przyszedł do mnie zwykłą drogą przez uwielbienie dla autora i jego dzieła. Byłem wtedy pod świeżym wrażeniem „Quo vadis”, którego od lat szkolnych nie czytałem. Byłem oczarowany, jakbym tę książkę dopiero teraz poznał! Długo krążyłem wyobraźnią dokoła słów Petroniusza, który mówi: „Ach, Heraklea! Znałem tam jedną dziewczyną z Kolchidy, za którą oddałbym wszystkie rozwódki, nie wyłączając Poppei. Ale to dawne dzieje...” Te właśnie niedomówione dzieje ułożyły się w mojej fantazji jako „Chelidon”.

Książki pozostają zawsze te same, my jednak się zmieniamy: dawno wyszumiał mi z głowy mój młodzieńczy zachwyty. Wiem dziś więcej o epoce Nerona i to jest główną przyczyną, że patrzę chłodniej na dzieło Sienkiewicza. Są też inne przyczyny, związane z moim rozwojem pisarskim. To jednak nie przeszkadza, że na „Dziewczę z Heraklei” patrzę jak na miłą pamiątkę.

I

Prokonsul spojrział na stojącą przed nim dziewczynę.

-- Jak się nazywasz?

Dziewczyna obejrzała się najpierw wokoło, ale widząc, że nikt obok ani za nią nie stoi, rzekła:

-- Chelidon*¹.

-- Któż cię nazwał jaskółką? Czy zawsze tak się nazywałaś?

-- Zdaje się, że nie zawsze. Moja matka wołała mnie inaczej. Moja matka była z Kos. Ale tak nazwał mnie ten, co mnie kochał. Mówił do mnie: Chelidon lub Chelidonium.

-- Kto jest twoim kochankiem?

-- Nie wiem.

-- Jak to, nie znasz swego kochanka?

-- Nie, przecież kochanek to serce, czyjeś, cudze, obce serce. Tak trudno znać własne serce, jakże więc można znać cudze?

-- Wiesz, że nie o serce pytam, ale o imię. Jak się nazywa twój kochanek?

-- Nie wiem.

-- Przecież chyba mówiłaś z nim. Jakże więc mówiłaś do niego?

-- Dzień. Nazywałam go Dzień.

Prokonsul zmarszczył brwi.

-- Rozumiesz, powinnaś rozumieć, że to nic nie znaczy. Odpowiadaj, jak się odpowiada przed sądem.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń i lekko przesunęła palcami po marmurowej przegrodzie, oddzielającej trybunał prokonsula od reszty sali.

-- Ja nie wiem, jak się odpowiada w sądzie. Nigdy tu jeszcze nie byłam.

-- Dobrze. Nie chcesz zdradzić kochanka. Sami go znajdziemy.

-- O! -- zdziwiła się -- a jakże znajdziecie, skoro ja nie wiem, gdzie on jest.

-- Bądź spokojna. Nie twoja sprawa. Jesteś oskarżona o kradzież naszyjnika. Powiedz, jak z tym było?

-- Niewiele już pamiętam. Zabrano mi mój naszyjnik ametystowy i cóż mogę o nim wiedzieć. Jeszcze wczoraj rano miałam go na sobie. Byłam nad morzem przy Skale Córki, byłam naga i tylko naszyjnik włożyłam do kąpielni. Słońce było całe ametystowe.

-- To już wiemy, bo cię tam znalazł strażnik.

-- To strażnik powiedział ci, panie, że słońce było ametystowe? O, nie, panie, on kłamie, on nigdy słońca nie widział.

Cała sala sądowa się śmiała. Prokonsul się niecierpliwił. Przez chwilę czuł w sobie myśl, która wydała mu się niemożliwa: że sam jest śmieszny, okrutnie śmieszny na swym marmurowym fotelu, w todze obszytej purpurą, z liktorami stojącymi w tyle.

-- Chelidon -- odezwał się bardzo łagodnie -- nie mów takich rzeczy. Powiedz po prostu,

kiedy i jak ukradłaś naszyjnik.

-- Skoro ty, panie, mówisz, że ukradłam, to widocznie tak się tu mówi. Ale mnie się zdaje, że ja tylko odebrałam to, co było moje. To właśnie ta tłusta kobieta z ulicy Zegara Słonecznego ukradła mi naszyjnik ametystowy, kiedyś, może bardzo dawno, gdy byłam jeszcze dzieckiem, i potem zapomniałam, a może już później, tak że tego nie zauważyłam. Tak, na pewno tak było, nie myślałam o tym. Aż w ten ostatni wieczór pełni spostrzegłam mój naszyjnik w jej ogrodzie, na stoliku. Księżyc tak się przelewał przez ciemne kamienie, jakby to moja własna dusza chodziła wśród ich kryształków. Wtedy oczywiście zabrałam go ze sobą.

-- A cóżeś ty robiła nocą w cudzym ogrodzie?

-- Nie rozumiem cię, panie. Nocą nie ma cudzych ogrodów. Może za dnia rozchodzą się one po domach, jak ludzie do swych zajęć, ale w nocy? W nocy ogrody nie słuchają ani murów, ani bram, ani zamków. Gdy nie jestem gdzie indziej, jestem u nich.

-- Sama to chodzisz po ogrodach?

-- O nie! Często przychodzą inni, prawie zawsze jest i księżyc, a morze to tylko z daleka nas pozdrawia.

Prokonsul przesunął ręką po czole i poczuł na nim kroplę potu. Wyprostował się w swym krześle i powiedział parę zdań po łacinie. Jeden z żołnierzy wystąpił z szeregu, by wyprowadzić dziewczynę do więzienia.

II

Chelidon przeszła przez sień domu prokonsula. Odźwierny wskazał jej drzwi do atrium.

-- Idź prosto przez wszystkie pokoje aż do perystylu -- i wróć do swej izby.

Dziewczyna stanęła w atrium. Było szerokie i jasne. Przez otwór w pułapie błękitniało niebo. W sadzawce w pośrodku pokoju biła fontanna z otwartego bukłaka, który trzymał śmiejący się satyr. Z przyległego tablinum wyszedł prokonsul. Wziął ją za rękę:

-- Chodź! Nie mogłem się ciebie doczekać w perystylu.

Perystyl był przestronny, otoczony białymi kolumnami, po których bluszcz się czołgał. Ogród kwitł w dobrym cieniu starego, szerokiego cedru. Usiedli na kamiennej ławce. Prokonsul z boku patrzył na przybladłą twarz dziewczyny i na jej białe dłonie o długich palcach, leżące płasko i w bezruchu na równie nieruchomych udach. Chelidon kilka razy odetchnęła głęboko. Oczy podniosła ku górze. Patrząc przed siebie poprzez gałęzie cedru mówiła:

-- Dziękuję ci, panie. Ty chyba nigdy nie byłeś w więzieniu. Bo jeśli byś tam był, jeśli byś przesiedział tam jedną noc i jeden dzień, nie mógłbyś już nikogo więcej posłać do więzienia. Tam się o niczym nie wie. Nie wie się, czy rybacy ściągnęli już sieci, które rozwiesili z wieczora, czy winnice za miastem dojrzewają, czy rzeka płynie i czy gołębie przelatują, gubiąc pióra nad stawem. A jakże bez wiedzy o tych rzeczach żyć można? Sądzę, że więzienie jest śmiercią, a ja tylko szczęśliwą Eurydyką, której udało się ujsć śmierci. Wróciłam, bo ty kochałeś mnie lepiej niż Orfeusz Eurydykę i nie obejrzałeś się ku mnie, gdyś mnie wyprowadzał z ciemności.

-- Skądże ty wiesz, że ja cię kocham?

-- Tak myślę.

-- Ale przecież nie ja ciebie wyprowadziłem.

Chelidon zaśmiała się.

-- Chyba nie powiesz, że wyprowadził mnie strażnik, który sam jest cieniem. Ty, tylko ty i twoje słowa, które przyszło o kilka chwil wcześniej od ciebie.

Z krużganków wyszedł niewolnik. Postawił przed nimi mały trójnóg, na nim był kubek wina, dwie czarki i ciastka. Chelidon dotknęła palcem ciastko.

-- O, widzisz, jest i ciastko, ciastko z miodem dla Cerbera. Rzucę je w krzaki, może jeszcze po nie przyjdzie.

Prokonsul nalał wina i podał czarkę dziewczynie. Wzięła ją z jego rąk, zajrzała w głąb małego srebrnego naczynka.

-- Tak, jak trzeba, czyste, nie zmieszane z wodą. Wstała z ławki i uśmiechając się patrzyła ku niemu.

Nigdy dotychczas nie widział jej oczu. Były jasne. Podniosła czarkę do góry.

-- Witaj mi, ziemio i słońce, witajcie, wszyscy bogowie. Dla was odlewam z tej czary kilka kropel wina nie dotkniętego wodą. Tak postanowiliście sami. Ale dla was, bogowie nieznani, dla was, którzy przyjdziecie, którzy już nadchodzicie, wylewam całe to wino, bo nie znam waszych praw i zwyczajów.

Prokonsul wypił tymczasem swoją czarkę. Dziewczynie nalał drugą.

-- Pij, Chelidon, i powiedz, o jakich ty bogach mówiłaś.

Chelidon piła wino i jadła ciastka. Wypiła jeszcze jedną czarkę. Była wesola i rumiana.

-- Świat jest pełny bogów. Nikt nie wie, ilu ich jest, jak nikt nie policzył wszystkich umarłych. Bogowie rodzą się w każdy dobry dzień, a nie umierają nigdy. Myślę, że ich jest więcej niż ludzi. Teraz, w tej chwili, może przyjść jakiś bóg nowy. Jestem zawsze gotowa go

powitać. Wszystkie drzewa mają gotowe dla mnie wieńce.

Nagle przybliżyła się do niego.

-- Panie, czy ja znów pójdę do więzienia? Prokonsul pochylił jej głowę ku sobie.

-- Nie, Chelidon, tu zostaniesz.

-- Zawsze?

-- Jak długo sama zechcesz.

III

Chelidon wbiegła do perystylu. Białe kolumny poźółkły od zachodniego słońca. Wijący się po nich bluszcz miał listki z brązu. Pod dwoma laurami pulchny. Erosek z marmuru tryskał wodą. Prokonsul wołał za dziewczyną. Gdy pochyliła się, aby zawiązać tasiemkę sandałka, przybiegł i objął ją całą. Odsuwała go lekko, potem coraz silniej, na koniec wysz liźnęła mu się z ramion.

-- Odchodzę już, panie! -- zawołała jakby z daleka, chociaż stała zaledwie o kilka kroków.

-- Dokąd? po co?

-- Odchodzę. Prokonsul zbladł.

Po trzech dniach odchodzisz? Dlaczego? Te sowa rozsuneły przed nią rzeczywistość tak, jakby to były splątane gałazki, które czyjeś ręce mogą odchylić. Zamiast przedwieczornego ogrodu powstał ów z ubiegłej nocy o różach splakanych rosą. Wróciła pamięć tej osobliwej chwili, kiedy ze wszystkich uśpionych przedmiotów dokoła jej piętnastu lat obudził się kochanek. Był na podobieństwo samej nocy: nieobecny i wielki. Powiedziała więc:

-- Bo kocham.

-- Kogo?

-- Nie wiem, panie. Tego nie można tak od razu wiedzieć. Ty jesteś dziwny człowiek, ty wiesz tylko to, co ma swoje imię co twój sekretarz może zapisać na papirusie. Kochasz -- to u ciebie imię, ot, jak Chelidon, i żeby jeszcze było imię ojca albo matki, i imię miasta, skąd się przyszło. Nienawidzisz -- to znów imię. Ale; to wszystko ma już twój sekretarz, ma to schowane w puszcze z brązu. Więc co tobie zostaje?

-- Nic nie rozumiem. Mówisz zagadkami, aby odwrócić prawdę.

-- O, moje drobne ręce nie odwrócą prawdy ani nawet twoje, takie mocne.

-- Powiedz mi przynajmniej, dokąd idziesz. Już wieczór.

-- I cóż... wieczór? Wieczór to dobry, cichy brat nocy. A dokąd idę? Tego jeszcze nie wiem. Drogę mi pokaże mój kochanek. Zaraz, poczekaj... Tę drogę ja już widziałam. Dziś rano. Widziałam ją długą i białą, a nad nią pył złoty. Pewno jakiś wóz przedtem przejechał. Bądź zdrów.

Szła ku furtce ogrodowej. Już się o nią oparła, aby otworzyć, gdy prokonsul znów podbiegł i chwycił ją za ramię:

-- Nigdzie nie pójdziesz. Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

-- O panie, tak nie trzeba. Puść mi rękę, bo mogłabym ból, jaki mi czynią twe palce, pamiętać dłużej od twych uścisków. Bądź zdrów.

Furtkę zamknęła za sobą i widać było, jak wchodzi wolno pomiędzy dwa szare mury, tworzące zaułek.

Działo się to w Bitynii, w ostatnich latach panowania cesarza Klaudiusza lub w początkach Nerona. Nie wiadomo, o którym z prokonsulów tej prowincji jest mowa. Było ich kilku, wśród nich C. Petronius.

„Świat Kobiety” 1928, nr 10.

Wielkanoc w Pompejach

Wczesnym rankiem wybrałem się z Hôtel Suisse do miasta umarłego. Skończyłem przegląd swoich notatek, chciałem sprawdzić niejedno na miejscu, obejrzeć to wszystko, co już tyle razy miałem przed oczyma, a co zawsze z równą badam ciekawością i z równym upodobaniem.

Pocziwy Sebastiano kręcił się przy *ingresso*, spacerując pod cienistymi kasztanami. Uśmiechnął się przyjaźnie na powitanie. Byliśmy dobrymi znajomymi, a nawet przyjaciółmi. Podeszedł jednak do mnie, jakby mi chciał powiedzieć coś innego niż zwykle. Po chwili rzekł: -- Dziś Wielkanoc, panie.

Rozumiem cię, przyjacielu. Chciałbyś mieć chwilę spokoju i wypić więcej wina niż co dzień. Zapomniałem o tym. W Pompejach tak trudno pamiętać o czymś, co nie jest z tego świata grecko--rzymskiego, który tu nas zewsząd otacza. Wpuść mnie zatem i zamknij, a już sobie dam radę.

Na uspokojenie jego obywatelskiego sumienia wsunąłem mu pięciolirówkę.

Szedłem z wolna po wąskich ulicach starożytnego miasta. Najszersze z nich nie przekraczają siedmiu metrów, a są i takie, co nie mają więcej nad dwa i pół. Starożytni lubili takie ciasne zaułki, bo im dawały dużo cienia w lecie. Teraz cienia tu prawie nie ma i zwł aszcza w południe skwar daje się we znaki. Minąłem Forum przechodząc koło świątyni Merkurego i Kurii, koło świątyni Jowisza, zabłąkałem się w uliczce nazwanej dziś Krzywą. Nie zatrzymywałem się nigdzie. Odeszła mnie ochota oglądania tego, co zamierzałem. W wielkanocnym nastroju wałęsałem się szukając jednej rzeczy, która mi nagle stanęła przed oczyma. W na wpół rozwalonej części domu Marka Lukrecjusza, nie opodal od pięknej studni z Sylenem i dwiema hermami, przedstawiającymi Bakchusa z Ariadną, jest część bardzo już zniszczonego malowidła ściennego, w którym artysta opracował motywy z życia Adonisa.

W słoneczny, wielkanocny dzień wiosenny przyszedłem odwiedzić młodego i pięknego boga, którego smutna twarz wychyla się dziś blado ze szerniałego malowidła. Przed wiekami w podobny dzień przynoszono mu w ofierze tzw. „ogródki Adonisa”, wazoniki, w których sadzono kwiaty, zboże, sałatę polną, koperek; szybko kielkujące, wyrastające i więdnące rośliny, podobnie jak u nas na stole ze ś więconym stawia się rzeżuchę. Oto na malowidle obok młoda dziewczyna ze skupionym wyrazem twarzy, z kapturkiem białym na czarnych włosach, z nieskazitelnie białą szyją niesie taki „ogródek” -- symbol prędko rozwijającej się i wcześniej zamierającej wegetacji najpiękniejszej pory roku.

Legenda o Adonisie i jego kult jest jedną z najbardziej wzruszających w tej złotej skarbnicy poezji, jaką jest religia dawnych Hellenów. Postać półboga owiana poezją smutną, melancholijną, pełną szczerych bólów i radosnych uniesień. Z fenickiego Pana, bóstwa płodności, przechodzi on do Grecji jako młodzieniec piękny, pełen życia i smutnych losów. Grecy nie umieli czcić swoich bogów inaczej, jak tylko bawiąc się nimi i dując się ich niezrównaną pięknnością.

Matką Adonisa była Myrrha. Była nad wyraz piękna i dumna ze swej pięknosci. Mówiła, że jej złote włosy są piękniejsze niż włosy Afrodyty. Może w tym było coś prawdy, skoro łagodna bogini tak się uniosła, a dumną ziemiankę przemieniła w drzewo. Myrrha była podówczas brzemienna. Po kilku miesiącach drzewo pękło i z łona jego wyszło dziecko niezwyklej urody. Był to Adonis. Gdy z dziecka wyrósł dorodny młodzieniec, Wenus ujrzała go i zakochała się w nim tak, że nad błękit wód pafijskich były dla niej piękniejsze jego oczy, a rozkosze Olimpu nie mogły jej zastąpić jego pieszczot i pocałunków.

Delikatna, cicha, łagodna bogini zmieniła się pod wpływem tej miłości. Namiętnością Adonisa były łowy. Przywykła do łoża wygodnego bogini spała na mchach leśnych pod chłodem nocy, białe swe stopy kaleczyła o twarde skały, a rozwianą szatę przepasała krótko w pasie jak dziarska łowczyni Diana. Raz jeden nie było jej przy nim. I wówczas na polanę wypadł dzik potworny. Gdy nań Adonis wyrzucił pocisk ze złotym ostrzem, dzik nieszkodliwie zraniony runął na niego i białe ciało kochanka bogini podarł swymi kłami. Przez jasne powietrze jechała Afrodyta na złocistym rydwanie, ciągnionym przez stado białych gołębi. Posłyszała jęk Adonisa i zeskoczyła z rydwanu, a jasne jej stopy ledwo dotykały ziemi. Tylko ślad drogi, po której biegła, znaczył się czerwonymi różami, bo krople jej krwi barwiły białe kwiaty, rosnące wśród trawy.. Kochanek jej skonał na rękę. Aby mieć wieczne wspomnienie tego, który jej tyle szczęścia dawał -- krew jego przemieniła bogini w anemony, co kwitną wczesną wiosną. Opowiadają również, że niepokieszona w swym żalu bogini, jak ongi Isztar babilońska, zeszła do podziemi, by u ponurej Persefony wyprosić powrót Adonisa. I powiadają, że bogini śmierci zezwoliła na to, by Adonis jedną trzecią część roku cieszył się słońcem i blaskiem oczu Afrodyty.

Kult Adonisa, jako boga wiosny, bujnej roślinności, zmartwychwstania życia z grobu zimowego, jest wspólny pod różnymi postaciami wszystkim ludom i pod różnymi nazwami jest czczony ten młodzieniec świeży, piękny, dzielny, ginący w rozkwicie młodości z wielkimi zasobami życia. To jądro mistyczne, jakie się kryje w kulcie i w podaniu, szczególnie nęciło umysły ludzi epoki Cezarów i Heliogabal starał się rozpowszechnić cześć Adonisa i fenickiej

Wenus -- Salambo.

Teokryt w jednej ze swoich boskich sielanek opisuje ś wieto Adonisa, urządzone przez króla egipskiego Ptolemajosa Filadelfa i jego małżonkę: „Na purpurowym łożu spoczywał Adonis, postać osiemnastoletniego młodzieńca w najpiękniejszym rozkwicie młodości, obok którego w ten sam sposób leżała Afrodyta. Tuż koło nich ustawiono lub ułożono płody ziemi wszelkiego rodzaju i ogródki Adonisa, w srebrnych koszyczkach ciasta z mąki, miodu i oliwy, różne zwierzęta, latające i pełzające. Również urządzone zielone chłodniki, obciążone delikatnym koprem, ponad którymi latały Erosy niby młode słowiki z gałązki na gałązkę próbujące pierwszego lotu. Śpiewaczka sławiła Afrodytę, opowiadając, jak jej Hory po długim okresie czasu znad Acherontu sprowadziły Adonisa. Dziś -- tak kończyła pieśniarka -- niech się Afrodyta cieszy Adoniszem. Jutro o świcie kobiety zaniosą go do morza, z rozpuszczonymi włosami, w podartych szatach, odsłaniając swe piersi i ś piewając: «Bądź na nas łaskawy, drogi Adonisz, dziś i w przyszłym roku. Przyjaźnie przyszedłeś i przyjdź znów przyjaźnie, kiedy powrócisz.» A lud zebrany śpiewa: «Bywaj zdrow, drogi Adonisz, i szczęśliwie powracaj.»,

Zdawało mi się, że słyszę jeszcze jakby dalekie echo tych pieś ni, gdy przechodziłem ulicą grobów. Rozumiałem tych ludzi starożytnych, którzy wolni byli od strachu ś mierci, nie widzieli w niej szkaradnego szkieletu, nic odrażającego ani złowieszczonego. Budowali swe groby przy ludnych ulicach i mówili sobie, że ś mierć jest *nulli tristis imago*. Ich dzieci unosiła Jutrzenka do świata cieniów, a dorosłym koił smutki i spokój wieczny zsyłał Tanatos, anioł piękny, choć smutny. Wierzyli, że między ś mierzcią a życiem nie inna jest różnica jak między zimą a wiosną.

Wyszedłem przez Porta Herculensis na pole. Wczoraj był a ulewa z burzą wiosenną i dlatego dzisiaj trawa taka pomięta, jakby po niej niewidzialne a mocne stopy przecwał owały. Trawa się łśni. Ścieżka biegnąca przez pole wydaje się być umytą, a i ten dzban starożytny, którego stąd od wieków nikt nie rusza, jest dziś odświeżnie czysty. Na jego szklanym uchu, w połowie rozbitym, promienie słońca odbijają się w światłach prawie ostrych. Pięc czy sześć wróbli skacze po ścieżce i zagłada mi w oczy z szelmowskim zuchwalstwem, kręci się tuż pod nogami, odskakuje nieco w bok, przewracając się w piasku. Wreszcie całe stadko ucieka ku drzewom, stojącym w oddali. Po wyjściu z tych krętych ulic pompejańskich, spośród ruin rozwalonych domów, spośród czerwonego pyłu cegieł, który tam zewsząd otacza -- czuje się tu świeżość i soczystą woń dnia wiosennego. I tak słodko oddychać wiecznie żywą wiosną na grobie umarłego świata!

„Gazeta Lwowska” 1919, nr 92.

Spod mnisiego kaptura

W mediolańskiej Ambrosiana jest jedna szafa, na którą nawet służący patrzy z lekceważeniem. Śpią tam w pyle i zapomnieniu różne szpargały, których nikt nigdy nie przerzuca, albowiem wszyscy wolą skupiać się dokoła sławnych i cennych rękopisów i palimpsestów.

Wiedziony nie tyle żądzą nowych odkryć, ile ciekawością, rychło upodobałem sobie ów zakątek. Nie spodziewałem się znaleźć tam nic wielkiego, wiedząc, że moja opieszałość nigdy nie zjedna mi uznania w kołach uczonych.

Wziąwszy pierwszy z brzegu rękopis, ładnym, czystym pismem wypełniony, przekonałem się z pierwszych zaraz stronic, że są to luźne notatki, uwagi i spostrzeżenia jakiegoś mnicha z połowy IX wieku. Było to coś w rodzaju raptularza, gdzie stały obok siebie ważniejsze wypadki z jego skromnego żywota, opis ceremonii klasztornych, kłótni przeora z opatem, modlitwy, piękniejsze urywki z wysłuchanych kazań i sentencje zaczerpnięte z lektury.

W miarę czytania notatki mnicha Anonima zajmowały mnie coraz więcej. Okazało się, że mój zakonnik nie tylko jest bardzo czytany, ale i w świecie bywały. Wspominał bowiem często Francję i Niemcy, zachwycił się Kolizeum w Rzymie i zanotował znaną przepowiednię czcigodnego Bedy. Gdy zaś na którejś tam stronicy zaczął się przygotowywać do dłuższej podróży i wspominał przy tym imię ikonoburcy cesarza bizantyńskiego Michała III, odgadłem już, że pojedzie do Grecji.

Jakoż tak się stało. I tu dopiero dziwna znajduje się opowieść. Staram się ją oddać tak, jak ją zapamiętałem, w niczym nie naruszając wzruszającej naiwności i prostoty opowiadania mnicha.

„Gdy byłem w Tesalii, zwiedzając tamtejsze klasztory, pobudowane wśród równin rozległych i pustych zdarzyła mi się rzecz dziwna i ze wszech miar godni uwagi. Oto w jednej osadzie, rozłożonej tuż pod murami klasztoru, który ją bronił od wszelkiej napaści albowiem mnichom tamtejszym nieobcy jest oręż wszelkiego rodzaju i sztuka wojenna -- spotkałem młodego człowieka o bardzo pięknej twarzy i jasnych oczach, który mnie wprawdzie nie umiał powitać imieniem bożym, ale wydał mi się młodzieńcem poczciwym i czystych obyczajów.

Owce pasał na rozległych wygonach i spotykałem go co dzień o świcie, jak z fujarką wypędzał swą trzodę i uśmiechał się do wstającego słońca. Na głos dzwonka kościelnego nie odslaniał głowy, ale widziałem nieraz, jak szeptem poruszały się jego usta, gdy patrzył w niebo. Zapragnąłem zbliżyć się do niego i pouczyć w rzeczach wiary, bo mi się wydawał

nieokrzesanym chłopkiem, chociaż jego mądre oczy wskazywałyby zupełnie co innego.

Zapytałem go, jak go nazywają, a on nie od razu mi odpowiedział, ale chciał wpierw wiedzieć, czy jestem uczonym i czy znam stare księgi. Gdy mu odpowiedziałem, że tak, ledwo na moje nalegania powiedział że się nazywa Apollon, zmieszał się wielce i poczerwieniał. Zdziwiony tym wszystkim, postanowiłem nie badać dalej, ale poczekać, aż się bliżej poznamy, albowiem młodzieniec wydał mi się nieśmiałym i coś ukrywającym przed ludźmi.

Po kilku dniach wiedziałem wszystko, ale wtedy zdumienie moje nie miało granic.

Siedzieliśmy na kamieniu, niedługo przed zachodem słońca, gdy trzoda napasiona pokładła się na trawie, a dokoła był spokój i cisza jak w kościele rzymskim, gdy sam papież odprawia.

Opowiadał długo, a ja ust nie śmiałem otworzyć, tak wszystko było dziwne i do prawdy niepodobne. Przekonałem się wtedy, ile prawdy jest w opowiadaniach starych ludzi, że dawni bogowie żyją i że ich można spotkać czasem w lesie, a czasem między ludźmi. A o tym i w starych ksiązkach zdarza się czytać niejedno.

Młodzieniec opowiadał, że jest bożkiem Apollo zwanym, który w bardzo dawnych czasach był potężny i co dzień z rydwanem w cztery jasne konie zaprzężonym wyjeżdżał na niebo, i twarz miał wtedy jasną jak słońce. Było to aż do czasu, kiedy mu z woli Zeusa wszystko zabrano i na jego koniach harcować zaczął ktoś inny, którego nigdy nie widział i nie zna. Bardzo ciężkie przechodził chwile, aż przyszedł tu, do Tesalii, gdzie już niegdyś pał trzody jednego księcia, ale wówczas było to zupełnie co innego, tak sobie, więcej dla rozrywki, a dziś z musu i dla kawałka chleba. Wszelako kraj mu jest miły i ludzie nie bardzo zmienieni, chociaż innemu kłaniają się bogu, a o dawnych tak zapomnieli, że nie wiedzą, kto on jest, a nawet samego ojca Zeusa nikt by nie poznał, bo co prawda zmienił się bardzo i o kiju żebraczym gdzieś po świecie chodzi.

Łzami się rzewnymi zalewał, gdy to opowiadał, i narzekał, że żyć wiecznie musi i nic nie wie, co się z innymi bogami stało. Wie tylko, że pani Wenus po dawnemu miłością między ludźmi frymarczy i że od jednego przyjeźdnego słyszał, iż w jakiejś górze siedzi, do której młodych rycerzy przywabia. A mówił o tym z goryczą, bo bardzo ją kochał, gdy dawniej między niebianami siedziała taka piękna i powabna.

Już się słońce schowało za górą, którą tam Olimpem zowią, a do której ów młodzieniec boski miał dziwne nabożeństwo, gdy ozwał się z klasztoru dzwon na wieczerzę, a i owce beczaniem do obór się prosiły, gdy wstałem, z łez mokre ocierając oblicze.”

Jeszcze długo w swym raptularzu rozpisywał się mnich o tym dziwnym spotkaniu i na dalszych kartach często do tego zdarzenia powracał i coraz nowe dodawał szczegóły, które --

jak się zdaje -- były już tylko jego własnym wymysłem.

„Gazeta Lwowska” 1919, nr 297.

Ostatni dzień Ślepego Toma

To opowiadanie należy do wczesnego okresu mojej pracy pisarskiej i było drukowane w roku 1920 w lwowskim „Dzienniku Ludowym”. Nie tylko nie włączyłem go do żadnego ze swoich tomów, ale zupełnie o nim zapomniałem. Przypomniała mi go dopiero bibliografia moich drobiazgów, rozproszonych po czasopismach na przestrzeni czterdziestu lat, którą mi niedawno sporządzono. Nie umiem powiedzieć, co nasunęło pomysł tego opowiadania, nie zanosilo się wtedy jeszcze na bomby wodorowe, nikt nie myślał o samobójstwie ludzkości, niebezpieczeństwo spaść mogło na ziemię tylko z kosmosu. A kosmos na nowo i żywo nas wówczas zaprzętał dzięki teorii względności, która objawiła się nam nieoczekiwanie po pierwszej wojnie światowej. I ja się nią bardzo pasjonowałem. Zmieniał się obraz wszechświata i może przejęty tą metamorfozą znalazłem w niej bodziec do swej fantastycznej opowieści. Mogłaby ona być zaliczona do rodzaju science fiction, gdyby ten rodzaj wówczas istniał.

W roku 2100 zaczęto mówić nagle o końcu świata. Było to zjawisko dość uderzające, albowiem od dawna zarzucono ten jałowy i niepokojący temat. Pod koniec wieku XX nawet przekupki miejskie nie myślały o tym, zwłaszcza że rachuby z „ostatnim” papieżem okazały się zawodne. Wierzenia zaś milleniumistyczne, oparte na przesądzie co do fatalnej tysiączki, w tak odległej epoce straciły już kredyt, że zdumienie ludzi poważnych nie miało granic, gdy posłyszeli znów wieść, która żalobnym kirem omraczała dusze współczesnych Karola Wielkiego. Gawędy uliczne i kawiarniane obity się o dzienniki, którym dostarczyły sporo mniej lub więcej dowcipnych felietonów.

Po pewnym jednak czasie prasę zaniepokoiło milczenie astronomów, którzy zwykle w takich razach z uprzedzającą uprzejmością przyjmowali zaproszenie do wypowiedzenia swej opinii na łamach wielkich pism. Teraz zaś wszyscy uparcie milczeli, w klubach i na pytania przedstawicieli dzienników dawali wymijające odpowiedzi i ze źle ukrytym zmieszaniem usiłowali zmienić przedmiot rozmowy.

W istocie sami astronomowie byli w niemałym kłopotcie. Nauka ich z postępem badań straciła tę boską pewność siebie i chociaż wyroki jej dla pospolitych spraw ziemskich zawsze jeszcze posiadały wybitne znaczenie, uczonych nie przekonywały już trafne obliczenia, wobec coraz liczniejszych omyłek. Wiele zaś przemawiało za tym, że rok ten może stać się dla ziemi i

jej mieszkańców krytycznym.

Jedna z komet, która gdzieś się zawieruszyła była w przestworzu, miała według wszelkiego prawdopodobieństwa zjawić się znów na ziemskim widnokręgu, i to bynajmniej nie ku rozweseleniu umysłów lub ku obróceniu rozmów towarzyskich do rzeczy wyższych. Wszystko raczej wskazywało na to, że nastąpi zetknięcie się komety z ziemią, które może sprowadzić coś o wiele gorszego niż ten niezapomniany grad gwiazd spadających, rozsypany przez kometa Bieli 27 listopada roku 1872. Na myśl o gigantycznej katastrofie niejednen z uczonych z tajoną radością i dumą wróżył sobie los Pliniusza Starszego, zapisującego pod lawą i popiołem Wezuwiusza swe ostatnie spostrzeżenia.

Ponieważ każdy z astronomów chciał się ostatecznie upewnić i porównać własne obserwacje z cudzymi, zwołano międzynarodowy kongres astronomów, który się odbył w Brukseli przy niezwykle dla zebrań podobnych licznym współudziale. Nie tylko że wszystkie laboratoria były reprezentowane, ale po prostu nie brakło nikogo, kto imię swoje na polu badań gwiazdziarskich zapisał. Obrady trzymane były w najściślejszej tajemnicy. Kiedy wreszcie podniesiono kwestię, czy należy ogłosić bliskość katastrofy wobec stanowczej jej pewności, powstał z miejsca senior astronomów, staruszek dziewięćdziesięcioletni, i tak przemawiał:

-- Nie powinniśmy wyzyskiwać naszej wiedzy na to, by odbierać ludziom spokój dni ostatnich. Byłoby to bezmyślnym okrucieństwem. Owszem, należy zaprzeczyć kursującym pogłoskom, postępując tak, jak to czynią lekarze u łoża konającego. Niestety, które przyjdzie niespodzianie i zmiecie ludzkość nie pozwalając jej nawet na chwilę świadomości jej cierpienia, przyjdzie niepostrzeżone. Natomiast o ile je zapowiemy na wiele dni naprzód, przysporzymy ludziom zbyt dużej udręki i śmiertelnego strachu.

Słów seniora jednak nie słuchano. Mówiono o obowiązkach społecznych i religijnych. Nie zapomniano o powinnościach naukowych, które zawsze kazały astronomii oświecać przed ludzkością drogę, po której kroczy. Pogląd, aby odsłonić światu całą prawdę, przeważył, albowiem nikt nie chciał odmówić sobie przyjemności, jaką sprawia ogłoszenie sensacyjnych wiadomości. Zanim jednak zdołano zreagować odpowiedni biuletyn, który miał być zwięzły i uroczysty zarazem, katastrofa nastąpiła tejże samej nocy.

Spustoszenia, jakim uległa ziemia, nie dadzą się opisać. Głazy olbrzymiej wielkości przesywały atmosferę, a rozżarzając wskutek tarcia powietrze i same siebie, wywoływały ogniste cyklony. Całe obszary Azji i Afryki ogarnął pożar, który zniszczył wszelkie życie na ich powierzchni. Las Konga spłonął w jednym mgnieniu oka jak pudełko zapalek, pozostawiając kupę popiołów. Morze wyschło, ukazując swe dno pokryte ławicami piasku. Ocean Indyjski

zalał potężną falą wszystkie lądy dokoła. W innym miejscu rozwarł się krater o kilometrowej średnicy i ział ogniem z głębi ziemi. W innych częściach świata wyginęli ludzie i zwierzęta od gazów trujących, którymi przepelniona była atmosfera.

Został tylko mały skrawek lądu, na którym ocalało największe miasto na świecie -- Londyn. Morze oderwało ten szmat ziemi, czyniąc zeń maleńką wyspę na ogromnym pustkowiu wód. Pozbawieni wszelkiej komunikacji z resztą świata, ukryci w piwnicach, londyńscy mieszkańcy marli ze strachu, słysząc straszliwe huki i grzmoty, wśród których rozsypywała się w gruzy wielowiekowa praca cywilizacji ludzkiej. Nie mieli nawet pojęcia, iż są jedną wielką arką Noego, uratowaną niewytłumaczonym zbiegiem okoliczności od powszechnej zagłady.

Gdy się nieco uciszyły żywioły, ludzie zgłodniałi wyszli ze swych kryjówek. Z sercem trwożą ścisniętym patrzyli na pomarszczoną z lekka powierzchnię morza, które pochłonawszy „starą Anglię”, oblewał ich samotną wyspę błękitnym kręgiem. Natomiast ze zdumieniem i radością zobaczyli, jak nieznaczne były szkody w ich mieście i że nawet okręty stojące na rusztowaniu w dokach ocalały. Życie poczęło wracać do normalnego biegu. Spuszczono przede wszystkim okręty i zabrano się do budowy nowych, albowiem ekspedycja za ekspedycją wyruszała codziennie. Podróżnicy wybierali się naokoło świata, aby narysować nowe mapy. Przekonano się, że dość niedaleko istnieje znacznej wielkości wyspa, której gleba okazała się niezwykle żyzna. Natychmiast wysłano tam całe kolonie celem uprawy roli i hodowli bydła, albowiem zapasy nie mogły wystarczyć na długo. W kościołach odbywały się bez przerwy nabożeństwa dziękczynne i prasa klerykalna pisała z triumfem, że religijność u szerokich mas wzmożła się niepomiaralnie. Powstawało mnóstwo proroków, których słowom dodawały prawdy niedawne chwile trwogi. Mnożyły się sekty, a jakiś rybak ustawił koło swej łodzi trójząb, któremu wraz z rodziną oddawał cześć boską. We wszystkich laboratoriach i instytucjach naukowych wrzała gorączkowa praca. Wydawano olbrzymie tomy i tysiące broszur, omawiających najdrobniejsze szczegóły katastrofy i jej skutki.

Minęło lat kilka. Skonstatowano ogólne polepszenie się stosunków i stanowcze przychylenie się umysłów ku optymizmowi. Jedyne wielcy przemysłowcy i bankierzy byli niezadowoleni wskutek niemożności prowadzenia rozległych transakcji. Militaryści również spoglądali smutno na imperialistów, wspominając te dobre czasy, gdy można było zbroić się do nowych wypraw i myśleć o zagarnianiu cudzych ziem. Odkąd wyludniona ziemia stała otworem dla ekspansji angielskiej, świat stracił dla pewnych sfer cały swój urok.

W piątym roku po katastrofie uderzono nagle ze wszech stron na alarm. Nowa, nie znana dotąd teoria ścisnęła serca ludzkie mroźnymi, kościstymi palcami. Zauważono bowiem, że od

owej katastrofy nie urodziło się w całym tym olbrzymim mieście ani jedno dziecko. Kobiety, które zaszły były w ciążę jeszcze przed „końcem świata” (jak powszechnie mówiono), powiły dzieci nieżywe. Od tego czasu ani jedna kobieta nie poczuła a się w stanie odmiennym. Lekarze i fizjologowie nie umieli sobie wyjaśnić tego zjawiska. Intensywnie prowadzone badania nie przyniosły nic konkretnego. Uczni wyrażali jedynie domysł, że jakieś związki gazów uczyniły kobiety bezpłodnymi. Młode małżeństwa angielskie były niepocieszone, a nawet pisma humorystyczne straciły ochotę do drwin z tego powodu. Wszelkie środki zalecane przez najślawniejszych lekarzy nie wydawały najmniejszego rezultatu. I było to tym dziwniejsze, że świat zwierzęcy mnożył się zupełnie normalnie, a nawet jakby obficie niż zwykle. Po kilku jeszcze bezpłodnych latach wszyscy zrozumieli straszną, demoniczną, szaleńczą prawdę--miasto wyratowane jakby cudem spośród kataklizmu ziemskiego skazane było na śmierć powolną i okrutną zarazem.

Kiedy to się stało jasne, nie myślano o tym więcej. Życie nagle straciło wartość, a jednocześnie „ostatnie dni” stały się szczególnie cenne. Rzucono się w wir życia i widziano najpoważniejszych obywateli w gronie dziewcząt wyuzdanych. Wino lało się strumieniami z lordowskich piwnic, nikt nie zważał na godność i stan. W powszechnej bachanalii uczni opuścili swe zaciszne biblioteki i uwieńczywszy łysiny kwiatami przechodzili ulicami jak syleni. Widziano ludzi, którzy po hulaszczko spędzonej nocy rzucali się do morza. Samobójstwo stało się zjawiskiem powszechnym i nikt się tym nie gorszył, a prawo nie opiekowało się życiem ludzi, którzy czuli, że są ostatni.

Znalazło się jednak wielu cierpliwych, którzy postanowili wytrwać do końca. Oddawali się swoim zwyczajnym zajęciom, troszczyli się o swój byt i załatwiali wszystkie swe sprawy tak, jakby pracowali dla nieograniczonej przyszłości. Niektórzy nawet zapominali o losie ciężącym nad miastem.

Tymczasem z każdym dniem, miesiącem, rokiem liczba ludzi malała. Już całe dzielnice Londynu stały puste. Biedacy przenosili się ze swoich suterren do pałaców bogaczy, którzy wymarli, i z kolei oni sami opróżniali mieszkania, których nikt już nie miał zajmować. Po domach leżały tysiące zwłok, których się nikomu nie chciało uprzętać, chyba czasem sąsiedzi, nie mogąc znieść smrodu, wyrzucali łopatami umrzyków bez imienia i rodziny.

W błady poranek biedny dziadzius Tom, „ślepy Tom”, jak go nazywano, wyszedł ze swej nory na White Chapel, w której żył od lat z gó rą dziewięćdziesięciu. Zacierał ręce od chłodu rannego i szedł przed siebie nie spotykając nikogo na drodze. Nazywano go „ślepy”, chociaż

widział dobrze na jedno oko. Brak ludzi na ulicach nie dziwił go wcale. Przywykł do tego od dość dawna. Cała White Chapel przeniosła się od kilku lat na Regent Street, do wspaniałych domów i pustych hoteli. On został, a nie opodal jego nory mieszkała jedna staruszka, z którą codziennie chodzili razem szukać czegoś do jedzenia. Dziś jednak znalazł ją na ulicy nieżywą, co napełniło go przemijającym smutkiem. Od tak dawna patrzył na nieubłagany kość śmierci, że żal po zmarłych nie zdołał opanować jego samotnego serca.

Szedł coraz raźniej, czując promienie słońca dotykającego jak ciepłe palce masażysty, pod wpływem których plecy jego prostowały się i krzęły. Mijał co chwila domy, walące się w gruzy i opustoszałe fabryki, skąd zamiast łoskotu maszyn i nawoływania się robotników dolatywało wycie i szczekanie psów. Zwierzęta te, po większej części zdziczałe, przyzwyczajone od dawna wyszukiwać sobie pożywienie, gdzie je znaleźć mogły, żywiące się trupami ludzkimi lub dogryzające konających, mogłyby się stać straszne dla ślepego Toma, gdyby mu nie były obojętne. Czasem jakiś pies wylatywał z sieni domu umarłego i przybiegał do żebraka, ale ten groził mu kijem i szedł dalej.

Sam się dziwił swojej rzeźkości. Jakby go skrzydła niosły, z taką zapomnianą lekkością mierzył przestrzeń olbrzymiego miasta. Zatrzymał się i usiadł, by odpocząć na kupce leżących belek. Było tu zacisznie i słodko. Głęboka zatoka morska wrzynała się w ląd na miejscu, gdzie przed katastrofą ziemską płynęła Tamiza. Niegdyś rzesze ludzi przelewały się tędy, różnobarwne, różnojęzyczne -- hałaśliwe a wytrwałe narzędzia pracy kierowane przedsiębiorczą dłońią wielkich przemysłowców i kapitalistów. Były to bowiem doki londyńskie, źródło, istota, wyraz bogactw Anglii. Kanały, którymi pocięta jest cała ta przestrzeń, bramowane szeregami okrętów tworzyły z nieprzeliczonych lin, masztów i żagli tkaninę potwornego pająka, wysysającego złotą krew ze wszystkich krajów w świata. Przez kłęby dymu słońce z trudem przesiewało swój deszcz złocisty, roztopiający się w brudnej wodzie rzeki i kanałów. Wszystko zdawało się być pogwałcone w swoim rozwoju, wynaturzone, opanowane jakąś dziką rozpaczą i jeszcze dzikszą gorączką zdobywania bogactw.

Ślepy Tom nie lubił tu chodzić. Teraz jednak wypoczywał naprawdę, odwróciwszy się od miejsca, gdzie wrony rozszarpały resztki mięsa, trzymającego się przy szkielecie robotnika, który tu skonał przed tygodniem.

Jakaż cisza w tym ustroniu! Życie objęło w posiadanie gnijące doki, gdzie nie dokończone okręty spadły ze swych rusztowań. Wzdłuż brzegów ciągną się trawniki haftowane kwiatami, a w jednym miejscu rozpięta się gruby rododendron, obsypany różowym kwieciem, nad którym brzęczą pszczoły. Czyste, nagrzane słońcem powietrze przesłania tylko w oddali subtelna gaza

mgły, błękitniejącej na rąbkach.

Stary dziaduś poczuł głód i ruszył w dalszą drogę. Przez myśl mu nawet nie przeszło, że był jedynym panem tych wszystkich skarbów, gromadzonych tu przez wieki całe. Stały mu otworem najokazalsze pałace, których progu dawniej nie wolno mu było przestąpić, i kościoły kapiące od złota, i galerie, których cudów nigdy nie widziały jego oczy osłabione, i wszystkie składy i magazyny tak zasobne, że ich do ostatnich chwil wyczerpać nie można było.

Był panem wszystkiego, jedynym władcą i królem. Mógł oto pójść do Opactwa Westminsterskiego i włożyć na swą trzęsącą się głowę prastarą koronę królewską i płaszcz purpurowy, i w złoto się odziać. Mógł zabrać z Towru od wieków tam strzeżone błyskotki królewskie, jarzące się od diamentów, zroszone krwawymi łzami Anny Boleyn i pięknej pani Grey, i nieszczęśliwej Marii Stuart. Miał tyle ziemi na własność, ile nikt przed nim mieć nie mógł, a złoto leżące w banku czekało, aby je dotknął swymi stygnącymi palcami. W królestwie jego słońce nie zachodziło.

Ślepy Tom ani się tego domyślał. Przyjemnie mu było, że dym z dawno wygasłych fabryk nie zasłania mu nieba, które było teraz jasne i pogodne. Ptaki ze śpiewem i świegotem przelatywały, siadając na wieżach gmachów, skąd nosły swą dźwięczną chwałę ciepłemu słońcu. Drzewa były zielone i rozkwitłe o wczesnej wiosnie.

Staruszek uczył głód i pochylił się bardziej ku ziemi. Zimno mu był o pomimo słońca. Włókł się coraz wolniej, wreszcie wszedł do jakiegoś domu. Pustka owiała go swym stęchłym tchnieniem. Na schodach spłoszył szczura, ogryzającego dywan strzyżony. Piękne pokoje, malowane bogato i urządzone wystawnie. Z bocznego skrzydła dolatywała dusząca woń rozkładających się zwłok właściciela tego domu, który zmarł przed miesiącem. Dziaduś zamknął drzwi i wszedł do jadalni.

Olbrzymi kredens świecił srebrem i kryształami. Na stole stały talerze, dokoła których rozsypane były okruchy chleba. W kredensie również nie znalazł nic do jedzenia. Po chwili wyjął stamtąd butelkę starego koniaku, do której się uśmiechnął przyjaźnie. Postawił na stole kielich przedziwnej weneckiej roboty i nalał go płynem podobnym do roztopionego złota. Ślepy Tom nigdy nie pił nic równie doskonałego. Aż łzy mu w oczach stanęły, gdy nalewał sobie drugi kieliszek.

Zapomniał o głodzie. Było mu coraz cieplej, raźniej, weselej. Patrzył przez wielkie okno na roześmiany dzień wiosenny i sam się uśmiechał do słońca. Przypomniał sobie jakąś piosenkę i zanucił drżącym głosem:

Gdybyś ty była przy mnie, ach! Gdybyś tu była...

Ani się spostrzegł, gdy butelka była już próżna. Uczuł się sennym. Odsunął krzesła stojące dookoła stołu i rozłożył się na puszystym dywanie. Było mu miękko i wygodnie. Po chwili usnął.

I nie obudził się więcej.

„Dziennik Ludowy” 1920, nr 296-297.

Marmur, który duszę w sobie chowa

Władysławowi Witwickiemu

Pierwsza wojna światowa zastała mnie nad Platonem -- dosłownie. Siedziałem na ławce w alei, jedynej cienistej alei na Grado, viale Dante Alighieri, i czytałem „Fedona” w doskonałym wydaniu Burneta, które mi zostało po niedawno ukończonym seminarium profesora Witkowskiego. Nagle podniósł się wrzask chłopców biegnących ze świeżymi gazetami. „La guerra”! W mgnieniu oka w cichej alei zaroilo się od ludzi, Włoszki i Włosi pędzili, chwyтали gazety, gadali i krzyczeli jak opętani. I ja poderwałem się z ławki zapominając o Platonie. Gdy sobie o nim przypomniałem, już go nie było na ławce.

W domu miałem Teubnerowskie wydanie i ono mi towarzyszyło wśród zamętu pierwszego roku wojny. Platon miał dla mnie zawsze i ma nadal nieodparty urok. A jednak raz nad nim zasnąłem. Było to w Ogrodzie Botanicznym w Warszawie. Zdrzemnąłem się na ławce stojącej w pełnym słońcu, gdy nagle odczułem, że mi je coś przesłania: przede mną stał Szymon Askenazy i trzymał w ręku książkę, którą upuściłem podczas snu. „-- To niesłychane! zasnął pan nad Platonem! -- Tak -- bronilem się -- ale nad jakim Platonem!”

Był to przekład „Rzeczypospolitej”, wydany przez Akademię Umiejętności, który mi właśnie przysłano z Krakowa. Działał naprawdę usypiająco. Takich przekładów; nie można już było czytać po Witwickim. Podają tu kilka felietonów, jakie pisałem pod bezpośrednim wrażeniem świeżo wówczas wydanych dialogów, a to moje wrażenie było wspólne wszystkim, co brali te książki do ręki -- ja z wdzięcznością, że mój umiłowany autor zdobywa sobie na koniec czytelników w Polsce, oni z równą wdzięcznością, że ktoś wreszcie daje im poznać to, co dotąd znali zaledwie z imienia.

Pomiędzy tymi, których nam Warszawa zabiera dla własnej wszechnicy, usłyszeliśmy niedawno nazwisko Władysława Witwickiego. Jest to dla nas wiadomość bardzo smutna. Aczkolwiek wiemy, że praca twórcza prof. Witwickiego nic na tym przeniesieniu się nie straci, jeżeli owszem nie zyska -- chociaż głos jego, przekazany książkom, doleci do nas równie dobrze stamtąd, jakby i tutaj rozbrzmiewał -- mimo to żegnać nam go przyjdzie ze smutkiem, bo był prawdziwą dumą naszą i miło nam było pomyśleć, że właśnie szum naszych drzew kołysał mu nieraz duszę, pieszczoną dalekim, lubym poszeptem gaju Akademosy.

Witwickiego znamy i cenimy przeważnie jako nieporównanego odtwórcę Platona. Tu objawił on najliczniej i najjaśniej wszystkie strony swej bogatej duszy artystycznej. Jest on bowiem prawdziwie renesansową naturą. Artysta--malarz, tak nieraz subtelny w swych rysunkach, pomysłowych winietach, pięknych ilustracjach, łączy w sobie rozległą wiedzę przyrodniczą i matematyczną, jego zaś dzieło pt. Analiza psychologiczna objawów woli u Arystotelesa wskazuje nie tylko na gruntowną znajomość przedmiotu, ale głębokie wykształcenie filozoficzne. Ten filozof umiejący tak misternie władać ołówkiem i pędzlem, ten przyrodnik tłumaczący *con amore* soczystym stylem pisaną Historię malarstwa Haldana Macfalla, matematyk zagłębiający się miłośnie w studia filologiczne -- zjednoczył w sobie jakby dziwnym darem te wszystkie zdolności i upodobania na to, aby oddać nam w szacie nowej i wytwornej autora, którego przez całą starożytność nikt nas ładować się nie kusił, a przełożyć go na język nowoczesny tak niewielu umiało.

Nasza literatura nie jest nazbyt bogata w piękne przekłady. Rzadko tłumacze pojmują swe zadania wobec oryginału tak Szczytnie i poważnie, jak Porębowicz wobec Dantego lub Niemojewski wobec Józefa Flawiusza. Przekładów jest może dość, przeważnie jednak niedbałych. Jest to właściwie praca zarobkowa, spychana byle prędzej i byle jak, w wielu wypadkach dokonywana bez znajomości języka oryginału (Ibsen i skandynawscy pisarze, wydawnictwo Epos). Toteż zrozumiała zupełnie ta radość szczerą, z jaką krytyka i wybredniejsza publiczność wita dziś przekłady Boya lub Witwickiego.

Nie jest prawdą, ażeby w naszym społeczeństwie rzecz poważna i głęboka, a istotnie piękna nie znalazła oddźwięku. Nie tylko na entuzjastycznych górsach prasy i pism naukowych opiera się sława prof. Witwickiego. On jest znany szeroko, ceniony bardzo, kochany przez tych, do których rąk dostały się jego piękne książki. Gdy miałem pisać ten felieton, zauważyłem w swej bibliotece brak jego *Ucztę Platońską*. Zacząłem jej szukać na mieście. W żadnej księgarni ani antykwarni nie znalazłem egzemplarza. W jednym tylko miejscu powiedziano mi, że można by go dostać za „paskarską” cenę -- 20 koron. A ten egzemplarz, który leży teraz przede mną na stole, wzięty z wypożyczalni, przez swe zniszczenie świadczy wymownie, ile ludzi miał go w rękach. Jest to popularność zdobyta nietanio, nie jakimś pospolitym „kawałem” beletrystycznym, ale na drodze prawdziwego artyzmu -- popularność zatem rzadka i niezwykle cenna.

Dzieje się tak zawsze, ilekroć do dusz ludzkich bezpośrednio i po prostu zagada inna dusza ludzka o wyższym i szlachetniejszym polocie. Stąd ten odwieczny związek, jaki łączy czasy nowe ze starożytnością grecką, która umiała mówić tak prosto, tak szczerze i tak jasno, że po

latach tak wielu zda się nam, iż słyszymy jej głos całkiem bliski i bratni. Kto stanął w Villa Albani przed biurem Sokratesa lub w Muzeum Watykańskim przed hermą Platona, na której jakaś nieświadoma dłoń nakreśliła imię Zenona, ten odczuwał ów dziwny dreszcz bliskiego spojrzenia w twarz ludzi dawno umarłych a przecież żywych. Posągi starożytne tak gadać umieją. A jeszcze gdy po nich czasem biegnie jakiś napis taki lub inny, gdy tych napisów przejrzy się takie mnóstwo, jakie ich zebrano w Corpus Inscriptionum, wówczas rozumiemy, że z podobnych słów kamiennych na nagrobku Julii Alpinuli mogła wyrosnąć *Lilia Weneda*.

Otwórzcie przekład *Fajdrosa* i tam zobaczycie po ostatnich słowach dialogu zapisane, jak w pamiętniku, słowa poety:

O, gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem
Jak marmur, który duszę w sobie chowa
I znowu złotym wylewa strumieniem,
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie
Stoi w nim cała, ogromna -- o, gdyby!

Oto słyszymy bezpośredni głos serca artysty-tłumacza, głos własny, chociaż w obce przyobleczony słowa. Ciche westchnienie! Zamglenie oczu marzeniem radosnym o tym świecie dziwnym, białym w marmurowej szacie świątyni i posągów, o tym świecie, którego życie on czuje, rozumie, kocha. Marzenie najszczerze i serdeczne, drogie każdemu, kto je pojmie -- marzenie o tym, by po tysiącach lat pigmalionowym kochaniem marmur ożywić i duszę, i myśl wydobyć z niego, i postawić przed wami żywą i ogromną, oczy wasze zadziwić, zachwycić, serca ukołysać, myśli rozpałcić, obrócić na błękity dalekich widnokręgów. Oto pragnienie najgłębsze Witwickiego.

Czyż więc dziwić się trzeba, że w istocie magią tych kilku czarownych wierszy poety polskiego, które jak lilia biała wykwitły pośród złocieni, róż i laurów wielkiego Greka, czarem jasnego w głąb dziejów spojrzenia przenosi nas Witwicki po obręczy wieków do Aten starożytnych. Wprowadza nas do tego miasta, przytulonego do rodzimej skały Kekropsa, na której jeszcze sto lat temu ustawiano barbarzyńskie bałwany z drzewa lub z kamienia miękkiego, przedstawiające Atenę i jej służebnice w szatach jaskrawo malowanych, z kwiatkiem w dłoni i uśmiechem tajemniczym dokoła ust szerokich. Wielkie gody heroizmu wojen perskich, a potem nagły błysk geniuszu attyckiego, w chwili gdy bogini Zwycięstwa odwiąże

swe złociste postoly, skrzydła swoje zarzuci, a sama stanie bezskrzydlna i łagodna w małej świątyni na bastionie Akropolis.

To już inne czasy, które widzimy w Atenach. Te marmurowe frontony świątyni, pełne figur, z kolosami ze złota i kości słoniowej są tłem tylko, na którym życie wiodą inni ludzie. W duszach synów rycerzy spod Maratonu tką się wątpliwości filozoficzne, a ich bogowie nie mają już spokojnej powagi i niewzruszonego majestatu Dzeusa i Ateny Fidiasza, tylko ten smutny, prawie melancholijny uśmiech Hermesa Praksytelesowego lub owe trwożne dreszcze misteriów eleuzyńskich, o których najgadatliwsi nawet z pisarzy greckich mówić nie chcieli. Minął czas Ajschylosa i Sofoklesa, w teatrze greckim „najtragiczniejszy” Eurypides pokazuje duszę ludzką, miotaną namiętnościami, niepewną, drżącą Psyche, taką już jakąś prawie Hadrianową *animula vagula*. Oto Ateny Platona ze swymi sporami filozoficznymi i literackimi, ze swą bojaźliwą bezbożnością i śmiałą dialektyką, ze swym sceptycyzmem wolteriańskim i skłonnością do mistycznych uniesień.

Wszystkie wady i zalety ateńskie skupiły się w Platonie jako najczystszy potomku odwiecznego rodu Dropidów. Dość spojrzeć choćby na te kopie portretu Platona, wykonanego ongi przez Silaniona, aby widzieć, że w Platonie rzeczywiście wyraził się w całej pełni ten najpiękniejszy z geniuszów greckich, geniusz attycki. Patrzy na nas spokojnymi, choć smutnymi oczyma mąż poważny, barczysty, o pięknym rysach helleńskich, o bujnych włosach i długiej brodzie, na których znać staranność codzienną fryzjera. Jest to arystokrata i wielki pan, ironię i smutek kryjący pod szatą majestatu kapłańskiego. Oto prawa latorośl tego narodu, o którym sam z chlubą mówił, że jest wyłącznie helleńskim, bez żadnej przymieszki barbarzyńskiego plemienia. W Meneksenie zapewnia nas, że ziemia attycka wydała swój naród wraz z pierwszym na świecie zbożem i pierwszymi oliwkami.

Pewien starożytny Vasari, łakomy zbieracz anegdot z życia filozofów, opowiada, że Sokrates miał raz sen dziwny. Widział, jak w świątym gaju Akademosia biały łabędź podniósł się z ołtarza Erosa, wleciał pod niebo, skąd długo dolatywał jego śpiew czarujący. Starożytni widzieli w tym proroczy sen o Platonie-łabędziu, symbolu światła i ducha czystości, widomej postaci Apollina, któremu był poświęcony.

Starożytni mieli nieporównaną zdolność układania legend i baśni. Legenda połączyła Platona z najpiękniejszym synem Olimpu, z tym Apollinem idącym w szacie powłóczystej, ze złotostrunną arfą na czele muz i piewców, jak Platon natchniony prowadzi za sobą całą rzeszę filozofów i dusz ludzkich poprzez tyle wieków ku podobłocznym i zaobłocznym krainom piękna.

Trzeba mieć było samemu duszę pogodną i pełną artystycznej wrażliwości, aby tak jak Władysław Witwicki odtworzyć język, styl i subtelność myśli tego największego wśród filozofów poety. Dokonał tego z przedziwną sztuką i umiejętnością, a trochę tak, jak się tego nie spodziewano. Zwrócono więc baczną i krytyczną uwagę na „zmodernizowanie” dialogów Platona przez język zupełnie nowożytny, nieobcy terminom filozoficznym dziś powszechnie używanym.

Zbyt nas to boli, zbyt wiele się o to troszczymy. W najlepszych czasach rozkwitu sztuki i arcyzmu mało się ludzie o tę szatę zewnętrzną starali. Malarstwo odrodzenia swych Greków i Rzymian dawało jako ludzi żywych, bliskich, wprost z otoczenia swego branych. W dramacie francuskim po scenie chodził Hipolitos w dużej peruce, a cesarz August był ucharakteryzowany na Ludwika XIV. Tak samo robili polscy pisarze dawnych wieków, ilekroć im się zdarzało tłumaczyć dzieła starożytnych. My dzisiaj mamy muzea i kolekcje starożytności, a historia dyktuje prawa sztuce, aby była w odtworzeniu minionych epok równie wierna, jak w odtwarzaniu natury. Jest to prawie zawsze trud daremny i nie opłacają go rezultaty, jakie daje.

Witwicki idzie inną drogą. On chce nam zbliżyć Platona tak, aby się stał dziś jeszcze żyjącą i zrozumiałą postacią. On wierzy, że tak jest. Platona swego widzi wciąż przed sobą zajętego sprawami, które nas dzisiaj obchodzą. On nas zapewnia: „Gdyby żył dziś i czytywał to, co się współcześnie pisze o literaturze albo o sztukach plastycznych, gdyby się przysłuchiwał odczytom w poście i przejrzał zadania młodzieży, wydałby Fajdrosa na nowo.” To nie jest filolog rozbierający poszczególne wyrazy ani też tylko filozof śledzący ciekawy teoretycznie bieg myśli cudzych, ale przede wszystkim człowiek współczesny a wrażliwy na rzeczy odległe i wciąż w nich echa tej współczesności szukający i może jakiegoś pokrzepienia, które mu tylko dać mogą tamci pisarze. „Trzeba to czytać i czuć -- mówi on zamykając *Ucztę*. -- I to nie w tłumaczeniu jakimkolwiek, tylko w oryginale. Wtedy dopiero jest człowiek wdzięczny tym, którzy go greki uczyli.” Z taką miłością dokonywane przekłady mają wartość oryginałów.

Platon w tłumaczeniu Witwickiego żyje dziś i mówi do nas zrozumiałym, naszym językiem, pełnym mocy, sprężystości i soków żywotnych. Weźcie do ręki owe „poprawne” tłumaczenia niemieckie Schleiermachera, czyste, bez jednego prawie zwrotu nowożytnego, a przez to zupełnie odbarwione i nudne. Nie ma w nich ruchliwości stylu Platona, który się ścierał ze współczesnymi mu literatami, nie ma piętna żadnego wieku, żadnej epoki, nie ma ciepła uczucia, które by te dzieła stare ogrzewało pocałunkiem nowoczesnego człowieka. I wtedy dopiero się widzi, czy dobrą drogę obrał Witwicki. Dobrą, naprawdę dobrą -- i jak jeszcze, a trzeba mu to powtarzać, bo słyszymy, że do nowych prac się gotuje.

Nie samym jednak przekładem wlewa Witwicki życie w dawne formy. On je ujmuje w szatę zewnętrzną bynajmniej nie mało znaczącą. Czyżby Platon sam się nie cieszył taką książką, jaką jest jego Fajdros, wydany przez Książnicę Polską Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych? Jakie miłe dotknięcie tej prostej okładki koloru winnych jagód z Albano! Jaki słodki ten śnieżnobiały papier, na którym tak kształtnie wydzielają się piękne czcionki! I te zachwycające ilustracje, jakby na wazach greckich wzorowane! W tych obrazkach Witwickiego zawiera się całe zrozumienie życia i ludzi starożytnych, pogląd na nich wesoły, czasem rubaszny, stosunek oparty nie na koturnach mdłego zachwytu, ale przyjacielskiej poufałości.

Taki sam jest we wstępach i objaśnieniach. Znowu pokazuje nam w nich ludzi żywych i stosunki życiowe, poglądy, wierzenia, wady i śmieszności. Mówi to wszystko językiem popędliwym, nie wypieszczonym i nie wygładzonym, jak niegdyś mówił zapewne Sokrates na rynku ateńskim: „Jakieś skrzydło anioła w błyskawicy, a tuż obok prosię w worku.”

Są to znowu obrazki rozmaite, pocieszne czasem, czasem smutne. Przechodzi Sokrates, dziwny jakiś „człowiek o dwóch twarzach czy człowiek smutny w masce Sylena”. Sokratesa trudno malować. Jego treść wewnętrzna jest nam prawie nieznaną. Jego wielkość filozofa jest dogmatem, w który wierzyć musimy, skoro nie mamy własnych pism jego. Dwu odmiennych zupełnie ludzi dało nam jego portret: Ksenofon i Platon. Który z nich jest prawdziwy, skoro oba do siebie tak niepodobne? Ale Witwicki jest przyrodnikiem, ma więc metody, które raz już w rękach Hipolita Taine'a okazały się tak dobre i trafne. O swoim portrecie Sokratesa mówi przyrodnik Witwicki: „Był to rodzaj rekonstrukcji paleontologicznej na podstawie zachowanych śladów. Jak geolog z odcisków i szczątków szkieletów odbudowuje i uzupełnia wyobraźnią naukową całości dawno zaginionych organizmów, tak i myśmy się starali na podstawie śladów zachowanych w pismach Platona, Ksenofonta, Diogenesa z Laerty i na podstawie wpływu, który Sokrates wywarł na starożytność, odtworzyć całość możliwie konkretną, żywą a konsekwentną, zrozumiałą psychologicznie.” I czyż można powiedzieć, że mu się to nie udało? Ależ tak, i to w sposób zupełnie doskonały.

On nas zachęca do tego, abyśmy wzięli do ręki te książki, z których on czerpał, gdy pisał o Sokratesie, Platonie, Ateńczykach V i IV wieku, i żebyśmy sprawdzili, czy dobrze swej pracy dokonał. Ciekawe książki, które się do mnie spoza szklanej szafy uśmiechają, nie nęcą mnie dziś wcale. Nie chcę ich otwierać i czuję, że ręce byłyby za słabe, aby podnosić i przewracać grube tomy. Czyż nie lepiej poddać się urokowi jego słów i słów Platona, mówiącego tak pięknie po polsku? Czyż nie lepiej, w chwili gdy u nas leje smutna ulewa, pójść razem z Sokratesem i Fajdrosem w tę śliczną ustron, „gdzie stoi jawor rozłożysty i wysoki. I ta wierzba wysoka i

śliczny cień daje, a taka cała obsypana kwieciami; będzie nam tu cudnie pachło. A jakież miłe źródółko płynie spod jaworu. Bardzo zimna woda, możesz nogą spróbować. Dziewice i posągi święte pod drzewami; widać to uroczysko Acheloosa i nimf jakichś. A proszę cię, ten wiatr tutaj -- jaki strasznie miły i łagodny. To letni wiatr tak szumi; a przy nim świerszczów chór. Ale z tego wszystkiego najlepsza trawa i najładniejsza, żeby się tak przeciągnąć tam na tym łagodnym wzniesieniu”. Doskonałeś wyprowadził, kochany Fajdrosie! To samo miejsce, ta sama trawa, którą całował w siedem wieków później młody cesarz Julian, a Cicero tu nadaremnie szukał pamiętnego jaworu.

A kiedy się zmierzchnie, pójdziemy na ucztę Agatona. Tam już pozapalano lampy oliwne w kandelabrach brązowych i na środku sali wyłożonej marmurami, pełnej malowideł ściennych, ustawiono w podkowie szereg sof z poduszkami. Służba się kręci, ustawia w kutykach stojakach duże amfory z winem pod ścianami, słysząc z dalszych pokoi głosy kobiet, przygotowujących wieczerzę. Za chwilę goście przyjdą: Sokrates, Fajdros, Pauzaniusz, Eriksimachos, Arystofanes. Gospodarz wyświeżony po kąpieli, z trefioną brodą i włosami, w szatach wzorzystych i cienkich wydaje ostatnie rozkazy, poprawia zastawę i spogląda na drzwi. I tak do rana będziemy słuchali tych rozmów dowcipnych i poważnych, rubasznych i wykwintnych, a zawsze głębokich i słodkie ziarno myśli w sobie kryjących.

A kiedy nam sen sklepi powieki, dalej marzyć będziemy, choć bez bursztynu, bez róż i bez wina, jedynie tylko pod tęczowym namiotem pamięci złożeni. To nie ty mówisz, Sokratesie, to my wołamy: „Niechże pozdrowiona będzie ta pamięć, przez którą, tęskniąc za tym, co wtedy mówiliśmy, teraz o tym trochę dłużej.”

„Gazeta Lwowska” 1919, nr 132.

Rozmowy z Sokratesem

*Platon: Hippiasz Mniejszy -- Hippiasz Większy -- Ion.
Przekład Wł. Witwickiego. Lwów--Warszawa, Książnica Polska, 1921.*

Przekłady Witwickiego są żywe. Podkreśla to każdy recenzent każdego nowego tomu jego przekładów, tak że zdanie to stało się komunałem. Zauważyłem, iż wielu z piszących o książkach Witwickiego powtarza na różny sposób to zdanie, jakby nic więcej nie można było o nich powiedzieć. W istocie jest to rys znamieny tych kilku tomów Platona, które nam dał Witwicki, rys dominujący i nade wszystko wartościowy.

Wszystko jedno, jak to kto pojmuje. Dla jednego swada i werwa wstępów, dla drugiego pewna nowoczesność tematów u samego Platona, dla innych po prostu współczesna terminologia literacka -- nadaje starym postaciom rumieniec życia. Filolog, a jeszcze lepiej taki filolog, który sam nieraz myślał nad techniką przekładu i miał możliwość zateńsknić do nie fałszowanego oryginału po nudzie jakiegoś „poprawnego” tłumaczenia, patrzy z ciekawością na rękę Witwickiemu -- jak on to robi. Po badawczym śledzeniu wychodzi na wierzch cała prawda, i to taka prosta, sympatycznie prosta prawda, jak nie jedna z tych, które wypowiada Sokrates rozmawiający z wytwornym Hippiaszem o garnkach i kopystkach. Witwicki po prostu tłumaczy dosłownie. Nie fałszuje, nie nagina tekstu, nie przyczepia mu własnych ozdóbek, nie skraca i nie wydłuża zdań -- zachowuje sens, szyk wyrazów, interpunkcję oryginału. Oto w czym leży cała rewolucyjna nowość przekładów Witwickiego.

Nie dając się odwieść na manowce przez popularne gramatyki greckie, które wskazywały, jak to lub owo należy tłumaczyć „odmiennie od języka polskiego”, przenosi żywe słowo greckie do żywego słowa polskiego, tworząc nieraz niezwykłości syntaktyczne, nie rażące bynajmniej i niebłędne. Tą drogą doszedł do tego, że dziś wie się, jak mówił Sokrates platoński, i ten jego sposób ma tyle niecodziennego uroku, że kto raz porządnie przeczyta Obronę albo którykolwiek inny dialog, staje pod bezpośrednim wrażeniem tych swobodnych konstrukcji językowych, przeginających ku nam z równą swobodą gałąź myśli, gibką i pełną rozkosznych owoców.

I dlatego to czytanie tych rzeczy daje takie głębokie zadowolenie wewnętrzne. Najzawilsze rozważania nie nużą, lecz bawią. Dzieje się to zaś jeszcze dlatego, że Witwicki nie opuści ani jednego tonu, ani jednego gestu, ani jednego uśmiechu: wszystko spostrzeże, wszystko wyczyta w zbitym tekście, zatłoczonym literkami greckimi, i wszystko to potrafi nam oddać.

I oto nie mam już przed sobą książki, ale człowieka żywego. Mam wrażenie, że Sokrates,

który nikogo nie mijał milczeniem, zapomniał w tej chwili o Hippiaszu lub bnie i rozmawia ze mną o rzeczach, które mnie obchodzą. Gawęda taka może się zaciągnąć do późna w noc. Sokratesowi wszystko jedno, boć on to po uczcie u Agatona przy kielichach dyskutował z Arystofanese, póki tamtego sen nie zmorzył, i o świcie poszedł jak zwykle do palestry i gimnazjum. I takiego Sokratesa, z tych gawęd nocnych, można ogromnie polubić, choć to był, jak sam o sobie mówi, „nie tyle elegant, ile obszarpaniec, który o nic innego nie dba, tylko o prawdę”.

Trzy ostatnie dialogi, które nam daje Witwicki, są to drobiazgi filozoficzno-literackie, w wielkiej twórczości Platona nie mające większego znaczenia, nie będące słupami granicznymi jego rozwoju ideowego, ale właśnie może dlatego rzeczy ogromnie miłe, tak że nieraz za serce biorą. Jeślibyśmy zwątpili w kulturę literacką Aten platońskich, wystarczyłoby przeczytać bodaj te trzy drobiazgi. Środowisko, w którym w taki sposób omawiano kwestie filozoficzne, musiało mieć za sobą tradycję kultury wielkiej i głębokiej. Ani szczypty pedanterii, oschłości, nudnego wykładu -- same tylko obrazki. I dlatego może, kiedy przerzucam kartki tej książki, mam wrażenie, że mijają mnie grupy rozmawiających ludzi, procesje, pochody patriotyczne, widzę mówców na estradzie i uwieczonych rapsodów przed tłumem wzruszonych słuchaczy, to znów pracownię rzeźbiarza i zakątek zadymionej kuchni, gdzie stara Atenka miesza w garnku malowanym drewnianą kopystką; a gdzieś tam dalej i Akropolis widać, i mnóstwo świątyń, a przez uchylone drzwi w głębi ciemnej nocy posągi ubrane w złoto i drogie kamienie. Trzeba przyznać, że trudno by było znaleźć drugiego filozofa, którego by dzieła czytało się w takim nastroju i z takimi obrazami w duszy.

Sądzę więc, że nikt nie weźmie mi za złe, jeżeli opowiem to, co widziałem, gdy oczy moje padły na ten ustęp, w którym Sokrates powiada mimochodem i o starych mędracach, i o starej sztuce.

Nie wyszedłem z Aten, pozostałem w nich mniej więcej tam, gdzie się rozmowa toczyła, i starałem się sobie przypomnieć, jak tu wszystko było jeszcze do niedawna inaczej. Po prostu jak stary Ateńczyk, który po latach wracał do domu. Widziałem Akropolis, dziwne, ciekawe zjawisko. Oglądałem go z tą ciekawością, z jaką musieli nań patrzeć Persowie, którzy tu byli w roku 480. Całe wzgórze skaliste, pokryte budowlami i posągami, świeciło z dala w dwóch tonach: czerwonym i niebieskim. Stare świątynie, małe i niskie, kryjące wstydliwie nędzny materiał, z jakiego je zbudowano, pod pstrą szatą barw; nagie konstrukcje z ozdobami w tonach indygo i purpury pyszniły się już fryzami marmurowymi; piedestały w kształcie słupów lub kolumn z kapitelami malowanymi podtrzymywały proste i sztywne posągi nagich mężczyzn,

białych jak wosk, z włosami czerwonymi lub niebieskimi i posągi kobiet, opiętych w szaty barwne, pstre, jaskrawe, pełne złożonych kosztowności; tak mężczyźni, jak i kobiety uśmiechały się swym słodkim, na pół tajemniczym uśmiechem, błakającym się dokoła czerwonych oczu pod czarnymi brwiami. Kobiety patrzyły zalotnie na kwiatek, który trzymały w ręce.

Gdy mi je wyobraźnia ukazała, uśmiechnąłem się do nich przyjaźnie, myśląc jednocześnie, że zgoła innym uśmiechem witali te naiwne figury współcześni Peryklesowi. Epoka była inna i okrutnie dumna z siebie. Sokrates miał zbyt wiele kłopotu, żeby wyperswadować ziomkom swoim tę dumę. Zrobiono w czasie bardzo krótkim olbrzymie postępy. Na Akropolis stanął Partenon, a dokoła niego zbiegły się posągi marmurowe i spizowe nie widzianej dotąd piękności. U stóp wzgórza w teatrze dawano tragedie i komedie, a na rynku najwybitniejsi filozofowie mówili gładko i ozdobnie o rzeczach, o których się nie śniło poczciwemu staruszkowi, Biasowi z Priene.

Sokrates sam nie mógł się skarżyć; tak inteligentnego społeczeństwa nie znalazłby w całej Grecji, ba, w całym świecie ówczesnym. Toteż kiedy go ono skazało na śmierć, Kritonowi zaczął mówić górne słowa o posłuszeństwie dla praw, a naprawdę wiedział, że już nie ma dlań gdzie indziej miejsca na świecie i pozostaje tylko ów Hades, gdzie po asfodelach chodzi mnóstwo mądrych ludzi i z nimi to swobodnie gawędzić można. W Atenach bowiem można było wydrwiwać „fasolkowych” urzędników, ale się wiedziało, że jest z kim pogadać i najgłupszy z obywateli ma jednak więcej obrotności i więcej zamięłowania do abstrakcji niż najtęższa głowa w Beocji, której ustrój był podobno lepszy od demokracji ateńskiej. Zjeżdżało się tu mnóstwo ludzi, którzy przynosili wiadomości z szerokiego świata i własną mądrość na pokaz. Właśnie takim jest Hippiasz z Elidy.

Byłby szanowaną zapewne postacią w dziejach filozofii, gdyby nie Platon. Ten nie lubił sofistów. Miał do nich awersję wielkiego pana, który nie pojmuje, jak można sprzedawać swoje myśli za pieniądze. Tak samo Schopenhauer odnosił się do profesorów uniwersytetu. Że i Sokrates sofistów zaczepiał, to była jego rzecz, bo on nikomu spokoju nie dawał człowiek, który sam spokoju nie miał w duszy i gryzł się takimi rzeczami, jakimi nie umiał się martwić nauczyciel wymowy.

A Hippiasz był właśnie takim. I powiada Sokratesowi w końcu: „A co piękne i cenne nade wszystko, to umieć dobrze i pięknie mowę ułożyć przed sądem czy w radzie, czy wobec innej jakiej władzy, do której by się mowa odnosiła, nakłonić ją i pójść a wziąć nie najmniejszą, ale największą z nagród, bo całość własnej osoby i majątku własnego, i przyjaciół. Tego się

chwycić i trzymać należy, a dać pokój takim, o, drobiazgom, aby człowiek nie zaczął za wielkiego durnia uchodzić, gdyby się tak jak teraz bawił czczymi gadaninami.”

Kiedy to Hippiasz mówi, ma się wrażenie, że tak by przemawiał do Leonarda da Vinci Rafael i taką samą by otrzymał odpowiedź („i błąkam się ciągle, i rady sobie dać nie mogę”) i też by na nią jeno ramionami wzruszył. Bo i skarży się Sokrates, że mu się ciągle rzeczywistość wymyka i nigdy nie wie, jak się rzeczy mają naprawdę; dwa razy w obu Hippiaszach pod koniec Sokrates jest smutny i jakby sam ze sobą gadał. Platon, co prawda, zrobił Hippiasza zbyt naiwnym i nieporadnym. Pisał te dwa dialogi jako satyryk, a miejscami robił farsę. Zgoła molierowski nastrój ma ta chwila, kiedy Sokrates mówi o kijach jako jednym z argumentów w dyskusji. Ale jedna rzecz jest w tym humorze niezwykła: przeciwstawienie wytwornego Hippiasza takiemu obdrapańcowi jak Sokrates. Hippiasz się krzywi ustawicznie i mam wrażenie, że to mu przeszkadza nadążyć za podstępna myślą Sokratesa. A Sokrates jest nielitościwy. Gdy Hippiasz mówi o ładnej pannie, ten o garnku; gdy Hippiasz o złocie, on wyciąga starą drewnianą kopystkę.

Dialog *Ion* jest może jeszcze miłszy. Są to łagodne igraszki słów, na wpół żartem, na wpół serio -- częściej żartem niż serio. Sokrates, który lubił młodych chłopców, młodzieniaszka Iona traktuje z ojcowską łagodnością. Tamten nie obraża się zbyt, bo przez pół tylko rozumie wywody Sokratesa; ilekroć zaś je zrozumie, pokazuje w szczerym uśmiechu swe młode, białe zęby i prof. Witwicki mówi, że „mu z tym ładnie”.

Wszelako i Witwicki, który tak bardzo lubi Sokratesa, przyznaje, że czepia się on Iona bez powodu. Uczestniczymy w ciekawej szermierce: poezji z intelektualizmem. Niestety, poezja jest tu tak słabo reprezentowana, że wcale się bronić nie może. Platon odnosi łatwy tryumf, który mu dopomoże w swoim czasie do wyproszenia ze swego idealnego państwa wszystkich poetów z Homerem na czele.

To, co mnie zawsze razi w postaci Sokratesa, to jego zupełny brak zmysłu do poezji. Na drzewa się patrzy jak na przedmioty dające cień podczas skwaru, a źródło szemrzące koło Groty Nimf służy mu do umycia nóg, na których osiadł pył ulic ateńskich. W *Obronie* z pogardą mówi o poetach, na których spoziera jak na nieszkodliwych wariatów, biednemu zaś Ionowi tłumaczy, że chcąc recytować Homera i objaśniać jego sztukę, trzeba się znać na koniarstwie, rybołówstwie, i medycynie.

I tu się już wyczerpuje cierpliwość prof. Witwickiego, który powiada w swych objaśnieniach: „Trudno się znać na niebie i piekle, i czyśćcu, a przecież są ludzie, którzy się znają na Boskiej komedii.” Idąc dalej za wywodami Sokratesa, nie widzi racji, żeby okulista

miał oceniać i sonet o oczach kobiety, i traktat chirurgiczny. Jest to zgorzenie w tym samym stylu, co Hipiaszowe z powodu garnka i kopystki.

W istocie ten Sokrates umie być nieprzyjemny. Zależy mu wyłącznie na prawdzie i poza nią nic nie widzi. I to jest jego słaba strona. W naszych gawędach nocnych powiedziałem Sokratesowi tak:

„Synu Sofroniska, chcesz wiedzieć, słuchając harmonijnych wierszy Homera, czy słusznie on mówi, kiedy każe jakiś napój leczniczy przyrządzić, lub czy się zna na anatomii, gdy o ranach rozprawia. Przyznaję, że są to wszystko rzeczy interesujące, i mam wrażenie, że w British Museum wypisałbyś sobie sporą liczbę książek, które o tym traktują. Ale jeśli czytam jego wiersze lub jeszcze lepiej, kiedy mi je recytuje taki miły młodzieniec, jak Ión z Kolofonu, daruj, najlepszy, że nie będę z tobą o podobnych rzeczach rozmawiał. Jest na nie dosyć czasu kiedy indziej i w innym miejscu. Lubię bowiem namiętnie opowiadania, o których wiem, że są fałszywe. Mogę cię tym urazić, kochana głowo, ale podejrzewam, że lubię je właśnie dlatego, że wiem, iż są fałszywe. Homer jest pełen cudowności. Wszelka zaś cudowność jest kłamstwem. Zgoda na to. Nie tylko ty i ja, ale większa część ludzi wie o tym. Kochamy się wszelako w kłamstwie i prawdopodobnie oczekujemy od niego więcej niż od prawdy. Nie chcę ci zrobić przykrości, ale mam głębokie przekonanie, że nawet najmędrszy spośród nas ukrywa w jakimś utajonym zakątku serca zamiłowanie i pragnienie bezsensowności, które go na chwilę wyrwać może z oślizgłych objęć rzeczywistości banalnej i pospolitej. Przypuśćmy, że razem z tobą, Sokratesie, będę badał prawdę, szukał jej, odnajdywał i znowu tracił z oczu, tak jakbym za upragnioną kobietą gonił. W chwili gdybym ją posiadał, zdradziłbym ją, jak się zdradza kochankę, którą się poznało dokładnie w ciągu lat, zdradza się ją dla dziewczyny, której wdzięki są dla mnie ukryte. Mam wrażenie, że dążenie do absurdu jest naturalnym popędem u człowieka. Tacy jak ty, Sokratesie, będą prowadzili wiedzę i filozofię ku coraz większej doskonałości, wszelako ja sądzę, że postępy wiedzy i filozofii nie zdołają ani zabić zabobonu, ani zniszczyć poezji, która jest jego bliską krewną. Albowiem duch ludzki jest opanowany przez wielką, nienasyconą ciekawość. Z rozkoszą nachyla się nad przepaścią, w której śpi to, czego poznać niepodobna, i w takich chwilach odczuwa dreszcz lęku, który jest zarazem dreszczem dziwnej rozkoszy. Ty prawdopodobnie nigdy nie zbierałeś kwiatów, ale ja to robiłem, gdy byłem jeszcze małym chłopcem. I teraz mam ochotę po temu; tylko że teraz najchętniej zbierałbym kwiaty błędów ludzkich; mają one woń oszałamiającą, która usypia umysł? budząc jednocześnie namiętność. I dlatego, Sokratesie, w chwili gdy widzę was obu, bardziej lgnę do Iona, a i ty rozstajesz się z nim jakby z lekkim smutkiem.”

Nie skończyłbym tak prędko, gdybym chciał wypowiedzieć wszystko, com przemyślał i ilem odczuł: czytając ten tom Platona. Nie sądzę, żebym był wyjątkiem, i zdaje mi się, że w ten sam sposób książką tę czytać może każdy, kto ją do ręki weźmie. Po co wobec tego zamykać ten artykuł frazesami o wielkiej zasłudze prof. Witwickiego, który „przyswoił naszej literaturze...” -- dalej wiecie -- po co? Niech każdy sam przed sobą zda rachunek sumienia z tego, co mu w duszy zostało po takiej lekturze, a będzie wiedział o tym lepiej, niżby mu to dziesięciu recenzentów napisało.

„Tydzień Polski” 1921, nr 42.

Dusza złota i kamień probierczy

Wiatr postrząsał w nocy z drzew liście, które teraz szeleszczą pod nogami, żółte i zwiędłe. Przez zamglone szyby widzę jabłoń, której wilgotne gałęzie z trudem podtrzymują ostatnie swe owoce i opierają się gwałtownym uderzeniom jesiennego deszczu. Przerzucałem przed chwilą tom Platona i wśród białych kartek znalazłem zasuszony duży liść orzecha. Służył mi jako zakładka, ilekroć odkładałem książkę, aby spojrzeć na grę obłoków i posłuchać koników polnych, które Platon tak lubił. Byłem wówczas na wsi i słońce układało myśli moje w harmonijną mozaikę malowaną złotem jego promieni.

I właśnie dziś spośród wielu książek leżących na biurku wydobyłem tę, aby między jej białymi kartkami znaleźć ów liść, zawiędłe wspomnienie nagrzanych pól i cienistych alei. Jest to *Gorgiasz* Platona.

Pewien ziemianin koryncki po przeczytaniu *Gorgiasza* porzucił swe pola i winnice, przyjechał do Aten i został uczniem Platona. Czyż miałbym być gorszym od owego ziemianina? Nie mam ani pól, ani winnic, które bym musiał porzucać, a tylko na chwil parę oderwać się od wszystkich innych zajęć, aby posłuchać głosu tej filozofii, co jest -- jak Renan powiedział -- „świętą” muzyką dusz myślących.

Gorgiasz Platona -- oczywiście w przekładzie Witwickiego. Weszło już po prostu w zwyczaj, że o każdym! nowym tomie tego polskiego Platona mówi się jaki o jakimś świeżo wydanym dziele oryginalnym. I słusznie, albowiem dopiero dzięki Witwickiemu Platon przywędrował do Polski i z łatwością można sobie odtworzyć wrażenie, jakie sprawia ten pisarz w wytwornej szacie dobrej i jędrnej polszczyzny na umysłach tych wszystkich, którzy go po raz pierwszy biorą do ręki: jest to rewelacja, a zarazem posiew myśli dziwnie świeżych i chciałoby się prawie rzec -- aktualnych, gdyby słowo to nie oznaczało właściwie rzeczy banalnych i pospolitych.

Mówią, że wydanie *Gorgiasza* było w Atenach pewnego rodzaju skandalem literackim. Oto ukazał się jeszcze za życia sędziwego sofisty, którego imię widnieje w tytule, i staruszek zobaczył w nim jak w krzywym zwierciadle swą postać zmanierowaną, i zapewne z niemałą przykrością stwierdził, że on, co wszystkie rozумы zdawał się ukrywać pod purpurową przepaską na swej pięknej głowie -- tyle nauczyć się może od owego barczystego młodzieńca, którego nieraz spotykał w pierwszorzędnym domach ateńskich. Z jakim zaś gorzkim uśmiechem musiał czytać przede wszystkim ten ustęp, gdzie Sokrates platoński nazywa drogą

Gorgiaszowi retorykę upiorem życia politycznego i porównywa ją z kucharstwem, które jest schlebaniem ciała, jak schlebaniem duszy jest puste krasomówstwo. Jeszcze w II wieku po Chr. retor Arystydes polemizował z tym poglądem Platona, na jego zaś zarzuty odpowiadał neoplatonczyk Porfiriusz.

Tymi zaś ideami przejął się niewątpliwie Platon w obcowaniu z na wskroś trzeźwą i niepoetyczną naturą Sokratesa i pod jego wpływem nadał swemu stylowi cechy surowej prawie wstrzemięźliwości. Dawny poeta czuł teraz niechęć do owej sztuki kucharskiej, przygotowującej smaczne i pięknie garnirowane kąski, i on, który mógł pisać najkwiecistym językiem, wyrabia w sobie upodobanie do twardego kontrastu myśli i wyrażeń, a usuwając się od wszelkiej błyskotliwości, odnajduje harmonię nowego stylu, harmonię słów prostych, o swobodnym układzie.

Gorgiasz jest dialogiem niezwykle bogatym. Rozmowa zawiązana na ulicy ze wszystkimi towarzyskimi uprzejmościami przechodzi w silne i naprężone starcie, aby zakończyć się orfickim kazaniem. Każdy większy dialog Platona zawiera jakby całą filozofię, a filozofie te są czasem tak odmienne, że nie należałoby nigdy cytować: „Platon mówi”, bez dodatku, w którym dialogu i w jakich okolicznościach.

Nieraz w starożytności zastanawiano się, czy Platon był sceptykiem, czy dogmatykiem. Platon miał żywą namiętność do gimnastyki i tej na boisku -- gry nagich ciał świecących oliwą, i tej drugiej -- w jakimś zacisznym miejscu gry swobodnej myśli, połyskującej co chwila innymi odcieniami. Pytanie: dogmatyk czy sceptyk, towarzyszy i lekturze *Gorgiasza*.

Oto bowiem wśród zapasów Sokratesa z zapalczywym Polosem na temat retoryki i sofistyki miesza się do rozmowy Kalikles, który widać nie może już dłużej wysiedzieć, bo mu do żywego dojadła dialektyka syna akuszerki Fajnarety. Zaczyna się nowy akt dramatu. Występuje przed nami postać niesłychanie bujna i tęga, człowiek mocny, który może sobie pozwolić na cynizm i nie ma w sobie ani cienia szkolnej nieśmiałości, bo jest brutalny jak życie samo. Kalikles głosi prawo silniejszego. Ten silniejszy, ten „nadczłowiek”, nie ogląda się na prawa ustanowione przez słabych dla obrony słabych. „Jeśli się trafi mąż z odpowiednią naturą to wszystko to strząśnie z siebie, przełamie, wyrwie ste i podepce nasze formułki i kuglarskie sztuczki, i łagodne uroki świętych słów, i prawa przeciwne naturze wszystkie; powstanie i ukaże się jako pan nasz; oś niewolnik; wtedy rozbłyśnie sprawiedliwość natury.”

W końcu Kalikles, który się całkowicie poświęcił sprawom publicznym, namawia Sokratesa, aby i on zajął się czymś pożytecznym: „Bo filozofia to, wiesz, Sokratesie, rzecz wcale miła, jeśli się nią ktoś w miarę pobawi za młodu. Ale jeśli by kto w niej tkwił dłużej, niż potrzeba, to

gotowe zepsucie człowieka... Kiedy widzę, że starszy człowiek filozofuje i jeszcze się z tego nie wyłamał, to już mi się widzi, że kija potrzeba na takiego jegomościa, Sokratesie.”

Kalikles mówi zupełnie jak Rzymianin i mówi tak mocno, że słuchamy go z prawdziwym zdumieniem. Myślimy sobie: Przecież Platon to pisał i jeśli napisał to z takim zapalem, to czy przypadkiem ten prawnik Solona i praprawnuk króla Kodrosa nie myślał czasem tak, jak myśli Kalikles? Czy nie żał mu było areny publicznej, którą porzucił, aby się zamknąć w gabinecie uczonego i literata? Tym bardziej że kiedy Kalikles znów mówić zacznie, bije z jego słów jakiś niesłychanie wartki pęd życia: „Człowiek, który ma żyć, jak należy, powinien żądom swoim puścić wodze; niechaj będą jak największe, i nie powściągać ich. A kiedy będą jak największe, wystarczą wtedy wiosła odwagi i rozsądku, żeby mieć pełno, po brzegi, wszystkiego, ku czemu się żądza kiedykolwiek ruszy.”

Słowa te brzmią jak erotyk śpiewany pod murami klasztoru. I gdy na to w ten sposób patrzymy, mamy przed sobą obraz rozdartej duszy Platona i gotowi jesteśmy wyczytać w dalszych ustępach cierpki osąd Sokratesa. Albowiem Kalikles gromi całą jego metodę: „Sokratesie, czy ty się nie wstydzisz w tym wieku łapać ludzi za słowa? I niech się komu niewłaściwe słówko wymknie, ty się cieszysz, jakbyś nie wiadomo co znalazł!” I już ten grymas lekceważenia zatrzymuje do końca: „Ja cię już od dłuższego czasu słucham, Sokratesie, i przytakuję, bo uważam, że choćby ci kto nawet żartem przyznał cokolwiek, ty się cieszysz i chwytasz się tego jak dziecko.”

Ale Platon, jakby sam otrząsnąwszy się spod uroku tęgiego i zdrowego poglądu na świat Kaliklesa, patrzy już od dłuższego czasu na swego biednego mistrza rozrzuwionymi oczyma i pozwala mu podźwignąć się i otworzyć przed nami czystą duszę człowieka sprawiedliwego. Albowiem posłyszał Sokrates od Kaliklesa gorzkie słowa: nie tylko te o swej drobiazgowej dialektyce i swych drobnomieszczańskich upodobaniach do rzeczy pospolitych, ale i o wiele bardziej cierpkie o swym niewygodnym położeniu w Atenach, posłyszał w końcu groźbę śmierci.

Sokrates zaś mówił: Gdybym ja tak przypadkiem, Kaliklesie, że zbita duszę miał, to czy nie myślisz, żebym się cieszył znalazłszy jeden z tych kamieni, którym próbują złoto? Najlepszy niechby był, ja bym duszę do niego przyłożył i gdyby mi kamień przyznał, że dusza dobrze wygląda, ja bym na pewno wiedział, że duszę mam w porządku i nie potrzeba mi już innej próby... Dzisiaj ciebie spotkałem i mam wrażenie, że mi się właśnie w tobie coś takiego znaleźć trafiło.

Złota dusza Sokratesa znalazła swój kamień probierczy. Kalikles mówił o życiu bujnym,

pełnym namiętności, a Sokrates zadaje sobie pytanie: a może myśmy umarli i ciało to nasz grób? Namawiał go do porzucenia filozofii i zajęcia się polityką, a Sokrates z pewną goryczą, jakby czuł w ustach smak cykuty, zapewnia go, że on jeden w Atenach uprawia istotną działalność społeczną, i dalej już mówi w ten sposób, jakby widział przed sobą otwarte więzienie, które go nie trwoży, równie jak i śmierć, „byleby sobie pomógł tym, że ani ludzi, ani bogów w niczym nie ukrzywdził ani słowem, ani czynem”. Mówi jakby zza grobu i odsłania tajemnice podziemia, jak je sobie wyobrażali orficy. Ostatnia jego mowa ma akcenty takie podniosłe, takie namaszczone, że doprawdy lepiej ich określić niepodobna, chyba że są to po prostu akcenty chrześcijańskie. Drga ona jakąś wyższością duchową, jakby ten człowiek sprawiedliwy mówił już z wysokości nieba, które sobie wysłużył życiem bez skazy.

Niepodobna się mylić: Platon pisał Gorgiasza pod silnym wrażeniem śmierci Sokratesa, pisał z egzaltacją i goryczą. Była to ponowna „Apologia” i ponowne oskarżenie Ateńczyków. Pisał zaś to wszystko porywczo i namiętny dialog ma logikę nader chwiejną. Warto na końcu książki przeczytać sprzeczkę logiczną Witwickiego z Platonem.

Mimo to jednak jest to dziwnie piękny, bogaty i pełny dialog. Platon był matematykiem, filozofem, retorem (tak! nawet retorem), poetą; był wszystkim jednocześnie, ale w pewnych chwilach któryś z tych składników jego geniuszu brał górę nad innymi. W Gorgiaszu jest poetą dramatycznym. Potrafił dać życie każdej postaci, każdej scenie, każdemu słowu. Są tu właśnie te „wielkie kobierce figur”, o których mówi Walter Pater. Wybuchy temperamentu powstrzymują na chwilę tok poważnej rozmowy, a właściwie podsycają ją tylko, dodają jej nowych blasków, ożywiają, wprowadzają do myśli drganie namiętności. Wysuwają się z cienia fizjonomie ludzkie, dokoła których skupiają się drobne próżnostki, cechy ich stanowiska lub obyczajów, a gdzieś jeszcze dalej i głębiej błąkają się echa codziennych intryg, co na pierwszy rzut oka nie mają nic wspólnego z filozofią, ale bardzo wiele z wypowiedaniem swych myśli przez poszczególne osoby.

Nikt tak nigdy nie pisał dialogów filozoficznych. Platon mógłby być powieściopisarzem, taką bezinteresowną rozkosz znajduje w rysowaniu sylwetek ostro zaciętym ołówkiem z delikatną złośliwością, z humorem, z ironią, ale tworzy dramaty oparte na intrygujących konfliktach sądów ludzkich i mając do czynienia z samą tylko oderwaną myślą przez wdzięk ruchliwego jak ogień słowa potrafi naszą uwagę przykuć tak, jak ten, co opowiada dzieje serca. Ma on bowiem wyobraźnię nader plastyczną i oko dziwnie czujne. Umysł ma pełen obrazów i sprawia, że pod wpływem jego słów abstrakcje zmieniają się w żywe stworzenia. On dawał ciało ideom, jak Homer bogom. On je widział naprawdę, a miał język tak dzielny, że i my

widzimy to wszystko, o czym on mówi.

Cechą tego języka jest jego absolutna codzienność, z lekka tylko i po mistrzowsku stylizowana. Pisał tak, jak mówiono dokoła niego. Nasza filozofia posługuje się językiem technicznym i ktoś obcy czuje się w jej środowisku, jakby był w towarzystwie fachowców, rozmawiających między sobą własnym żargonem. Platon nie znał terminologii specjalnej na wyrażenie rzeczy, o których mówił, i jako dobry stylistą stronił od niej i pisał językiem żywym, obrazowym. Stąd pod jego piórem dialektyka nabierała cech dramatu, a czasem dzwoniła rytmem liryki.

Rozumiemy tedy zachwyty poety starożytnego, który wołał: „Słońce nie błyszczy tak jasno jak twój geniusz. A ma on blask słodki i miły, dla oczu ludzkich odpowiedni, co głęboko wnika w duszę.” Albowiem sztuka Platona to najpiękniejszy kwiat Grecji i jakby połączenie wszystkich jej sztuk razem. Z głębokiego poczucia harmonii rodziły się gromadnie na niewielkiej przestrzeni czasu, którego Platon był ośrodkiem, trwale i dostojne dzieła geniuszu greckiego. A jest w nich jakaś czystość i delikatność im tylko właściwa. Wśród wszystkich twórców ducha ludzkiego wyróżniają się szlachetnością. Wytworny wdzięk jest ich wyłącznym przywilejem. Chwilami zdaje się, jak gdyby poza Grecją widziało się jedynie wysiłek i przymus. Tajemnicę prostoty i swobody ona jedna posiadała. Mówię zaś to wszystko dlatego, że w moich oczach dialog Platona ma wdzięk kolumny jońskiej.

Rozdzwoiliłem się dytyrambem na cześć Platona. Stało się to zupełnie niespodzianie, w chwili gdy przerzucałem białe kartki Gorgiasza, i mówiłem o tej książce dłużej, niż zamierzałem z początku. Gorzej, że tylko jakby mimochodem wspomniałem o tłumaczu. Ale czyż mówiąc o Platonie nie miałem i jego zarazem na myśli? Przecież cytowałem wszystko z jego przekładu i ani razu nie odczuwałem potrzeby oryginału. Czy może być większa dla tłumacza pochwała?

„Rzeczpospolita” 1922, nry 283-284.

Minnesaengerskiej pieśni wątek złoty

Bardzo wcześnie zacząłem pisywać recenzje teatralne i wyobrażam sobie, jak by się uśmieiał Kornel Makuszyński, już wtedy „znany i ceniony” oraz łysy, gdyby mu ktoś zdradził, że ten „szkrab”, który za nim siedzi, jest kolegą recenzentem. To zresztą było dopiero następnym razem. Pierwszą moją recenzją było krótkie sprawozdanie z amatorskiego przedstawienia sztuki Przybyszewskiego „Złote runo”, i zrobiłem sobie wroga z kolegi, który w niej występował, bo nie znalazłem dość uznania dla jego przesadnych ambicji aktorskich.

Kiedy indziej, wciąż jeszcze uczeń gimnazjalny, miałem poważniejszy temat: „Wroga ludu” z Rygiem w roli Stockmana. Zabrałem się do tego z zapalem i dałem sążnisty artykuł o Ibsenie i jego dramacie. Redakcja odesłała mi rękopis z listem, w którym zwracano mi uwagę (uprzejmie i dyskretnie), że kilka lat temu Ibsen przeszedł przez scenę lwowską z głównymi swymi dziełami i że wtedy o każdym z nich (i o „Wrogu ludu”) pisało się obszernie, dziś nie pora poświęcać tyle miejsca wznowieniu sztuki i trzeba się zatrzymać tylko na inscenizacji i grze aktorów.

Z pokorą poddałem się temu życzeniu uznając jego słuszność i tak mi to głę boko zapadło w pamięć, że dotąd nie mogę się otrząsnąć ze zdziwienia, gdy czytam sąż niste felietony o starych sztukach, jakby je po raz pierwszy wystawiono. Ale cóż tu mówić, skoro nawet wyraz premiera tak się zdewaluował, że trzeba było stworzyć nowy -- prapremiera, który może z biegiem czasu też nie wystarczy.

Dla mnie oczywiście Ibsen był nowością w owej młodzieńczej dobie. Kto wie, czy nie odkryłem go właśnie dzięki wystawieniu „Wroga ludu”, w każdym razie było to w tym cza sie i w kieszeniach mojego mundurka zawsze się znalazło parę tomików „Biblioteki Powszechnej” (wydawnictwo Zuckerkandla w Złoczowie) z dramatami Ibsena w tych, pożał się Boże, przekładach, w jakich wielki Norweg przemawiał ze scen polskich. Tak się jednak złożyło, że nigdy już nie miałem sposobności pisać o Ibsenie, bo albo go nie grano, albo ja w czasie jakichś wznowień nie pisywałem recenzji.

Sam sobie nie uświadomiłem, jak często bywałem recenzentem, dopiero w mojej bibliografii przekonałem się, jak obfity i różnorodny jest ten materiał, i być może kiedyś zużyję go w osobnym tomie, idąc za radą tych, co uważają, że byłoby to potrzebne. Z podobnej inicjatywy przed kilku laty dodałem do tomu „Szkiców” niewielki wybór felietonów teatralnych pisanych w roku 1938. Tu, wśród pism młodzieńczych, dają tylko artykuł poświęcony sztuce Szujskiego.

Józef Szujski: Królowa Jadwiga

Na rzeźbie wielkich pieczęci majestatycznych, zwisających u pergaminów na jedwabiu zielonym i czerwonym, w nader misternej robocie, widzimy na tronie w kształcie gotyckiego, rzeźbionego ołtarza, o dwóch szeroko rozwartych podwojach smukłą a wyniosłą postać dziewczyną pod rozłożonym płaszczem królewskim, w obcisłym, pod szyję zapiętym stroju. Na głowie ma wysoką koronę z szerokiej, kamieniami sadzonej obrączki, z której strzelają dokoła lilie rozkwitłe. W prawej dłoni trzyma berło, rozkwitające również liliowym kielichem. Jest to piętnastoletnia królowa Polski, Jadwiga.

Piękną była Jadwiga tak, że z dalekich stron przyjeżdżano, aby ją zobaczyć. Urodzona na Węgrzech, a wychowana w Wiedniu, z gorącą krwią andegaweńską w żyłach, „z dziewic Południa piersią, pełną tęsknoty”, marzyła więcej o szczęściu własnym niż tego ludu, któremu panować miała, i główkę miała zajęta więcej myślą o miłości niż o państwie. Lękała się panów polskich, poważnych i groźnych. „Już wtedy pobożna i sławie świątobliwości przychylna”, zgodziła się na jakieś niewyraźne projekty małżeńskie, ze łzami w oczach i sercem złymi przeczuciami ściśnionym.

W tych czasach dozwolano wcześniej płonąć uczuciom, których nie należy sądzić według delikatnych sonetów Petrarce. Już sama edukacja zaznajamiała młodzietki dziewczątka z sekretami miłości, albowiem taka sprośna w naszych oczach książka, jak *Enseignements du Chevalier Geoffroi de la Tour-Landri à ses filles* miała za pomocą pikantnych historyjek wpajać moralność i grzech obrzydzać. Ponieważ jednak wszelkie wykroczenia przeciw czystości i wierności małżeńskiej zaliczano do „grzechów pomniejszych”, za które tylko siedem lat pokuty czyścicowej czekało, niewiele sobie z podobnych występków robiono.

Jadwiga od roku siedziała na tronie krakowskim, niepewna swych losów. Odepchnęła miłość Ziemowita i Władysława Opolskiego. Obojętność, z jaką tę decyzję dziewczęcą przyjęli panowie koronni, kazała jej obawiać się nowych swatów. Tymczasem serduszko pod szkarłatem niespokojnie biło na wspomnienie bardzo już niepewne i mgliste „oblubieńca heimburskiego”. Był nim książę Wilhelm rakuski, z którym zaręczono ją uroczyście w Heimburgu, gdy miała lat siedem. Nie pamiętała go prawie, ale słyszała o nim i marzyła. On tym bardziej pamiętał. Wiedział, że z tą najpiękniejszą ręką w ówczesnej Europie wzięłby zarazem jedną z najcenniejszych koron. W średnich zaś wiekach myślano o posagu podobnie jak teraz, a

słowo „profit” w czułych pieśniach trubadurów pojawiało się co najmniej tak często jak „miłość”, nad czym ubolewali ci, dla których pozostał drogi dawny ideał szwalerii.

Ruszył tedy Wilhelm do Krakowa, w chwili gdy jego młodziutki ojciec, Leopold, po górach i dolinach szwajcarskich rozwieszał swą tęsknotę do jakiejś nimfy kaskad. „W średnich wiekach wszelkie początki były jeszcze trudniejsze niż za dni naszych” -- powiada Szajnocha i snadź wiedzieć musiał o tym sam „dworski” książę, bo jechał wśród swego kapiącego od złota orszaku, wśród trębaczy i flecistów smutny i zamyślony. Wiedział ambitny książę, że Polacy nie lubią Teutonów, a pogłoski o różnych swatach młodziuchnej królowej goryczą zaprawiały serce piętnastoletniego „narzeczonego z Heimburga”. Gdy mu jego przyboczny poeta i trefniś, Semchuwirt, podał zwierciadło, nabral nieco otuchy. Ujrzał swą postać w szkarłatne, perłami i złotem przetykane szaty odzianą i ten hełm na głowie, przepyszny hełm, o długim z tyłu pokrowcu, uwieńczony złotą koroną, z której wysoki wachlarz piór pawich wystrzelał -- i był pewny dobrego wrażenia.

Wykąpać się tedy kazał, pachnidłami namaścić, włosy złociste żelazkiem przypiec, paznokcie wygładzić, lekko twarz pociągnąć bielidłem i różem, i tak wyświeżony i strojny ruszył na Zamek. Tu go jednakże spotkał zawód. Burgrabia nie wpuścił „ceremonialnego oblubieńca” przed oblicze królowej, która nic o jego przybyciu nie wiedziała. Oburzyło to wielce księcia, a jeszcze więcej Jadwigę. Wszczęła się walka siwobrodych starców z biednym „dzieckiem w koronie”. Nie mogąc „narzeczonego” przyjmować u siebie, na Zamku, zgodziła się królowa na schadzki w mieście. Wybrano na ten cel klasztor franciszkanów, zrażając sobie przez to dominikanów, pozostających z braćmi mniejszymi w stałej niezgodzie.

Co wieczora refektarz klasztorny brzmiał hałaśliwą muzyką trąb, fletni, piszczałek, których nie zdołały zagłuszyć grube mury, zawieszone różnobarwnymi kobiercami i oponami. Co wieczora przybywała tam Jadwiga w otoczeniu wesołego dworu niewieściego, który mieszał się we wzorzystą, roześmianą mozaikę z dworem Wilhelma. Przetowłose panny ze srebrnymi lub złotymi wieńcami na głowach zasuwały się w ciżbę kawalerów i obecność swą zdradzały tylko brzękiem dzwonek i grzechotek, które im ostrożne matki przyczepiały do strojów w tym samym celu, w jakim dobry pasterz owieczkom, chodzącym po lesie, dzwonek przywiązuje. W tej atmosferze refektarza, napelnionej wonią pachnideł, rozemdlewającą muzyką, wśród płasów, śpiewów i śmiechów, dziecinne zapewnienia miłości dojrzałymi ustami powtórzone były i niejednym stwierdzone pocałunkiem.

Oboje „narzeczeni” postanowili miłość swą całemu światu ogłosić i w tym celu miał Wilhelm na Zamku z Jadwigą po „małżeńsku zamieszkać”. Ledwie się tam jednakże podstępem dostał,

zaalarmowano całą radę koronną i wytwornis książęcy, w koszu na linach przez okno spuszczone, ratować się musiał ucieczką...

O tym pobycie Wilhelma na Zamku różnie mówili, „krzywdząc -- jak zapewnia Szajnocha -- rzeczywistość niewinną”. Kanonik Długosz bardzo się o tym surowo wyraża, wtórują mu i inni aż do naszych czasów, a w obronie czci niewieściej staje tylko poważny radca magistratu wiedeńskiego i opat klasztoru zegańskiego na Śląsku, współcześni i nie uprzedzeni świadkowie.

Kiedy to się działo, panowie polscy Jagiełłę „najprzezacniejszą Jadwigę zapewniali, dawali, darowywali i odkazowali”. Kochającej dziewczynie pozostawała tylko -- ucieczka. W tym „wieku amazonek” nie brakło do tego śmiałości. Jadwiga postanowiła wymknąć się starą furką zamkową, zazwyczaj nie pilnowaną. Gdy się jednak do niej zbliżyła, spostrzegła wiszące u wrzeciędzów olbrzymie kłódki i straż. Kazała sobie wówczas podać topór i zaczęła rąbać drzwi. Sędziwy podskarbi koronny, Dymitr z Goraja, łzami swoimi i prośbami nakłonił wszelako królowę do poniechania czynu, który by nieszczęście na kraj i niesławę koronie sprowadził.

Wróciła tedy Jadwiga na Zamek, a ceremonialny książę rakuski w domu Morsztynów, w kominie na belce, całą noc przesiedział w obawie pościgu. Po czym w przebraniu kupca umknął z miasta, uwożąc Bóg wie jakie wspomnienia, które gorycz i duma niepospolicie wyolbrzymiały.

Jadwiga ze wstrętem myślała o Jagiełłę. Opowiadano jej, że dziki, straszny i cały „kosmaty”. Był księciem kraju, o którym Długosz w kilkadziesiąt lat potem pisał, że „zima trwa tam dziesięć miesięcy, a przez ten czas słońce świeci nisko i tylko godzin kilka, natomiast nie zachodzi wcale przez dwa miesiące, podczas których nie daje zapanować nocy”. Litwini cieszyli się podówczas taką sławą, jak dziś mieszkańcy znad jeziora Huron. Po pewnym zastanowieniu wysłała Jadwiga Zawiszę z Oleśnicy, aby sprawdził, jako jest. Aczkolwiek „miałkość rozumu” Jagiełły była powszechnie znana, domyślił się on celu podróży wysłannika królowej i wziął go z sobą do łaźni...

Szedł tedy nad wyraz okazały orszak litewski przez te same niwy mabpolskie, które Litwinów dotąd jako wrogów znały. I kiedy jedną bramą wymykał się austriacki strojniś, drugą wjeżdżał „prostak”, „saracen”, Jagiełło na obrzęd chrzestny, na który wielki mistrz krzyżacki Konrad Czolner de Rotenstein proszony był na ojca chrzestnego. Dziewczęca królowa oczekiwała straszego oblubieńca z mniejszym wstrętem, równą trwogą, ale zarazem wielką ciekawością.

France opowiada, że kiedy wstąpił do college, był zachwycony myślą, że w szkole czytać

będą *Esther i Athalie*. Miesiąc cały osnuwał te dwa zagadkowe imiona złotą przędzą swych fantazji dziecinnych. „W piętnaście dni potem, na Wszystkich Świętych, dostałem *Esther et Athalie*. Mały tom w tekturce, o grzbiecie z niebieskiego płótna, nosił tytuł: «Racine, *Esther et Athalie*, tragedie wyjęte z Pisma świętego, wydanie szkolne.» Ten tytuł nie zapowiadał nic dobrego. Otworzyłem książkę: ach! to było gorsze, niż się tego mogłem obawiać. *Estera i Atalia* pisane wierszami...”

Podobnych uczuć doświadczyła wczoraj publiczność, z tą jednak różnicą, że zgrzyzota France'a była przemijająca, a niezadowolenie publiczności premierowej mógł z łatwością pogłębić wiersz Szujskiego.

Szujski był historykiem i politykiem. Coś widocznie poza tymi dziedzinami pozostawał w jego duszy, skoro odczuwał potrzebę wypowiedania się w poezji. Pociągał go więc nade wszystko dramat, i to historyczny, w którym by mógł patrzeć „w dawno zmarłych żywe twarze”, a polityka entuzjazmowały dokonywające się tam tragedie zbiorowych sil i dążeń. „W kronice starej tęsknymi oczyma szukał kształtów dla myśli.” Kiedy zaś rozsunął „bluszcze przeszłości”, ujrzał przed sobą „dziewiczą główkę” w promieniach złotych włosów i dwoje ocząt marzących, utkwionych w przeszłość z niewysłowioną słodyczą smutku.

I pokochał tę „dzewicę bożego zesłania” sercem historyka, Polaka i poety. W „klasztornej celi myśli” stroskanej i bolesnej klęczał u liliowych stóp zmarłej, prosząc, by wyrosła przed nim jak brzoza z mogiły. Chciał ją do życia powołać, nie już wielkich wydarzeń wspomnieniem, ale zaklęciem dawnej miłości, której kamień grobowy nie stłumił.

Szujski wyjął z naszych dziejów w istocie jeden z najpiękniejszych momentów. Sama historia dawała mu do ręki tworzywo bogate i w całej swej prostocie poetyczne. Bez wszelkiej potrzeby wprowadził do historii zmiany, które jej blasku ani wdzięku nie przysporzyły. Wykazał tu jedynie ów „brak drażliwości zmysłu estetycznego”, o który tak uprzejmy Tarnowski go oskarża. Stało się więc, że pomimo wszelkich próśb i nalegań poety, Jadwiga

...nie drgnęła, jeno smutek cichy

Powlókl jej usta jak kwiatów kielichy.

Postać królowej wymaga wielkiej subtelności, by ją móc odtworzyć. Dać jej czysty zarys greckiego posagu, a oczy przyćmić mgłą dziewic słowiańskich, połączyć gorącą pierś dziecka Południa i hart amazonki, a wszystko to razem zlać w Antygonę chrześcijańską -- na to potrzeba było szczerego talentu poetyckiego, którego Szujski nie posiadał. Epigon wielkiego

romantyzmu, a jeszcze daleko nie wróźbita nowej epoki, wypowiadał trzeźwe uczucia „stańczyka” mesjanistycznym językiem, który mu w ustach się łamał i pelzł. Bohaterka jego „nie jest taką, jak by się chciało widzieć Jadwigę w poezji”, powiada nasz historyk literatury, Szujski tak pisze we wstępie: „Szukając różnych form dla dramatu naszego, nie pominąłem i tej, w której Jadwiga występuje. Jest to szeroka i deklamatoryczna forma francuskiej tragedii, z którą złączyłem pewne przypomnienia greckie.”

Przez wybór tej formy autor jeszcze bardziej pracę sobie utrudnił. Aby tworzyć jednocześnie na wzór Racine'a i Sofoklesa, trzeba mieć nieskończenie wiele taktu artystycznego, którego Szujskiemu brak, i władać nieskazitelną formą wiersza. Wiersz bowiem w swej upajającej pełni tworzy arcydzieła Racine'a. Tam właśnie jest ta „szeroka, deklamatoryczna forma”, ten wzniosły patos, ten „styl” w wielokrotnym znaczeniu użyty. Tam i w takiej np. Barbarze Felińskiego. Lecz wiersz Szujskiego jest ubogi, nierzadko frazeologiczny, rym niewyszukany, rytm niemelodyjny, w epitetach niepomysłowy lub wręcz fałszywy (np. „dłoń sędziwa”).

Taki zaś dwuwiersz:

Garstka rycerzy w twej książęcej świcie

Niewiele wskóra, gdy utraci życie --

robi wprost wrażenie wyjętego z libretta opery. Podobnych wierszy jest więcej.

Charaktery osób są blade i bez życia. Jak gdyby ledwo przez pół wydobyte z tego „pyłu grobów”, gdzie je poeta odnalazł. Jeden może Jagiełło jest ujęty szczęśliwiej i występuje wyraźniej. Działa zapewne 8114 kontrastu ten „wilk”, o którym jego bliski kuzyn mówi; że niewart takiej żony. W tym człowieku zdołał w istocie połączyć Szujski zwycięzcę spod Grunwaldu i rozmarzonego syna boró w, gdy słucha kłaskania słowików medycznych.” Poza tym są to postaci tworzone szablonowo, według reguł tych wzniosłych tragedii, gdzie co chwila bohaterowie wołają dziwne i przejmujące „cha! cha!” i w monologach odsłaniają tajniki swych dusz.

Tragedia Szujskiego może jednak działać na wzrok widza przez niezwykle staranną wystawą. O wczorajszej premierze niepodobna powiedzieć, aby sprostała temu zadaniu. Zapewne, że dzisiejsze warunki nie pozwalają na okazałość, ale nie usprawiedliwiają niedbałości i tandeciarstwa. Jeśli chodzi o kostiumy, należało zaglądnąć do Matejki, a nie robić balu kostiumowego z butami szlacheckimi z wieku XVII i kardynałem niemal współczesnym. Mozaiki umieszczone w głębi robiły raz wrażenie malowideł z grot magdaleńskich, a drugi raz

dawały wysokie wyobrażenie o tej sztuce w Polsce czasów Jadwigi. Koncierz drewniany w ręku pierwszego senatora sprawiał przykre wrażenie. Płaszcz królewski wymaga większego szacunku, niż mu go wczoraj okazywano, rzucając nim po kątach. Książęta piastowscy mieli więcej dumy, niż to nam wczoraj pokazano. Na scenie bowiem kryli się chętnie wśród paziów i służby. Żadnego poszanowania dla godności książęcej ani senatorskiej. Familiarne klepanie po ramieniu Jagiełły. Panu krakowskiemu czeladź przejść nie daje, i to w tym wieku, kiedy przy drzwiach trwały obowiązkowe kwadranse ceremonialności. Niepodobna sali gotyckiej dawać kasetonów renesansowego pułapu.

Kiedy sztukę wystawiono w roku 1865 w Krakowie, rolę tytułową grała *M o d r z e j e w s k a*, która zyskała takie nader umiarkowane pochwały autora: „Odegrała trzeci akt wybornie, resztę z wyjątkiem kilku odcieni zadawalająco.” *P. M i c h n o w s k a* potrafi więc ocenić, że rola jej jest nazbyt trudna, aby łatwą drogą zdobyć można było laury. Gra jej wczorajsza nie była „zadawalająca”. Skąpa mimika, operująca wyrazistością zbyt jaskrawą a zarazem niepomyślową, nie zdołała podkreślić tych przedziwnych metamorfoz, przez które przechodzi dusza Jadwigi.

P. K o z ł o w s k i, jako Wilhelm przedstawiał się nade wszystko korzystnie zewnątrz. Lepszy w scenach uczuciowych, nie zawsze umiał się zdobyć na właściwy akcent w momentach gniewu i uniesienia.

Jagiełło *p. O k o r n i c k i e g o* miał w sobie wiele rubasznego „saracena”, ale mało dostojności królewskiego. Witołd *p. R a s i ń s k i e g o* był tak olśniony pięknnością Jadwigi, że zapomniawszy o swej wysokiej godności i historycznej powadze, przemawiał głosem *p. H i p o l i t a z P a p i e r o w e g o k o c h a n k a*. Kreacja *p. R y d z e w s k i e g o* (biskup Bodzanta) była na ogół poprawna. *P. B i e l e c k i* wywoływał śmiech na galerii, chociaż to nie leżało w jego intencji. *P. D u n i n* powinien pracować nad swoim głosem i opanować swe ruchy. Wczoraj na wiadomość, że Jadwiga ma narzeczonego, zakręcił się w koło i jęknął bardzo osobliwie. Wszyscy artyści nie dość starają się o oddanie wiersza i rytmu. Wiersz Szujskiego, chociaż zły, przecież nie zasługuje na to, aby go zmieniano w prozę. Słuchając wczorajszej sztuki, ma się poczucie, jak dalece jest niezbędną szkoła dykcji, którą powinni przejść nie tylko młodzi, ale i starzy artyści. Talent deklamatorski po prostu zamiera i przez to sztuki tego rodzaju będą niemożliwe do wystawienia.

„Gazeta Lwowska” 1920, nry 224-225.

Cesarz Kaligula

„Manent vestigia irritae spei”: te słowa Tacyta nawiedzają mnie, gdy patrzę na ten felieton o Kaliguli. Jeszcze parę takich okruchów dałoby się znaleźć w rocznikach czasopism na przestrzeni kilkunastu lat, świadectwo upartych myśli i studiów. Felieton tu przedrukowany, jak głosi podtytuł, był napisany z okazji wystawienia dramatu Rostworowskiego. On sam przyjechał do Lwowa, miał odczyt w sali kina „Apollo”, niedobrze pamiętam treść odczytu (tyle lat!), pamiętam tylko, że cytował fragmenty przedsokratyków, Ksenofanesa, Empedoklesa, we własnym przekładzie. Widziałem go wtedy po raz pierwszy -- z daleka, nazajutrz z bliska, bo siedziałem obok niego w restauracji „George'a”, gdzie jego impresario podejmował go kolacją, i żeby nie było tu żadnej pomyłki, że tylko on jeden jest jego gościem, a nikt więcej z tuzina osób, które się zebrały przy stole, podnosił się co jakiś czas z krzesła i wołał: „Panie Rostworowski, proszę brać, może jeszcze trochę ryby.” Rostworowski marszczył się za każdym razem, coraz bardziej zirytowany. Lecz nie przerywał rozmowy ze mną -- oczywiście o Kaliguli. Opowiadał o swoich studiach nad tą postacią: były naprawdę sumienne i rozległe. Znał wszystkich autorów, wszystkie źródła do historii Kaliguli. Na koniec roześmiał się: „No, jakże? zdałem egzamin?” I z kolei zaczął mnie zachęcać, bym nie poprzestał na drobnych szkicach, ale poświęcił temu czy innemu cesarowi większą pracę. „Może to być powieść.”

Myślałem o niej latami. Pojechałem z Kaligulą do Włoch. Przesiedziałem kilka tygodni na Capri, więcej niż pół roku w Rzymie, zgromadziłem setki kartek z notatkami. Tymczasem mijał rok za rokiem, przychodziły coraz inne prace, a na tą tak długo i starannie przygotowywaną, nie było miejsca. Myśl o niej nie opuszczała mnie nigdy. Nawet dzisiaj, kiedy straciłem wszystkie tak pilnie gromadzone materiały, nawet dzisiaj, zaprzętnięty tak wielu i tak innymi rzeczami, nie porzuciłem zamiaru z moich lat młodości. Może w istocie spełnią kiedyś życzenie Rostworowskiego.

(Przed wystawieniem dramatu K. H. Rostworowskiego)

Biograf cesarzy rzymskich, Swetoniusz, opowiada, że po śmierci Kaliguli znikły w ciągu jednej nocy w Rzymie wszystkie posągi tego cesarza. A było ich sporo, bo nie tylko ile ich było potrzeba do różnych świątyń i do urzędów, ale jeszcze niezliczone mnóstwo posągów bóstw wszelakich nosiło rysy młodego władcy, który chciał nawet Dzeusowi olimpijskiemu nasadzić

głową rzymskiego imperatora.

W starożytności jednak byli zbieracze nie mniej od dzisiejszych gorliwi, dla których cnoty lub występki cesarza nie miały większego znaczenia wobec jego biustu lub statuy, stanowiącej nieraz ze względu na robotę lub materiał prawdziwą ozdobę zbiorów. I tak znaleziono koło Garigliano posąg Kaliguli w zbroi (dziś w Neapolu) tuż obok statuy Trajana. Dzięki zapobiegliwości i bezstronności owych kolekcjonerów posiadamy kilkanaście biustów i posągów Kaliguli, zupełnie autentycznych i przeważnie bardzo dobrych.

Jest w kapitolńskim muzeum bazaltowy biust Kaliguli w pancerzy ku, nad którym wznosi się głowa teatralnego tyrana. Pochylona na bok, z czołem zachmurzonym, brwi ściągnięte groźnie, pod nimi oczy skrzące się gniewem, delikatnie wykrojone usta potomka wielkiego rodu Juliuszów układają się w grymas szyderczy i złośliwy. Ale to pochylenie głowy! Ma się wrażenie, że Kaligula niespokojnie nasłuchuje i patrzy, czy za chwilę nie trzeba będzie zmienić wyrazu twarzy.

Niewątpliwie rzeźbiarz, który ten biust wykonał, żył z nim razem na dworze Tyberiusza na Capri. Tacyt bowiem powiada, że „całe jego zachowanie się naśladowało zachowanie się Tyberiusza w danej chwili, mówił nawet prawie jego słowami”. W nieustannym żyjąc lęku o życie, które zależało od starego władcy, posyłającego na śmierć kolejno wszystkich członków jego rodziny, Kaligula był posłusznym niewolnikiem, uległym jak pies.

A potem, kiedy sam został cesarzem, i oblicze się zmieniło, i cała postać rozprężyła się ową nadmierną siłą, jaką nagle poczuł w sobie. Zostało mu tylko zawsze coś z dziecka. Głowę miał pełną bajek i fantazji. Jak dziecko biegł coraz dalej, aby poznać granice swej władzy, i ze zdumieniem widział, że nie ma ona kresu. Chciał uchodzić za groźnego tyrana i małpowany niegdyś wyraz grozy uważał i teraz za najodpowiedniejszy dla władcy świata i układał go na twarzy, stojąc godzinami przed lustrem, zanim się ludziom pokazał.

Było w nim coś naiwnego, i tą naiwnością rozbrajał. Miał w sobie coś z dziecka, a zarazem wydawał się szaleńcem. Pociągało go zawsze to, co nie miał o celu użytecznego albo wydawało się przekraczać granicę możliwości. W niebywale krótkim czasie zbudował pod Boulogne olbrzymią latarnię morską, która przetrwała do połowy XVII wieku. Rzucił fantastyczny most wiszący między swoim pałacem na Palatynie a świątynią Kastora i Polluksa na Forum Romanum jedynie po to, aby móc zjawić się niespodziewanie w czasie nabożeństwa i stojąc między posągami dwóch bogów odbierać hołdy ludzkie jako bóg najwyższy.

Kiedy się czyta Swetoniusza, ma się wrażenie, że cesarstwo rzymskie było jedną wielką sceną teatralną, na której cesarz-tragik, cesarz-komik, tancerz, cyrkowiec urządzał dzień po dniu

i noc po nocy jakieś coraz bardziej niezwykle widowisko, i że tylko ten jeden cel miała władza cesarska, przed niespełna dwudziestu laty ugruntowana przez mądrego boskiego Augusta. I ma się wrażenie, że i lud rzymski niczego więcej nie pragnął, skoro nienawidził oszczędnego i rozumnego Tyberiusza, a kochał Kaligulę, który cały skarb w kilka miesięcy roztrwonił i szalał tak, że wszyscy z tego mieli niepomiarłą uciechę. Historycy zdają się zapominać, że państwo wymagało jakichś rządów, że były tysiące spraw, które ktoś załatwiał i rozstrzygał, a tylko zajęci są opisem niebywałych rozrywek cesarza.

Pomiędzy Baje a Puteoli zbudować kazał Kaligula most na przestrzeni kilkukilometrowej. Spędzono całą flotę, która z Egiptu przywoziła zboże do Włoch, okręty ustawiono na kotwicach w dwa rzędy, zasypano ziemią, obłożono kamiennymi płytami tak, żeby most przypominał *regina viarum* -- Via Appia. Powbijano nawet słupy milowe, przesadzono drzewa, ustawiono ławki kamienne; nie brakło po drodze zajazdów i posterunków poczty cesarskiej. Most Kserksesa na Hellesponcie był wobec tego dziecinną zabawką.

Na tej niezwyklej ulicy pojawił się Kaligula na koniu w złocistym płaszczu greckim, z mieczem u boku i skórzaną tarczą hiszpańską na rzemieniu. Jechał na czele swego oddziału pretorianów. Złożono ofiarę Neptunowi i bogini zazdrości. Tej ostatniej może dlatego, że kiedyś astrolog Trasyllus zapowiedział Tyberiuszowi, iż Kaligula wówczas panować będzie, kiedy ktoś zdoła konno przejechać przez zatokę bajońską.

A gdy wracał zwycięzca morza z Puteoli, jechał na wozie dwukołowym ze złota, ciągnionym przez sześć najpiękniejszych wyścigowych rumaków. Wieczorem całe wybrzeże zajaśniało nieprzeliczonym mnóstwem świateł, a tłum najróżnorodniejszy zappełnił most, na którym podawano do uczy. Wówczas na rozkaz cesarza zerwano most i tysiące ludzi pochłonęło rozkoszne morze Bajów. A Kaligula na brzegu śmiał się swym cichym, dziecinnym śmiechem...

Cieszył się po prostu swoją władzą nieograniczoną. Zrobiło mu się raz w czasie uczy bardzo wesoło na myśl, iż wystarczy jedno jego skinienie, a głowy obydwu konsulów rzymskich spadną. Całując kochanki swoje mówił im: „*Tam bona cervix simul ac iussero demetur.*”

Łatwo sobie wyobrazić, jak się musiały ugiąć kolana delegacji żydowskiej, która przyjechała prosić go o łaskawość i wyrozumiałość dla ich narodowych tradycji. Nie mógł im przebaczyć, że go za boga nie chcą uważać. Kazał postawić swój posąg w sanctissimum świątyni jerozolimskiej i zżymał się, że tego dotychczas nie uczyniono. Jako bóg przybierał rozmaite imiona, a nierzadko występował w kostiumie Afrodyty. Zbudowano mu świątynię, miał własne kolegium kapłanów, do którego obok przedstawicieli najwybitniejszych rodów

należał i jego ukochany koń, Incitatus, desygnowany konsul rzymski. Składano mu w ofierze pawie, papugi, bażanty i jakie jeszcze były najrzadsze ptaki. Kochał się w przepychu. Jedna uczta kosztowała go dziesięć milionów. W pucharach rozpuszczać kazał perły. Kąpał się w kosztownych esencjach. Dla swoich ćwiczeń gimnastycznych kazał posypywać boisko tylko piaskiem nilowym, jak to czynił Aleksander. Miał okręty o żaglach z purpury, bramowanej złotem, naszywanych klejnotami. Stroił się wymyślnie jak kobieta. Wkładał barwne płaszcze, pełne drogich kamieni, lubił jedwabie różnokolorowe, ubierał bądź trzewik teatralny, bądź też buciki damskie, czasem znów chodził z przyprawioną złotą brodą i piorunem na podobieństwo Jowisza, innym razem jako Hermes z kaduceuszem lub Neptun z trójzębem, wreszcie jako triumfator. Powiadają, że pancerz Aleksandra Wielkiego dobył z grobu i w nim chodził.

Kiedy się wyczerpały zasoby skarbu państwa, Kaligula, który potrzebował pieniędzy tyle, aby się mógł tarzać w nagromadzonych kupach złota i potem je trwonić bez miary, zaczął łupić obywateli wymuszaniem i podatkami. Jeśli to nie wystarczało, sprzedawał na licytacji urządzenia pałaców cesarskich. Sam wywoływał przedmioty na sprzedaż, zachwalając stary płaszcz, który miał August w czasie bitwy pod Akcjum, tkany własnymi rękami babki Liwii, lub wazę egipską pradziada Antoniusza. Licytacja ta odbywała się w Galii, w Lyonie, gdzie cesarz bawił się wybornie przez dwa lata, odnosząc chimeryczne zwycięstwa i posyłając do Rzymu zamiast trofeów ze swej fantastycznej wyprawy -- muszle zebrane na brzegu morza.

Robił wrażenie rozbawionego i psotnego chłopca. Podczas owej licytacji spostrzegł nagle, że senator Aponius Saturninus zdrzemnął się i kiwa głową. Natychmiast zwrócił nań uwagę urzędnikowi, mówiąc, że stary dostojnik zgadza się na wywołaną cenę. Kiedy Saturninus się zbudził, ze zdumieniem dowiedział się, że jest właścicielem dziewięciu gladiatorów, których nabył, sam o tym nie wiedząc, za bajeczną sumę półtora miliona. Był prawie zrujnowany.

Rujnował się cesarz i wszyscy dokoła niego tracili majątki. Wielu z nich on sam w tym pomagał. Rosły tylko z dnia na dzień dwie olbrzymie fortuny wyzwoleńców: Protogenesa i Kallistusa. Były to czasy, kiedy zaczynały się rządy wyzwoleńców. Ci dwaj za Kaliguli, za Klaudiusza Pallas i Narcyz, za Nerona Helios i Epafrodyt, ten sam Epafrodyt, który się raz dziwił, jak można żyć, mając tylko sześć milionów majątku. Byli to ludzie sprytni, żądni władzy, do której dochodzili z wolna, zdobywając ślepe zaufanie cesarzy, stając się niezbędnymi, bo gotowymi na wszystko. Jeden z nich przetrwał wszystkie rewolucje i wszelkie zamachy i służył po kolei dziesięciu cesarzom.

Majątki tych wyzwoleńców były równie wielkie, jak ich władza, a władza ich równała się cesarskiej. Sprawowali ją w imieniu cesarza i oni właściwie rządili państwem. Za Kaliguli

Kallistus i Protogenes. Ten ostatni miał przy sobie zawsze dwie tabliczki, zwane „sztylet” i „miecz”, w których notował zamierzone wyroki śmierci.

Własnym okrucieństwem podsycił okrucieństwo swego pana. Kaligula bowiem był okrutny. Woził ze sobą zawsze kata, lubił patrzeć na męki i śmierć. „*Cowards are cruel*” -- mówił poeta angielski, a Kaligula był tchórzem, cokolwiek by o tym mniemał Rostworowski. Kiedy grzmiało, chował się po kątach blady i drżący. Nie sypiał po nocach, trapiiony widmami. Jego wierna straż, złożona z olbrzymich Germanów, widziała, jak chodził nocą po korytarzach i krużgankach, czekając, aż dzień zaświta.

W bezsenności i rozpuście zużył się tak, iż wrychle wyglądał jak starzec. Wyniosła niegdyś postać stała się dziwnie miękka, skurczył się niby pod ciężarem jakimś, a przytył trochę, ruchy miał jednak zgrabne i wytworne; na twarzy blady, z żółtawym odcieniem, oczy i skronie wpadnięte, czoło szerokie, a zawsze zachmurzone, włosy rzadkie, na ciemieniu widoczna łysina. Zbrzydł młody Gajus, który dawniej taki był piękny i szlachetnością rysów przypominał drogiego Rzymianom Germanika.

Na jednej kamei w sardonyksie wyryto dwie gowy: Kaliguli i jego siostry Drusilli. Kochał ją bardzo i dość długo, nie jako siostrę, bo wszystkie swe siostry uczynił kochankami i zapraszał na uczyty, kładł obok siebie, nie krępując się obecnością żony. Ową zaś Drusillę uwiódł jeszcze dziewczyną w domu babki Antonii. Wyszła potem za męża za Luciusa Cassiusa Longina. Zostawszy cesarzem, zabrał ją do siebie i ożenił się z nią, a gdy umarła, wyniósł do godności bogini, nazwał Pantheą, stawiał jej świątynie, odbierał na jej imię przysięgę. Senator Livius Geminius na własne oczy widział, jak Drusilla unosiła się do nieba. Dostał za to dwieście tysięcy sestercjów.

Żenił się często i równie często innym żony zabierał. Liwie Orestillę, gdy wychodziła za męża za Gajusa Pisona, odprowadził od ołtarza do swego domu, a natarczywemu małżonkowi krzyknął: „Nie czepiaj się mojej żony.” Po kilku dniach ją wyrzucił i skazał na dwuletnie wygnanie. Gorsza kara spotkała Lollię Paulinę, żonę męża konsularnego Gajusa Memiusa, którą gdzieś z prowincji sprowadził, posłyszawszy, że kiedyś babka jej była najpiękniejszą kobietą, i wrychle odegnał, zakazując jej na przyszłość stosunku z jakimkolwiek mężczyzną.

Ostatnia pieściła wystygłe ciało cesarza Caesonia. Nie była to kobieta ani młoda, ani piękna. Matka trzech córek, urodziła Kaliguli córkę w miesiąc po ślubie. Cesarz był szczęśliwy nad miarę i dziecko Minerwie kapitolńskiej położył na kolana, przeznaczając ją na niankę boskiego potomka. Caesonię kochał szalenie i raz chciał ją na tortury kłaść, aby się dowiedzieć, dlaczego ją tak kocha. Ubierał ją w płaszcz wojskowy, hełm, dawał: tarczę lekką i tak wystrojoną

pokazywał żołnierzom. Przyjaciołom zaś inaczej: bo naga.

Kaligula, którego wstąpienie na tron przed niespełna czterema laty witano z nieopisanym entuzjazmem wśród pieśni pochwalnych i dymiących ołtarzy, sprzykrzył się w końcu nie tylko senatowi, doznającemu najwięcej upokorzeń, ale i ludowi rzymskiemu. Nie podobały się powszechnie uciążliwe podatki, jakie nakładał cesarz, któremu brak było pieniędzy. Brał nawet podatek od prostytutek, co było już wprost oburzające.

Zawiązało się kilka spisków, które się nie powiodły. Duch spiskowy przeniknął wojska. Mianowicie Cassius Chaerea, trybun kohorty pretoriańskiej, postanowił się zemścić za ustawiczne zniewagi, jakie go spotykały. Był to już człowiek starszy, trochę zniewieściały, z którego lubił żartować Kaligula. Płatał mu różne figle. Na hasło dawał mu „Wenerę” albo „Priapa” i ośmieszał go w ten sposób przed żołnierzami. A gdy ten cesarzowi za coś dziękował, podawał mu do pocałowania dłoń, ułożoną zawsze w jakiś kształt nieprzyzwoity.

Był to dzień 24 stycznia r. 41 po Chr., dzień igrzysk palatyńskich ku czci Augusta. Urządzano je w dolinie pod Palatynem, tam gdzie potem stanął łuk Tytusa. Zbudowano teatr naprędce z desek. Tego dnia zebrały się wielkie tłumy, albowiem na wieczór przygotowywano dziwne widowisko, sceny piekła, przedstawiane przez Egipcjan i Etiopów.

Okolo południa cesarz wyszedł z teatru, aby cokolwiek przekąsić i odpocząć w pałacu. Towarzyszył mu wuj Klaudiusz, stary idiota i niedołęga, późniejszy cesarz. Gwardia germańska szła przed nim. Kiedy minął bramę palatyńską, orszak jego zawieruszył się gdzieś wśród ulic, on zaś wszedł do kryptoportyku, podziemnego przejścia prowadzącego do pałacu. Panował tam półmrok, słabo rozświetlony słońcem, które się przedzierało przez małe okienka w górze. Po drodze cesarz spotkał gromadę dzieci wielkich rodów azjatyckich, sprowadzonych dla uświetnienia widowiska. W tym ustroniu uczono je śpiewać hymny i tańczyć tańce pyrryjskie.

Chaerea był na służbie. Usunął wszystkich dworzan i ciekawych i otoczył Kaligulę spiskowcami. Podeszedł do niego z tyłu i zadał cios mieczem w głowę. Cesarz podniósł rękę, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zaczął uciekać. W tej chwili otoczono go zewsząd. Dostał trzydzieści pchnięć sztyletem. Słyszając zbliżanie się straży, spiskowcy schronili się do domu Germanika. Germanowie, szaleni z wściekłości i żalu za swoim ukochanym „Cesarzem-Trzewiczkiem”, mordowali wszystkich spotkanych po drodze...

Tak umarł w dwudziestym dziewiątym roku życia Gajus Cezar Kaligula. Panował trzy lata i dziesięć miesięcy. Wraz z nim zginęła Caesonia, którą jakiś centurion przeszył mieczem, i córka, której głowę rozbito o mur. Historycy nie wyrażają zdziwienia. Wszak była to rocznica zabójstwa króla macedońskiego Filipa, a wszyscy z domu Cezarów, którym było imię Gajus,

od niepamiętnych czasów marli od żelaza.

„Gazeta Wieczorna” 1921, nry 6052-6053.

Ten, co ma skrzydła motyla

W roku 1922 -- miesiąca nie pamiętam -- „Kurier Poznański” ogłosił konkurs na nowelę czy opowiadanie, zdaje mi się że określono również rozmiary, raczej szczupłe. Wtedy od jednego rzutu napisałem ów drobiazg: „Ten, co ma skrzydła motyla”. I wysłałem oczywiście bez nazwiska, tylko pod hasłem -- jakim, nie pamiętam. Pierwszy i jedyny raz brałem udział w konkursie, zachęcony przez Stanisława Maykowskiego, który był wówczas kierownikiem literackim „Kuriera”. Dostałem pierwszą nagrodę, jury było bardzo dostojne (zasiadał w nim Reymont). Dostałem nagrodę, ale „Kurier Poznański” opowiadania nie wydrukował, bo było zbyt swawolne, dopiero później pojawiło się ono w czasopiśmie „Salon Literacki”.

Dwie rzeczy miały wpływ na powstanie konkursowej nowelki: wtedy właśnie tłumaczyłem Longosa „Dafnis i Chloe”, a jednocześnie amorki pompejańskie swymi motylimi skrzydełkami trzepotały w moich myślach, zaprzęgniętych pracą archeologiczną pt. „Humor w malarstwie pompejańskim”. Nigdy jej nie napisałem, że smutkiem dziś myślę, że stos tak troskliwie zbieranych kartek z materiałami i uwagami zamienił się w garść popiołu.

Niech się nazywają po prostu Dafnis i Chloe. Tak się powinno zawsze nazywać dwoje pięknych dzieci. A oni są piękni. O, patrzcie, jak idą trzymając się za ręce!

Idą przez las. Przystanąli. Naturalnie, bo tam, na prawo, słychać pukanie dzięcioła. Gdzie on może być? Ależ owszem, jest, i ma czerwoną czapczkę na głowie.

-- Dzień dobry, panie dzieciule!

Nie zrozumiał widocznie ich słów, gdyż odleciał o parę drzew dalej. Roześmiali się tylko i spojrzeli sobie w oczy. On miał czarne, a ona niebieskie.

Snadź nie miało to dla nich większego znaczenia, albowiem on rzekł po chwili:

-- Tę różową kokardkę dostałaś z pewnością od cioci Leny. Bardzo ci w niej ładnie.

Chloe pomyślała, że on tak zawsze wszystko zauważy, ten Dafnis. I szli dalej. Chodzili tak ze sobą kilka lat i tak samo patrzyli sobie w oczy, i tak samo trzymali się za ręce. Czasem mocniej, czasem tylko tak sobie, jakby z przyzwyczajenia.

A Eros? Co, ten mały chłopczyk? Był, a jakże! Bawił się z nimi na łące. Był jakby mniejszy od nich i zdawało się, że nigdy nie wyrośnie. Razem z nimi zrywał kwiaty i łapał motyle. O, motyle łapać umiał lepiej od nich, przychodziło mu to zupełnie łatwo, bo sam miał takie skrzydełka jak motyl. Miał nawet tęczowe żyłki na skrzydełkach, jak u ważki. Czasem pogonił

za daleko i nie było go parę dni, ale zawsze wracał. Widocznie było mu z nimi dobrze.

Nieraz rozmawiał ze starszymi, ale ci nie brali go poważnie. Co innego Dafnis i Chloe! O, oni wierzyli w jego mądrość, choć, oczywiście, nigdy mu tego nie powiedzieli. Był przecież jeszcze taki mały!

Raz na przykład stanął przed nimi, ręce w tył założył i wykrzywając ku nim pucułowaty buziak, rzekł:

-- A może byście się tak pocałowali?

Rada to była dziwnie roztropna. Ale tak się tylko w pierwszej chwili zdawało. Bo potem, potem chodzili oboje, Dafnis i Chloe, bardzo smutni przez pięć dni. A gdy się znów pocałowali, było im smutno przez całe dwa tygodnie i nikt nie umiał powiedzieć, dlaczego.

Chloe wyjechała z rodzicami na kilka miesięcy, Dafnis chodził sam po lesie, po łące i siedział nad strumykiem pod starymi wierzbami, gdzie zawsze pełno pizmówek. Kiedyś przyszedł do niego Eros i ni stąd, ni zowąd odezwał się:

-- Ty jesteś jeszcze bardzo głupi, Dafnisie, choć masz już szesnaście lat.

-- Dobrze -- odparł Dafnis -- ale dlaczego mi to ty mówisz, który jesteś znacznie mniejszy ode mnie?

Eros nic nie odpowiedział, tylko zaczął przyglądać się trzmielowi, który właśnie wybierał miód z kielicha jakiegoś kwiatka. Odwrócił się jeszcze i rzekł:

-- Chloe przyjedzie za trzy dni.

Skąd on wie o tym? Mniejsza skąd wie, ale jeśli prawdę mówi, toż to wielka nowina! I nagle poweselało wszystko dokoła, a Dafnis zaczął drżeć, jakby mu było zimno.

-- Może weźmiesz na siebie coś ciepłego? -- zawołał Eros, który gdzieś przepadł wśród sitowia i stamtąd słychać było jego śmiech.

Chloe w istocie przyjechała na trzeci dzień, ale chora była i zaraz położyła się do łóżka. Nawet jej nie widział. Tak samo było dni następnych.

I znów Dafnis siedział sam nad strumykiem pod starymi wierzbami. Przechodziła jakaś piękna pani z zieloną parasolką. Zauważyła Dafnisa i usiadła tuż przy nim. On usunął się nieco, tak sobie, z grzeczności. Ona powiedziała: „Tak gorąco...” i wsunęła rękę w wodę strumienia. Dafnis spostrzegł, że ma ona bardzo białą rękę, a na palcu pierścień, który zielono błyszczy spod wody.

Patrzyła na niego. On wtedy zaczął szukać czterolistnej koniczynki. Zapytała go, czego szuka po trawie. Odpowiedział, że czterolistnej koniczynki. Zaśmiała się i rzekła:

-- Nawet się nie domyślasz, jak łatwo ją znaleźć.

Dafnis podniósł na nią oczy, bo myślał, że zaraz mu powie, jak znaleźć czterolistną koniczynkę. Ale ona znów się zaśmiała i rzekła:

-- Masz bardzo ładne czarne oczy.

-- Tak, to prawda -- odparł -- ale pani wie, że Chloe jest chora.

-- To nic groźnego zapewne -- powiedziała piękna pani i wstała.

Po chwili zaś:

-- Chodź ze mną.

Dlaczegoż by nie miał z nią pójść? Przecież i tak niema nic do roboty.

Piękna pani mieszkała niedaleko stąd, w domku, przed którym rosły jarzębiny. Aha, złościły się tam jeszcze przeloty i nostrzyki. W domu było strasznie cicho. Na oknach wisiały zielone firanki, a w rogu stała wielka kanapa. Właśnie na tej kanapie kazała mu usiąść. I sama usiadła. Zdawało się Dafnisowi, że jeszcze nigdy nie siedział na takiej miękkiej kanapie. Pomyślał: „Ciekaw jestem, czy Chloe...”

Ale dłużej nie miał czasu myśleć, gdyż piękna pani zarzuciła mu ramiona na szyję i przysunąwszy swą twarz do jego twarzy, szepnęła: -- Kocham cię, Dafnisie. -- Zdawało mu się wtedy, że w pokoju nagle uczyniło się ciemniej. Ale to z pewnością tylko mu się zdawało. Teraz piękna pani wstała i zamknęła drzwi na klucz.

.....
Odprowadziła go aż do progu. Wtedy już naprawdę było trochę ciemno. Pocałował ją w rękę i stojąc na schodach zawołał:

-- Dziękuję pani. Żeby teraz tylko Chloe jak najprędzej była zdrowa.

I pobiegł.

„Salon Literacki” 1922/23, nr 8.

Salome

Szkic o „Salome” miał wejść do VII tomu dzieł zbiorowych Oskara Wilde'a, zapowiedzianego pod moją redakcją przez wydawnictwo H. Altenberga. Miał ów tom obejmować tragedie, wśród nich „Salome” w moim przekładzie. Był on już dokonany w roku 1913 i przeznaczony do „Biblioteki Powszechnej” Zuckerkandla, gdzie został przyjęty, ale wojna zdążyła wybuchnąć, zanim się ukazał. Potem zaś nie było już o tym mowy, bo przygotowywałem owo monumentalne wydanie Wilde'a. Z kolei miałem wątpliwości, czy dać dawny przekład „Salome”, gdyż robiłem go na podstawie tekstu angielskiego, który jak wiadomo, jest dziełem Alfreda Douglasa, czy też opracować nowy przekład z francuskiego oryginału. Ledwo jednak powziąłem takie postanowienie, rozwił się miraż dzieł zbiorowych.

W lutym roku 1893 nakładem „Librairie de l'Art Independant” w Paryżu na rue de la Chaussee-d'Antin ukazał się piękny tomik in quarto, w tonie fiołkowym, z następującym napisem, tłoczonym srebrnymi literami:

Oscar Wilde
SALOME
Drame en un acte

Było to pierwsze wydanie, oryginalne, drukowane na rozkosznym papierze welinowym, obejmujące osiemdziesiąt cztery stronice w nie rozcinanych arkuszach. Z sześciuset egzemplarzy całego nakładu oddano tylko pięćset do rozprzedaży księgarskiej -- po dziesięć franków. Dziś jest to wydanie wielką rzadkością bibliograficzną. Po kartce tytułowej następuje dedykacja:

*A MON AMI
PIERRE LOUYS*

W salonach paryskich mówiono już od dawna o tym dramacie. Zachwycała się nim Sara Bernhardt, a to najzupełniej wystarczało, aby mówili o tym dziele z zachwytem przede wszystkim ci, którzy go nie znali. Do prasy angielskiej przedostała się plotka paryska, jakoby dramat był napisany dla samej artystki.

Wilde, nie odczuwając nigdy bezużyteczności podobnych wysiłków, zaprotestował przeciw tym pogłoskom w jednym z czasopism angielskich. (Mówił nieraz, że ani recenzji, ani wzmianek o sobie nie czyta, wszelako przy każdej sposobności zdradzał dziwną pasję polemiczną i zaatakowany natychmiast sam gęsto ciosy wymierzał.) Nie wiem, co mu to mogło szkodzić, dość, że nie lubił, gdy go pomawiano o tę niewinną kurtuazję względem artystki przyzwyczajonej od dawna do narzucania swych kaprysów najwybitniejszym piórom Europy. Wilde jednak uporczywie twierdził, że nigdy nie pisał nic dla żadnej artystki, choćby nią była boska Sara. Może chciał w ten sposób dokuczyć bujnie rozkwitającej sławie d'Annunzia.

Przyjaciele najbliżsi wyjaśnili, że plotka powstała stąd, iż Sara Bernhardt skarżyła się raz poecie, dlaczego nie napisze dla niej jakiejś sztuki. Wówczas odpowiedział on żartem („*in jest*” -- podaje Robert Ross), że właśnie to uczynił. Artystka chciała natychmiast przejrzeć rękopis i nie znając jeszcze samej rzeczy układała fantastyczne plany jej wystawienia.

Zapał Sary Bernhardt nie był przemijający. Bawiąc w roku 1892 w Londynie, zaczęła odbywać próby z Salonie w „Palace Theatre”. Na trzeciej próbie zjawił się w teatrze urzędnik cenzury z kancelarii lorda Chamberlaina i zabronił wystawiania tej „niereligijnej sztuki”, powołując się na ustawę angielską, nie dopuszczającą na scenę tematów z Pisma świętego. Od kancelarii lorda Chamberlaina trudno było wymagać dokładnej znajomości historii dramatu angielskiego, która była przecież jawnym zaprzeczeniem podobnej ustawy. Rozgoryczony Wilde nosił się wówczas z zamiarem przyjęcia obywatelstwa francuskiego. Biografowie jego nie omijają tej sposobności, aby nie opłakać poniechania tego zamiaru, którego urzeczywistnienie pozwoliłoby Oskarowi uniknąć losu, przez Opatrzność zarezerwowanego wyłącznie dla poddanych Jej Królewskiej Mości.

Sara Bernhardt odwiozła *Salome* z powrotem do Paryża, obiecując ją wystawić we własnym teatrze. Rzecz jednak uległa zapomnieniu, a przyjaciel Wilde'a, Sherard, zastał zamknięte drzwi znakomitej artystki, gdy ją przyszedł prosić o pomoc pieniężną dla więźnia z Reading Goal. W czasie gdy Wilde krwawił sobie palce, drąc powrozy na dziedzińcu więziennym, „Théâtre de l'Oeuvre” w Paryżu wystawił *Salome* w roku 1896. Heroda grał Lugné Poé. Cała Anglia nie mogła wyjść z podziwu, albowiem po tamtej stronie kanału nikt nie mógł pojąć, jaką wartość może mieć sztuka autora skazanego na dwa lata „*hard labour*”.

Wilde sam nigdy jej nie oglądał na scenie, a dopiero w pięć lat po jego śmierci, w maju roku 1905, wystawiono ją w Anglii. Był to przedstawienie prywatne w „New Stage Club”, otoczone posmakiem nieprzyzwoitości. Orientująca się z niezwykłą przenikliwością w ruchu umysłowym Europy krytyka angielska zgodnie podkreśliła, że jest to dzieło „wydobyte z

zapomnienia” (*dragged from obscurity*).

Na to odpowiedział gorliwy rzecznik sławy Wilde'a, Robert Ross, z całą prostotą:

„W r. 1901, w niecały rok po śmierci autora, wystawiono ją w Berlinie. Od tego czasu nie opuszcza sceny. Grano ją w Niemczech w ciągu dłuższego czasu niż jakąkolwiek sztukę innego angielskiego autora, nie wyłączając Szekspira. Popularność jej rozszerzyła się na wszystkie kraje, gdzie jej nie zabroniono. Gra się ją w Europie, Azji, Ameryce. Została przetłumaczona nawet na język żydowski.” Jeśli się poza tym przełądnie bibliografię *Salome*, widzi się, jak dalece ta rzecz zdołała trafić do serc ludziom wszystkich krajów, ras i narodów.

Po angielsku wyszła *Salome* w roku 1894 z ilustracjami Beardsl eya. Na białej karcie tego nader pięknego wydania in quarto widnieje dedykacja:

*TO MY FRIEND
LORD ALFRED BRUCE DOUGLAS
THE TRANSLATOR OF
MY PLAY*

Tłumaczem był ów piękny bładny młodzieniec, którego Wilde poznał i pokochał w roku 1891 i o którym mówił, że pod jego wpływem i dlatego, aby jego ciemnoniebieskie oczy miały na czym spocząć, pisał najlepsze swe dzieła.

Oryginał napisany był i wydany po francusku. Dlaczego się tak stało, trudno powiedzieć. Wpłynęło na to zapewne środowisko Paryża i to przekonanie, że Anglicy tego dramatu nie odczują. Wilde nieraz tytuły swych wierszy lub nawet większych całości układał po francusku, po grecku, po łacinie, widocznie taką, a nie inną formę przybierały one w jego umyśle i do odmiennej formy nałamać by się nie mogły. *Salome* pomyślała mu się po francusku.

Tekst francuski dał powód do przewlekłej i zawilej sprzeczki literackiej. Potrząsano nad nim głowami i opowiadano sobie najniedorzeczniejsze plotki. Niektórzy mówili, że Wilde zgoła nie umiał po francusku. Stuart Merrill twierdził, że Wilde mówił po francusku z fantazją dosyć miłą w rozmowie, ale z taką fantazją, która ze sceny wywołałaby efekt wprost oplakany. Podobno jedno ze swych opowiadań zakończył Wilde słowami: „*Et puis, alors, le roi il est mouru!*”

Była to jednak nieprawda. Andre Gide, który go często słyszał rozmawiającego, pisze, iż Wilde „znał język francuski cudownie, lecz udawał, że szuka słów, wówczas gdy chciał, aby na te słowa trochę poczekano. Prawie nie miał cudzoziemskiego akcentu, a przynajmniej tyle tylko, ile chciał, aby go było dla nadania słowom odcienia nowego i dziwnego”.

To samo przyznaje Henri de Regnier, który w swych *Figures et caracteres* powiada: „Wilde mówił po francusku z werwą i taktem niezwykłym”, i dodaje, że jako humanista oksfordzki mógł być z równą łatwością swe bajki opowiadać po grecku i po łacinie.

Inaczej być też nie mogło, skoro Oskar Wilde zdobył w tym Paryżu, tak nieczułym dla cudzoziemców, tyle szczerych zachwytów i te dwa tytuły: „*brillant causeur*” i „*superbe conteur*”.

Kiedy w roku 1912, po wznowieniu *Salome* w Paryżu, krytyka żywiej zajęła się tym dziełem, na szpaltach pism zaroilo się od anegdot dotyczących powstania sztuki, że to pamięć ludzka im bardziej oddala się od danego przedmiotu, tym chętniej chłonie w siebie nowe o nim szczegóły. A był to czas, kiedy każdy bodaj trochę wybitniejszy literat popisywał się osobistą znajomością i przyjaźnią Oskara Wilde'a i uważał za swój obowiązek komunikowanie światu coraz to nowych o nim dykteryjek.

Otóż w owym czasie p. André Salmon wystąpił ze „sprostowaniem” błędnych informacji o genezie dramatu, zagmatwał sprawę do reszty i dodał wspaniałomyślnie od siebie kilka nowych niedorzeczności.

Mówi on tak: „Krytyka błędziła wskazując bezmyślnie na to, że *Salome* została napisana o zakład przez Oskara Wilde'a, Marcelego Schwoba, Pierre Louysa i Stuarta Merrilla. Ostatnio p. Henri Bauer dał wiarę tej legendzie literackiej na łamach «Action».

Prawda wygląda zgoła inaczej. Oskar Wilde sam napisał swą *Salome* i napisał ją po francusku. Ale francuszczyzna ta była nędzna, niepoprawna, ciężka i barbarzyńska. Oskar Wilde nie ukrywał przed sobą, że dzieło jego jest niedoskonałe. Poprosił więc swego przyjaciela Stuarta Merrilla, aby przejrzał tekst. Poeta *Czterech pór roku* wyznawał później, że ilość poprawek, jaką należało przeprowadzić, po prostu go przerażała. Wziął się jednak do roboty.

Oskar Wilde wiedział, że dzieło jego jest niedoskonałe, ale nie przypuszczał, żeby było ono do tego stopnia źle napisane. Wzbraniał się nawet przyjąć niektórych uzasadnionych poprawek, jakie wprowadził do tekstu jego dyskretny i przychylny współpracownik. Rękopis dostał się do rąk Adolfa Rette (a było to na długo przed jego nawróceniem się), który nie tylko potwierdził poprawki Merrilla, ale ze swej strony dodał jeszcze kilka innych wspaniałomyślnie! Teraz Oskar Wilde zdał sobie dokładnie sprawę z żalosego stanu, w jakim się znajdował jego tekst, i Pierre Louysowi przypadł zaszczyt *de donner le dernier coup de lime*.

Co się zaś tyczy Marcelego Schwoba, to on nie miał nigdy rękopisu w swych rękach. Oskar Wilde, który wiedział dobrze, jak ma wybierać swych sekretarzy, powierzył mu jedynie sprawdzenie korekt. Tak więc współpracownictwo Marcelego Schwoba ograniczyło się do poprawienia kilku błędów drukarskich.”

Ta ostatnia wiadomość nie ulega przynajmniej żadnej wątpliwości, albowiem wykonawca ostatniej woli i najbliższy przyjaciel Oskara, Robert Ross, pisze w przedmowie do wydania Salome: „Jestem w posiadaniu listu Schwoba do wydawcy paryskiego, któremu on odsyłał korektę z dwiema lub trzema nieznacznymi zmianami. Marcel Schwob mówił mi w kilka lat później, iż miał «wrażenie, że zepsułby charakter spontaniczny stylu Wilde'a, gdyby go spróbował pogodzić ze stylem uznanym przez Akademię Francuską».”

W tych wszystkich „zeznaniach” pojawia się stale nazwisko Stuarta Merrilla. Należy tedy i jego przesłuchać. Opowiada on: „Pewnego dnia Wilde przyniósł mi swój dramat, który napisał bardzo prędko, od pierwszego rzutu po francusku, i prosił mnie o poprawienie jaskrawych błędów. Nie było to rzeczą łatwą skłonić Wilde'a do przyjęcia wszystkich mych poprawek... Przypominam sobie, że większa część tyrad zaczynała się od słowa «enfin!» Ileż powyrzucałem tych enjin! Spostrzegłem jednak rychło, że poczciwy (bon) Wilde miał do smaku mojego nader względne zaufanie.”

Tym zaś wszystkim relacjom, mniej lub więcej plotkarskim, przeciwstawia się proste i mocne zdanie przyjaciela Oskara, Roberta Harborough Sherarda, który ma pełną odwagę oświadczyć: „Było to jego własne dzieło, albowiem pisał je w moich oczach, chociaż tekst francuski przejrany był przez p. Marcelego Schwoba.” Mamy zatem jeszcze zeznanie naocznego świadka, który również francuski język znał, i potworności, o jakich wspomina p. Salmon, nie uszłyby tak łatwo jego uwagi.

Co sądzić o tym wszystkim? Jeśli się zważy, że Wilde przez całe życie miał albo zaciekle wrogów, albo bałwochwalczych wielbicieli i że wrogów miał z pewnością więcej, ba, nawet (a może szczególnie?) wśród „najzyczliwszych” żarzyły się przeciw niemu skryte nienawiści -- to przyjdzie nam sporą dozę tych anegdot zrzucić na karb prostej a śmiesznej niegodziwości.

Ten i ów ze znajomych Wilde'a (mógł to być Schwob lub nawet Stuart Merrill) mieli zapewne w rękach Salome, zanim wyszła drukiem, wszelako ani nad tym dziełem nie pracowali wspólnie z autorem, ani ich poprawki nie miały takiego znaczenia, jakie by sobie chętnie przypisali. Jedynym prawdziwym doradcą był subtelny Pierre Louys, któremu Salome jest poświęcona w francuskim wydaniu. On potrafił odczuć całe leżące w niej piękno, a miał tak delikatną rękę, że zatrzeć go ani nie mógł, ani nie chciał.

Bo i o cóż chodzi? Tekst francuski Salome odznacza się niezwykle prostotą. Ktoś powiedział, że osoby dramatu mówią tak jak dzieci, które miały francuską guwernantkę. Są to zdania proste, przeważnie twierdzenia lub przeczenia, tak że w pogodnym nastroju umysłu można je wziąć za rozmówki z Ollendorffa. Nieśmiałość, jaką musiał odczuć Wilde, pisząc w

obcym języku, nie pozwoliła mu obrać formy bardziej rozwiniętej i bogatszej. Śmiesznym jest jednak przekonanie, żeby Wilde nie zdołał napisać tych kilkuset zdań prostych w taki sposób, żeby nie przerażały Stuarta Merrilla! Prawdopodobnie pisząc już swój poemat spostrzegł, iż ta nieumiejętność staje się dlań raczej źródłem nowej doskonałości i że forma, jaką mu poddała konieczność, właśnie jak najbardziej odpowiada jego zamierzeniom artystycznym. I w ten sposób spotkał się Oskar Wilde, autor *Salome*, z autorem *Siedmiu księżniczek*, Maurycym Maeterlinkiem.

Słusznie powiada Schwob, że język Wilde'a straciłby na poprawieniu go w myśl zasad stylu Akademii Francuskiej. Z pewnością wielu, którym się forma *Salome* nie podobała, raził brak owego: „*moule régulier et tranquille*” i owej „*structure académique et logique*”, o której mówią popularne stylistyki francuskie.

Całe głębokie wrażenie dramatu zawisło od tego nagromadzenia zdań krótkich, które z jakąś niepokojącą, okropną monotonią drążą serca słuchaczy, jak kropla wody z wolna, a bezlitośnie drąży skałę.

Rytm tego stylu jest odmienny od rytmu stylu i samego nawet języka francuskiego, porównania wiążą się ze sobą i układają zupełnie inaczej. Flaubert wytepiłby wszystkie prawie *comme*, które splatają łańcuch cudownych porównań Wilde'a. Przymiotnik, który w dekoracyjnym stylu francuskim odgrywa tak znamioną rolę, potęgując jednocześnie sugestię specyficznej kadencji tego stylu, znajduje słabe zastosowanie u Wilde'a, dającego stanowczą przewagę rzeczownikowi, i to takiemu, który połyska, barwi się lub wręcz zamyka w sobie cały obraz. Wszelako w tej scenie, gdzie Herod; stara się odwrócić *Salome* od jej okrutnego żądania, w partii bardziej opisowej gra coś z fantazji Flauberta i czasem słyszy się jakby dalekie echo stylu autora *Kuszenia świętego Antoniego*, echo dalekie, osłabione niemożnością naśladowania.

Salome, córka Herodiady, księżniczka judejska, jest jedną z tych przez pół tylko z mroku wyłaniających się postaci historycznych, które ciągną ku sobie własną tajemniczością. Ludzie, których każdy dzień znamy; którzy albo sami się o to postarali, albo ich w tym wyręczono, żeby nie pozostawić naszej fantazji żadnych zagadek do rozwiązywania -- ludzie wymuskani dłutem historii do ostatniego szczegółu niezbyt nęcą oko artysty.

Co z nimi można zrobić? Dodać im kilka szczegółów, postawić ich w nieco odmiennym świetle, nagiąć kilka ich rysów psychologicznych do własnej koncepcji -- dzieło jałowe i niewdzięczne. Natomiast ci wszyscy, którzy całą swą istotą ukryci w mroku, wysuwają na blade światło jakiś jaskrawy szczegół swej historii lub przedzierają ów mrok błyskawicą jednego momentu swego życia, bez jego przyczyn i bez jego skutków, gdzie owa jedna chwila

lśni jak kropla krwi na ciele martwym, które nam nie powie ani bōdu swego, ani rozkoszy -- ci wszyscy, co stają przed nami z uśmiechem, jak Mona Lisa, lub z ekstazą w oczach, jak Maria z Magdali, lub sztywnieją w tańcu śmierci, jak owa księżniczka judejska -- ci wszyscy ludzie bez rodowodu, bez metryki, jakby wyjęci z ram czasu i otoczenia, więcej jeszcze -- odsunięci od całej swej dawnej i następnej jaźni -- żywe obrazy z całą jednak martwością obrazu, który do nas nigdy nie przemówi, nie zaśmieje się ani zapłacze ludzkim głosem, nie może ani siebie usprawiedliwić, ani potępić nikogo ze swych bliźnich, leżących oddzielnie pod grubszym jeszcze całunem niż on sam -- ci wszyscy kuszą, dręczą, niepokoją.

Chwyta się ich fantazja jak bluszcz, co pieszczotliwymi skrętami pnie się ciekawie wzdłuż marmurowych ciał bogów, którym już nikt na ziemi nie składa ofiary. W tym jest tajemnica tej żywej sugestii, jaką wśród wielu innych postaci na dusze artystów wywierała -- Salome, smutna tanecznica.

U prymitywnych malarzy i na portalach starych bazylik, na sklepieniach kaplic fundowanych przez pobożnych królów i na murach klasztorów żywiących rzesze białych mnichów, wśród mnóstwa figur świętych pańskich i potępieńców wkrada się za protekcją Jana Chrzciciela uwodzicielka i tyle snadź ma w sobie czaru, że najbardziej zbożny pędzel najmniej udolnego artysty nie umiał zakryć jej wdzięków. Jest ona jak ów księżyc w oczach Heroda -- kobieta naga i rozpustna, którą snujące się po niebie chmury na próżno osłonić się starają.

U tych skromnych malarzy pierwszych wieków chrześcijaństwa, którzy do dzieła swego przystępowali z tą samą skrucą łagodną, z jaką odbierali z rąk kapłana przełamany chleb pszeniczny -- Salome pojawia się słodka, pogodna, o rysach Madonny, a w jej niewinnych oczach odbija się przestach jej czynu, jakby spoza niej wyrosły. Renesansowa Salome jest kobietą dojrzałą, świadomą swego czaru i niesie głowę proroka w dłoniach białych z takim wdziękiem, jak paź złotowłosy niesie na szkarłatnej poduszce modlitewnik swej pani; w oczach jej maluje się cała uroda życia owej epoki. Dopiero niedawne czasy usiłowały wysać z bladego widma przeszłości wszystką krew, jaka ongi je ożywiała, i porzucając gibkie ciało tancerki,, spadły ustami wampira na jej serce.

Cóż się wiedziało o niej? Bardzo wiele i bardzo mało. Prócz jednego chyba Flauberta, nikt nie zaglądał do; historyków po bliższe informacje o Salome. Nikogo to nie obchodziło, że była wnuczką wielkiego Heroda, że wyszła za swego wuja Filipa, tetrarchę Trachonitis, a po jego śmierci w roku 34 po Chr., gdy światem rządziło posępne serce Tyberiusza, została żoną kuzyna swego Arystobula, syna Heroda Agryppy I.

Bo i są to szczegóły bez znaczenia. To, co w niej jako postaci dziejowej i legendarnej jest

najistotniejsze, powiedzieli jedni ewangeliści. I to ci najmniej tędzy -- Mateusz i Marek. (Łukasz wspomina tylko o uwięzieniu Jana jednym zdaniem.) Nie umieli oni pisać historii, nie odczuwali potrzeby żadnego tła i żadnej chronologii, ale przedstawiając rzeczy tak, jak one odbijały się w ich prostych duszach, dawali zamiast faktów -- obrazy plastyczne. W ich opowiadaniach zawarte jest wszystko, co nam trzeba wiedzieć o tancerce judejskiej.

Opowiadania obu ewangelistów są prawie jednobrzmiące.

Albowiem Herod pojmał Jana i związał go, i wsadził do ciemnicy dla Herodiady, żony Filipa, brata swego, którą był pojął. Bo Jan mówił Herodowi: Nie godzi się tobie mieć żony brata twego. (Obcego dynastę strofował według prawa Mojżeszowego.) A Herodias czyhała nań i chciała go zabić, a nie mogła. Albowiem Herod bał się Jana, wiedząc go być mężem sprawiedliwym i świętym, i bał się ludu, albowiem mieli go za proroka. I strzegł go, a słuchając go wiele czynił i rad jego słuchał.

A gdy był dzień po temu, Herod dnia narodzenia swego sprawił wieczerzę panom i tysiącnikom, i przedniejszym Galilei. A gdy weszła córka onej Herodiady i tańcowała pośrodku, i spodobała się Herodowi i społu siedzącym, rzekł król dziewce: Proś mnie, o co chcesz, a dam tobie. I przysiągł jej: Iż o cokolwiek prosić będziesz, dam ci, by też połowicę królestwa mego. (Tak niegdyś „napiwszy się dostatkiem wina” mówił król do pięknej Estery.)

Salome wówczas, wyszedłszy, rzekła matce swojej: Czego mam prosić? A ona rzekła: Głowy Jana Chrzciciela. I gdy weszła zaraz ze skwapliwością do króla, przestrzeżona od matki, prosiła mówiąc: Chcę, abyś mi zaraz dał na misie głowę Jana Chrzciciela. I zasmucił się król. Dla przysięgi i dla społu siedzących nie chciał jej zasmucić, ale posławszy kata rozkazał przynieść głowę jego na misie. Ów ściał go w ciemnicy i przyniósł głowę jego na misie i oddał ją dziewce, a dziewczka oddała ją matce swej.

Taka jest opowieść ewangelistów o owej nocy pamiętnej w twierdzy Machero, stojącej na bazaltowej skale na wschód od Morza Martwego. Po wszystkie czasy, na wszystkie sposoby malowano tę scenę. Pałac zbudowany przez Heroda Wielkiego przebudowywali malarze średniowieczni na bastiony z cegły, a renesans rozkładał go w łuki, kolumny, terasy. Jedną tylko Salome tańczyła zawsze ten sam taniec, o którym mówi Renan, że go „w Syrii osoby pochodzące z lepszego towarzystwa nie tańczyły”.

Przy powstaniu *Salome* współdziałały trzy różne czynniki: opowiadanie ewangelistów, nowela Flauberta i własna fantazja Oskara Wilde'a. Opowiadanie ewangelistów stwarzało tę dziwną sugestię, jaką mają wszystkie niedopowiedziane legendy, resztę luk zapełnił Flaubert erudyta i fantazja.

Nowela Flauberta pt. *Herodias* kojarzy się do pewnego stopnia z dramatem Wilde'a, tak że gdy jeden z nich opisuje, drugi rozacza nad opisem nastroj, którego tamten nie zdołał pochwycić. Flaubert maluje przede wszystkim tło.

Oto twierdza Machero, którą otaczają cztery głębokie doliny, w pośrodku twierdzy pałac, ozdobiony portykami, nakryty terasą zamkniętą balustradą z drzewa sykomory, gdzie rozstawiono maszty do podtrzymania zasłony chroniącej od słońca. A jeśli spojrzeć z wysokości obwarowań, widać piaszczyste równiny, pagórki, pustynie, a dalej jeszcze wszystkie góry Judei. W głębi Jordan płynie między dwoma nagimi brzegami. Na południowym krańcu jeziora widać maleńkie figurki ludzi koło ciemniejących namiotów -- to wojska króla Arabów, którego córkę porzucił Herod, aby pojąć Herodiadę.

Zewsząd grozi niebezpieczeństwo. Brat, Agryppa, oczernia go na Capri przed starym cesarzem; drugi brat, Filip, zbroi się potajemnie; Żydzi grożą zagładą bałwochwalczej dynastii.

Na tym tle rozwija Flaubert swe opowiadanie, w którym Salome odgrywa rolę podrzędną. Charakter opisowy noweli pozwala nam poznać życie prywatne i polityczne tetrarchy, drżącego przed prokonsulem rzymskim. Zgodnie z Ewangelią myśl zabójstwa Johana pochodzi od Herodiady, która nie może mu wybaczyć obelg. Tak jak to objaśniał Renan: „W rozmowach, jakie wedle chrześcijańskiej tradycji miewał z Antypasem, uderzał Jan wciąż na jego nieprawy stosunek z Herodiadą i żądał jej oddalenia. Łatwo sobie wyobrazić, jaką nienawiścią wnuczka Heroda Wielkiego zapalała do niego za tę zuchwałą radę. Herodiada czekała tylko sposobności, aby go zgubić.” (*Żywot Jezusa*)

Ale Herodiada zestarzała się już mocno i straciła wszelki wpływ na męża. Sprowadza tedy z Rzymu swą córkę, Salome, którą tam zaślubiła, zanim połączyła się z Herodem. Salome przyjeżdża w sam dzień uroczystości. Herod nie widział jej nigdy przedtem. Tańcem swym oczarowuje jego, dwór, prokonsula rzymskiego, Witeliusza, nawet brudnych faryzeuszów. Staje przed Herodem wizja owej Herodiady, którą znał niegdyś, młodej, rozkosznej żony brata.

I wówczas mówi jej: „Chodź! chodź! Dostaniesz Kafarnaum! równinę Tyberiady! moje twierdze! połowę mego królestwa!” Ona zaś odpowiada: „Chcę, żebyś mi dał na misie głowę...” Zapomniała imienia, lecz po chwili dodała z uśmiechem: „Głowę Johana!” Naaman, kat, wychodzi z sali.

„Głowę wniesiono; Naaman trzymał ją za włosy, wyciągnąwszy ramię, dumny z oklasków. Kiedy ją położył na misie, podał Salome.”

Ledwo spojrzała na ten dar, który nie budził w niej żadnej wdzięczności. Nawet z imienia nie znała tego człowieka, który miał taką brzydką, ogromną głowę. Pokazywano ją gościom.

Prokonsul Witeliusz rzucił na nią spojrzenie obojętne. Faryzeusze oglądali ją ciekawie. Ostre żelazo wcięło się w szczękę. Kąty ust były ściągnięte konwulsyjnie. Krew, już zastygła, zboczyła brodę. Zamknięte powieki były blade, jak skorupy.

Wreszcie podano ją Herodowi. „Łzy płynęły po policzkach tetrarchy. Pochodnie pogasły. Biesiadnicy się rozeszli i nie został w sali nikt oprócz Antypasa, który dłońmi przytrzymywał skronie i patrzył bez przerwy na uciętą głowę.”

Wilde wziął od Flauberta wszystkie akcesoria zewnętrzne, ale rzecz rozwinął zupełnie inaczej. U Flauberta uczta zajmuje jedną trzecią całego opowiadania, tak że na ekspozycję zużył autor więcej miejsca, niż należało. Klótnie faryzeuszów, saduceuszów i nazareńczyków w obu utworach są podobne. Imię kata, Naaman, odjął Wilde jednemu z dowódców herodowych u Flauberta. Stosunek Heroda do Herodiady u jednego i drugiego ten sam. Herod u Flauberta odczuwa wobec proroka strach pomieszany z miłością, i Wilde'owskiemu Herodowi Johanan jest drogi. Zależność ta widoczna nawet w drobniejszych jeszcze szczegółach.

Różnice jednak są znaczne i o wiele bardziej znamienne. Flaubert przyjął bez zastrzeżeń tradycyjną koncepcję dramatu w Machero i starał go się rozwinąć i wyjaśnić za pomocą przenikliwości historyka i archeologa. Wilde pomyślał o zupełnie odmiennej motywacji:

Herod

Nie słuchaj swojej matki. Ona ci zawsze daje złe rady. Nie trzeba jej słuchać.

Salome

Ja nie słucham swej matki. Dla własnej przyjemności żądam głowy Johana na srebrnej misie...

Salome Wilde'a nie jest narzędziem w ręku Herodiady, wbrew całej dotychczasowej tradycji. Herodiada usunięta na plan drugi. Salome działa świadomie, gnana niepoohamowaną żądzą. Była to nowa interpretacja suchego tekstu Mateusza i Marka. Na scenę wchodzi Miłość, władza kierownicza czynów ludzkich i od razu cały dramat nabiera innego życia, innej barwy. Wszystko staje się jasne, bardziej celowe, bardziej ześrodkowane.

Krzyżują się dwie żądze: Heroda do Salome i Salome do Johana. Słowa Herodiady są wyciem psa, zapowiadającego nieszczęście. Nie sprowadzają niczyjej zguby.

Salome działa. A i ona jest równie bezwolna. Miłość działa. Skąd się ona rodzi -- nikt nie wie. Salome jest czystą dziewczicą pośród plugawego dworu Heroda. Usta mężczyzny nie dotknęły nigdy jej ust ani ich nigdy nie zaśliniła żądza. Bo i dla kogo? Nie dla Heroda, którego

kreci wzrok pełza po niej uporczywie i zdaje się przenikać w najskrytsze tajniki jej dziewczęcego ciała. Nie dla tych Żydów z Jerozolimy, którzy się kłócą o rzeczy dla niej niezrozumiałe; nie dla barbarzyńców, co wiecznie piją i rozlewają wino na posadzce; ani dla żadnego z tych Greków ze Smyrny o oczach malowanych, ani dla Egipcjan owiniętych w milczenie jak w swe płaszcze brunatne, ani dla znieawidzonych, brutalnych Rzymian. Może by tylko otworzyło się jej milczące serce dla młodego Syryjczyka, gdyby jego miłość nie była taka tęskna, łzawa, nieśmiała...

Głos i pojawienie się Johanana budzi Salome z martwoty. Wstał przed nią człowiek dziwny. Młody, a bez uśmiechu dokoła warg czerwonych, blady, wychudły; długie, czarne włosy spadały mu na ramiona, okrywając wielką grzywą głowę potężną jak u lwa; dokoła bioder miał skórę wielbłądzą. Każde jego słowo miało w sobie powiew trwogi. Dlaczego ten prorok odwracał się od niej i grążył ją w jakąś otchłań nędzy przekleństwem i groźbą?

Z nagłą pręży się żądza, jak tygrysica, rozzarta, z mgłą na oczach, nieświadoma, czego bardziej pragnie: pieszczot czy krwi kochanka...

Powiadają, że cały dramat, a zwłaszcza ta scena jest jakby stenografowana. Są wszystkie wnioski, brak przesłanek. Inaczej jednak być nie mogło. To nie jest tragedia pięcioaktowa z rozwijającym się z wolna charakterem bohatera. Tu jest atmosfera tak przeładowana warem krwi, że w niej dusze i czyny ludzkie dojrzewają w jednej chwili. Jest to bajka.

Wilde przeprowadził umiejętnie ten charakter baśniowy swego dzieła. Pomieszał fakty historyczne tak, aby nikogo nie łudziły. Zamiast prokonsula Witeliusza, przed którym na kolana pada tetrarcha Herod, wprowadził Tygelina, „Rzymianina młodego”, który zwraca się do Heroda z unizonym: „Panie!” Herod jest królem bajecznym, wielkim w swej potęgze, ma skarby bajecznych królów, o których opowiadają cuda pieśniarze dworscy. W ustach tego Heroda ma naprawdę znaczenie przysięga: „Dam ci połowę swego królestwa” -- przysięga wszystkich królów z bajki, niewłaściwa w ustach roztropnego tetrarchy, który wie przecież, że królestwo nie jest jego, ale Rzymian i tego cesarza, co gdzieś tam, z wysokości nagiej skały nad samotnym morzem, panuje całemu światu. Herod w *Salome* jest sam panem wszechwładnym, któremu posłuszne są gwiazdy i księżyc, co gasną wówczas, gdy jego ogarnia lęk -- i gasną na jego rozkaz.

Jest to baśń nocy księżycowej. Księżyc jest niemal żywą istotą, która bierze bezpośredni udział w dramacie. Jest on czarodziejem, który potęgą swych białych promieni wyprowadza dusze ludzkie, co stają przed nim nagie i strwożone, jak na rysunku Beardsleya. Księżyc otwiera dramat.

Dla zalęknionego serca małego pazia Herodiady jest on podobny do umarłej kobiety, która wstała z grobu i idąc bardzo wolno szuka umarłych. Rozkochany w Salome młody Syryjczyk widzi w księżycu tańczącą księżniczkę, która ma żółty szal i nogi srebrne, Salome zdaje się że patrząc na księżyc, widzi mały srebrny kwiat, zimny, czysty kwiat. Księżniczka o martwym sercu szuka na jasnym niebie podobnej sobie dziewczicy, która się nigdy nie splamiła w objęciach mężczyzny.

Paź Herodiady przez łzy strachu i miłości patrzy na księżyc. O, teraz blada trupia ręka się wyciąga i narzuca całun. Gdy młody Syryjczyk ginie, paź skarży się przed sobą, widząc, że księżyc szuka umarłych, że nie ukrył swego kochanka w jakiejś jaskini, do której by nie dotarły krucho, srebrne promienie.

Wielkie zwierciadło zawieszzone w szafirowej przestrzeni odbija dusze ludzkie. Herod widzi w nim nagą, pijaną rozpustnicę, która ugania za kochankami; chmury chcą osłonić jej nagość, ona opiera się chmurom. Jedna tylko Herodiada jest zdania, że księżyc to po prostu -- księżyc, nic więcej.

Dziwnie to prostolinijna figura. Taka, jak ją stworzył Beardsley, ten genialny chłopak, który na marginesie poematu Wilde'a stworzył tak odrębny, własny poemat. Szeroka przepaska podtrzymuje olbrzymie piersi, które wylewają się naprzód bezwstydnie, żarłoczne w swej żądzy, potworne kule mięsa napelnionego krwią, wystawione na żer jakichś zwierzęcych kochanków. Czarna noc gęstych włosów skrywa twarz dziką, pożądliwą, chytrą. Jakaś nieprawdopodobna mała wlecze jej suknię, podnosząc ją lubieżnie tak, jak jej zabawna siostra na usługach królowej Saby z *Kuszenia świętego Antoniego*.

W chwili gdy służebnice stroją Salome do tańca, księżyc staje się czerwony. A w kilka chwil potem, gdy księżniczka judejska pochyła swe głodne usta nad pobladłymi wargami proroka, księżyc chowa się za chmury. Rola jego skończona. Zimna, blada ręka umarłej kobiety ukryła pod srebrnym całunem dwa młode ciała...

Oto ów cudowny nastrój baśniowy, który może najbardziej przyczynia się do uroku i czaru poematu Wilde'a. Gdy się go jednak czyta uważnie, starając się przeniknąć jego walory dramatyczne, raz wydaje się on zanadto rozwlekły, to znów nazbyt szkicowy. W istocie rozmowy osób drugorzędnych, spory Żydów, kłótnie Heroda z Herodiadą zajmują zbyt wiele miejsca, i to z uszczerbkiem dla głównej postaci dramatu. Wszelako owe zakwestionowane ustępy mają swój wdzięk i swą rację, inną jeszcze od racji ich piękności...

Wilde jest mistrzem w *genre décoratif*, stąd kocha się w opisach, obrazach, i jest szczęśliwy, ilekroć może do nich powrócić. Dramaturg zazdrości w nim noweliście. Rozmowy żołnierzy oddają nam tło, i to w sposób doskonały. Przysłuchują się oni z terasy kłótniom faryzeuszów i

saduceuszów i śmieją się z ludzi, którzy skaczą sobie do oczu o takie sprawy, jak ta, czy aniołowie są, czy ich nie ma. Pokazują nam w głębi sali osoby, które i nas interesują. Oto tam siedzi Salome blada, jak odbicie białej róży w srebrnym zwierciadle. A teraz królowa Herodiada nalewa wino tetrarsze; jest cała w perłach i ma włosy przysypane niebieskim pudrem.

Poznajemy Nubijczyka, w którego kraju bogowie lubią krew i nigdy nie mają jej dosyć; Kapadocyjczyka, który kocha złoto i skarży się, że z jego ojczyzny Rzymianie wypędzili bogów; na koniec młodego kapitana, Narrabotha, który oddał swą utęsknioną duszę za obietnicę jednego uśmiechu Salome i za jeden zielony kwiatek z jej ręki, oraz pazia Herodiady, który wraz z młodym Syryjczykiem grzebie całą radość swego na pół dzieciennego życia.

Płacze nad nim: „Był mi bratem i bliższym niż brat. Dałem mu puszkę pełną wonności i pierścień z agatem, który zawsze nosił na ręce. Wieczorem przechadzaliśmy się nad brzegiem rzeki i wśród drzew migdałowych, a on mi opowiadał cuda o swoim kraju. Mówił zawsze bardzo cicho. Dźwięk jego głosu był jak dźwięk fletni w rękach fletnisty. Lubił też bardzo przeglądać się w rzece. Nieraz za to gniewałem się...” Nie mogąc o ludziach i rzeczach mówić w dramacie tak swobodnie, jak się to robi w powieści (Shaw użyłby do tego celu scenariusza i przypisków, jak w Cezarze i Kleopatrze), wynagradza sobie Wilde opisowym charakterem, jakiego nabierają często u niego dialogi. Takimi są pierwsze słowa Salome, zawierające charakterystykę gości Heroda; rozmowy Heroda z Herodiadą; wreszcie opis własnego skarbcza, który otwiera tetrarcha przed nieubłaganą Salome.

Najmniej wyrazistą postacią jest rabbi Johanan, chociaż, a może właśnie dlatego, że Salome tak szczegółowo opisuje jego postać. Aczkolwiek nie powiedziałbym, że proroctwa jego są „nudne jak flaki z olejem” (zdaniem Boya), choćby dlatego tylko, że są wcale krótkie, wszelako podnieść należy, iż nie przyczyniają się ani do wyrysowania postaci, a nawet niezbyt wiele do podtrzymania nastroju. Gdyby jego głowa nie była potrzebna Salome, mogłoby go nie być zgoła i z trudnością by tę nieobecność zauważono.

Z rzadką ekspresją potrafił Wilde oddać grę żądz. Nie opisuje on siły uczucia ani nie pozwala mu się rozwijać w naszych oczach, lecz otacza daną postać mnóstwem rzeczy i ludzi po to tylko, aby z niezmałą dokładnością pokazać, do jakiego stopnia nic dla niej nie istnieje poza jakąś jedną myślą.

Salome, wchodząc na terasę, nie widzi nikogo. Mówi do siebie. Z chwilą gdy posłyszała głos Johana, wszystko jej znikło sprzed oczu. Młody Syryjczyk ginie u jej stóp i ona tego nie widzi nawet.

Pierwszy żołnierz

Księżniczko, młody kapitan się zabił.

Salome

Daj mi całować swoje usta, Johananie...

To samo Herod, gdy wodzi roznamiętnionymi oczyma za Salome i ogarnięty jest pragnieniem ujrzenia jej ciała w tańcu szalonym: nie wie, czego chce, zapomina, o co miał pytać, nie słucha odpowiedzi.

Raz jeszcze należy podkreślić, iż jest to dramat duszy, pojęty w stylu symbolistów francuskich -- „świat widzialny przestaje być rzeczywistością, a świat niewidzialnym marzeniem.” Tak zresztą jak w *Weselu* Wyspiańskiego. Stąd idealne przedstawienie *Salome* -- dałyby marionetki. Te tylko nieosobowe widma, te małe istotki z drzewa i kartonu dobyłyby z głębi swego zabawnego i tajemniczego życia wszystką poezję, nie mącąc jej trywialnym realizmem. Wówczas nie odczuwałoby się dziwnie niewygodnego natężenia, gdy wszystkie osoby martwieją w bezruchu, a do głosu dochodzi tylko Salome i Johanana, nie raziłaby też końcowa scena, z tak niesłychanie długim monologiem Salome, pochylonej nad głową Johanana.

Te błędy sceniczne skłaniały wielu do mniemania, że Wilde nie myślał o teatrze, pisząc swój dramat. Nie było to prawdą i sam utwór na to dostarcza dowód. Ze szczególnym odczuciem efektu scenicznego rzucony jest obraz pojawienia się głowy Johanana.

Salome nachyla się nad cysterną i słucha. Nie słysząc nic. „Bij, Naamanie, bij!” Cisza straszliwa. Salome miota się po scenie, szalona namiętnością i nienawiścią do człowieka, który nie krzyczy, gdy zabijają. Wreszcie:

„Wielkie, czarne ramię, ramię kata, wysuwa się z cysterny, podtrzymując na tarczy srebrnej głowę Johanana.

Salome ją odbiera. Herod zakrywa twarz płaszczem. Herodiada uśmiecha się i wachluje. Nazarejczycy klękają i zaczynają się modlić.”

Flaubert nie umiał wydobyć z tej sceny takiej plastyki i takiej grozy. Głowa Johanana zawisa w powietrzu, trzymana tym czarnym ramieniem, leży ona w pośrodku sceny na srebrnej tarczy, potężniejsza niż kiedykolwiek, właściwe centrum akcji. Gdyby ją przyniósł kat, wrażenie by się rozproszyło, a głowa proroka byłaby po prostu martwym strzępem okrwawionego ciała.

Ta scena, odtworzona z plastyką czysto teatralną, nie zamyka dramatu. Kończy go Wilde

znowu jednym refleksem nastroju baśniowego:

„Niewolnicy gaszą pochodnie. Gwiazdy znikają. Wielka czarna chmura przechodzi przez księżyc i zakrywa go zupełnie. Scena tonie całkowicie w mroku. Tetrarcha zaczyna iść po schodach...” Księżyc, diabli kamrat Heroda, okrył się chmurą, jak Herod czarnym płaszczem, wyszywanym w złote jabłka granatu.

Czego Wilde z pewnością żałował, to że nie mógł sam odmalować tańca Salome. Jego księżniczka o złocistych powiekach została znieruchomiona tymi suchymi słowami scenariusza: „Salome tańczy taniec siedmiu szalów.” Nikt nam nie pisze, jak ona tańczy. Czy jak owe dziewczęta z Gades, które... „*vibrabunt sine fine prurientes lascivos docili tremore lumbos*”? Czy jak ghavazzi arabska w haftowanym dżeliku? Czy jak kapłanka egipska, która sztuką dziś zapomnianą oddawała ekstazę religijną i upojenie nieskończonością?

Beardsley nam ją pokaże. Czarne włosy ujęte w dwa grube sploty spadają na plecy. Twarz zmartwiała w jakimś głębokim skupieniu. Pod piersiami czarna przepaska. Brodawki na okrągłych, białych piersiach, jak dwa rozcięte jabłka granatu pełne ziaren słodkich i cierpkich, i chłodzących. Na nogach szarawary, krótkie do kolan. Z ramion spada szal, przechodzi między uda i ku lewej ręce rozwija się w nową zasłonę, którą tancerka za chwilę narzuci na swoje prawie nagie ciało. Przegięta sztywnie, wprawia w kolisty ruch mięśnie brzucha i przebiera nogami, na których pantofelki rozsypują się w rój kwiatów.

Znamy ten taniec. To Salome Gustawa Flauberta. Oto ona:

„Pod niebieskawym szalem, zasłaniającym jej piersi i głowę, widać było łuki jej oczu, chalcedony uszu, białość skóry. Materia jedwabna, szaroniebieska okrywała jej plecy, przytrzymywana u bioder paskiem kosztownym. Czarne spodenki usiane były mandragorami. Niedbale idąc skrzypiała małymi pantofelkami z puchu kolibri.

Na szczycie estrady zdjęła szal. Była to Herodiada, taka jak dawniej, w czasach młodości. Potem zaczęła tańczyć.

Nogę stawiała przed nogą w rytm fletni i pary krotalów. Zaokrąglonymi ramionami wzywała kogoś, kto wciąż jej umykał. Gonila go, lżejsza od motyla, jak Psyche ciekawa, jak dusza zbłąkana i zawsze gotowa odlecieć.

Ponure dźwięki gingry zastąpiły krotale. Przygnębienie stłumiło nadzieję. Ruchy jej wyrażały westchnienia, a cała postać taką tęsknotę, że niepodobna było odgadnąć, czy oplakuje boga, czy umiera w jego pieszczotach. Z przymkniętymi na wpół powiekami, z przegiętą talią poruszała brzuchem tak, jak po burzy poruszają się fale morza, piersi jej drżały, a twarz była nieruchoma, a nogi nie zatrzymywały się ani na chwilę...

A potem już było uniesienie miłosne, które pragnie nasycenia. Tańczyła jak kapłanki indyjskie, jak Nubijki znad wodospadów w Nilowych, jak bachantki lidyjskie. Przewracała się na wszystkie strony jak kwiat, którym burza miota. Podskakiwały brylanty w jej zausznicach, mieniła się materia jedwabna na jej plecach. Z jej rąk, nóg, szat wylatywały niewidzialne skry i rozplomieniały mężczyzn... Nie zginając kolan i rozstawiwszy nogi pochyliła się tak, że podbródkiem dotknęła posadzki... Rzuciła się teraz na ręce, nogi podniosła w górę i tak przebiegła estradę, jak wielki skarabeusz, i nagle zatrzymała się.”

Tak tańczyła Salome, córka Herodiady, księżniczka judejska. Oskar Wilde miał ten sam obraz w mózgu, gdy pisał swój dramat. Potwierdza to następująca historia.

Na długo zanim jeszcze ktokolwiek dowiedział się od Wilde'a o jego zamiarze napisania dramatu biblijnego, a może i przedtem zanim sam pomysł skryształizował się w umyśle poety, Oskar bawił raz w „Moulin Rouge”, który w tych czasach nie miał ani tej sławy co dziś, ani tej wystawności. Na małej scenie występowali kolejno po sobie kłowni i tancerki, śpiewaczki ekscentryczne, akrobaci i żonglerzy. Tego wieczoru był z Oskarem Stuart Merrill i nudził się okropnie, namawiając przyjaciela, aby szedł z nim do sali balowej, gdzie miano dawać jakieś ciekawe widowisko.

Nagle Wilde wydał okrzyk radosnego zdziwienia i pociągnął towarzysza ku małej scenie. Występowała właśnie jakaś młoda artystka rumuńska. Piękność zupełnie banalna, ale Wilde był zachwycony, albowiem tańczyła na rękach.

-- Chcę poznać tę dziewczynę -- rzekł Oskar Wilde.

Napisał kilka słów na swej karcie i posłał ją Rumunce przez służącego. Ta nawet nie raczyła odpowiedzieć.

Oskar Wilde był tym tak widocznie zmartwiony, że Stuart Merrill zapytał:

-- Dlaczego tak zależy panu na poznaniu tej dziewczyny, która niczym się nie wyróżnia ze stu innych, jakie tu widzimy?

-- Chciałem zjeść z nią kolację i pomówić o jednym z najdroższych moich zamiarów. Myślę od dawna nad Salome i chcę żeby córka Herodiady tańczyła na rękach. Na rękach, mój drogi, właśnie tak jak w opowiadaniu Flauberta.

Po tych długich rozważaniach nad utworem Oskara Wilde'a wracamy tam, skądśmy wyszli -- do jego strony językowej. Obrona przezeń forma prostego, możliwie najprostszego stylu była może dziełem przypadku, ale od razu okazała twórcy wszystkie swe piękności i zalety. Widocznie ocenił ją jako zdobycz pożądaną, skoro ponownie zastosował w dramacie późniejszym, *La sainte courtesane*, tym razem pisał po angielsku, a więc bez tych trudności,

jakich mógł doświadczać przy zmaganiu się z obcym twórcyem.

Forma ta miała swoje wielkie zalety, ale i mnóstwo niedogodności. Nie ma utworu łatwiejszego do sparodiowania. Należało być więc czujnym i ostrożnym, bo lada pomyłka mogła zerwać napiętą do ostateczności strunę nastroju i obrócić grozę w śmieszność. Wilde nie unikał jej zupełnie. Czasem się zdaje, że w istocie wina tu jego francuszczyzny. Na przykład od jakiejś chwili wszyscy powtarzają, że będzie jakieś nieszczęście. Salome opuściła salę biesiadną. Niewolnik po nią przychodzi, wysłany przez Heroda. Salome nie chce wracać, wówczas młody Syryjczyk podchodzi do niej z takim zdaniem: *„Pardon, princesse, mais si vous n'y retournez pas il pourrait arriver un malheur.”* To zdanie jest w istocie zabawne. Takich miejsc jest więcej, a jeśli ktoś spojrzy na tekst szczególnie wesołymi oczyma, odkryje ich całe mnóstwo.

Komediopisarz Wilde nie mógł się powstrzymać natomiast, aby nie wprowadzić bodaj z lekka swojego humoru. Oto Kapadocyjczyk pokazuje cysternę, w której uwięziono Johanana. Objaśniają go, że to stara cysterna.

Kapadocyjczyk

Stara cysterna! to musi być bardzo niezdrowe.

Drugi żołnierz

Ale skąd! Na przykład, brat tetrarchy, starszy jego brat, pierwszy małżonek królowej Herodiady, był tam zamknięty przez dwanaście lat. I nie umarł. W końcu musiano go udusić.

Ręką satyryka skreślone są postacie Żydów. Tak samo stosunek Heroda do owej „drogiej i godnej” Herodiady, „szlachetnej i umiłowanej” małżonki. Wilde nie może spokojnie usiedzieć w nieco sztywnym kostiumie tragika. Dlatego jego Herod na wieść o samobójstwie młodego Syryjczyka powiada: „To dziwne. Myślałem, że tylko filozofowie rzymscy odbierają sobie życie.” Ten zaś ustęp, w którym Herod, dowiadując się o cudach Jezusa, doznaje niemiłego uczucia -- pisał Wilde na pewno tym samym ostrym piórem, co świetne gawędy księżnej Berwick lub matki młodej Gwendolan:

Herod

Ależ trzeba go poszukać i powiedzieć mu ode mnie, że mu zabraniam wskrzeszać umarłych. Zmieniać wodę w wino, uzdrawiać trędowatych i ślepych, to może sobie robić, jeśli mu się podoba. Nie mam nic przeciwko temu. W istocie uważam, że uzdrawianie trędowatych jest dobrym uczynkiem. Ale nie pozwalam mu wskrzeszać umarłych.

Najsurowszy nawet sędzia Oskara Wilde'a przyznać musi, że styl Salome posiada dziwną urodę. Autor *Szczęśliwego księcia* rozwinął tu cały przepych swej fantazji, pełnej barw, kwiatów i klejnotów. Porównania jego są skończoną poezją. Każde z nich otwiera nam jakieś okienko na świat, piękniejszy od rzeczywistego, a nierzadko bywa czarodziejskim kryształem, w którym widzi się rzeczy nie spotykane na ziemi. I nie jest ich za wiele. Dzieł o Wilde'a jest harmonijne, bo pisał je wówczas, kiedy sam w sobie miał najwięcej harmonii. Nie wprowadził pretensjonalnego baroku. Przecież on sam, i to w tym samym utworze napisał: „Nie należy doszukiwać się symbolu w każdej rzeczy, którą się widzi. Inaczej byłoby życie niemożliwe.” Wiedział zatem, że nieraz płatek róży musi być tylko płatkim róży, a kropla krwi -- kroplą żywej ludzkiej krwi.

„*Gazeta Lwowska*” 1922, nr 6289, 6293 i Inne.

Antinous w aksamitnym berecie

Rien n'est vrai que le beau

Anatole France

Przedmowa

Książka niniejsza powstała z odczytu. Nosi więc w sobie charakter przypadkowy i okolicznościowy. Związek Literatów Polskich we Lwowie urządził dnia 30 listopada 1920 r. wieczór Oskara Wilde'a. Było to uświęcenie dwudziestej rocznicy zgonu autora „Doriana Graya”. Odczyt mój i recytacja „Ballady więziennej” przez utalentowanego artystę teatru miejskiego p. Janusza Kozłowskiego zyskały sobie tak przychylne uznanie, że wieczór musiał być powtórzony i znowu spotkał się z równie życzliwym przyjęciem.

Zachęcano mnie do ogłoszenia drukiem mojej prelekcji. Wzdragalem się, albowiem, uważałem, że należy wystąpić przede wszystkim z monografią o Wildzie, której brak naszej literaturze. Chciałem dać dostateczny i zupełny wyraz swego podziwu dla człowieka, który posiadał całe piękno i całą prawdę. Kiedy jednak ujrzałem, że stać się to może nieprędko, doszedłem do przekonania, że istotnie ta mała książeczka będzie bodaj przypomnieniem rocznicy, o której może w Europie nikt nie pamiętał.

Z nadzieją tedy, że rychło będę mógł złożyć czarującemu poecie należny hołd i dank za wszystkie chwile radosne i rozkoszne, składam dziś tę skromną wiązaną słów gorącej miłości i szczerego uwielbienia u stóp złotej statuy, którą ongiś przeciętność ludzka i tępa a okrutna głupota powaliły na szary, oślizły bruk.

Na drodze Alkibiadesa

Dwadzieścia lat temu w nędznym, odrapanym pokoju najpośledniejszego hotelu w zaułku rue des Beaux Arts w Paryżu umarł Oskar Wilde. W kilka dopiero dni później zaskoczone nowiną dzienniki doniosły o jego pogrzebie, podkreślając eufemistycznie, że „*un cortège nombreux ne suivit pas son deuil*”.

Jakoż za trumną „króla życia”, prostą paką z desek sosnowych, szb siedem osób, z tych kilka przypadkowo. Na obdartym wozie pogrzebowym wisiał wieniec z napisem: „*À mon locataire...*” od właściciela hotelu. Nie było ani świetnego King Lovelace'a, Edwarda VII, ani

książąt Braganza, ani wielbionej i uwielbiającej Sary Bernhardt, ani lordów, ani symbolistów, ani reporterów. Na zapomnianym przez bogów i ludzi cmentarzu Bagneux grób jego przepadł wśród mnóstwa innych mogił roztratowanych i bez imienia.

Jeżeli chrześniak króla szwedzkiego Oskara myślał kiedykolwiek o śmierci, co jest zgoła wątpliwe -- to nie mógł nawet w kurczowym uścisku zmory wyobrazić sobie takiego zgonu i takiego pogrzebu. Życie nauczyło go wierzyć w radość i szczęście. Miał do tego wszystkie prawa i wszelkie warunki.

Młodość upływała mu w atmosferze westchnień, oklasków i zachwytów, którym przysłuchiwał się ubrany, jak mały Achilles, w szaty dziewczęce. Z promykiem geniuszu na jasnym czole szedł przez zwarte szeregi swych wielbicieli, młodych i starych.

Po rodzicach wziął puściznę kultury starej i wytwornej. Z ojca archeologa i matki powieściopisarki, krwią sięgał do ubóstwianego przez Baudelaire'a i Balzaca Maturina, ojca lady Wilde. Chował się i rozwijał w świecie ludzi najwyższego typu, wśród marzycieli piękna i wolności, na płodnej ziemi irlandzkiej. Nazwisko Wilde nie mogło być lada jakie: mówiło o czasach drapieżnych i dzikich Wikingów, którzy na brzegach ciemnego morza zbudowali na kościach swoich ciche dwory wiejskiej szlachty irlandzkiej.

Wypieszczony dłońmi kobiecymi, usypiany pochwałami na nie zdobytych jeszcze wawrzynach, Oskar Wilde wchodzi w życie z dumą i poczuciem wyższości naszego Julka. Atoli góruje nad nim o całe niebo szczęściem. Jest dzieckiem szczęścia. W uniwersytecie otrzymuje medal złoty, a niedługo potem jego wiersze rozchodzą się w ciągu trzech tygodni w sześciu wydaniach. Napisany w r. 1878 poemat *Ravenna* utwierdza go w przekonaniu, że powodzenie iść będzie śladem jego twórczości błyskotliwej i jasnej.

Wilde wystąpił jak młody Alkibiades. Chciał błyszczeć, olśniewać, chciał, żeby o nim mówiono. W najgorszej chwili, w błazeńskim stroju więziennym dozna rozkosznego dreszczu, gdy jeden z towarzyszy niedoli zacytuje przed nim *Doriana Graya*. W pełni zaś rozkwitu obiecujący młodzienczek chciał odróżnić się od innych, odciąć ostrymi konturami swą elegancką sylwetkę od ogólnego szarego tła.

W „estetycznym” przyodziewku, którego pointę stanowił fantazyjny beret aksamitny, stał się postacią znaną i zagościł na łamach pism humorystycznych.

Jego karykatury sprzedawano na widokówkach i rysowano je na pudełkach od cukierków, Sullivan wystawił go w swej operetce *Patience*, a u nas Naganowski napisał o nim powieść. Entuzjastyczny słuchacz Ruskina, który wówczas w Oksfordzie wykładał historię sztuki, miał dokładne poczucie, kim jest, i tak mawiał „Dziwaczność stroju może być usprawiedliwiona

jedynie przerafinowaniem kulturalnym.”

Wilde jest wówczas poetą, i to w duchu zapomnianego a subtelnego Keatsa. Oprócz zbioru oksfordzkiego i Ravenny wiele wierszy rozrzuca po czasopismach, skąd po dziś dzień nie zostały wyłowione.

Wiersze te nie są niezwykle. W ten sposób i na te same tematy rymowano podówczas w całej Anglii. Swoisty wdzięk posiadają one w tej radości życia, jaka rozbrzmiewa tak potężnie w całej twórczości autora Doriana Graya. W obrobieniu artystycznym znać wysoki takt i misterne, delikatne cyzelowanie formy człowieka rozmiłowanego w pięknych kształtach. Są tam całe naszyjniki szlifowanych kunsztownie klejnotów i czary ozdobne, orzeźwiający napojem nalane i jakby zwierciadelka etruskie z kości słoniowej. Angielska krytyka, omawiając pierwszy tom jego poezji, zarzuciła mu nieściskość w dziedzinie zoologii i botaniki (zob. „Saturday Review” z 23 lipca 1881).

Ravenna jest dytyrambem. Wiele, bardzo wiele w poezji Wilde'a jest podziwu dla ziemi włoskiej. Tam uczył się kochać Dantego, któremu wypowie niezrównanie subtelne pochwały w swych *Intentions* i którego *Piekło* czytać będzie w chwilach największej udręki, wówczas kiedy każda inna książka wyda mu się mdlą i bez treści.

Z cieniów starej kultury, śpiącej na omszałych głazach Ravenny, z wonnego milczenia jej lasów piniowych, z melancholii czarnych fal morza, biją cych o daleki brzeg, wyłoniła się przed nim liliowa dziewczica o tęsknych oczach i przeszła koło niego jak sen w srebrnym zamkniętym kryształce.

Głód wrażeń i pragnienie sławy kierowały okrętem, który wiozł Oskara Wilde'a do Ameryki. W głównych miastach Nowego Świata zatrzymywał się fascynujący *conférencier* i odsłaniał zaniepokojonym Amerykanom świat piękna wyrafinowanego, o omdlewającej woni zwiędłych róż.

Mówił o wszystkim. Były to iskrzące się dowcipem, rozświetlone młodzieńczą fantazją manifesty nowej sztuki, subtelnej i nerwowej, wyciągniętej z ziół całej naszej kultury tysiącletniej, upajającej przeto i niebezpiecznej dla dusz prymitywnych i grubych. Od czasów „boskiego wesółka”, Dickensa, żaden autor angielski nie odbierał w Ameryce takich triumfów. Postęp był znaczny. Dickens bowiem szedł jak Sylen w gromady pasterzy, a Oskar Wilde ciągnął z dobrą nowiną Dionizosa.

Amerykanie nie słyszeli nigdy nic równie świetnego. Nie wyobrażali sobie, żeby ktoś mógł łączyć uczoność solidną z poetycką fantazją, lotny umysł krytyka, operującego aforyzmami i paradoksami, z głębokim ujęciem filozofii sztuki i życia i żeby ktoś potrafił to wszystko

wypowiadać z kobiecym, pieściwym wdziękiem. Amerykanie pokochali go, jak bryganci kochają „dziewczynę z pól”, która niespodzianie w chłodną noc zasiędzie przy ich ognisku, albowiem Amerykanie z lat osiemdziesiątych byli jeszcze tacy, jakimi ich widział i opisał Sienkiewicz.

Amerykanie wywarli na nim na ogół dość sympatyczne wrażenie. Był rozbrojony ich prostotą, a tam gdzie chcieli go zadrasnąć, odnosił nad nimi zwycięstwo imponującą postawą gentlemana angielskiego. Przez całe życie walczył jedynie przeciw przesadzie opartej na głupocie. W Ameryce zaś tego nie spotkał. Nie przeszkadzało mu to jednak opowiadać o nich niesłychane historie w salonach paryskich. Twierdził, że w jednym mieście w Texas, w kasynie, widział nad krzesłem pianisty następujący napis: „Uprasza się nie strzelać do grającego, albowiem ma on najlepsze chęci.” W krótkim szkicu pt. *Wrażenia z Ameryki* z ironią, ale łagodną i dobrotliwą, mówił o ich nieprawdopodobnej praktyczności i wyraził obawę, żeby kiedyś nie zechcieli Koloseum nakryć dachem szklanym i zrobić z niego hali targowej.

Wilde nie przywiózł z Ameryki worków złota. Nie był do tego po prostu zdolny. I jego prelekcje, i przygodne wydawnictwa przynosiły znaczny dochód, który natychmiast pochłaniały o wiele znaczniejsze jeszcze „wydatki reprezentacyjne”, albowiem występował zawsze nader okazale. Resztę stracił w grze, do której zaciągnęli go jacyś oszuści w Nowym Jorku. Przeliczył się również co do powodzenia swego młodzieńczego melodramatu *Wiera albo Nihilisci*. Sztuka upadła nieodwołalnie.

Europa przyjęła dandysa-poetę z otwartymi ramionami. Otworzyły się dlań pierwszorzędne salony, zwłaszcza że beret aksamitny zastąpił cylindrem, a zamiast barwnych pluderków jedwabnych nosił niepokalany frakowy strój od szóstej wieczorem. Pewna ekscentryczność dodawała mu uroku, nie ujmując nic z *allure* wielkiego pana.

Jego czysty, wytworny profil zarysował się silnymi wcięciami w eleganckim życiu Londynu. Miał Oskar Wilde w sobie coś kobiecego. Starannie ogolona twarz o miękkich rysach zamykała w perłowym owalu wydatne, czerwone usta, zmysłowe, prawie namiętne, rozpalone jak maki na słońcu. Obfite ciemne włosy opadały po dwóch stronach głowy, zakrywając częściowo białe, jasne czoło. Na jednym portrecie podobny jest do ś piętego Endymiona w białej, miękkiej szacie, z głową jakby znużoną, opartą na dłoni i przymkniętymi oczyma.

Była to postać jednocześnie wytworna i pociągająca. Ciemne, iskry rzucające oczy otaczały patrzących nań atmosferą jakby pyłkiem złotawym przysypaną. Przy całej miękkości kształtów miał w swej wysokiej i barczystej postawie coś z atlety. Był podobny do Antinousa.

Wilde kochał tego niewolnika z Bitynii, w którego żyłach płynęła szczęśliwa krew

arkadyjskich górali. Wspominał go rzadko, ale o prawdziwie kochanych mówi się zawsze niewiele. Samo imię wywoływało na usta jego uśmiech przyjacielskiej życzliwości dla ulubieńca cesarza Hadriana i cień smutku przesunął się nad jego oczyma, gdy z krzywej dahabii patrzył na wody Nilu, które blade ciało Antinusa przykryły swym płaszczem z szafirów i szmaragdów.

Czuł, że go z nim wiąże jakaś nić tajemna. Czuł to przechodząc koło mnóstwa posągów boskiego młodzieńca, którego zazdrosna o swe zamierające piękno kultura helleńska czciła z tą namiętnością, z jaką świat pogański chciał aż do czasów cesarza Juliana niszczyć prąd wieku zawrócić w stare bżysko. Zjawiał się tedy zadumany młodzieniec jako Agathodaimon, Ganymedes, Herakles, Dionizos, Hermes, Apollo i takiego z powrotem oddała nam po wiekach matka-ziemia, abyśmy wiedzieli, że pobladłe czoło konającej epoki mał jeszcze sen z prastarych czasów, sen o wielkim Duchu świata, o Iskrze Bożej, która się objawia w nieprzeliczonych epifaniach wielkich i małych bogów. Spokojna, marmurowa twarz Antinusa łączy w sobie to, co ta epoka miała najpiękniejszego i najczystszej: w bluszczowym uśmiechu starej legendy helleńskiej mistyczny szmer śmierci i nowego życia, idącego drobną, migotliwą falą z sinej, błękitnej oddali.

Świat kochał ich obydwu, gdy oparci o wezgiłowie chmur patrzyli na barwną wstęgę życia, ścielącą się wśród wód i pól zielonych pod niebieską kopułą, barwioną szkarłatem zachodu. I życie kochało ich obu, mówiąc, jak ten strumień z bajki: „Tak jest. Narcyz był mi drogim, gdy leżał nad moim brzegiem, w moich wodach ś ledząc odbicie własne. Albowiem w zwierciadle jego oczu widziałem zawsze swą własną piękność.”

King of life

Oskar Wilde nie miał pieniędzy, a potrzebował ich bardzo wiele. Konstancja Lloyd, z którą się ożenił w r. 1884, przyniosła mu stałą rentę roczną i znaczny spadek po dziadku, lecz w dalekiej perspektywie, albowiem staruszek, który był już *in articulo mortis*, pobłogosławiwszy młodą parę zakwitł nowym życiem. Oskar kiwał smutno głową i mówił: „Tak, tak, kochana rodzina to jest taka sobie grupa ludzi, którzy nie myślą o tym, z czego ktoś ma żyć, a nie mają dość taktu, aby umrzeć w stosownej chwili.”

Londynowi zaś sprawił w dzień swego ślubu nie lada widowisko. Toalety były wprost fantastyczne. Panna młoda miała żółtą atlasową suknię o delikatnej barwie pierwiosnków, z

wysokim kołnierzem Medici i bufiastymi rękawami. Szafranowy szal z jedwabnej gazy indyjskiej usiany perłami nosił w sobie dostojny wdzięk epoki Marii Stuart. Złote włosy otaczał wieniec mirtowy, przeplatany białym kwieciem jaśminu. W rękę niosła bukiet do połowy biały i zielony. Drużki w niesłychanych jakichś jedwabiach koloru dojrzałego agrestu, przepasanych żółtymi szarfami, szły w brązowych trzewiczkach, niosąc na swych przetowłosych główkach wysokie, staroświeckie kapelusze z czerwonego jedwabiu, zdobne w całe pęki czerwonych i żółtych piór. Śnieżne szyje dziewcząt otaczały ognistym uściskiem naszyjniki z bursztynu. Barwny orszak, przysypyany różami i liliami, owinięty w muśliny, jedwabie, szarfy i wstęgi różnokolorowe, przesuwał się wzdłuż poczerniałych murów kościoła Św. Jakuba, budząc ze starych głązów echa bujnego renesansowego życia.

Na małżeństwo wygadywał Wilde niestworzone rzeczy. Ale nikt temu nazbyt nie wierył. Odpowiadano mu słowami Bazylego Hallwarda: „Nigdy nie powiesz nic moralnego, a nigdy nie zrobisz nic złego.” Jakoż żonę swoją kochał gorąco, a do dwóch synów był szczerze przywiązany. Ilekroć pozostawiał ją samą w domu, przysyłał za kilka minut posłańca z kwiatami i czułym liścikiem. Ofiarowując czarującej małżonce (żona Wilde'a musiała być „czarująca”) egzemplarz swych wierszy, pisał jej na japońskim papierze takie rymy karmelkowe: „Jeśli z tych opadłych płatków któryś wyda ci się pięknym, miłość zwieje go ku górze i na główce twej osadzi. A gdy wiatr i zima sroga zwarządny kraj, będzie szeptał ci o kwiatach, ty zaś pojdziesz go.” Pod jej wpływem i dla niej pisał swoje bajki, zebrane w *The Happy Prince* i w *House of Pomegranates*.

Ani w życiu, ani w twórczości Wilde'a kobiety nie odgrywały wybitnej roli. W dziejach jego przesuwa się jakaś wizja dziewczęcia o złotych włosach i białości lilii, a szelest jej stóp ginie w oddali, nie pozostawiając śladów, jak rosa wieczorna, gdy słońce promiennymi palcami dotknie traw i kwiatów. Poza tym jest kilka typów kobiecych, nakreślonych pobieżnie, z zarysem sentymentalnym lub wyraziście albo ołówkiem karykaturzysty. Purpurową plamą odcina się jedynie Salome.

Kobiety jednak miały dla Wilde'a uczucia tkliwe i przyjazne i pozostały mu wierne w najcięższych chwilach. Księżniczka Monaco ofiarowała mu swój portret z entuzjastyczną dedykacją: „*Au vrai art -- à Oscar Wilde.*” W czasie ostatniego procesu pewna dama podała mu spod gęstej woalki podkową z zatkniętym w środku bukietem fiołków i z kartką, na której były dwa słowa: „Wiele szczęścia.” Kiedy zaś wychodził z więzienia, oddano mu depozyt nieznaney kobiety w sumie tysiąca funtów i cokolwiek Wilde myślał o kobiecie, przyznać musiał w tej chwili, że choćby wszystko na świecie zawiodło, zawsze znajdzie się jakieś dobre serce

kobiece, które o człowieku wżgardzonym tym bardziej pamięta.

Mimo to wszystko Wilde nie miał pieniędzy. Renta żony była nazbyt szczupła dla jego apetytów i jego zamiłowania do wystawności. Tournée po Anglii z odczytami znudziło go, nie przynosząc zbyt wielkich korzyści materialnych. W tym czasie zaproponowano mu stanowisko redaktora w miesięczniku kobiecym „Womans' World”.

Tylko rozpacz mogła go skłonić do przyjęcia tej propozycji. Starał się nadrabiać miną i opowiadał z dziecinną emfazą, że płaci współpracownikom złotą gwineę od strony. Wymagał zaś jasnego stylu i dokładnej interpunkcji. Sam pisał niewiele i nudził się tym śmiertelnie. Czytywał cnotliwe powieści i nie pozwalał sobie na żadne złośliwości w sprawozdaniach. Urządzał się chytrze i do kilku słów oceny wycinał na chybił-trafił całe stronicę cytatów.

Przyszły autor *Intentions* poruszał tak niezwykle problemy, jak „brak posłańców”, „maszyny do pisania i stenografia a kobiety”. Aha! prawda -- raz napisał „o fascynującej” książce Lefebvre'a: *Historie de la broderie et de la dentelle*. Entuzjazm jego wywołał z pewnością serdeczne echo w gronie jego pięknych prenumeratorek.

Ale męka to była okropna. Musiał mieć godziny urzędowe i przestrzeganie ich wydawało mu się szatańskim pomysłem. Miał wrażenie, że zatraci w tym biurze zmysł do życia i piękna, który rozwija się tylko w epikurejskim lenistwie. Na domiar wszelkich katuszy w tej „fabryce literackiej” nie wolno było palić.

Palić nie wolno! Było to stanowczo więcej, niż mógł Wilde przenieść. Miał bowiem pełną uwielbienia namiętność do owej *monochronos hedone*, którą daje dobry papieros. Paweł Verlaine z wizyty u Wilde'a zapamiętał tylko, że ten elegancki pan wypalił w czasie jego bytności trzydzieści kilka papierosów o złotych ustnikach i odurzającej woni opium. Na jego biurku stała wielka czasza, zawsze pełna popiołu i niedopałków, a w szufladzie uszeregowane rzędem leżały papierosy, których miał pod ręką najmniej tysiąc.

Porzucił tedy niefortuną redakcję i jednocześnie odkrył źródło, które aż do chwili katastrofy płynęło strugą złota. Były to jego dramaty. Cokolwiek się powie o jego dramatach, należały one do najświeższych, najbardziej żywych płodów z tego zakresu w ówczesnej literaturze angielskiej. Londynowi podobały się bezmiernie. Grano je jednocześnie w trzech największych teatrach, powtarzano z początkiem, z końcem i w środku każdego sezonu i publiczność nigdy nie miała ich dosyć. Pod swoją sławę podrzucił teraz solidną opokę bogactwa. Miał dochodu osiemdziesiąt tysięcy funtów rocznie, czyli dwa miliony franków. Mógł żyć nie tylko w dostatku, ale w przepychu. Bezpośrednio przed procesem nie miał już długów z tej prostej przyczyny, że przy całej swej rozrzutności nie mógł stracić tego, co mu jego literatura

przynosiła.

Sztuki jego oceniają zazwyczaj nader surowo. Zestawiają go zwłaszcza z drugim Irlandczykiem, rówieśnikiem jego, Bernardem Shaw i wówczas sąd wypada dla Wilde'a szczególnie krzywdząco. Mniemanie to nie jest pozbawione słuszności. Wilde okazuje się we wszystkich kwestiach literackich i artystycznych takim przodownikiem, że jego dramaty muszą zadziwiać konserwatyżmem środków, jakimi się w nich posługuje.

Wachlarz lady Windermere, pierwsza jego i najlepsza sztuka („one of the best specimens of comedy of the year”, jak się wyraziła krytyka), *Kobieta bez znaczenia*, *Mąż idealny* i *Jak ważną rzeczą jest być poważnym* -- mają jednaką technikę, opartą o staroświeckie rekwizyty: podsłuchanie, komedia omyłek, przypadkiem znaleziony list itp. Akcja zazwyczaj postępuje słabo naprzód, a rozwiązanie jej jest raczej prymitywne. Wszystko to zaś razem ubiera wilgotna szata sentymentalności, okrutnie nieraz podejrzanego gatunku. Budowa sztuk jest również słaba. Tego jednakże można się było spodziewać, albowiem Wilde był zdecydowanym wrogiem wszelkiej systematyczności i utwór równie zwarty jak *Salome* mógł powstać jedynie w chwili prawdziwego natchnienia od jednego rzutu.

„Wszystko, co się dzieje w rzeczywistości -- powiada Wilde -- jest dla artysty bez znaczenia. Prawdziwe uczucia wytwarzają kiepskie wiersze. Być naturalnym, znaczy być nazbyt rozsądnym, a być nazbyt rozsądnym -- znaczy nie być artystą.” On nie chce być ani naturalnym, ani prawdziwym, ani rozsądnym. Zawiesza akcję swoich dramatów w powietrzu i nie tai, że jest mu ona obojętna. Nudzi go tak, jak w ogóle życie codzienne go nudzi, zwłaszcza życie tych, co jedzą, śpią, rodzą dzieci, zajmują się polityką. Pisarzowi francuskiemu Gide'owi nie mógł wybaczyć, gdy ten rozповідаł mu o zwyczajnym trybie życia, jakie prowadzi. Mówić o tym jest niedelikatnością, brakiem taktu.

Ośrodkiem sztuk Wilde'a jest dialog. Tu jest on mistrzem, któremu niewielu znajdzie się równych. Dialog Wilde'a ma w sobie wartość i słodki szmer fontanny. Pełen jest paradoksów i aforyzmów, które unoszą się w wonnej atmosferze salonu jak złote pszczołki. Dowcip tryska bogaty, samorzutny, beztroski, subtelny. Autor drwi i szydzi z publiczności, która bawi się, widząc na scenie wykwintnych panów w przepysznym środowisku. On igra ze wszystkim swobodnie i wesoło. Myśl i słowo to dwie błyszczące kule, które żongler-dramaturg podrzuca w górę, a one bawią oczy swym blaskiem i mienią się wszystkimi barwami tęczy. Z dramatów Wilde'a każdy może brać, co chce. Publiczność angielska wydłubywała z nich to, co tam było najgorsze: ich życie burżuazyjno-sentymentalne, i bawiła się widokiem kolorowych rakiet, albowiem o nic tak nietrudno na scenie angielskiej, jak o rozigranego fauna.

Anglia dumna była z tych sztuk, które od razu cofnęły wstecz cały starszy i nowszy repertuar francuski.

Oskar Wilde był zatem szczęśliwy, syt sławy i zamożny. Podziwiał go Londyn, biegł za nim Paryż, gdy się po bulwarach przechadzał w futrze o zielonym pokryciu, ze sbnecznikiem w ręce i laseczką z kości słoniowej, ozdobioną wielkim turkusem. Na ukochanej przez France 'a Quai Voltaire, w hotelu „Voltaire”, miał stałe apartamenty z przepychem urządzone. Lubił Paryż i z terasy „Café de la Paix” widział swego „Sfinksa bez zagadki”. Bywał częstym gościem w domu Victora Hugo i otaczał się znakomitościami świata. W „Café d'Orsay” gawędził z Bourgetem, a w teatrze oddawał hołdy „boskiej” Sarze, odbierając w zamian spojrzenia pełne zachwyty.

Stał się *King of Life* -- królem życia, arbitrem elegancji, po petroniuszowsku wytwornym, leniwym i wspaniałym. Stworzył modę, usuwając w cień nawet księcia Walii. Niepodobna było zaliczać się do eleganckiego świata, kto nie nosił legendarnego zielonego gwoździka i nie wiązał krawata à la Oskar Wilde.

Na toaletę potrzebował kilku godzin dziennie. Szczególnie starannie wybierał pierścienie i kwiaty do butonierki. „Pięknie zrobiona butonierka -- mówił -- jest jedynym węzłem, który nas łączy z naturą.”

Myślał o założeniu związku znużonych hedonistów, którzy mieli nosić zwiędłe róże w butonierce i żywić rodzaj kultu dla cesarza Domicjana. Sam zaś, czując się Petroniuszem, miał słabość do Nerona. Lubił się czesać na jego sposób. Nosił więc włosy zebrane nad czołem w misternie fryzowane szeregi i otaczające twarz zawijanymi lokami. Na wykończenie tej fryzury wykwintniś Otho zużywał w najgorszych swych czasach trzy godziny.

Oskar Wilde był duszą „towarzystwa” i nie posiadając rodowego tytułu, przyjął nadaną mu przez opinię publiczną godność Lorda Paradoxa. Był wszechwładnym królem dobrego smaku i żadna *soirée* nie mogła się odbyć bez niego. Jego maniery były wytworne i pełne uroku, jego zachowanie się miało w sobie doskonałość grandezzy para połączoną z ujmującym wdziękiem trochę kapryśnego artysty. Twarze się rozjaśniały, powietrze stawało się jakieś czystsze i bardziej subtelną napelnione wonią, gdy wśród czerni fraków jak przez szpaler gwardii szedł król życia, z kobiecą miękkością kołysząc się w biodrach.

Umiał panować nad sercami i umysłami. Wiedziano, czego nie lubi; i sprawić Wilde'owi choćby mimowolną przykrość znaczyłoby okazać brutalność, niegodną gentlemana. Intymne pogawędki panów osypane gęsto wulgarnymi anegdotami milkły, gdy on się zbliżał. Nikt by się nie odważył wymówić w jego obecności ordynarnego wyrazu.

Sam kochał się w słowach. Ich dźwięk miał dla niego rozstrzygające znaczenie o ich treści. Nie znosił koloru magenta, albowiem wyraz ten brzmiał dla niego pospolicie. Ubóstwiał zaś vermilion dla słodyczy jego dźwięku. Trucizna działała nań fascynująco przez swe delikatne brzmienie angielskie -- *poison*. Imiona jego postaci powieściowych lub dramatycznych są równie starannie wybrane z tysiąca niedostatecznie dźwięcznych.

Jeśli był dzień, zapuszczano okiennice, aby czarujący kontempтор rzeczywistości mógł opowiadać swe bajki przy żółtawym, dygocącym blasku świec, wśród perfumowanych fiołków, kryształów i złota. Słuchać nie lubił i nie umiał. Sprawiało mu to wprost ból fizyczny, gdy trafił na zebranie, na którym czekać musiał w kolejce na swoje prawo głosu. Zwykle zabierał się stamtąd przed dwunastą, co było wyraźną zapowiedzią, że nie przyjdzie więcej.

Słuchało się go podwójnie: muzyki jego głosu i treści słów, spadających rytmiczną kaskadą. Mówił cicho, powoli, jakby smakował każde słowo, rozlewając łagodnymi falami melodyjny, miękki, pieściwy głos. Modulował go w ten sam czarujący sposób co Sara Bernhardt. Lubiał refreny i powtarzania, jak greccy rapsodowie. Znał tajemnicę przerw, w których pozwalał bić sercom kobiet pod gazową osłoną na białych biustach.

Opowiadał bajki, jakby w duszy swej nosił nie wypowiedziane jeszcze marzenia Szecherezady. Były to *petits poemes en prose*, kryjące w sobie zawsze jakąś myśl zapładniającą. Opowiadał o tym, czego nigdy oczyma nie widział, czego nigdy na świecie nie było. Oto jedna, w którą Wilde włożył duszę wszystkich swych bajek:

„W pewnej wiosce żył raz człowiek, który umiał opowiadać dziwne historie. Codziennie rano wychodził, a kiedy powracał wieczorem, otaczali go kołem mieszkańcy wioski, znużeni całodzienną pracą, i prosili:

-- Opowiedz nam, co widziałeś dzisiaj. Opowiadał więc:

-- W lesie widziałem fauna, który grał na fujarce, a małe boginki leśne tańczyły...

-- Cóż jeszcze?

-- Kiedy stanąłem nad brzegiem morza, ujrzałem na grzywach fal trzy syreny. Rozczesywały zielone jak woda morska włosy złotymi grzebieniami...

Ludzie kochali go, albowiem opowiadał im bajki.

W pewne rano jak zwykle wyszedł z wioski. I kiedy stanął nad brzegiem morza, ujrzał na grzywach fal trzy syreny, które rozczesywały zielone jak woda morska włosy złotymi grzebieniami. I kiedy szedł dalej, zobaczył w lesie fauna, który elfom do tańca przygrywał na fujarce.

Wieczorem, gdy wrócił, otoczono go kołem jak zwykle i pytano:

-- Opowiedz nam, co widziałeś! On zaś rzekł:

-- Nic nie widziałem...”

Najpiękniejszą część swojej sztuki zabrał wielki poeta życia do swego opuszczonego grobu.

Wszyscy, którzy go znali, zgodnie twierdzą że pisma jego były dalekim echem jego opowiadań. Nigdy swym myślom nie umiał na papierze nadać tej giętkości, jaką posiadały, gdy wibrując niby nagie, połyskliwe tancerki, przelatywały nad stołem biesiadnym, przybranym kwiatami. Nigdy bajki jego, ogłszone drukiem, nie miały tej świeżości, tego życia, tej woni wiosennej, w jaką je ubierał pieszczotą swego głosu, czarem wilgotnych, purpurowych ust i urokiem promiennych oczu.

Te jednak okruchy, które pozostawił w książkach, są niezwykle cenne. Pisał je romantyk, rozporządzający wielką skalą barw. Nastrój bajkowy oper la świat prosty i naiwny. Wilde podobnie jak Goethe stara się zaczerpnąć w swe płuca jak najwięcej, jak najszerzej czystego, świeżego piękna. Znajduje je wszędzie i zamyka je w bajkę. Tak powstały wszystkie jego czarujące opowiadania biesiadne, a z nich uwiły się owe dwa bukiety przedziwnych kwiatów w -- dwa zbiorki bajek: *Szczęśliwy książę* i *Dom granatów*.

Mała jaskółka rozdaje nędzy ludzkiej kosztowne ozdoby złotej statuy szczęśliwego księcia; słowik rozkochany w róży barwi jej kwiaty krwią własnego serca; dzieci swym szczęściem sprowadzają Wiosnę do obumarłego ogrodu olbrzyma-samoluba; dumna rakietka, gardząca całym światem drobniejszych światłek, kończy nędznie swój żywot, nie obdarzając nikogo widokiem swego przepychu; młody król, nie chcąc ubrać płaszcza z łez ludzkich tkanego i korony z krwi, jedzie na koronację w wieńcu z liści i w zgrzebnej koszuli; mała infantka nóżkami w białych pantofelkach, które spod jej bogatej sukni wybiegają jak małe gołąbki, depce na onyksowej posadzce skrwawione serce brzydkiego karła; rybakowi dusza jego powierza wielką prawdę, że miłość jest lepsza od mądrości, a cenniejsza od wszystkich bogactw świata; na cichą wiejską noc zesuwa się po szlaku księżycowym „dziecko z gwiazd”.

Każda cząstka istnienia stanowi dla Wilde'a estetyczne zjawisko. W jego utworach odbija się nienasycona ciekawość życia. Patrzy na nie sennymi oczyma artysty i tworzy z niego bajkę. Kocha się w szczegółach i drobiazgach, na których osiadł bodaj jeden uśmiech piękna. Ma w sobie coś z królewskiego pacholęcia, co patrzy na świat rozradowanymi oczyma, w których nigdy nie odbijała się ponura i pospolita rzeczywistość. Widzi więc wśród wysokich paproci sójki, połyskujące w słońcu błękitnymi piórami, a na złotych kamieniach cętkowane jaszczurki, leniwe i myślące. Zna mowę kwiatów i rozumie śpiew ptaków, które mu odsłaniają swe drobne tajemnice. Na skinienie jego różdżki czarnoksiężskiej martwe przedmioty nabierają życia i skarżą

się na swój los lub powierzają mu swoje wesele. Świat jego artystycznych rozkoszy rozszerza się na całą szerokość i całą dal naszego świata. Wokoło ludzi żyje, oddycha, płacze i śmieje się cały świat, który ma własne życie i własny sens życia. Ludzie łączą się z przyrodą, z której wyszli, i oddychają tchnieniem polnych kwiatów, i usypiają pod pieśczętą ciszy leśnej na posłaniu z mchów. Na duszę spływa kojący dobroczynny panteizm.

Te bajki pisał człowiek o czystym sercu, pogodnej myśli, błękitnym spojrzeniu dziecka, ale zarazem i człowiek z wielkiego dworu współczesnej kultury, co tylko na schadzce miłosną przybrał strój i minkę pazia o złotych puklach spadających na ramiona. Tym się też dzieje, że bajki owe można czytać dzieciom, gdy aniołsnu roztacza nad nimi liliowe skrzydła, i można je czytać na cichym dziedzińcu klasztornym, gdy srebrny głos sygnaturki roztapia się w złocie zachodu, szepcząc odlatującym ptakom tajemnicę dziewiczej matki, lecz można je czytać i w chwili, gdy na ustach więdną purpurowe kwiaty odebranych niedawno pocałunków.

Poezja ostatniego europejskiego romantyka jest czysta i przeźrocza, jak owa tebańska Fontanna Bluszczów, w której nimfy kąpały nowo narodzonego Dionizosa.

Są jednak i inne rzeczy, które pisał elegancki bywalec salonów, siedząc w galerii przepysznych typów przeciętności i głupoty. Swoim towarzyszom stołu i łoża teatralnej poświęcał te epitafia bezmyślności arystokratycznej i czczości wielkoświatowej. Opowiadał z niezrównaną ironią o zbrodni pełnego skrupułów moralnych lorda Artura Saville'a i o duchach zakłócających ciszę starego zamczyska.

„W życie włożyłem swój geniusz, twórczości zaś oddałem talent” -- mówił Oskar Wilde. I była to prawda nie tylko dlatego, że życie jego jest tak skończoną i doskonałą tragedią, jakiej przy swym lenistwie nigdy by stworzyć nie potrafił, ale w istocie otaczał się umiejętnie i ze sztuką taką atmosferą poezji -- i sam ją sobie wytwarzał -- jak tego nie umiał nikt od czasów Byrona. Nie mając jego płodności pisarskiej i wulkanicznej natury, był przecież niezwykle podobny do tego donzuana, który swe poematy kończył, ubierając się na maskaradę.

Życie uważał za najpierwszą sztukę i najwyższą. Wszystkie inne sztuki były tylko przygotowaniem do życia i tworzyły dla niego fantastyczny ornament. Otaczał się zbytkiem i chciał przeżywać rozkosze dawnych epok i ludzi, których imię powtarza się z szacunkiem należnym wielkim zmarłym.

Pracował tedy przy biurku, które kiedyś było własnością Carlyle'a, prymitywny, zwalisty mebel, szkaradnie odbijający na tle kunsztownych boazerii, dywanó w i obić jedwabnych pałacu przy Tite Street. Ubrany w habit biały na podobieństwo Balzaca, pisał na ówiartkach, formacie ulubionym przez Victora Hugo. Drogim Manom Baudelaire'a czynił libacje z absyntu i

prowadził kurację biszkoptową na pamiątkę Byrona. Czuł, że fetyszym jest jedną z form przerafinowanej kultury.

Kochał staroświeckie rzeczy, których dotykanie przymykało jego oczy marzeniem pełnym cieniów błędnych i strasznych. Kochał stare brokaty, zielony brąz, oszlifowaną kość słoniową, złoto, które leżąc tysiąc lat w ziemi nabrało ciemniejszego odcienia, i porcelanę starą, i instrumenty muzyczne wszystkich epok i narodów, albowiem oddychać atmosferą muzealną znaczyło spać w grobowcu dawnych kultur, pod którego sklepieniem kołatały się sny chimerycznie potworne lub piękne jak cud helleńskiego artysty.

Nade wszystko jednak kochał klejnoty. Zastępowały one kwiaty w jego ogrodzie królewskim. Znał rozkosz, jaką nieci mistyczny blask ametystów, przez które przelewa się światło księżycy, posiadał tajemnicę opalu i w szmerze muszli perłowej wysłuchał szeptu miłości, rozkwitającej w czarnej głębinie oceanu. W starych księgach wyczytał dziwne historie o hiacyntach siedzących w głowie węża, o diamentach, zdolnych uczynić człowieka niewidzialnym, o granatach, które wypędzają demony, i aspilatach, chroniących od ognia.

„Studia te zajmowały go przez parę lat i nigdy nie straciły dlań uroku. Nieraz całe dni spędzał na wyjmowaniu i porządkowaniu klejnotów. Posiadał znaczne zbory: oliwkowy chryzoberyl, czerwieniejący w świetle lampy; kymofany o cienkich jak niteczki srebrnych żyłkach; perydoty koloru pistacji; różowe i ciemnożółte topazy; karbunkuły płomiennoszkarłatne o drżących gwiazdach; zielone hiacynty, pomarańczowe i fioletowe spinelle i ametysty o mieniających się tonach rubinu lub szafiru. Lubił czerwone złoto kamienia słonecznego, perlistą biel kamienia księżycowego i załamującą się tęczę mlecznych opali. Sprowadził z Amsterdamu trzy szmaragdy niezwyklej wielkości i przepychu barwy. Nadto posiadał turkus *de la vieille roche*, przedmiot zawiści wszystkich znawców.”

Powie ktoś, że ten ustęp wyjęty jest po prostu z *Doriana Graya*. Cóż to szkodzi? Przecież tam mówi o sobie samym Wilde, który na balu kostiumowym ukazał się jako Annę de Joyeuse, admirał Francji, w stroju zdobnym w pięćset sześćdziesiąt pereł. Jeśli zaś tego wszystkiego nie posiadał w rzeczywistości, to pragnął tego gorąco. Pragnąć zaś silnie znaczy tyle samo -- co posiadać. France nawet twierdzi, że więcej -- znaczy posiadać bez niesmaku i przesyty. Ta miłość do klejnotów jest u Wilde'a namiętnością, która dochodzi do głosu przy wszelkiej sposobności, tworząc nieraz tak cudowne ustępy, jak owa scena, gdy tetrarcha Herod próbuje rozpalić zimny wzrok Salome żarem swego skarba.

Umysł Wilde'a mienił się również tęczą klejnotów, które jak książę bajeczny rozrzucał grono swych wytwornych towarzyszy. O tym przedziwnym misterium myśl, jakie celebrował sam co

wieczora, opowiada w Dorianie Grayu, mówiąc o lordzie Wottonie: „A on igrał z myślą i rozzuchwalał się coraz więcej. Podrzucał ją w górę i odwracał, i pozwalał jej wyślizgiwać się, i znowu chwycił w locie; kazał się jej mienić tęczowymi barwami fantazji i uskrzydlał ją paradoksami. Apologia głupstwa wzniosła się do filozofii, a filozofia sama stała się młodą, słuchała szalonej muzyki rozkoszy, strojna w szatę poplamioną winem i w wieniec z bluszczu; jak bachantka tańczyła po wzgórzach życia naigrawając się z leniwego Sylena, że trzeźwy. Fakty uciekały przed nią niby wystraszona zwierzyna leśna. Jej białe stopy uderzały o burzliwe fale, nad którymi siedzi Omar mędrzec, aż wrzący sok winnego grona purpurową strugą bluznął na jej nagie członki lub czerwoną pianą zakapiał ponad czarne ociekające ściany beczki... Wywabiał słuchaczy z głębi ich istoty, a oni szli za jego fletem wśród śmiechu.”

Wielu miało wrażenie, że w chwili gdy mówi, otacza go złota aureola. Zdawało się rzeczą trudną do uwierzenia, aby słowo ludzkie mogło roztańczyć podobny przepych. Ktoś ze współczesnych mówi, iż słowa otaczały go takim blaskiem, jaki siał dokoła siebie Buckingham na dworze francuskim, występując w swym żarzącym się od klejnotów *pourpoint*. Nie zawsze bowiem opowiadał bajki. Pałac papierosy i odgarniając z czoła długie pukle swymi nerwowymi palcami, wśród których zielonawym światłem połyskiwał skarabeusz w starym pierścieniu -- podejmował temat za tematem, groźny, wesoły, bolesny lub radosny, i oświetlał go promieniami swej filozofii optymistycznej. Mówił jednocześnie prawie o posępnych tajemnicach krematoriów i trupiarni, zapełniając salon widmami i upiorami, oraz w sposób paradoksalny rozwijał historię Francji, szukając w niej dowodu na poparcie jakiejś chimerycznej tezy, w którą w danej chwili wierzył. Po królewsku hojny, najdrobniejszą jałmużną wzbogacał dziesiątki pisarzy i literatów, stanowiących jego otoczenie. Z gałganków jego purpury niejednego uszył na swą małą figurkę wspinały płaszczyzny. Spotyka się książki, których największą zaletą jest to, że autor dobrze zapamiętał kilka urywków z rozmów Wilde'a.

Do pracy pilnej i wytrwałej nie był zdolny. Kiedy go zapytano raz zniecierpliwiony, dlaczego jest takim próżniakiem, odparł z miną zadąsaną: „Pracowałem dziś cały dzień.” -- „Mianowicie?” -- „Poprawiałem artykuł przed południem i skreśliłem jeden przecinek.” -- „A po południu?” -- „Postawiłem przecinek na dawne miejsce...”

Zdawało się nieraz, że swe niezwykle wiadomości czerpie z jakiegoś tchnienia starej kultury, jaką się otaczał. *Il savait tout* -- mawiano o nim w Paryżu. On zaś na swój sposób dziwił się pracowitości pisarzy francuskich. Balzac mu imponował, zamknięty w sobie wielki Cherub, Flaubert, go pociągał. Chciał im być podobny. Wydał więc poemat Sfinks, owoc długich starań i stylistycznych szlifowań.

Natchnienie szło przez gęstą tkaninę wizji Baudelaire'a i Poe'go.

W głuchym zmroku, w kącie pokoju, siedzi marmurowy Sfinks i oczyma swymi patrzy w wieczność, podobnie jak ów spod Kairu, w którego złoty dysk nie biją dzisiaj promienie słoneczne jak w czasach pierwszego królestwa, lecz tylko księżyc bladymi dłońmi otacza chropawy kark mistycznej bestii. Poeta drży przed tym wzrokiem i zalęknionym szeptem prowadzi rozmowę z kamiennym wcieleniem nieskończoności, rozmowę o dawno zmarłych kulturach, o ludziach, których światło oczu zgasło pod piaskiem pustynnym, o życiu, co w barwach tysiącznych przesunęło się na opałowym horyzoncie starych dziejów. Dusza nowoczesnego człowieka u stóp Sfinksa usypia wśród kłębow woni, sączących się z wielkich, miedzianych trybularzy fantazji historycznej.

Z tego samego okresu pochodzi jego drobny poemat *Dom publiczny*, również z ducha Baudelaire'a poczęty. Z bruku ulicznego, spod przymgłonej latarni, patrzy poeta w okna domu rozkoszy, który jest zarazem domem udręki, i na wystrzępionych firankach śledzi ruchy sylwetek, podrzucanych lubieżnymi skurczami w jakimś bolesnym tańcu, splecionym z rozdeptanych kwiatów miłości i krwawych paciorków rozpaczy. „A przez długą, szarą ulicę skrada się w srebrnych trzewiczkach świt, jak zalęknione dziewczątko.”

Trzy orchidee

Napisałbym może kiedyś powieść piękną jak dywan perski i różnie nieprawdziwą -- myślał Wilde i podobnie jak Henryk Wotton żywił obawy, czyby go zrozumiano i odczuto w tej Anglii, która przez umiejętne stępienie umysłu potrafiła wychować publiczność w istocie zdolną jedynie do czytania potwornych dzienników, podręczników i leksykonów.

Spółczesność angielska nie jest pociągająca. Nie jest ona ani trochę zdrowsza moralnie od każdego innego. Przeciwnie, Londyn, choć go nie stać na przepych nowożytnego Babilonu, jest zlewiskiem zbrodni ponurych i skrytych. Anglicy jedynie mają cięższe kości od innych narodów i siedzą po uszy w futerałach obłudy i hipokryzji. Stąd każdy wolniejszy duch prowadzi tam walkę na śmierć i życie. Albowiem, jak powiada jeden z naszych krytyków, „społeczność angielska uznaje tylko poetów stadowych i jest przywiązana do zapachu starych guwernantek, pieluch dziecięcych i tabaki pastorskiej”.

Postępowość angielska należy do rzędu tych legend, które Anglicy z prawdziwym tupetem potrafili rozszerzyć po całym świecie *in maiorem gloriam* Połączonego Królestwa i rasowego

geniuszu. Są oni konserwatywni na sposób chiński. Podobnie jak w Państwie Środka Ziemi od dwu tysięcy lat, a może i więcej, słucha się z nabożeństwem dramatów o studencie biednym, który zostaje ministrem, w Anglii tworzy się nieskończoną moc melodramatów, sięgających czasów dobrego króla Jakuba, a powieść stała się właściwie środkiem pomocniczym przy nauce geografii. „*Genre ennuyeux* jest tedy -- powiada Wilde -- jedynym rodzajem literackim, który Anglikom zdaje się naprawdę przypadać do smaku.”

Wobec tego wydał *Doriana Graya* w Ameryce i zdziwił się przyjemnie, gdy utwór ten przeszedł również wszystkie sfery angielskie, budząc jeśli nie zrozumienie, to przynajmniej głuche poczucie nowych dreszczów.

Jakoż był to czarowny hymn młodości i piękności. Nie była to już senna, romantyczna bajka dla dzieci królewskich, lecz opowieść łącząca w sobie mistyczną mgłę Maeterlincka, namiętą furię d'Annunzia i otchłanną zgrozę Poego, opowieść rzucająca na umysł czar i mrok, a duszę ogarniająca jakby kłębamii ciężkiej kadzidlanej woni. Była to książka rzadka, kusząca i niebezpieczna, gdy leżała na florentyńskim stoliczku obok łóżka, zwiewając nad nieświadomą młodzieżą sny złote i purpurowe. Była to improwizacja otwarta i jasna, spisywana gwałtownie, konwulsyjnie prawie, w ciągu kilku dni.

Pisząc ją Wilde pragnął objawić sztukę i ukryć artystę, gdy tymczasem odsłonił siebie do najgłębszych tajników. Chciał być krytykiem, oddającym własne wrażenie piękna i dał najbardziej uroczą autobiografię, jaką posiada literatura europejska.

Piękno miało dla niego zawsze jedynie wartość i znaczenie piękna, dlatego mówił o piękności, że jest czymś więcej niż geniusz, bo nie potrzebuje komentarzy. Należy do wielkich faktów świata, jak słońce, wiosna lub refleks srebrnego sierpa księżycy na ciemnych wodach. Zwalczając jej niepodobna. Posiada boskie prawo istnienia i sama sobie wystarcza.

Obraz *Doriana Graya* jest powieścią o pięknym mężczyźnie, który sieje dokoła czar, jak przed wiekami Charmides. Jest to młodziwiec o delikatnie zarysowanych purpurowych ustach, pogodnych, błękitnych oczach i falistym złotym włosie. Miał zapewne długą alabastrową szyję i delikatne, wypieszczone ręce, jak chłopcy z obrazów Rossettiego. Imię jego jest piękne. Sybilla Vane wymawia je melodyjnie, przeciągle, jakby od miodu słodszy był dla różanego kwiecia jej ust. Dorian Gray wcielił w siebie wielką część psychiki Wilde'a, jest nim samym, tym człowiekiem fascynującym, o nieprzepartym uroku, co marzył o uduchowieniu zmysłów i o nadejściu epoki nowego hedonizmu, który by ponownie ukształtował życie według zasad piękna, niwecząc wszystkie „ośle uszy”, jakie purytanizm osadził na Panteonie naszych uczuć. Dorian to człowiek, którego dni są sonetami, gdzie rytm namiętności usypia w pieszczotliwych

ramionach marzenia, a którego noce są jak ballady, pełne duchów, grzechów, zmor.

Oparta o fantastyczno-romantyczną historię o obrazie, który bierze na siebie grzechy i plamy człowieka, książka ta mówi o Oskarze Wilde tak szczerze, jak tego żaden biograf uczynić nie potrafi. Henryk Wotton jest również Wilde'em, jest Lordem Paradoxem, deprawatorem serc i podżegaczem myśli. Postać ta skreślona jest tak subtelnymi rysami, że ma się wrażenie, jak gdyby wypowiadając toczony okresy lord Henryk wysuwał swe nerwowe ręce z fałdów miękkiej szaty, tkanej przez dziewczęta z Kos przy śpiewie pieśni safickich. A znów malarz Bazyli Hallward jest uosobieniem artystycznych dążeń Wilde'a, jego kultu piękności. Ulega czarowi osoby Doriana, jak Wilde sam uległ urokowi Alfreda Douglasa.

„Nie ma książek moralnych lub niemoralnych. Są książki napisane dobrze lub źle. Nic więcej.” Te słowa czytamy na wstępie *Obrazu Doriana Graya*, albowiem autor wiedział, że ludzie pozbawieni smaku artystycznego, wszelkiego typu Kalibany i duchowi rzeźbiarze, podniosą przeciw jego dziełu ten ordynarny zarzut. Mówił tedy, że cnota i występki są zupełnie równorzędnym materiałem dla artysty. Wszelka sztuka jest bezużyteczna i z prawami moralnymi nie może mieć nic wspólnego. „Książki, które świat nazywa niemoralnymi, są właściwie te, które światu wykazują jego hańbę.”

Wiem o tym, że niektórzy krytycy widzą w romansach Wilde'a pierwiastek etyczny, pewną nawet myśl etyczną i starają się wykazać, że autor przeprowadził ją w sposób jasny i ostry. Wszelako sędzę, że mówić w związku z najbardziej fascynującym dziełem Wilde'a o etyce -- trąci brakiem taktu. Gdyby mu powiedziano, że jego prowadzenie się jest nieskazitelne, uczyniłby prawdopodobnie jakieś szaleństwo. Znano go zbyt dobrze, aby mu to za życia powtarzać. Miał słabostkę, która nieobca była i Flaubertowi, chciał zyskać opinię demoralizatora. Był zaskoczony trochę, gdy mu podczas procesu prokurator starał się to udowodnić.

Obraz Doriana Graya jest książką fascynującą. Niepodobna znaleźć lepszego określenia. Wyraz ten, używany przez Wilde'a z predylekcją, jest jakby dla niego stworzony. On zresztą dał mu właściwe znaczenie. To prawda, że jest to powieść napisana niedbale i posiada rażące braki kompozycyjne, lecz ma w sobie niezwykłą świeżość i bezpośredniość. Działa na wszystkie zmysły jednocześnie i wprawia je w rozkoszne drganie.

Ta sama ręka kreśli sceny o dramatycznym, silnym napięciu i przesuwa przed naszymi oczyma barwną wstęgę starych gałganków i drogocennych sprzętów, opowiadając nam o nich historie znane tylko erudytom. Za chwilę wzięci w górę puszysta rakieta paradoksów, za drugą trzecią, dziesiątą, oświetlając jaskrawym i fantastycznym blaskiem brudne lub pospolite strony

naszego życia.

Akcja nie odgrywa w tym romansie żadnej roli. Całą swą uwagę autor skupia na jednej osobie, którą obrzuca coraz to nowym snopem światła, efektownie zabarwionego. Pokazuje człowieka, który usiłuje poznać namiętności i myśli wszystkich epok minionych.

Toteż styl tej książki nie ma sobie równego gdzie indziej. Przeskakuje z tonu na ton, jak jakaś szalenie krwawa sonata. Są tam metafory rzadkie jak orchidee i równie delikatne w barwie. Rytm tego stylu przechodzi wszystkie stopnie radości i smutku. Jest to arcydzieło słowa, chimeryczne, kapryśne, subtelne.

Krytyka angielska omawiając tę książkę złożyła doskonałe świadectwo tępoty. „Najpoważniejsze” czasopismo „Athenaeum” pisało, że „dzieło p. Wilde'a jest niemęskie, zepsute i r o z w l e k ł e”. Ostatni zarzut pod piórem Anglika jest wprost kapitalny.

Anno mirabili 1892 napisał Wilde dla Sary Bernhardt po francusku jednoaktową tragedię biblijną *Salome*. Alfred Douglas przetłumaczył ją na język angielski, a genialny i dziwaczny Beardsley ozdobił ilustracjami. Boska Sara nie grała jej nigdy. Autor sam nie widział swego arcydzieła na scenie.

Nad terasą, z której patrzeć można było w głąb sali biesiadnej, wspierającej się na kolumnach z drzewa algumim, nakrytych kapitelami z brązu -- przepływa księżyc o twarzy bladej i zdaje się iść po szafirowym niebie stopami gołębi, i zagląda przez sklepienie do sali, drąc srebrny szal swego światła na kolczastych krzewach płomieni, wystrzelających z wieloramiennych kandelabrow. Biała księżniczka w błękitnej zasłonie, o głębokich oczach, rozświetlających czarne sklepienie brwi, przesuwająca się lekko jak złuda nocna, ledwo dotykając ziemi swymi pantofelkami z puchu kolibri.

Pchana żądzą okrutną, zaczyna tańczyć. Jej białe nogi połyskują śnieżną bielą alabastru spoza przejrzystego jedwabiu czarnych hajdawerów, uderzając w takt lutni i krotalów. Krągłymi ramionami o złotawym połysku tworzy dokoła swej głowy jakby aureolę świetlną, rozświetloną wizją siedmiu barwnych szalów.

I wychyla wciąż białe ręce o złotawym połysku, jakby nęciła kogoś do tęczowej groty.

Z przymkniętymi znużeniem oczyma, z falującą piersią gięła się w uściskach niewidzialnej pieszczoty, jakby burzą lecącej na jej wątłą postać w zgrzycie i hałasie wschodnich instrumentów. Zdawało się czasem znowu, że drganiem całego ciała chce oddać ekstatyczny dreszcz tajemniczy sanktuariów egipskich, gdzie z czarnych ścian patrzyły rubinowe oczy strasznych bogów, i wówczas zanurzała się w upojeniu nieskończoności i zdawało się, że dusza w skurczach gwałtownych wyrywa się do innego świata.

I znów zakolysała nią burza, która w noc wiosenną gna jej siostry-bachantki po wądołach górskich. Nogi,, ręce, szaty, rozwiane włosy gorzały tysiącem skier różnobarwnych, które jak błyszczące motyle napełniały powietrze i usiadłszy na ciężkich zwojach kadzidla, gorejącego w naczyniach z porfiru, roznosiły po terasie zalanej poświęcą księżycą woń miłości i tęsknoty.

A potem jej wniesiono głowę rabbi Johanana.

Wolała ją od pawi białych, dziobiących złote ziarno w ogrodach tetrarchy. Była jej droższą od pereł, wyłowionych w noc zaślubin najwyższej pary bogów w oceanie nakrytym kopułą gwiazd drżących w mistycznym zachwycie. Szła do niej w swych pantofelkach z puchu kolibri przez krew. I krew sbną piła razem z pocałunkami, które padały jak kwiaty gorące na opuszczony grób.

„Zabijcie tę kobietę!” -- rzekł tetrarcha, drżąc pod swym ciężkim czarnym płaszczem, haftowanym w złote jabłka granatu. Niewidzialny ptak śmierci zaruszał wielkimi skrzydłami, aż na dalekim stawie drgnęły łodzie wtulone w szuwary, jak śpiące łabędzie.

Oto znów jedno dzieło Wilde’a, którego czar działa na wszystkie nasze zmysły w sposób wprost niesłychany. Dramat ten w skarbcu literatury wszechświatowej błyszczy jak klejnot niezwykłego blasku, szlifowany przy świetle gwiazd w noc wzruszeń i drżeń tak rozkosznych, że aż bolesnych.

Styl jego należy do przedziwności stylu nawet u Wilde’a. Przypadek go wypieścił swą lekkomyślną, nerwową dłonią. Dramat ten pisał Wilde po francusku i aczkolwiek znał język wybornie, czuł pewną nieśmiałość w zetknięciu się z tworzywem obcym. Starał się więc nie wykraczać poza zdania proste i nie wikłał się w długie okresy. Stworzył rzecz stylistycznie prostą do ostatnich granic, a zarazem tętniącą rytmem namiętym i pełnym czaru.

Czytając go lub jeszcze lepiej słuchając muzyki tych słów, widzi się jasno, że styl wielkiego mistrza słowa nie jest tylko cudownym darem wyrażania myśli i uczuć w sposób sugestywny, lecz jest zarazem sztuką na poły magiczną wydobywania rzeczy pięknych z chaosu i nicości, tworzenia ich, zapładniania, nadawania im blasku.

Kiedy Oskar Wilde wystąpił, nowy kierunek artystyczny, stworzony przez prerafaelitów z Rosettim, jako *génie d'école*, i Ruskinem, jako kondotierem walczącym uderzeniami iscie renesansowej pięści z przeciwnikami -- triumfował i utrwał dziedziny swego panowania. Potrzeba było jednak silniejszego okrzyku zwycięstwa, wielkiego manifestu, obejmującego jednocześnie amnestię dla wielu z dawnych przeciwników. Walter Pater pisał więc swe szkice i wymaginowane portrety, a Oskar Wilde wszystkie swe poglądy na sztukę i krytykę zebrał w tomie *Intentions -- Zamierzenia*.

Tak oryginalny twórca był równie oryginalnym krytykiem, owszem, w dziedzinie teorii był jeszcze bardziej krańcowym i bezwzględny. Nie znał kompromisów w swej szermierce o wyższe prawa sztuki, chciał ją widzieć *legibus solutam*, panią swych sennych królestw, wyłączną i potężną. Pisał więc katechizm *l'art pour l'art*, który w miarę powstawania stawał się wielkim dytyrambem ku czci własnej poezji, roztaczającej swój pawi płaszcz w życiu i twórczości Wilde'a. Mówił o sobie, a wypowiadał dążenia całych pokoleń. Stworzył książkę piękną i głęboką, książkę, którą zawsze czytać się powinno, a którą jeśli się ją raz przeczyta, czytać się musi. „*The thing of beauty is a joy for ever*” -- mówi Keats.

Wilde przede wszystkim ubolewa nad upadkiem kłamstwa, uroczej sztuki, która wydała najpiękniejszej dzieła, uskrzydliła prosty język Herodota i uzyczyła śmiałej fantazji biuletynom Bonapartego, a w rozciągle okresy Marca Pola wlała życie i werwę. Piękne rzeczy są te, które nas nie dotyczą, życie więc wnosi do sztuki kram pospolitości i melodię jej nastraja na ton fałszywy. Sztuka nie jest wytworem swej epoki, albowiem życie jest jej dziełem. Ona stwarza piękno życia i piękno natury. Natura naśladowuje sztukę, nie odwrotnie. Balzac stworzył wiek dziewiętnasty, a malarze i poeci rozwiesili nad Anglią pajęczynę mgły, zbierającej w swe delikatne zwoje żółte światło.

Na dowód tego opowiada taką historię dowcipną i prawdziwą. Na życzenie pewnej pięknej damy, jednej z tych, którym nic niepodobna odmówić, podszedł do okna, aby oglądać zachód słońca. Wiedział z góry, że widok nie będzie wart trudu opuszczenia wygodnego fotelu. Rzeczywistość przeszła nawet jego sceptyczne oczekiwanie. Albowiem na niebie rozwał się beznadziejny Turner z najgorszego okresu, ze wszystkimi wadami malarza, po prostu trzeciorzędny Turner!

I tak jest aż nazbyt często. Natura jest mało pomysłowa; wcale nieinteligentna i zasadniczo nie idzie z postępem czasu. Stara się przyswoić ulepszenia proponowane przez sztukę, lecz udaje się jej to rzadko i niedoskonale. Stąd też wszelka sztuka, która powraca do życia i natury, jest fałszywa. Realizm, a jeszcze gorzej naturalizm, jako metoda jest najzupełniej chybiony. Artysta winien unikać współczesności w formie i treści. Nie powinno się również szukać i dążyć do prawdy. „Bo czymże jest prawda? W sprawach religii po prostu opinią, przekazaną przez tradycję, w sprawach nauki ostatnim odkryciem, w sprawach sztuki -- ostatnim naszym nastrojem.”

On, rycerz średniowiecznych, romantycznych iluzji, bohater wypraw krzyżowych, na których szedł zdobywać zamki stojące na lodzie, ma inną Panią i jej tylko służy. Pani jego ma wiarołomne oczy i usta pełne cudownych kłamstw. Tak o niej mówi: „Sztuka posiada kwiaty

nieznane w żadnym borze, ptaki w żadnym nie istniejące lesie. Światy stwarza i niszczy, a księżyc ściąga z nieba za pomocą nici purpurowej. Spełnia cuda, gdy ma po temu ochotę, i potwory wywołuje z otchłani, a one się zjawiają posłuszne jej rozkazom. Kwieciami okrywa drzewo migdałowe wśród zimy, a złote łany zbóż przyprósza śniegiem. Na jej hasło mróz przykłada swe palce do płonących ust lata, a lwy skrzydlate wyłazą z mrocznych jaskiń libijskich. Driady ciekawymi oczyma spoglądają na nią z gęstwiny, a ogorzale fauny dziwnie się do niej uśmiechają. Bóstwa o głowach szakali wielbią ją, a centaury trzymają straż u jej boku.”

Nienawidził więc tych wszystkich, którzy ze sztuki czynili kram i lamus cuchnących odpadków życia, brudny i zakurzony. Gdyby przeczytał dzisiejszą graciarnię wierszowaną, która z niezwykłym krzykiem w kulawe rymy ubiera popoliczność uliczną, napisałby swój boski dialog ponownie z większą może tylko siłą i bardziej zjadliwą pogardą.

Drugi dialog w dwóch częściach, przedzielonych kolacją, mówi o krytyce. „Krytykiem jest ten, kto nam dzieło sztuki w nowej formie podaje.” Krytyk jest artystą. Dla niego dzieło sztuki jest jedynie punktem wyjścia, z którego wysnuwa własny twór, nie mający nic wspólnego z rzeczą omawianą. Trudniej jest o coś mówić niż coś stworzyć. Czyn w ogóle nie wchodzi w rachubę, albowiem podstawą działania jest brak wyobraźni. „Działanie jest ostatnią ucieczką ludzi, którzy nie umieją marzyć.” Krytyk właśnie jest marzycielem, który opowiada o czyjejs duszy, a dzieło jego jest twórczością w obrębie innej twórczości. Ma tedy przepych owych szat tyryjskich, trzykrotnie zanurzanych w krwi małży morskich.

Wszystkie epoki twórcze były zawsze w wysokim stopniu krytyczne. Geniusze i mistrze wszelkich sztuki mają zmysł krytyczny, boski zmysł, kierujący jak busolą ich smakiem. Dokonywają selekcji w materiale im dostępnym i mistrzostwo swe objawiają w zdolności ograniczenia swego popędu twórczego. Sztuka] jest wydobywaniem form skończonych i doskonałych z chaosu, a krytyka przy tej zbożnej pracy odgrywa rolę *nus* Anaksagorasa.

Wilde dla tych dwóch świątecznych szkiców wybrał formę dialogu, formę pociągającą zawsze wszystkie natury wrażliwe, o której sam tak mówi: „Dialog -- ta precudna forma literacka, stosowana przez wszystkich krytyków-twórców od Platona do Lukianosa, od Lukianosa do Giordana Bruno, od Bruna do owego wielkiego poganina, którego Carlyle tak kochał -- dialog na zawsze pozostanie dla myśliciela najczarowniejszą formą wyrazu.

Dialog umożliwia mu odsłonięcie i maskowanie myśli, ujęcie w formę każdej fantazji, urzeczywistnienie każdego nastroju. Umożliwia mu przedstawienie każdego przedmiotu z dowolnego punktu widzenia i oglądanie go ze wszech stron, jak się ogląda rzeźbę. Zyskuje się nie tylko bogactwo i pełnię efektów, ukrytych w szczegółach, a wyłaniających się nagle przy

badaniu idei przewodniej, którą też dokładniej oświetlają, lecz także owe szczęśliwe pomysły późniejsze, uzupełniające całość, a zarazem wnoszące do niej pewien subtelny wdźwięk czegoś przypadkowego.”

Dialogi Wilde'a są świeże i soczyste, a myśli w nich zawarte mają odradzający wpływ na duszę. Nie mają giętkości logicznej Platona, przeważnie bowiem mówi jedna osoba, a druga ją tylko pytaniami lub opozycją podnieca, lecz jest w nich posmak erudycji Renana i werwa Lukianosa, nade wszystkim zaś góruje szczerza i świetlana poezja, własność niezaprzeczonego samego Wilde'a i jemu tylko swoista. „Krytyk jako artysta” ma prócz tego szczególniejszą siłę przekonywania, opartą na dziwnej u Wilde'a konsekwencji w rozwijaniu myśli przewodniej. Każde zdanie jest pełne znaczenia i każdy obraz potęguje wrażenie myśli zapładniających, rzucanych hojną dłonią. Myśli te ogrzane słońcem wysokiej kultury, odziane w wiotką szatę paradoksu osłaniającą ich wdzięczne kształty kuszą, nęcą, upajają. Wilde umie wsączać do najgłębszych myśli czar życia namiętności.

W *Intentions* są jeszcze dwa nader ciekawe szkice. W *Prawdzie masek* mówi o teatrze. Żąda dokładności archeologicznej w inscenizacji, aby przez to podnieść wrażenie iluzji. Wykazuje niezwykłą znajomość teatru Szekspira, o którym podaje szczegóły nie dość znane i nie dość brane pod uwagę.

Charakterystycznym dla Wilde'a szkicem jest jego *Prawdziwy portret pana W. H.* Z miną psotnego chłopca zabiera się do poważnego studium, które wielu uczonym niemieckim i nieniemieckim strąciło ostatnie włosy z nagiej czaszki -- do studium nad bohaterem sonetów Szekspira. Daje podobną mistyfikację jak Pierre Louys w swych *Chansons de Bilitis*. Tworzy jeden z najwytworniejszych literackich *persiflages*, satyrę na zaśniedziałą uczoneść, satyrę pełną wdzięku, radosną raczej niż zgryźliwą, zawierającą dla autora najmiłszą myśl o czułej miłości wielkiego poety ku pięknemu chłopcu, dla którego tworzył Julię i Rozalindę i Mirandę.

W literaturze angielskiej była jedna postać, która go szczególnie ku sobie pociągała -- Thomas Griffiths Wainwright, któremu poświęcił szkic pełen wytwornej, współczującej ironii.

Wainwright był malarzem, estetą, kolekcjonerem, a największą jego namiętnością było trucicielstwo, na które, podobnie jak Quincey, patrzył jako na sztukę piękną.

Wilde nie tylko wybaczał mu z łatwością tę jego pasję, mówiąc, że jeśli ktoś jest trucicielem, to jeszcze tym samym nic nie świadczy o wartości jego prozy, lecz wręcz podziwiał tego dandysa z początków XIX w., którego rękawiczki o cytrynowej barwie mogły stanowić epokę w literaturze.

Wilde zawsze żywił nerwowy kult dla ciekawych zbrodniarzy. Stąd jego *Ołówek, pióro i*

trucizna jest pełen uśmiechów ukradkowej przyjaźni. Wainwright był podobny do niego. Umiał w ten sam sposób ożywiać fantazję współczesnych swymi wystąpieniami dandysowskimi.

Był równie znany ze swych pukli obfitych, oczu błyszczących, starych gemm, połyskujących na białych, delikatnych palcach. Wiedział, że życie jest sztuką, która wymaga swego stylu. Kochał stare klejnoty, dywany perskie, przekłady *Amora i Psyche*, oraz *Hypnerotomachii z czasów Elżbiety*, oprawy książek z tej epoki i szerokie marginesy. Odczuwał niezwykle ostro wartość pięknego otoczenia i bez znużenia opisuje nam pokoje, w których mieszkał lub pragnął mieszkać.

Czasem tak lekko, tak melancholijnie sieje Wilde dźwięcznymi, błyskotliwymi słowami, jakby w chwilach pełnej przeczucia zadumy na białej karcie czarnym szlakiem snuł myśl o własnym losie. I wówczas paneriryk ironiczny nabiera cech żalostnego epitafium własnemu życiu i własnej twórczości.

Ariel przed sądem Kalibana

Powiada Pindar: „Człowiek jest marzeniem cienia. Albowiem szczęście ludzkie rośnie równie szybko, jak spada na ziemię, stracone wrogą mocą.”

W kwietniu r. 1895 wszechpotężny Król Życia, Lord Paradox, Petroniusz, Alkibiades, jedyny, uwielbiany, stanął przed sądem, w ciągu kilku posłuchań przechodząc gwałtownie z roli oskarżyciela w rolę sromotnie oskarżonego. Pozwał bowiem markiza Queensburry, starego brutala z nieszczęśliwej krwi Stuartów, o obrazę czci.

Była to zadawniona nienawiść. Markiz, umysł gminny i pospolity, człowiek o wyschłym sercu starego sknery, wierzył, że Wilde wywiera zgubny wpływ na jego syna, lorda Alfreda Douglasa, dwudziestoczteroletniego młodzieńca, który odnosił się do ojca ze źle ukrywaną pogardą. W istocie lord Alfred był od r. 1891 najserdeczniejszym przyjacielem Oskara. Pod jego wpływem napisał Wilde najpiękniejsze swoje dzieła i jemu zawdzięczał ostatnie słoneczne dni swego życia na ziemi włoskiej.

Markiz od dawna rozszerzał o Wilde najpotworniejsze oszczerstwa. W klubach i salonach przedstawiał go jako zbrodniarza. Chodził jak król Lear, któremu szatan złośliwy odebrał -- „najdroższe dziecko”. Był wstrętny, ale mu wierzono, wierzono jego królewskiej krwi. Wilde, idąc za radą przyjaciół, usunął się na czas jakiś i wyjechał do Algieru. Tam spotkał go Andrzej

Gide i dziwił się matowemu blaskowi przygasłych, znużonych oczu Wilde'a, który teraz nie opowiadał tak chętnie swych radosnych bajek.

Nie było to jednak ucieczką. Wilde wytrwał do ostatnich dni procesu, wytrwał nawet wówczas, gdy policja, chcąc mu dać sposobność do wyjazdu, posłała agentów wówczas dopiero, gdy odjechał ostatni pociąg; do Dowru. Rodzina mówiła, że postąpił jak gentleman irlandzki. Okazał męstwo. Okazał odwagę Petroniusza. Była to odwaga człowieka wytwornego, który brzydzi się tchórzostwem, i odwaga człowieka zniewieściałego, którego ogarnia lęk na samą myśl o tej sumie energii, jakiej potrzeba do ocalenia życia.

Wilde rychło poczuł, że grunt mu się usuwa pod nogami. Od pierwszej chwili gdy proces zaczął się przechylać na jego niekorzyść, obłudne społeczeństwo angielskie wyszło przeciw niemu w całym swym ordynarnym rynsztunku. Kiedy zwolniono go na jakiś czas za kaucją, nie dano mu przytułku w najlichszej gospodzie, wygnano jak psa w noc ciemną i dżdżystą, że aż padł bez zmysłów na progu domu swego brata.

Sztuki jego skreślono z repertuaru, a książki wycofano z obiegu. W niedługi czas potem palono je publicznie. W misterne boazerie pałacu przy Tite Street zastukał młotek licytatora. Pospolitość i okrucieństwo brały jego biedną głowę w swe rozpalone obręcze.

Pozostał jednak sobą do końca. Łamał ręce w swej celi, napełnionej wyziewami rozpacz i zgryzoty, ale dla sędziów miał ...twarz jednakową -- ciszę błękitu.

Od apologii Sokratesa nie słyszano słów równie hardych i równie szyderskich. Za to musiał zapłacić sownie. Biografowie podają wyjątki z przesłuchania. Odpowiedzi Wilde'a noszą cechę dzieł jego z najświetniejszego okresu i wyrażają absolutną pogodą ducha. A może on myślał, że jak ongiś Fryne cudem swej nagiej piękności rozbroiła sędziów, tak on rozbroi ich tym czarem swego umysłu, któremu dotychczas nikt oprzeć się nie umiał? Oto jedna scena:

Sędzia

Czy sądzi pan, że pańskie poglądy przyczyniały się do podniesienia moralności u młodzieży?

Wilde

W dziełach swoich usiłowałem jedynie dawać dzieła sztuki.

Sędzia

Czy mam to tak rozumieć, że nie troszczył się pan o ich wpływ moralny czy demoralizujący?

Wilde

Wyrażałem przekonanie, że książka nie może wpływać na ustrój moralny człowieka.

Sędzia

Nie uznaje pan zatem wpływu moralnego lub niemoralnego?

Wilde

Bezwzględnie nie. Kiedy coś piszę, mam jedynie artystyczne cele na oku. Nie chcę tworzyć ani zła, ani dobra, lecz coś, co by posiadało formy odpowiadające piękności, dowcipowi, uczuciu itd.

(Sędzia cytuje kilka aforyzmów, zebranych w dwóch zbiorach: *Zdania filozoficzne do użytku młodzieży* i *Oskariana*, po czym przechodzi do *Doriana Graya*.)

Sędzia

Czy nie można *Doriana Graya* tłumaczyć -- w pewien sposób?

Wilde

Sądzę, że mogą to robić ludzie zwyczajni, nie rozumiejący się na literaturze. Poglądy filistrów na sztukę są nieprawdopodobnie głupie.

Sędzi

Według pańskiej definicji należą przeważnie ludzie do rzędu filistrów i nieuków?

Wilde

Spotykałem kapitalne wyjątki.

Sędzia

Myśli pan, że większa część publiczności wzniosła się na wyższy poziom dzięki pańskim poglądom?

Wilde

Obawiam się, że brak jej w tym kierunku dostatecznych zdolności.

Sędzia

Czy w takim razie starał się pan o to, aby ludzie przeciętni nie czytali pańskich książek?

Wilde

Nigdy nie zachęcałem ludzi, żeby się wznosili ponad swą przeciętność. (Wesołość na sali.)

Sędzia

Cytuję z pańskiej książki takie zdanie: „Przyznaję, że cię ubóstwiam szalenie.” (*I quite admit that I adored you madly.*) Czy zna pan podobne uczucie?

Wilde

Żadnego człowieka nie podziwiałem prócz siebie samego. Wyrażenie to, muszę przyznać, wzięte jest z Shakespeare'a. (Wesołość.)

Sędzia

Czytam dalej: „Chciałbym cię posiadać zupełnie.”

Wilde

To brzmi istotnie tonem gwałtownej namiętności.

Sędzia

Ludzie, którzy nie podzielają pańskich poglądów, mogą mieć odmienne zdanie co do tego ustępu.

Wilde

Bez wątpienia. Lecz proszę mnie nie przesłuchiwać na podstawie nieświadomości drugich osób. (Wesołość.)

Sędzia

(czyta następujący list Wilde'a do lorda Alfreda Douglasa)

„Mój drogi chłopcze! Twój sonet jest porywający i to jest dziwne, jak dalece usta twoje różowe są stworzone zarówno do pieśni, jak do pocałunków namiętnych. Twoja lekka, zbita dusza buja między upojeniem namiętności i poezji. Myślę o dawnych czasach greckich i wierzę, że Hiacyntem, którego Apollo tak kochał szalenie -- ty byłeś. Dlaczego siedzisz samotny w Londynie i dlaczego nie pojedziesz do Salisbury? Jedź tam i ochłódź swoje ręce w szarawym świecie gotyckiej starożytności, i wracaj, i przychodź, jak często ci się tylko podoba. Tu jest prześliczny zakątek, brak mu tylko ciebie. Lecz pojedź wpierw do Salisbury.

W wiecznej miłości
zawsze twój Oskar Wilde.”

Czy jest to zwykły list?

Wilde

Nie. To jest list piękny.

Sędzia

Jest to zatem szczególny list?

Wilde

Tak. Jedyne.

Sędzia

Czy pańska korespondencja z lordem Alfredem była utrzymana zawsze w tym samym stylu?

Wilde

Nie. To byłoby niemożliwe. Takich rzeczy nie można zawsze napisać.

Sędzia

Pisał pan więcej listów tego rodzaju?

Wilde

Moje listy nie należą do żadnego -- „rodzaju”.

Sędzia

A więc pisał pan kiedy indziej coś podobnego?

Wilde

Nie powtarzam się nigdy.

Sędzia

(czyta inny list) Czy to jest również niezwykle list?

Wilde

Sądzę, że wszystko, co ja piszę, jest niezwykle. Nie wierzę, abym mógł być pospolitym.

W taki sposób toczyła się rozprawa dalej. Miało się wrażenie, że Kaliban sędzi Ariela. Ściągnięto świadków ze wszech stron, wyprowadzono ich z nor niechlujnych, gniazd zbrodni i występków na przedmieściach londyńskich. Zeznania ich były sprzeczne, mętne, albowiem nie umiano im dostatecznie wytłumaczyć, o co mają oskarżać tego eleganckiego pana. Oszczyrstwa dyktowała im co najwyżej nienawiść klasowa. Markiz Queensburry zaciskał pięści, albowiem sądził, że potrafi winę Wilde'a uczynić jasną i przekonującą. Potrafił zaś jedynie tyle, że sędziowie uznali przytoczone zarzuty pomimo ich całej bezpodstawności za wystarczające, tym bardziej że Wilde, oszczędzając przyjaciela, nie mógł podać na swą obronę najwালniejszych argumentów, i skazali Wilde'a na dwa lata robót przymusowych i ciężkiego więzienia.

Na ścieżce Św. Franciszka z Asyżu

I osadzono go w więzieniu w Wandsworth, obcięto piękne pukle, ujęte w kunsztowne loki nerońskie i dano błazeńskie ubranie więzienne. A kiedy go przeprowadzano do Reading, jakieś marne indywiduum plunęło mu w twarz. Godzinę całą wystawiano go na urągowisko podłego tłumu.

Były to chwile okropne. Wilde myślał z początku o samobójstwie. Wyglądał strasznie. Wypieszczone jego palce były brudne i skrwawione od darcia powrozo w, przepojonych smołą. Starał się je ukryć i wstydził się tego. Wychudł jak szkielet, a szczeka dolna opadła, nadając twarzy jego wyraz starczy. W głęboko zapadniętych oczach czało się szaleństwo. Od krat przeżartych rdzą łez ludzkich, od ścian pokrytych wilgocią szedł jakby szmer bolesnego zdziwienia i kładł się miękką dłonią litości na pobladłym czole więźnia:

...czemu

świat porzuciłeś i słońcu uciekłeś jasnemu?

Jedynie w groźnych ustępach kronik królewskich znaleźć można tragedię równie wstrząsającą. Albowiem za zębatymi murami Reading siedział poeta kochający życie i słońce, który się skarżył: „Nie wiemy ani możemy wiedzieć o siewach lub żniwie, o kosiarzach : zbożnym łanie, o winiarzach i ich pracy po winnicach ani wiemy o cichych murawach ogrodów, na które leci śnieg wonnych płatków kwiatnych lub spadają owoce.” Wychowany i wypieszczony zbyt apostołem estetyzmu w głodzie i mroku wilgotnym plamił swe ręce najpospolitszą pracą. Człowiek, dla którego słowa układające się w rytm słodki było rozkoszą, czuł teraz dzień i noc ogniste piętno milczenia na ustach. Zamiast imienia, którego sam dźwięk twarze ludzkie rozjaśniał uśmiechem, miał numer celi, czarną mazią wypisany na piersiach i plecach. Nie słyszano jednak nigdy ani słowa skargi. Dozorca więzienny opowiadał o nim: „Nie wiem, czym ten czbwiek był przedtem, lecz tutaj uważaliśmy go za świętego. Kiedy odchodził od nas, dla wielu więźniów była to chwila, w której mieli wrażenie, że sama Nadzieja porzuca ich ciemne nory.”

Dwa straszne lata się skończyły. Był wolny. Miał w kieszeni pół gwinei, zarobek więzienny. Nie posiadał ani domu, ani żony, którą rodzina zabrała daleko od niego, ani dzieci, ani matki, którą stracił, gdy był w więzieniu. Pamiętał, że miał kiedyś bibliotekę pełną książek, oprawnych zbytkownie. Nie wiedział, że przepyszne egzemplarze jego dzieł, które ofiarowywał żonie, przerzuca teraz chciwa ręka brudnego antykwarza londyńskiego. Był żebrakiem wspieranym przez życzliwe, niewidzialne dłonie.

Wyjechał do Francji. W Bretanii, w nadmorskiej wiosce Berneval koło Dieppe, zamieszkał w ustronnym hoteliku pod nazwiskiem Sebastiana Melmotha, bohatera fantastycznej powieści jego dziadka, Maturina. Markiz Queensburry i tam go śledził przez swych agentów, a Anglicy szukali sposobności, aby mu okazywać wzdargę. Było tam ponuro, lecz zacisznie. Proboszcz wyznaczył mu osobne miejsce w kościółku wiejskim, dzieci go kochały, celnikom rozdawał powieści Dumasa ojca. Na szeroką arenę wystąpić nie chciał. Do Paryża wybierał się dopiero z ukończonym dramatem. Pracował nad *Faraonem*, myślał o *Judaszu*, pisywał do przyjaciół pełne zapału listy, nierzadko kończące się prawie bolesnym wołaniem: „...i znowu będę King of Life!”

Łudził się. Ten człowiek o skórze czerwonej, rysach grubych i spospoliciałych, zębach

popsutych, ani z wyglądu, ani z ducha nie przypominał Oskara Wilde'a. Podobnie jak lokaje poznali nieżywego Dodana Graya po pierścieniach i jego poznać można było jedynie po pierścieniach, wśród których nie brakło i słynnego skarabeusza w otoczce z lapis-lazuli. Ale złoty źródło twórczości przestał bić na zawsze. Proszono go o artykuły, szkice, lecz on odmawiał. Oskar Wilde nie mógł stać się dziennym wyrobnikiem. Dyrektorowie teatrów angielskich proponowali mu współpracę, ale anonimową. Zdaje się, że w końcu zgodził się, albowiem dwie sztuki, o których wówczas głośno mówiono w Londynie, nosiły zbyt liczne znamiona jego talentu.

Kiedy powrócił do Paryża z krótkiego pobytu we Włoszech, gdzie go podejmował Alfred Douglas, dopóki rodzina nie odmówiła mu renty -- siadywał w kawiarniach w wytartym cylindrze, w brudnym kołnierzyku, w surducie z wystrzępionymi rękawami, usiłując w kieliszku koniaku odnaleźć zagubiony wątek swych złotych bajek. Dowcip jego był sztuczny, bojaźliwy, kwaśny. Żarła go nędza. „Widzicie -- pisał do przyjaciół -- jak dalece tragedia mego życia stała się ohydną. Cierpienie jest możliwe, kto wie, czy nie konieczne, lecz nędza -- to straszne! To plugawi duszę ludzką.”

Wreszcie umarł -- mówiono, że skończył samobójstwem, nie mogąc przenieść okropnych męczarni -- umarł w swym nędznym pokoju, pod fatalną liczbą 13, do ostatnich chwil niemal marząc o krajach słonecznych. Na grobie jego położono biały kamień z napisem[^]

OSCAR WILDE

16 Oct. 1854 30 Nov. 1900

*Verbis meis addere nihil audebant et
super illos stillabat eloquium meum.*

Hiob XXIX, 22. R. I. P.

W żadnej innej księdze ludzkiej niepodobna było szukać dla niego sentencji nagrobnej. Na początku swej krzyżowej drogi pozostawił dwa krwawe kwiaty: *De profundis* i *Balladę więzienną*.

Podobnie jak jego mała Infantka żądała, aby ci, którzy przychodzą ją weselić, nie mieli serca, co by pęknąć mogło, Wilde wymagał od życia, aby było różą bez cierni. Unikał bólów i trosk wszelkiego rodzaju. Były mu one wstrętne. Nie znosił brzydoty i patrzeć nie mógł na cierpienie. „Dla cierpienia nie mogę mieć współczucia -- pisał wówczas -- albowiem jest ono nazbyt brzydkie, nazbyt straszne, przynębiające. Nasza dzisiejsza sympatia dla bólu jest czymś po

prostu chorobliwym. Należy odczuwać barwę, piękno, życie.”

W tej epoce cierpienie było dlań przeciwieństwem jasności, szlachetności, mądrości nawet, ponieważ mądrość równała się pięknu. Cierpienie -- to negacja piękna, fantazji, bogactwa barw i słońca. Cierpienie -- to ubóstwo, szarość, powszedniość, beznadziejność, codzienność i martwa monotonia. A potem mówi: „Wszedłem do więzienia z sercem kamiennym, z nie przygasłymi jeszcze myślami o własnej rozkoszy, lecz teraz serce to pękło. Przez krwawą szczelinę weszła litość. Zrozumiałem, że litość jest największą, najpiękniejszą rzeczą na świecie.”

Wydaje mu się, że znalazł nową prawdę, a on tylko gubi resztki starej prawdy i czuje, że wkrótce nie będzie miał czym zapłacić przeraźliwej pustki. W chwilach rozpaczliwej świadomości woła: „Oni wzięli moją duszę. Nie wiem, nie wiem, co oni z nią zrobili.”

Cieszył się jak dziecko, że mu wreszcie dano w więzieniu papier i pióro, i w jednym takim momencie smutnej radości napisał ów namiętny, złudny list do Roberta Rossa, który znamy jako *De profundis*. Przyodział swą duszę we włosiennicę pokory, sądząc, że tak zdoła ona wrócić do królestwa twórczości, skąd ją sromotnie wygnano. Ręka pisze hymn cierpieniu i litości, a usta, te czerwone, zmysłowe usta szepczą: „Ani jednej chwili nie żałuję, że żyłem dla rozkoszy.”

Przyjmuje cierpienie i jednocześnie je zwalcza, mówiąc: „Gdziekolwiek jest jakiegokolwiek cierpienie, choćby nim był płacz dziecka nad urojonym grzechem -- cała gloria świata zostaje splamiona.” W zgrzebnej szacie więziennej wstępuje na ścieżynkę św. Franciszka z Asyżu i w tejże chwili budzi się w nim dandys, który mówi: „Gdybym w nocy, nie mając noclegu, leżał w trawie, zacząłbym układać sonety do księżyca.” W tych słowach objawia się cały Wilde -- artysta, poeta i człowiek o jasnym spojrzeniu: on nie widzi nocy ponurej, zalanej deszczem, zasnutej mgłą, ale cichą noc księżycową. Stąd owa apoteoza cierpienia, jaką daje w *De profundis*, jest raczej bolesnym przekleństwem, złowrogim anatema.

Tworząc dokoła swej celi pajęczą siatkę snów, złudzeń i widm, wypełnił ją Chrystusem -- takim, jakiego znalazł we własnej duszy. Utworzył bowiem przed sobą subtelną i głęboką duchowość poety i artysty, prorok stepów i gór, duchowość przepojoną natchnieniem, jak tkanina syryjska przepojona jest aromatem wonności wschodnich, duchowość młodą, świeżą jak kwiat rozchylający się w rosie porannej. Odkrył w Chrystusie jakieś helleńskie bóstwo harmonii i piękna, ziemskiej radości życia, otoczone uwielbieniem, należnym słońcu. I umarł, jak żył, poganinem.

Łabędź Erynu, zanim odpłynął na ciemne wody Lety, zaśpiewał ostatni raz. W r. 1898 ukazała się w Londynie: mała książka, zadrukowana strofami poetyckimi i podpisana C. 3. 3.

Tylko dozorczy więzienia w Reading wiedzieli, kto był jej autorem. Nie czytali jednak tej książki, która przecież i o nich mówiła. Mało kto ją czytał. Przeszła niepostrzeżenie. Dzisiaj jest znana i wielbiona, albowiem „dzisiaj złamane serce doczeka się mnóstwa wydań”.

The Ballad of Reading Gaol poświęcił Wilde byłemu gwardziście królewskiemu, którego powieszono w więzieniu za zabójstwo kochanki. Ponieważ miał opisywać ból i trwogę ludzi nieszczęśliwych, sięgnął po starą formę ballady i włożył w nią ostatni promień swego geniuszu, ostatni, albowiem potem zapadła nad nim głucha, nie przebita noc.

Z całą prostotą i jakby nabożeństwem należnym ludziom umarłym odłożył Wilde wszelką sztuczność, wszelki symbolizm, wszelki prerafaelityzm i zagadał o człowieku głosem człowieka okrutnie zboląłego. W strofach nierównych połączył niewidziany w dotychczasowej jego twórczości realizm z prawdziwie wielkim patosem. Stworzył rzecz o napięciu poetyckim równie silnym jak Piekło Dantego, lecz nierównie bar--dziej ludzką. Rytm tego wiersza przypomina spazm płaczu. Jest bolesny, twardy, a czasem wygina się niespodzianym skurczem w ironiczny, tragiczny śmiech i wówczas sypią się na chropawe dźwięki drobne, łaskotliwe paciorki rymów wewnętrznych, krzepnących wrychle znowu w jeden zwarty męski akord. Była to jego pieśń ostatnia.

Bajka Orfeusza

Oskar Wilde posiadał pełną świadomość siebie. Jak każdy człowiek wytwornej i subtelnej kultury zajmował się analizą własnej psychiki. W chwilach zaś kiedy przeciągał przed nim na szarej ścianie celi barwny i roześmiany korowód jego życia, rozpamiętywał je z goryczą, o której poeta mówi -- *nessun maggior dolore...* I wówczas napisał o sobie samym taki nekrolog:

„Posiadałem geniusz, imię zacne, wysokie stanowisko społeczne, sławę, świetność i odwagę myśli. Uczyniłem ze sztuki filozofię, a z filozofii sztukę. Nauczyłem ludzi odrębnego sposobu myślenia i nadałem rzeczom inne barwy. Wszystko, co mówiłem i co robiłem, budziło zachwyt. Z dramatu -- najbardziej przedmiotowej ze wszystkich form sztuki -- uczyniłem rodzaj literacki zupełnie osobisty o kolorycie lirycznym, coś na kształt sonetu. Jednocześnie rozszerzyłem jego zakres i wzbogaciłem jego walory artystyczne. Dramat, powieść, poezja, proza poetycka, dialog rzeczywisty i fantastyczny, wszystko, czego się tknąłem, upiększałem, nadawałem wszystkiemu nową szatę piękną. Prawdzie dałem prawdę i fałsz, jako jej prawowite królestwo, i wykazałem, że prawda i fałsz są jedynie formami istnienia intelektualnego. Patrzyłem na sztukę jako na

rzeczywistość najwyższą, a na życie jako na odgałęzienie fikcji. Obudziłem fantazję mego wieku w taki sposób, że tworzyć się zaczęły dokoła mnie mity i legendy...”

Z szarej mgły współczesnego życia wykwitły przed kilkudziesięciu laty dwa szafiry niezwykle pogodnych, jasnych oczu. Były to klejnoty kosztowne i czarodziejskie. Załmywały promień słońca w sto tęcz rozmaitych, w szmaragdowej pomroce lasu dostrzegały alabastrowe ciała nimf na wezglówiu mchów i wrzosów do konch perłowych podobne, a poza drżącym blaskiem gwiazd śledziły błękitną wstęgę drogi, po której Beatrycze idzie ku Róży Mistycznej.

Dla Oskara Wilde'a nie było nic pięknego poza Sztuką, którą kochał i ubóstwiał, w zamian za co otrzymał od niej wenusową przepaskę nieprzepatrego uroku, tak i że każdym słowem umiał zasmucać i radować, zabijać 1 duszę lub wskrzeszać. Hojnie, namiętnie prawie rzucał dokoła siebie snop iskrzących się ziarenek prawdy, tej prawdy, która jest pięknem samym.

Opowiadał bajki. Był bowiem jak dobra wróżka, co nad łóżkiem dzieci potrząsa diamentową różdżką i strąca gwiazdy z ciemnego nieba, i był jak swawolny satyr, który oreadom w spłonione uszka szepce miłości bogów. Stąd najpiękniejsze dzieła sztuki, które tworzył, jak tworzy wiosna, gdy przykrywa ziemię wzorzystym kobiercem kwiatów -- w jednej chwili, pod wrażeniem przemijającego nastroju, z iskrą bożą w oku, z ustami rozchylonymi namiętnością baśni -- zapadły w mgłę przeszłości niepowrotnej, jak ginie w morzu lutnia o zł otych strunach i rogach perłowych.

Dzisiaj mit i legenda biorą go w swe posiadanie i osnuwają jego postać, jak bluszcz i powój ogarnia posąg greckiego boga. Staje się z wolna rzeczą coraz trudniejszą pisanie biografii człowieka, którego życie wydaje się nam ustępem z historii cesarów rzymskich. Gdy zamkną się oczy tych, co pod powiekami czują jego obraz, wówczas z trudem uwierzą szare pokolenia, że wśród pospolitości XIX w. rozwinął się kwiat legendy greckiej. W starożytności wznoszono by mu posągi, jak Antinousowi, lub stawiano świątynie, jak owemu siedemnastoletniemu gnostykowi o twarzy bladej i oczach marzących.

Życie i twórczość Oskara Wilde'a to drugie przyjsie Dionizosa, albowiem „bogowie rodzili się z jego uśmiechu, a ludzie z jego łez”. Okrzyki zachwytu, jakie wznoszono dokoła niego, rozbrzmiewały echem dawnej pieśni bachicznej, która wywoływała boga winnej latorośli z grot purpurowych, a on szedł do rzeszy spragnionej szczęścia, z głową bluszczem umajoną, potrząsając złotym tyrsem. Nad całą rozspiewaną zgrają zawisła bajka starego Orfeusza, którą wysnuł ze swej duszy milczącej w cyklopiach murach świątyni odwiecznej, nad morzem spienionym gorzką falą. Dziwna to bajka: „Dzeus pod postacią węża astralnego połączył się z duszą świata, dziewicą nie stworzoną, przezystą Korę, i zrodził Dionizosa. Pewnego dnia

boskie pacholę ujrzawszy się w zwierciadle srebrnym utonęło nad własnym odbiciem w zadumie. Wówczas Tytani rzucili się na niego i rozszarpali na siedem części i złote ciało boga pożarli. Atena ocaliła serce Dionizosa. Dzeus poraził Tytanów piorunem, a z ich popiołów powstali ludzie, plemię złe i krwiożercze. Lecz z serca Dionizosa rodzą się geniusze i herosi.”

A z poczerniałego progu świątyni eleuzyńskiej, piastunki tajemnic, wypełza ku nam głos wieszczu niby wąż, stróż grobów i misteriów, mówiąc: „Syn szalonej kobiety, ów Dionizos, który niegdyś chodził po ziemi w ciele ludzkim, żyje wiecznie w świetle ducha. On jest przodownikiem wtajemniczonych, on pokazuje drogę po której idą duchy dawnych, jasnych bogów!”

Lwów 1921.

„Antinous w aksamitnym berecie” był pisany w tej wczesnej dobie, kiedy nie rozporządzałem jeszcze wszystkimi i materiałami do biografii i twórczości Wilde'a, a nawet nie mogłbym ich wtedy zdobyć. Stąd wiele jest tu nieścisłości, błędów, które znikły w mojej późniejszej książce „Król życia”, opartej na badaniach o wiele rozleglejszych, z wyzyskaniem wszystkich źródeł. Nic tu jednak nie poprawiałem, zgodnie z przyjętą w tym zbiorze zasadą, że każda rzecz opiera się na pierwodruku, wiernie powtórzonym w jego treści, stylu i języku.

Rzym czarodziejski

„Rzym czarodziejski” pochodzi z okresu moich studiów uniwersyteckich, kiedy wiele zajmowałem się religiami antycznymi, pisałem „Mitologię”, a niejako na jej marginesie cykl swawolnych opowieści pt. „Eros na Olimpie”. I „Rzym czarodziejski” jest z tego samego marginesu, a raczej z dwóch marginesów, albowiem w tym czasie gorliwie pracowałem nad cesarstwem rzymskim.

Podobnie jak „Antinous w aksamitnym berecie” był on najpierw odczytem, wygłosiłem go w Kasynie Miejskim na wieczorze urządzonym przez Związek Literatów 7 grudnia 1922. Potem powtarzałem go jeszcze w innych miastach: w Poznaniu, w Złoczowie, w Drohobyczu, w Borystawiu. Tu odbył się on w sali, która służyła również na przedstawienia teatralne jakiegoś zespołowi amatorskiemu, i jeszcze stały dekoracje do „Betlejem polskiego” Lucjana Rydla.

Mając za plecami betlejemską stajenkę zacząłem swoją opowieść o magii i czarnoksiężstwie. Po kilku minutach odczułem, że publiczność zachowuje się niepokojąco, odzywały się szmery, chrząkania, pomruki. Nagle w trzecim rzędzie wstał poważny jegomość i zwracając się do słuchaczy zawołał: „Cicho! ja już raz na takim byłem. On najpierw gadał, ale potem pokazywał.” Publiczność uśmierzył, ale mnie nastraszył. Wymieniłem porozumiewawcze spojrzenia z siedzącymi w pierwszym rzędzie organizatorami wieczoru. Skracałem swój odczyt bezlitośnie, w kwadrans byłem gotów i umknąłem za kulisy. Powitano to burzliwymi oklaskami, nikt nie miał wątpliwości, że za chwilę wyskoczę w turbanie na głowie i z magiczną laseczką w ręce. Ja tymczasem czułem się już bezpieczny w bryczce, która mnie wiozła do gościnnego domu, gdzie przez resztę wieczoru bawiliśmy się zawodem, jaki spotkał oszukaną publiczność.

„Rzym czarodziejski” ukazał się jako czwarty tomik „Biblioteki Tęczowej” pod redakcją mojego przyjaciela Józefa Mirskiego. Ja sam wymyśliłem jej nazwę, każdy tomik miał być w jednym z siedmiu zasadniczych kolorów, a szereg takich tomików miał grać wszystkimi barwami tęczy na wystawach księgarskich. Grał krótko. Biblioteka zwiędła razem z majątkiem przedsiębiorcy, który był jej wydawcą. Był to młody człowiek o wielkim rozmachu, co dzień słyszało się o jego nowych przedsięwzięciach; zakładał spółki akcyjne, kupował dzienniki i tygodniki, rąbał lasy, czy ja wiem co jeszcze. Zapowiadał się na potentata finansowego i może był nim w okresie inflacji, raptem to wszystko się skończyło.

„Biblioteka Tęczowa” zdobyła sobie pewne uznanie. Oprócz mojego „Rzymu” w tej serii ukazały się następujące książki: Wacław Sieroszewski -- „Na wulkanach Japonii”; Tomasz Masaryk -- „Słowianie po wojnie”; Józef Jedlicz -- „Teatr a kino”; Teodor Roosevelt -- „Amerykanizm”; Karol Irzykowski -- „Prolegomena do charakterologii”. A byli tam przewidziani i Stanisław Niewiadomski, i Kaden Bandrowski, i Karol Szymanowski, i Stanisław Wasylewski, i Władysław Witwiński, i Tadeusz Zieliński, nie licząc mniej znanych. Niektórzy już nadesłali swoje prace i Józef Mirski nosił je w tece, zafrasowany i bezradny. Rozumiałem go tym lepiej, że miałem podobne kłopoty z własnymi seriami „Wielcy Pisarze” i „Pan”.

Na odwrocie karty tytułowej „Rzymu czarodziejskiego” dałem wydrukować: „Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone. Copyright by Jan Parandowski Lwów.” Jakbym już widział drapieżne ręce zza Oceanu sięgające po moje dobro. Sięgnął zaś po nie tylko krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny” w kilka lat później. Tara pojawił się nieoczekiwanie mój „Rzym” w paru felietonach. Było to jaskrawe bezprawie i wytoczyłem IKC-owi proces o samowolny przedruk. Niestety, w dniu rozprawy nie mogłem się stawić w Krakowie, bo miałem ciężką gripę. Mój adwokat przegrał sprawę i co gorsza, nie zgłosił apelacji albo raczej odwołania do Sądu Najwyższego. IKC parokrotnie zaznaczał, że ma chęć wypłacić mi jakieś odszkodowanie czy honorarium, ale nie chciałem o tym słyszeć.

I

Żyjemy w dobie renesansu wiedzy tajemnej. Pożądanie cudowności jest naszym ostatnim dreszczem. Oczywiście nie jest ono czymś niezwykłym. Przeciwnie, jest tak stare jak ludzkość. Jest właściwe człowiekowi każdej epoki i na każdym poziomie cywilizacji.

Nie ma człowieka, który by nie pragnął bodaj na chwilę wyjść poza naturę, gdyż wydaje mu się, że nosząc ją ustawicznie w sobie, zna ją aż nadto dokładnie. Niewątpliwie jest to błędne mniemanie. Ale błędy są zbyt często ponętniejsze od prawdy. Barwy ich są jaskrawe, a głos pieściwy, kuszący. Można nie wiem jak kochać prawdę, a jednak uprzykrzyć ją sobie w końcu. Zbyt wielu ludziom to nie grozi, bo prawda ma nielicznych adoratorów. Jest to niewiasta trochę przywiędłą i zgorzkniałą.

Prawda jednak ma w sobie jakieś spokojne dostojeństwo, i stąd nasze błędy zabiegają dokoła niej, żebrząc o łaskę. Podobnie jak chłopak cieszy się, gdy bohatera ulubionego romansu

odnajdzie w podręczniku historii, tak i nas niewymowną napelnia radością, ilekroć błędy nasze dzielają kapłani Prawdy -- uczeni. Zaciekle ataki prelegentów okultystycznych wymierzone przeciw tzw. „wiedzy oficjalnej” kryją w sobie więcej pochlebnego dla niej podziwu niż li ciche pochwały wiernych jej wyznawców. Objaw zupełnie zrozumiały: nikt nie jest bohaterem w oczach własnego giermka. Uczeni, znając wszystkie niedostatki i słabości swej Pani, nie są tak skłonni do zachwyków. A są wśród nich i tacy, którzy wszystkie nasze teorie, będące podstawą naukowego poglądu na świat, określają po prostu mianem zabobonu. Dziś jeszcze się ich wyklina, „jutro” zaś może przyznać im słusność.

Obecnie dokonywa się ciekawe widowisko: oto rzeczy gruntownie w ciągu wieków ośmieszane stają się nagle poważne i ludzie zupełnie poważni, noszący tytuły naukowe piszą książki w obronie astrologii, magii, demonologii. Dzieła te opierają się na długich skrupulatnych badaniach, których metodzie nic zarzucić nie można. Istnieją dziś osobne publikacje astrologiczne, redagowane przez ludzi inteligentnych i wykształconych.

Ha! trudno. Trzeba się będzie z tym pogodzić. Zawsze jednak trochę mi smutno pomyśleć, że umysły tej miary, co Lukianos z Samosaty lub Voltaire, były w błędzie, a słusność miały ich zacne kucharki...

Słuchając, co się dziś o tych rzeczach mówi, czytając co się o nich pisze, a zwłaszcza widząc ten zapal, z jakim ludzie dzisiejsi oddają się badaniom wszystkiego, Co dotyczy sił tajemnych, tkwiących w człowieku i w przyrodzie -- zdawało mi się, że chwytam echo czegoś bardzo odległego, a jednak dziwnie bliskiego. Wtedy stanął mi w oczach obraz Rzymu cesarskiego, epoki równie jak nasza niespokojnej, uginającej się pod brzemieniem oczekiwania klęski, która nie wiadomo skąd nadejść miała, epoki pozbawionej jakiegoś jednego ideału, poszukującej boga wszędzie, gdzie go się tylko znaleźć spodziewała, epoki bez jednolitej kultury, lecz ze wszystkich kultur złożonej, bez tradycji, albowiem dawne tradycje obumierały, a nowe nie zaczynały jeszcze nawet kiełkować, epoki nie wierzącej i jednocześnie potrzebującej wiary głęboko, gorąco, namiętnie -- tej epoki z tak wielu względów podobnej do tej, w której my dziś żyjemy.

W miarę jak się wpatrywałem w ten obraz, przyszło mi na myśl, że dobrze będzie raz jeszcze otworzyć starych autorów, posłuchać ich miłych opowiadań, rozejrzeć się w tej plątaninie „słodkich głupstw”, które zaspokajały potrzeby duchowe tylu wieków, a jednocześnie pokazać tym wszystkim, którzy wraz ze mną odbywać będą wędrówkę, jak dalece rzeczy te są odwieczne i niezmiennie, ponieważ wyrastają z głębi zawsze tej samej natury ludzkiej.

II

Wyobraźcie sobie Rzym w drugim wieku po Chrystusie Złoty wiek cesarstwa. Szczyt potęgi, bogactwa i wielkości. Stolica świata całego. Miasto liczące z górą milion mieszkańców -- rzecz w starożytności prawie wyjątkowa.

Dość stanąć na Kapitolu, aby się przekonać, że to najcudowniejsze miasto na świecie, poza którego murami życie wydaje się czcze i nędzne. Mozaika marmurowych budowli, pałaców i świątyń rozpartych na kolumnach, zielone kwadraty parków, morze domów, którego szare fale zbiegają z wyniosłości w doliny i znów wspinają się po wzgórzach. Bez końca. Nie tak jak dziś. Albowiem dziś wokół roztacza się melancholijna pustynia Kampanii. Wówczas zaś cała Kampania była zabudowana, a gęsto zaludnione przedmieścia zlewały się z Rzymem w jedno.

Nie dziw, że przybysze ze Wschodu, Zachodu, Południa i Północy stawali w niemym zachwycie -- barbarzyńcy mieczem legionów wyluskani ze swych szałasów darnią pokrytych -- i ci, co patrzyli co dzień na kamienną potęgę piramid -- i ci, którym swojskie były klejnotami połyskujące mroki pagód indyjskich, i nawet Grecy, co przed podziwem umieli się bronić ironią. Przecież to jeden z nich, retor Arystydes, olśniony widokiem tego miasta tak mówi w swej Pochwale Rzymu: „Do was ze wszystkich stron świata i ze wszystkich mórz napływają wytwory wszelkich stref i rzek, i jezior, zarówno płody ziemi, jak i produkty przemysłu. Ten, kto chce obejrzeć to wszystko, a nie ma czasu, aby zbiegać świat cały, niech spieszy do owego miasta, gdzie o każdej porze znajdzie dostatek wszystkiego, co jakkolwiek naród w jakimkolwiek zakresie wytwarza.” Teraz rozumiecie, dlaczego prowadzę was do Rzymu, aby pokazać, czym żyła owa epoka, do tego Rzymu, który jest jakby miejscem spotkania całego świata.

Patrzcie: ulica rzymska. Murzyni prowadzą słonie cesarskie, których strzeże gwardia jasnówłosych Germanów; filozofowi greckiemu toruje drogę sekretarz jego, Hindus znad Gangesu; ośmiu Sarmatów niesie w lektyce otwartej jakiegoś księcia wschodniego, ubranego w szaty jaskrawe i pełne klejnotów; Hiszpanka ściąga na się pożądliwe spojrzenia młodych oficerów brytańskich, którzy jutro pojedą do obozu cesarskiego pod Wiedeń. W tej kolebce rasy łacińskiej słyszy się wszystkie języki prócz -- łaciny...

Dokoła sklepów tłok jeszcze większy. Tu sprzedają jedwab chiński i szkło aleksandryjskie, tam znów ryby z Morza Czarnego i sery alpejskie; ktoś zachwala ostrygi z wysp greckich, a stary Syryjczyk, stojąc przed swym kramem, zaczepia przechodzące kobiety, aby spróbowały

wonności wschodnich, które on jeden ma w najlepszym gatunku. W portykach wystawiono na sprzedaż piękne niewolnice, meble wytworne, kość słoniową, spiż koryncki, kryształ i antyki. Wzdłuż *via Sacra* ciągną się sklepy złotników, a najlepszego pieprzu dostanie na *vicus Tuscus*, gdzie cesarz Domicjan zbudował specjalne *horrea piperatoria*.

Obok kuglarzy, muzykantów, błaznów, przekupniów relikwii pętał się po ulicach nieustępliwy tłum wróżbitów, którzy za dwa obole przepowiadali przyszłość oszołomionym poczciwcom z przedmieść lub z prowincji: fizjonomicy, chiromanci i ci, co wróżyli z kości, z naczyń, z sera i z ognia. Chętnie dowiadywał się, jaką będzie miał pogodę na żniwa, kupiec, jak się powiodą jego interesy, narzeczeńcy pytali o najpomyślniejszą datę ślubu. Kto zaś miał więcej pieniędzy, szedł do astrologów, których nazywano Chaldejczykami lub matematykami, i ten, wykreśliwszy horoskop, wykladał swe przepowiednie w cyfrach nieomylnych.

Rzym był prawdziwym centrum świata, które nic nie wytwarzając, wszystko chłonęło, i jednocześnie ta wielojęzyczna masa ścierająca jego chodniki pożądała wciąż nowości, dziwów, cudów. Miała już trochę stępione podniebienie, bo zbyt jej dogadzano. Jeżeli gdzieś urodziło się ciele o czterech głowach lub dziecko z nogami kóz, jeżeli gdzie wyłowiono w morzu trytona! schwymano w lesie satyrę lub znaleziono kości potworowi dyluwialnych -- wszystko to i jeszcze więcej sprowadzano natychmiast do Rzymu i wystawiano na widoki publiczny, w portykach, w cyrku lub na arenie. Weszło to w modę jeszcze za czasów republiki, że każdy triumfator zbierał, ile tylko mógł, osobliwości w podbitym kraju i ozdabiał nimi swój pochód. Rzym zmieniał się i z wolna w jedno wielkie muzeum...

A co sobie opowiadano pod świątyniami! W Lizbonie umarła jedna nereida, boginka morska: nie wyglądała i bynajmniej staro, miała włosy po dawnemu złote, tylko ciało nadmiernie wychudłe i sine, jakby z niego wszystka krew ambrozyjska wyciekła. Jeden żeglarz wrócił z Oceanu Indyjskiego, gdzie go połknął wieloryb; przesiedział biedaczysko w brzuchu potwora kilka miesięcy. Czy dacie wiarę, że są tam, w tym brzuchu, lasy całe i pola uprawne, a nawet stoi świątynia Posejdona?... Aha! ktoś wspomniał o winie. Bardzo teraz drogie.. A czyście słyszeli, że w Hiszpanii odkryto rzekę winem płynącą?...

Zdawało się ludziom ówczesnym, że obracają się wśród żywych cudów Tesalii, Afryki, Syrii, Indii.

Kiedy spojrzę na ten świat, mam wrażenie, jakby go przykrywała chmura pełna różnych światła i barw, wiecznie się zmieniająca, i nadawała wszystkim rzeczom kształty niepodobne do rzeczywistości. Najinteligentniejsze umysły tworzyły coraz nowe bajki, wszędzie słyhać było proroctwa, wszędzie spotykało się cuda, w zatłoczonych kilkutyśięczną rzeszą salach prelegencji

rozpowiadali dziwy, jakich byli świadkami, a z ich słów zdawał się unosić zapach kadzidlany, jak z ciemnych sanktuariów świątyń.

Było to w czasach, kiedy nad światem panowali mądrzy cesarze: Trajan, Hadrian, Antoninus, Marek Aureli. Ludzi ogarnęła po prostu gorączka cudowności. Wszyscy byli jak ów Lucjusz, który tak mówił o sobie w powieści Apulejusza *Złoty osioł*:

„Skoro tylko nowe słońce noc rozpraszając dzień uczyniło, ze snu równocześnie zerwałem się i z łóżka, niespokojny, i znowu ponad miarę żądny poznania wszystkich osobliwości i dziwów, i chciwie na rzecz każdą spoglądałem. A nie było w tym mielibyście rzeczy, na którą bym patrząc wierzył, że jest tym, czym dla oczu była, lecz wszystko zgoła czarodziejskim zaklęciem w inną postać przemienione być się zdało, tak że w kamieniach nogą trącanych skłonny był widzieć ludzi w głąz zamienionych, w ptakach, których ćwierki słyszałem, ludzi z miejsca opierzonych, w drzewach, otaczających podwalę, ludzi takim samym sposobem ulścionych, podejrzewałem, że strugi źródlane tryskają z ciał ludzkich, patrzyłem, ino się ruszą z miejsca posągi i obrazy, przemówią ściany domów, wół i wszelkie takie bydło ryknie proroctwa, a z samego nieba i przestworza sfrunie znak jakiejś wróżby.”

Oto jaki był nastrój tych czasów.

I ulegali mu nie tylko tzw. ludzie prości, lecz najświetlejsze umysły epoki. Bo jakże mogło być inaczej, skoro sami cesarze dokonywali cudów, a opisywali je najpoważniejsi historycy. Nie wierzycie?... Tedy otwórzcie Tacyta, *Historiarum liber IV caput LXXXI*:

„W ciągu tych miesięcy, kiedy Wespazjan czekał w Aleksandrii na wiatr pomyślny i uspokojenie się morza, wydarzyło się wiele cudów, które okazały łaskę nieba i życzliwość bóstw względem Wespazjana. Jakiś człowiek z pospólstwa aleksandryjskiego znany ze swej ślepoty rzuca się do jego kolan i jęcząc prosi o lekarstwo na ślepotę, gdyż otrzymał od boga Serapisa takie objawienie, i błaga cesarza, aby mu raczył swą śliną zwilżyć powieki i obwody oczne. Inny znów, kaleka na rękę, za sprawą tego samego boga błagał, żeby nań Cezar nogą nastąpił. Wespazjan śmiał się z początku i nie brał tego na serio, gdy oni jednak w próśbach nie ustawiali, a otoczenie nalegało... Wespazjan, z obliczem wesołym, przy powstaniu całego otoczenia spełnił to, o co go proszono. Natychmiast kaleka mógł włączyć rękę, ślepy zaś odzyskał światłość oczu. Ci, którzy byli przy tym, dziś jeszcze wspominają o obu tych wypadkach, aczkolwiek kłamstwo nie przyniosłoby im już żadnej korzyści...”

III

Umysły ówczesne były, jak nie można lepiej, przygotowane na przyjęcie wszelkich magów i cudotwórców, wszelkich doktryn tajemnych i wskazówek hermetycznych. Ci ludzie z góry zgadzali się, aby przed nimi dokonywano eksperymentów, i tym, którzy to chcieli czynić, dawali prócz pieniędzy swą wiarę, nie wiedząc, gdzie by ją można było lepiej umieścić.

Zresztą Rzym był z magią spoufalony od dawna. W samej jego religii był o sporo pierwiastków magicznych. Wszystkie owe bóstwa okolicznościowe, opiekujące się poszczególnymi aktami w życiu człowieka i jego otoczenia, miały charakter demonów. Rzymianin był obwieszony amuletami, a nawet pod rydwanem triumfatora przyczepiano pewien nieprzyzwoity symbol celem odwrócenia złego uroku. Każdy chłop italski znał zaklęcia przeciw gradowi i deszczom. Musiał znać i gorsze, skoro prawa XII tablic surowo karały „zaczarowanie pól sąsiada”. Wszelako dopiero pod koniec republiki i z powstaniem cesarstwa, pod wpływem Wschodu, Grecji i Egiptu, magia rzymska rozwinęła się naprawdę bujnie, wzbogacona nowymi zdobyczami, i doszła do właściwego znaczenia. Starorzyski znachor stał się potężnym czarownikiem.

Albowiem wszystko jest w mocy czarownika. Może on ściągnąć księżyc na ziemię i wrócić piękność starzejącej się damie, latać w powietrzu i chodzić po wodzie, po ogniu dreptać, i to tak noga za nogą duchy wywoływać i nieboszczyków Bóg wie odkąd zmarłych sprowadzać do domu. Moc czarowników wzrasta do jakiejś kosmicznej potęgi, której pomagają duchy powietrza, ziemi, nieba, wiatry, góry, rzeki, jeziora, wszelakie bóstwa leśne i nocne. Z ich pomocą, według słów Owidiuszowej Medei, czarodziej może strumień zawrócić do źródła, wstrzymać bieg rzeki, że stanie się jakby lodem stężala, spokojne morze wzburzyć, chmury zgromadzić i rozpędzać, wiatry odwracać i przyzywać, słowem jednym skały przenosić i lasy z ziemi wyruszyć; na jego rozkaz drżą góry, jęczy ziemia, umarli z grobów wychodzą, słońce a nawet różowa jutrzienka blednieje. Każdy ma do czarownika jakiś interes. Jeden chce, żeby mu się powiodło polowanie lub połów ryb; inżynier pragnie zapewnić zbudowanemu przez się mostowi trwałość; nieśmiały młodzieniec prosi o środek na oporną kobietę; ktoś się chce zemścić na nieprzyjacielu, ktoś znów szuka ukrytych pod ziemią skarbów. Czarownik wszystkich umie zadowolnić, na wszystko znajdzie radę, wyrozumiały dla ludzi, nie rozróżnia dobra od zła, nie ma dłań sprawy słusznej lub niesłusznej.

Bóstwem czarów była Hekate, tajemnicza bogini księżycy. Kiedy krąży w przeczystym eterze, wszystko staje się blade dokoła. Rozdziela ona wiatry i zsyła rosę, która daje moc ziołom czarodziejskim. Zależnie od faz księżycy, który jest jej srebrnym rydwanem w kształcie konchy -- oczy kotów i cętki pantery wydłużają się lub maleją. Księżyc jak nieśmiała zakochana

dziewczyna ucieka przed słońcem, to znów biegnie za nią podczas nowiu łączy się z kochankiem w miłosnymi uścisku. Matki wzywają imienia srebrnej bogini w bólach porodu, a muszle na dnie morza nabrzmiewają pod spojrzeniem jej bladych oczu. Niestety liwe kochanki powierzają jej swe tajemnice i w promieniach jej światła gotują napoje miłosne. Kiedy się jawi na ciemnym niebie, ziemię ogarnia cisza pełna oczekiwania, wśród której słychać, jak kwiaty zamykają kielichy, a fale, jakby w śnie niespokojnym, przewracają się na brzegu piaszczystym. Białe, słodkie, promienne, niepokalane oblicze bogini jest niby zwierciadło srebrne, w którym przegląda się ziemia. Hekate wyprowadza z ciemności widma i upiory, sny cisną się dokoła niej, a potwory piekielne nazywają ją swoją matką.

Wzywano jej takimi słowy: „Przyjdź, piekielna, ziemiska i niebieska Bombo, bogini wielkich dróg rozstajnych, która przynosisz światło, która chodzisz po nocy wrogiej światłu, ty, przyjaciółka i towarzysza nocy, ty, którą raduje ujadanie psów i krew przelana, która błądzisz pośród cieniów po grobach, która pożądasz krwi i niesiesz strach ludziom śmiertelnym, Gorgo, Mormo, księżycu o kształtach tysiącznych, wejrzyj okiem życzliwym na nasze ofiary!”

Hekate-Selene dawała moc czarnoksiężką. Kiedy księżyc był w pełni, szły czarownice w szatach nie przepasanych, boso, z rozwianym włosom, i sierpem z brązu cięły lewą ręką zioła im tylko znane. Kobiety po wszystkie czasy bardziej były zdadne i o chętne do wszystkich praktyk magicznych niż mężczyźni. Czym się to dzieje? „Przetoż, iż są rozsądku niedoskonałego -- odpowiada polska instrukcja duchowna do procesów czarownic z r. 1639. -- Nadto są też białogłowy przyrodzenia flegmistego i wilgotnego, a wilgotność łatwiej się wzrusza i na niej jako na wodzie, co chcesz, snadnie wyrazisz...”

IV

Czarownice rzymskie znamy po trosze z poezji łacińskiej. Tybullus, Owidiusz, Horacy mówią o nich często, a zawsze z nienawiścią. Łatwo się domyślić dlaczego. Wszyscy ci nader kochliwi poeci przypisywali im swe niepowodzenia miłosne. Czarownice odbierały im kochanki i krzyżowały najpomysłniej układające się plany. Jeśli wierzyć ich słowom, były to istoty straszne, o wstrętnym wyglądzie, nie cofające się przed żadną zbrodnią.

W jednej z satyr Horacego Priap opowiada, co widział w nocy. Priap, taki starożytny strach polny, bezwstydnym bożek, grubą sztuką wyrżnięty w pniu drzewa figowego. Stoi gdzieś na Wzgórzu Eskwilińskim, niedaleko gminnego cmentarza, i patrzy.

Skoro tylko księżyc się zjawi, wychodzą czarownice w czarnych sukniach, z rozczochranymi włosami, które się wiją na podobieństwo żmij, ziemię drapią paznokciami: szukają ziół jadowitych i kości umarłych. A potem zębiskami rozdierają jagnię, aby krew jego spuścić do dołu, skąd zaklęciami wyprowadzają dusze nieboszczyków. Duchy rozmawiają z nimi głosem piskliwym i żalnym. Księżyc jak krew czerwony kryje się za wysokie grobowce, aby nie patrzeć na te okropności. Za lada hałasem z ulicy wiedźmy pierzchają do swych nor. Mieszkanie czarownicy jest pełne dziwów. Wonne zioła w pęki ułożone, skorupy metalowe z tajemniczymi znakami, resztki zatopionych okrętów, szczątki ci umarłych, gwoździe, którymi byli przybici ukrzyżowani, z przyschniętymi do nich kawałkami mięsa ludzkiego w kubkach krew pomordowanych, czaszki, w górze żerdzi siedzący wąż w kącie izby...

Wiedźma sama brudna, brzydka, wiecznie pijana. Trzema palcami bierze trzy ziarna kadzidła i wkłada je pod próg, w tym miejscu gdzie mysz ma swą dziurę.: Mruczając zaklęcia, ubiera wstążki magiczne i jednocześnie obraca w ustach siedem czarnych bobów. Następnie pali nad ogniem głowę sardeli, posmarowanej smołą i przekłutej szpilką. „Niechaj tak będzie przekłuty język naszych wrogów” -- krzyczy i wychodzi chwiejnym krokiem. Nocami wylatuje na ożogu nie wiadomo gdzie i po co.

Najwięcej korzystały z ich pomocy hetery, których własne matki były nieraz czarownicami. Najczęściej szło o to, żeby z powrotem sprowadzić niewiernego kochanka.

Czarownica niewielkiej za to żąda zapłaty: jednej drachmy i bochenka chleba. Na tym musi leżeć sól, siedem oboli, siarka i pochodnia. To bierze sobie czarownica; musi mieć też przygotowany dzban wina, z którego sama tylko pije. Musi mieć także coś, co należy do owego mężczyzny, na przykład suknie, trzewiki, trochę włosów lub coś podobnego. Zawiesza je na gwoździu, podkadza siarką, sypie sól na ogień i wśród tego wymawia imiona obojga zwaśnionych kochanków. Potem dobywa z zanadza koło czarodziejskie i toczy nim, miotając jednocześnie dzikie, okropne zaklęcia.

A dla pewności nie wadzi zrobić jeszcze tak: przypilnować, jak rywalka zostawi ślad swej stopy na piasku, zatrzeć go, wówczas lewą stopą wejść na ślad jej prawej, a prawą znów na ślad lewej stopy i mówić: Patrz, co ci robię: depcę po tobie!...”

A która nie miała pieniędzy, aby pójść do czarownicy, radziła sobie sama, tak jak owa biedna Simetha z sielanki Teokryta. Pali ona liście wawrzynu i zalewając się łzami, mówi: „Delfis jest powodem mego cierpienia, więc przeciw niemu palę ten wawrzyn. I tak samo jak wawrzyn płonie z trzaskiem i spala się od razu, że nie widzimy nawet popiołu, tak niechaj ciało Delfisa rozsypie się w proch...”

Z miłością było zawsze najwięcej kłopotu. Gdyby nie zwady kochanków, czarownice ginęłyby z głodu. A tak miały jeszcze kilka ważnych zadań: wiązanie, odbieranie siły męskiej i przyrządzanie napojów miłosnych. Wiazanie odbywało się bardzo prosto. Wystarczyło ulepić figurkę z wosku lub gliny, która miała wyobrażać daną osobę. Figurce związywało się ręce i nogi, przekłuwało piersi, oczy i co tam jeszcze było do przekłucia, wymawiało się różne zaklęcia i klientka odchodziła przekonana, że jej rywalka na długo lub na zawsze została unieszkodliwiona.

Rzecz wymaga objaśnienia. Znajdziemy je u Paracelsa, który pozostaje w zupełnej zgodzie z pojęciami starożytnych:

„Znacie te figurki z wosku -- mówi on -- uczynione w interesie woli jednego ducha przeciw drugiemu; gdy się je ziemią przykryje lub gdy się w nie rzuci kamieniami, człowiek, na którego obraz i podobieństwo zostały uczynione, cierpi w tej części ciała, w jaką figurka została zraniona. I nie może się pozbyć cierpienia, póki jego wizerunek woskowy nie zostanie wyzwolony... Jest tedy rzeczą możliwą dla mego ducha, bez pomocy ciała, przeszyć innego mieczem lub zranić go siłą mego pragnienia. A może się to stać w ten sposób, że moją wolą zmuszam ducha mego wroga, aby wszedł w figurkę dlań przygotowaną, gdzie mogę z nim zrobić, co mi się podoba. Trzeba wam bowiem wiedzieć i nigdy nie zapominać o tym, że akt woli posiada siłę niezmierną. Zaklęcie dokonywa się z pozwolenia ducha, i może zdarzyć, że wizerunek, gdy się wypowie zaklęcie, moi ulec chorobie... oczywiście, jeśli wizerunek został wykonany ściśle wedle przepisów.”

Prof. R. Ganszyniec w swej głębokiej pracy pt. *Czynnik racjonalny w wierze i obrzędzie* przypomina jeden ze sposobów odbierania siły męskiej, podając zarazem jego wyjaśnienie. Ponieważ obawiam się, że nie potrafiłbym traktować tej zawilej kwestii z równie wytworną i prostotą, przytoczę ten ustęp w całości.

„Gallicki lekarz Marcellus Empiricus poleca następujący środek, by przeszkodzić mężowi w wykonywaniu obowiązków małżeńskich: należy włożyć pod jego łóżko uwieńczony tłuczek od mózdzierza. Co ma oznaczać tłuczek, można się domyślić; ale nie jest tak od razu jasne, dlaczego jego uwieńczenie ma spowodować pożądany skutek. Przesąd dopiero wówczas zrozumiemy, jeśli wciągniemy do porównania stary zwyczaj wieńczenia zmarłych; wskutek uwieńczenia tłuczek jest ucharakteryzowany jako nieżywy, i dlatego jego odpowiednik nie może się poruszać w łóżku małżeńskim...”

Do napojów miłosnych, tzw. pocula amatoria, wchodziły straszne ingrediencje, z których mózg koci lub ośli były jeszcze najbardziej delikatne. Najważniejszym zaś składnikiem, którego

nie powinno być brakować, był hippomanes. Nazywała się tak roślina, po której spożyciu konie ogarniał szal. Ale tym samym mianem określano osobliwą narośl, spotykaną u źrebiąt zaraz po urodzeniu. Narośl ta, czarnej barwy, okrągła, wielkości figi suszonej, miała zdumiewające właściwości. Sproszkowana i zmieszana z krwią kochanka względnie kochanki budziła miłość namiętą w najbardziej oziębłym sercu. Mówiło się tak: „Kto napój ten wypije, kochać będzie wszystkimi zmysłami i wszelkim pomyśleniem, zawsze, przez całe życie i po śmierci nawet.”

„Wydział medyczny uniwersytetu lipskiego orzekł w roku 1697, że te środki na miłość są w istocie skuteczne...”

V

Jedną z głównych gałęzi magii było leczenie czarodziejskie. Naturalista Pliniusz sądzi, że z niego wzięła początek cała wiedza magiczna. Zdanie to ma wiele słuszności. Pierwotny czarownik był przede wszystkim lekarzem, znachorem. Tak jest dziś jeszcze u ludów barbarzyńskich. Wszelka choroba jest dziełem jakiegoś złego ducha lub czarów. Śmierć również. Człowiek rodzi się po to, aby żyć i cieszyć się pełnią sił i zdrowia. Jeśli umiera lub choruje, musi być w tym czyjaś zła wola. Rzymianie otwarcie wyznawali to przekonanie. Często na nagrobkach spotykamy skargę zmarłego, że nie jego żywota przecięły czyjeś uroki. Czarownik powinien wiedzieć, jaki duch zło sprawił, i strasznym zaklęciem zmusić go do opuszczenia chorego ciała.

Leczenie czarodziejskie było wiedzą nader skomplikowaną i obszerną. Trawy, zioła, minerały, pewne części zwierząt, okadzania, ablucje, zaklęcia -- wszystko mogło być pomocne, byle użyte w odpowiedniej chwili i w sposób właściwy. Znano i „wodę magnetyzowaną”, którą w wielu wypadkach z powodzeniem stosował Mesmer w kilkanaście wieków później. Ta prymitywna wiedza lekarska, sięgająca epoki kamienia łupanego, a oparta na naiwnych spostrzeżeniach i jeszcze naiwniejszych wnioskach, zwiększała się z każdym wiekiem i każdy li wnosił do niej nowe nabytki.

Zaklinano choroby rozmaicie. Najpierw łagodnie, nawet nie wymieniając rodzaju cierpienia, lecz omawiając je bardzo poetycznymi przenośniami; później, gdy nie ustępowała, coraz groźniej, rozkazująco, aż wreszcie wzywano ku pomocy kóregoś ze szczególnie potężnych demonów.

„Aby uleczyć kolki zarówno u ludzi, jak u zwierząt głosi jedna recepta -- trzeba brzuch pocierać trzema najkrótszymi palcami prawej ręki mówiąc: W pośrodku morza było drzewo, na którym wisało wiadro z ludzkimi wnętrznościami. Drzewo to otaczały trzy dziewice: dwie z nich przywiązywały wiadro, trzecia odwiązywała.” Co znaczą te słowa? Trzy dziewice są to Parki, z których jedna (ta trzecia) kładzie kres wszystkim i rzeczom na świecie. Wiadro, które się odwiązuje od drzewa i wrzuca do morza, symbolizuje chorobę, znikającą na zaklęcie czarownika.

Do zaklęć i innych podobnych praktyk leczniczych potrzebna była obecność znachora. Atoli dla wygody szerszej publiczności ułożono tysiące recept, które sam pacjent mógł sobie przyrządzić. Przepisów tych było mnóstwo, na każdą chorobę po kilkanaście i więcej. Tych tylko, co zanotował Pliniusz, nader krytycznie usposobiony, starczyłoby na sporą książkę. Wszystkie przepisy były mniej więcej tego rodzaju:

Katar ustaje, gdy się muła pocałuje w nozdrza.

Smak w ustach poprawia się, gdy się zęby potrze popiołem z myszy, zmieszany z miodem.

Dychawicznym pomagają stonogi, które rozpuszczone w miodzie attyckim pić trzeba przez trzcinę.

Na febrę najodpowiedniejszy jest pył, w którym się jastrząb tarzał: trzeba go nosić w płóciennym płatku związanym czerwoną lnianą nitką.

Różę leczy krew z psiej wszy, oparzeliny zaś goi popiół z glizd z oliwą albo gnój owczy z woskiem.

Kij, którym wężowi żabę z pyska wytracono, ułatwia połóg.

Piersi kobiece nie opadają, jeśli się je trzykrotnie określi jajem kuropatwy.

Pewne części płuc sępich, przywiązane mężczyznom w skórze żółwiej, wzniecają żądze miłosne...

Ulubionym zajęciem magów było leczenie epileptyków. Mag stawał przy takim człowieku, leżącym na ziemi, i pytał go, skąd duchy w niego weszły. Chory sam nic nie mógł powiedzieć, tylko duch odpowiadał po grecku, barbarzyńsku albo w ogóle językiem tego kraju, z którego pochodził, w jaki sposób i skąd wszedł w tego człowieka, „Wtedy mag za pomocą zaklęć, a gdy te nie pomagały, gróźb wyganiał złego ducha. Wielu ludzi widziało na własne oczy takiego ducha, jak wychodził: zwykle czarny był, jakby okopcony. Jeśli dobrze pójdzie, to za lat kilkanaście zupełnie poważni uczeni udowodnią nam, że jedynie tego rodzaju medycyna ma jakąkolwiek wartość...

VI

Błogosławioną ziemią czarownic była Tesalia. Nie wiadomo, skąd jej ten zaszczyt przypadł w udziale. Dość, że mówiono, iż nigdzie nie ma tak dobrych serów i tak dzielnych wiedźm jak w Tesalii. Medea czarodziejka, przejeżdżając ponad Tesalią na swym rydwaniu zaprzężonym w smoki skrzydlate uroniła puszkę, zawierającą zioła cudowne; puszka spadając otworzyła się i owe zioła rozniósł wiatr po całym kraju. Odtąd nigdzie nie znajdowano w takiej obfitości roślin czarodziejskich, jak tu właśnie, gdzie każdy kamień miał słuch wrażliwy na zaklęcia magów.

Do tego dziwnego kraju wędrowała nieraz wyobraźnia! autorów łacińskich. Poety Lukana i romansopisarza Apulejusza przede wszystkim. Najpierw prowadzić nasi będzie siostrzeniec filozofa Seneki. W swej chmurnej duszy wypiaśtował ponurą postać dzikiej wiedźmy Erichto.

Ze wszystkich dotąd poznanych ta najstraszniejsza. Mieszka w opuszczonych grobach i na samotnych wzgórzach, skąd uciekły przed nią upiory. Gdy się zejść duchy na radę, ona zza krzaka przysłuchuje się ich rozmowom i szpieguje tajemnice piekieł. Zna je aż nadto dokładnie, a wciąż obcując ze straszidłami stała się sama do nich podobną. Ciało ma tak wychudzone, że gdy idzie, zdaje się, że żywy szkielet się porusza. Nie myje się nigdy ani włosów nie czesze. Za dnia nigdy nie opuszcza swej jaskini, oczy jej widzą w ciemności, a po bladej twarzy błądzi jakby sinawy pobłysk księżyca. Gdy burza zawieje, a czarne chmury zakryją gwiazdy, Erichto w jednej koszuli wychodzi spośród grobów i z rozkoszą wciąga w swe płuca ciężki oddech nocy. Pod zatrutym jej tchnieniem więdną kwiaty. Na ołtarzu swym rozkłada ogień, wzięty ze stosu, na którym palono umarłych, i w płomień rzuca kadzidła, zrabowane ofiarom nadgrobnym. Trupom oczy wybiera, wrywa poblaskie paznokcie, nerwy, szpik i wnętrzności. Gdy się ona pojawi, sępy i wilki ustępują jej z drogi. W taką to noc wybrał się raz do niej Sekstus Pompejusz, chcąc poznać chwiejne koleje swego losu, nad którym zawisnął miecz cezara. Wiedźma przyjęła go nader uprzejmie. Magiczną sztuką zwiększyła jeszcze ciemności nocne i okryta czarną chmurą poszła na pobożowisko. Albowiem miała to być wróżba najstraszniejsza, jedyna -- nekromancja, wróżba podana ustami zmarłego. Wybrała jednego z trupów, jeszcze niezupełnie ostygniętego, zarzuciła mu pętlę na szyję i zawlokła do swej pieczary. Jest to dół głęboki, nad którym rosną cisy; przez ich liście nigdy nie przedziera się najślaby bodaj promień słońca; w pieczarze panuje mrok wieczny i wilgoć ścieka po chropawych ścianach.

Do ceremonii ustroiła się Erichto w pstre szaty, takie same zapewne, jakie nosiła czarodziejka

kolchidzka, i na głowę włożyła wieniec ze żmij. Ciepłą krwią napęliła pierś trupa, pełną otwartych ran (przez to gnijący już szpik się oczyszcza) i skropiła go jadem księżycowym. Po czym zabrała się do przyrządzania odwaru, który życie powraca. Zmieszała pianę psa wściekłego, wnętrzości rysia, pacierz hieny, szpik jelenia, oczy smoka, latają ce węże arabskie, popiół z feniksa, wreszcie zioła rozmaite. Gdy to już było gotowe, zaczęła mrużyć zaklęcia. Sekstusa dreszcz przebiegł: nic nie rozumiał, albowiem dźwięki, które wydawała, nie przypominały nawet mowy ludzkiej. Słyszało się w jej głosie wycie wilków i szczekanie psów, puchacza żalony jęk i syk węzów, skargę fal morskich, bijących o brzegi skaliste, szum lasów na górach i huk gromu, co chmury rozdziera -- ale nie oddzielnie, lecz jakby wszystko to razem, w jednym nie oddanym dźwięku zmieszane.

Nie skutkowało. Utrudzona dusza nie chciała wejść do swego więzienia. Wiedźma szalała z wściekłości. Oстрым biczem zaczęła smagać zeszywniałe zwłoki. Zdwoiła potęgę zaklęć. Słowom jej nie zdołały się dłużej opierać moce piekielne. Z wolna, z wolna strumień krwi przedzierał się po splątanych łożyskach żył. Pierś poruszyła się raz i drugi. Sprężyły się mięśnie. Otworzyły się oczy, jeszcze jakby bielmem śmierci zasnutę.

Powoli, z wysiłkiem trup podniósł się i wstał. Błady był, a spojrzenie jego, ślizgając się po omacku wśród otaczających go przedmiotów, zdawało się wciąż jeszcze patrzeć poza siebie. Na pytania czarownicy odpowiadał...

Nie dziw, że Lukan z takim upodobaniem w swej Farsalii kreśli obraz nekromancji. Działa tu wpływ Nerona, na którego dworze wiele dyskutowano na temat wywoływania duchów. Król Partów przysłał raz cesarzowi najrzęczniejszych magów i z nimi to Neron czynił jak byśmy dziś powiedzieli, doświadczenia spirytystyczne. Podobno się nie powiodły. Tak przynajmniej utrzymuje Pliniusz. Zniechęceni magowie, wyjeżdżając z Rzymu, oświadczyli, że z góry byli przygotowani na niepowodzenie: duchy nigdy nie ukazują się osobom piegowatym, a Neron...

Apulejusz wchodzi do Tesalii w bardziej pogodnym usposobieniu od Lukana. Widzi tam również tyle cudowności, ale mniej ponurych i nie psują mu one humoru. Opowiadanie jego działa pokrzepiająco po makabrycznej wizji poety.

Bohater jego romansu, Lucjusz, ma stosunek miłosny z ładniutką Fotis, pokojówką czarownicy Pamfili. Fotis I jest bardzo miłą, wesołą i łaskawą dziewczyną. Ma jasne oczka i różowy pyszczek, i śliczne włosy, i pół i rozchylone, zawsze wilgotne wargi, i pachnące piersi. A przy tym żyje w otoczeniu dziwów, jakich oko ludzkie nie widziało.

Lucjusz słucha opowiadań o jej pani, czarownicy, i zbiera go nieprzezwykłą ochotą ujrzeć raz tych cudów. Fotis wszystko uczyni dla swego kochanka. Nadarza się w końcu

sposobność. Dziewczyna prowadzi Łucjusza pod drzwi atelier czarownicy:

„Naprzód rozdziewa się Pamfila zupełnie z szat, po czym otwiera małą skrzyneczkę, z której dobywa liczne puszcзки i pudełeczka. Z jednego z nich zdejmuje nakrywkę, wygrzebuje z niego jakąś maść, którą długo w dłoniach rozciera, i wreszcie wysmarowuje nią siebie całą od paznokci nóg aż do koniuszków włosów na głowie: wreszcie długo i potajemnie szepce coś z latarnią swą i poczyna wstrząsać się w dygotaniach i dreszczach. Rozpływają się jakoś miękko kształty jej członków, ocieniają się gładziuchnym puszkciem, okrywają się tęgimi lotkami, twardnieje dziób zakrzywiony, ściągają się szpony ostre, jak haki, i oto staje się puszczykiem Pamfila...”²

Podobne metamorfozy były u czarownic, zwłaszcza tesalskich, rzeczą nader pospolitą. Lucjuszowi zaś tak się to podobało, że sam zapragnął zostać na chwilę puszczykiem i latać po powietrzu. Wiadomo, co się stało. Roztrzepana Fotis pomieniała pudełka z maściami i biedny Lucjusz zamiast puszczykiem został osłem.

VII

Magia starożytna nie była rzeczą ani łatwą, ani błahą. Trzeba było znać dobrze swoje rzemiosło i posiadać pewne osobiste zalety.

Czarownik nie mógł być kaleką, a niekiedy musiał zachowywać czystość cielesną... Był obowiązany dokonywać częstych ablucji, do których służyła rzadko woda, bardziej zaś oliwa, rozmaite tłuszcze, smoła lub krew. A przed szczególnie doniosłymi czynnościami: ogień. On spala w człowieku pierwiastki śmiertelne i oczyszcza istotę naszą ze wszystkiego, co ziemskie. Nieraz należało przestrzegać postów, a niektóre praktyki odbywać na czczo. Zalecane były stroje z grubego płótna, koszule czasem białe, czasem ozdobione purpurą; kiedy indziej szło o się z gołą głową, lecz w obuwiu -- to znów odwrotnie. Nie każda pora była odpowiednia. Godziną magiczną jest wschód i zachód słońca, a najbardziej noc, i to księżycowa, podczas nowiu albo pod-- i czas pełni. Zaklęcia były trudne i miały swą formę ustaloną, w której nic zmienić nie wolno. Rzymianie wiedzieli o tym aż nadto dobrze. Ich rytuał religijny, wymagał tej samej ostrożności. Lada omyłka lub opuszczenie niweczył zbawienne skutki modlitwy. A modlitwa, jeśli była dobrze ułożona i odpowiednio wypowiedziana, mogła mieć władzę niezmierną. Ongiś westalka Tukcja, oskarżona o złamanie ślubu czystości, stwierdziła swą niewinność, niosąc przez miasto wodę w rzeszocie; dokonała zaś tego cudu jedynie modlitwą, której stary tekst do późnych czasów podziwiano.

Mcclitwa jednak jest tylko prośbą, zaklęcie zaś rozkazem. Musi więc ono brzmieć szczególnie silnie. Do tego celu nadaje się najlepiej język obcy. Jest niezrozumiały i ma w sobie coś tajemniczego. Oceniano to po wszystkie czasy. W Babilonii używano prastarego języka akkadyjskiego, a nawet nasza msza łacińska przez swą obcość sprawia osobliwie podniosłe wrażenie. Czarownicy rzymscy wygłaszali zaklęcia egipskie, chaldejskie, hebrajskie. Ten ostatni język nabiera z czasem wielkiego znaczenia: mówią, że pochodzi z nieba i jest mową aniołów.

Nie tylko języki wschodnie, lecz i bóstwa orientalne odgrywają w magii starożytnej rolę przemożną. Oczywiście. Wszak właśnie Wschód jest kolebką wszelkich cudowności. Oczy szukające dziwów zawsze zwracają się ku Wschodowi. Tym bardziej w Rzymie, który w I wieku uległ zalewowi religii orientalnych. Zrodził się wówczas przekonanie, że nowe bóstwa są od dawnych silniejsze. Lada czarownica z przedmieścia wzywała Sabaota i Ozyrysa, Izydę i Mojżesza, Józefa, Abrahama, Tyfona.

Imię jest rzeczą niezwykle ważną. Jest ono integralną częścią danej istoty, którą pozyskać można jedynie znając jej imię. Duch budzi się na dźwięk swego imienia. Gdy się wypowie imię, to jakby się pociągnęło za tajemną nić, wiążącą wzywającego z tym, który wzywa. Dla Rzymian nie było to nowością. Zdobyli niegdyś Weje dzięki temu, że bóstwa opiekuńcze tego miasta przeciągnęli na swoją stronę, wzywając je po imieniu. Z obawy, aby ich samych nie spotkał los podobny, nigdy nie wyjawiali imienia bóstwa, pod którego opieką stał Rzym. Tajemnica ta zesła z nimi do grobu.

Imię nie może być byle jakie. W samym jego dźwięku musi brzmieć coś niesamowitego. Filozof Jamblich powiada, że „im bardziej imię jest niezrozumiałe, tym więcej staje się szanowne... Pytasz, czemu wzywając istoty boskie wolimy zaklęcia barbarzyńskie od naszych? Albowiem sami bogowie objawili święty język niektórym narodom, jak na przykład Egipcjanom i Asyryjczykom. Toteż powinniśmy zwracać się do bogów w języku, który jest im szczególnie bliski”. Ten pogląd doprowadził w końcu do mniemania, że greckie i łacińskie nazwy nie mają żadnej wartości magicznej. Niekiedy zaś układano zaklęcia wprost ze słów pozbawionych wszelkiego znaczenia. Na przykład Adam, bedam, alam, betur, alam, botur. Były i takie, których zwykły język nawet wymówić by nie potrafił.

Aby to wszystko spamiętać, trzeba było mieć odpowiednie podręczniki. Dzieła takie istniały w starożytności jako apokryfy, rozpowszechnione pod imieniem jakiegoś boga, króla lub mędrca z dawnych czasów. Przypisywano je Hermesowi, Zoroastrowi, Demokrytowi. Za nauczycieli magii uważano Pitagorasa, Empedoklesa, Platona, którzy mieli podejmować daleki wędrówki celem zaznajomienia się z tą sztuką u swia domych rzeczy kapłanów.

Apokryfy te nie zachowały się niestety. Posiadamy natomiast sporą ilość papirusów magicznych, znalezionych po starych śmietnikach w Egipcie. Zawierają one przeważnie zaklęcia i recepty czarnoksiężskie.

Równie pouczającym dokumentem są tzw. „tabliczki klątewne”, których pełno we wszystkich większych muzeach europejskich. Płytki ołowiane z wypisaną formułą klątewną i znakami kabalistycznymi. Ołów był poświęcony śmierci i bóstwom podziemnym. Tabliczkę zwiniętą w trąbkę przekłuwano w kilku miejscach gwoździami i zakopywano, najczęściej na cmentarzu. Lepiej jeszcze było wsunąć ją do grobu, zwłaszcza do grobu dziecka lub kogoś, kto zginął śmiercią gwałtowną. Albowiem ci, którzy przedwcześnie zesli z tego świata, są mściwi i chętniej podają ucho wołaniom nienawiści...

Dwa przykłady: „Zaklinam cię w imię wielkiego Boga, w imię Anterosa, w imię tego, co nosi na głowie krogulca, w imię siedmiu planet, spraw, żeby od tej chwili, w której to piszę, Sekstilius, syn Dionizji, nie mógł spać; żeby go trawiła gorączka; żeby nie mógł spać ani siedzieć, ani mówić; żeby miał mnie wciąż przed oczyma, mnie, Septimę, córkę Ameny; żeby szalał, żeby płonął z miłości i pragnienia. Niech płonie w duszy i w sercu Sekstilius, syn Dionizji, niech płonie z pragnienia i miłości ku mnie, Septimie, córce Ameny.”

Albo: „Rufę oddaję demonom: oddaję jej ręce, zęby, oczy, ramiona, piersi, kości, nogi, usta, stopy, czoło, paznokcie, palce, brzuch, pępek; wszystkie części ciała Rufy oddaję demonom na tych tabliczkach.”

VIII

Magia kryła w sobie wielkie niebezpieczeństwa. Zwłaszcza praktyki, które polegały na wzywaniu pomocy duchów. Duchów jest moc niezmierna i jeśli niepodobna znać ich wszystkich, trzeba się spoufalić przynajmniej z najważniejszymi.

Najważniejsze zaś dla czarownika są duchy planet. Mają one kształty zgoła osobliwe. Duchy z Saturna mają dwa oblicza, jak Janus, i dziób; mają prócz tego twarze na obu kolanach, które z tego powodu zostawiają odsłonięte. Duchy z Marsa są rogate i ryczą jak byki. Na Wenerze mieszkają duchy wesole, zawsze otoczone tłumem młodych dziewcząt, które tańczą po obrębie koła magicznego i wzywają czarownika do słodkich rozrywek. Są przez to szczególnie niebezpieczne. Łatwo można ulec ich kuszącej urodzie i dostać się w ich moc mściwą. Duchy mogą przybierać formy najrozmaitsze: świni, miecza, sukni szafranowej, kwiatu.

Trzeba to wszystko wiedzieć, a zwłaszcza pamiętać o jednym: duchy można łatwo obrazić, albowiem są skłonne do gniewu i złości. Magowi służą one pod przymusem, jak lwy poskromicielowi, i czyhają jedynie na sposobność, na jakąś chwilę słabości, aby jemu z kolei okazać swą siłą złowrogą.

Czarownik musi się mieć na baczności. Do obrony służą mu wszelakie amulety, laska magiczna, pierścienie czarnoksiężskie. Te ostatnie posiadają nieraz moc niezwykłą. Sporządza się je w chwili, gdy pomyślna gwiazda jest w odpowiednim nachyleniu do księżyca; bierze się ziele i kamień, podległy władzy danej gwiazdy, wykuwa się pierścień z odpowiedniego metalu i wprawia się weń kamień, pod który kładzie się część owego ziela. Na kamieniu wyrzyna się figury, imiona i znaki stosowne. Dobrze spreparowany pierścień daje czarownikowi wielką władzę nad duchami, a ni| kiedy może nawet czynić niewidzialnym.

Wszelako właściwym wałem obronnym dla równika jest koło, które wokół siebie zakreśla. Duchy nie potrafią się wdrzeć poza jego obręb. W tym schronisku może bezpiecznie wygłaszać zaklęcia, które zniewalają duchy do posłuszeństwa. Co prawda dla większej pewności trzyma w dłoni nagi miecz. Błyszczącej, ostrej stali boją się duchy co najmniej od czasu, kiedy Odyseusz po raz pierwszy zasiadł wrót królestwa piekieł i obnażonym mieczem odpędzał dusze, łaknące krwi.

Niebezpieczną jest wszelka pomyłka lub zapomnienie. W ogóle nieudolność czarownika. Tej przypisać należy każde niepowodzenie: „Kto z powodu swej niewiary lut słabości umysłu nie potrafi urzeczywistnić swego zamiaru, musi winę przypisać własnej ignorancji, nie mnie. Niechaj mnie nie oskarża o błąd lub nieściskość lub kłamstwo; niech siebie obwinia, że nie zrozumiał moich pism. Są one ciemne i otoczone tajemnicą. Wielu tedy myli się i traci głowę.”³ Podobnie mówił przebiegły krawczyk z bajki Andersena do tych, co nie widzieli przez licznej szaty na grzbiecie gołego króla...

Niechaj tedy stronią od magii ludzie niedoświadczeni! A odstrasżającym przykładem niech im będzie taka historia:

Był sobie pewien człowiek święty, imieniem Pankrates. Na krokodylach nawet jeździł i pływał sobie z tymi potworami, a one kulił y się przed nim ze strachu i merdał y ogonami. Zaprzyjaźnił się z jednym młodzieńcem, który mu odtąd wszędzie towarzyszył.

Przychodzą do jakiejś gospody: Pankrates zaraz bierze zasuwę od drzwi, miotłą albo nawet tłuczek od moździerza, odziewa to w szaty, odmawia jakieś zaklęcie, po czym przedmiot zaczyna chodzić i wszyscy ludzie myślą, że to człowiek. Chodziło to po wodę, kupowało żywność, przyrządzało ją i usługiwało, aż miło. Kiedy go już nie potrzebował, wymawiał inne

zakłęcie i miotła zamieniała się w miotłę, a tłuczek w tłuczek. Jednego dnia zaczął się ów uczeń czarodzieja w jakimś ciemnym kącie i podsłuchał zakłęcie. Nazajutrz, pod nieobecność Pankratesa, wziął tłuczek, wymówił podsłuchane zakłęcie i kazał mu wodę nosić. Kiedy ten przyniósł pełny dzban wody, rzekł mu: „Dosyć, nie noś już wody, i zamień się znowu w tłuczek!” Ale tłuczek nie chciał słuchać, tylko nosił i nosił wodę, aż cały dom stał w wodzie. Nie wiedząc, co począć, a bojąc się, aby tymczasem Pankrates nie nadszedł, początkujący czarodziej chwycił siekierę i przeciął tłuczek na dwie części: aż tu każda połowa bierze dzban i zaczyna nosić wodę...

Znacie tę historię? *Zauberlehrling* Goethego. Ale zapewne nie wiecie, że pierwszy opowiedział ją wielki wróg magii i historyk głupoty ludzkiej, Lukianos z Samosaty.

IX

W drugim wieku po Chr., za panowania oświeconych Antoninów, powstał nowy typ magacudotwórcy, bardziej odpowiadający smakowi warstw wykształconych. Mianowicie filozofowie zaczęli się zajmować magią. Taumaturgowie pochodzili przeważnie ze Wschodu, pepiniery wszelkich cudów; niektórzy z nich latami żyli w grobowcach egipskich lub mądrości uczyli się u braminów. W szatach z białego płótna dostojni ci wegetarianie odwiedzali pałace magnatów, wszędzie przyjmowani gościnnie.

Ten nastrój epoki wyzyskiwało wielu szarlatanów którzy robili świetną karierę i dochodzili do majątku. Typem takiego szarlatana, unieśmiertelnionym przez Lukianosa, jest Aleksander z Abonotejchos, starożytny Cagliostro.

Był on wysokiego wzrostu i miał w sobie istotnie pewien majestat. Cerę miał białą, brodę starannie utrzymaną, a do własnych włosów dodawał sztuczne i czynił to tak misternie, że nikt by tego poznać nie potrafili. W żywym, płomiennym spojrzeniu było coś z natchnienia; głos miał czysty i dźwięczny, słowem cały wygląd zewnętrzny bez zarzutu. Podobał się kobietom, co w tego rodzaju karierze jest zawsze pierwszym warunkiem powodzenia. Bystry, obrotny umysł łatwo, przyswajał sobie wszystko, czego się tylko nauczyć można. Młodość strawił na rozpuście, lecz gdy przekwitły jego wdzięki, z których mógł się dotychczas utrzymywać -- zaczął się rozglądać za nowym zarobkiem.

W macedońskim mieście Pella spotkał on dziwny gatunek węzów, tak łagodnych, że kobiety tamtejsze hodowały je jako zwierzęta domowe, pozwalały im spać z dziećmi, a nawet karmiły

własną piersią. Za parę oboli kupił sobie Aleksander jednego z tych dużych węzów: prawdziwie piękny okaz. Z tym nabytkiem udał się Aleksander do swego rodzinnego miasta, Abonotejchos w Paflagonii, której mieszkańcy słynęli z zabobonów i przesądów. Miał gotowy już plan działania. Zjawił się w miasteczku ubrany w strój purpurowy, w białym płaszczu; na ramiona opadały mu bujne kędziory, w ręce trzymał krzywą szablę, taką, jaką na pomnikach ma Perseusz, od którego właśnie ród swój wywodził.

W nocy zakradł się Aleksander do miejsca, gdzie budowano nową świątynię. Wśród fundamentów była dość znaczna szczelina, w której zebrało się trochę wody. Aleksander wrzucił do tej wody jajko gęsie. Nie było to jednak zwyczajne jajko. Albowiem Aleksander wypróżnił je uprzednio, włożył do środka nowo narodzonego węża i z powrotem wapnem delikatnie zakleił. Nazajutrz skoro świt Aleksander nagi, ze złotą przepaską dokoła bioder i z ową krzywą szablą w ręku wybiega na rynek, potrząsa kędziorami, toczy pianę z ust, jakby w ekstazie, wstępuje na wysoki ołtarz i oznajmia ludowi, że wielki bóg Asklepios zawita do ich miasta. Po czym tak jak był, nagi i w ekstazie, biegnie w stronę budującej się świątyni. -- Wszyscy za nim. Wśród skupionego milczenia ludu Aleksander wstępuje do wody i, śpiewając hymny, wylania z kałuży gęsie jaje. Powszechne zdumienie. Aleksander tłucze jaje i wyjmuje małego węża. Pokazuje go ludowi, który tymczasem padł na kolana, i wszyscy bezspornie widzą w tym wężyku, co się wije dokoła palców proroka -- autentycznego boga Asklepiosa.

Przez kilka dni siedział Aleksander w domu, czekając, aż wieść o cudzie rozniesie się po świecie. Powoli miasto zaczęło napełniać się tłumem pielgrzymów. Wówczas Aleksander ustawił budę drewnianą i wewnątrz rozłożył się na kanapie, mając przy sobie tego pięknego węża, którego kupił za parę oboli w Macedonii. Głowę węża schował Aleksander pod pachą, a na jej miejscu pokazywał inną, którą w taki sposób sporządził: z gałganków zrobił paszczę smoka nieco ludzką twarz przypominającą i tak ją sztucznie pomalował, że wydawała się jak żywa. Pysk otwierał się i zamykał za pociągnięciem włosienia końskiego, i z otwartej paszczy wysuwał się czarny rozszczepiony język, jak u węża. Otóż tę głowę, niby należącą do węża, pokazywał Aleksander gawiedzi paflagońskiej, która nie mogła wyjść z podziwu, że ten mały płazik, znaleziony temu parę dni w świątyni, urósł już do tak wielkich rozmiarów. Było tam ciemno i nikomu nie pozwolono zbyt długo się przypatrywać. Szli tedy ludziska nie tyli z całej Paflagonii, ale i z Bitynii, z Galacji, z Tracą i wszyscy opowiadali, na co ich oczy patrzyły i czego własnymi dotykali rękoma.

Gdy się już wszyscy dość nadziwowali, Aleksander oznajmił, że bóg będzie odtąd dawał rady i przepowiednie. Pytający wpisywał pytanie na tabliczkach woskowych, które później

związywał i na węzłku kładł pieczęć woskową. Po pewnym czasie każdy otrzymywał żadaną odpowiedź. „Któż oprócz boga -- mówiono -- może wiedzieć wszystko, co jest pod pieczęciami, których przecież naśladować niepodobna!”

Aleksander jednak nie uważał tego za rzecz niemożliwą. Rozpaloną do czerwoności igłą zdejmował delikatnie pieczęć, czytał, co na tabliczkach napisano, zawiązywał z powrotem i znów podgrzawszy wosk, nienaruszoną pieczęć nakładał. Miał jeszcze inne sposoby, a każdy równie skuteczny i nie pozostawiający śladów. Stałą ceną za jedno pytanie była drachma i osiem oboli. Miał z tego do osiemdziesięciu tysięcy drachm rocznie. Ale opłacać musiał całe mnóstwo strażników, protokolantów, wywiadowców i wykładowcy. W każdym mieście miał swoich ludzi i ci dawali mu dokładne informacje o tych, którzy zasięgali rady wyroczni Asklepiosa w Abonotejchos, i dzięki tym ścisłym wiadomościom wyrocznie mogły być nieraz bardzo trafne. Przedsiębiorstwo urosło do wielkich rozmiarów. Nazwa proroka przedarła się do Rzymu i uczyniła wielkie wrażenie nie tylko wśród popółstwa, lecz i na dworze cesarskim. Aleksander otaczał się coraz większą glorią. Od dawna już rozpuszczał wieści, że jego córka jest dzieckiem bogini księżycy, z którą ma stosunek miłosny. Na cześć tego związku ustanowił Aleksander święto mistyczne, podczas którego przedstawiano jego miłostki z boginią księżycy w sposób następujący:

Aleksander spoczywał na łożu w pośrodku sali; po chwili z pułapu schodziła ku niemu cudna niewiasta, imieniem Rutilia, z ona jednego z miejscowych poborców w cesarskich, która się kochała w Aleksandrze. Miała ona właśnie wyobrażać boginię księżycy. Całowali się oboje i obejmowali jak kochankowie ku wielkiej ucieście publiczności i owego cesarskiego poborcy. W podobnych okolicznościach Aleksander starał się odsłaniać nogę. Nosił bowiem rodzaj spodenków z pozłacanej skóry, a wszyscy myśleli, że ma nogę ze złota. Śpiewano przy nim hymny i upajano się jego świętością. Aleksander uwodził cudze żony i małżonkowie poczytywali to sobie za wyjątkowe szczęście, gdy wielki prorok pomnożył ich rodzinę o jedną latorośl ze świętego szczepu Perseusza.

Złodziej zestarzał się w dostatkach i chwale. Wróżył sobie życie stu pięćdziesięciu lat, dożył jednak tylko do siedemdziesięciu. Coś mu się takiego stało w nodze, że zgniła aż do lędźwi, i prorok umierał w strasznych cierpieniach, żywcem toczony przez robactwo. Wtedy też przekonały się wszystkie kobiety, że Aleksander był łysy. Od razu ogłoszono go szarlatanem, co jednak nie obudziło na długo czujności ludzkiej; wrychle bowiem powstałi jego następcy, którzy również cieszyli się niemałym powodzeniem i w taki sam sposób oszukiwali wiernych.

X

Wysoko ponad tym tłumem czarownic, znachorów, magów i szarlatanów wznosi się biała postać Apoloniusza z Tiany, idealna postać starożytnego nauczyciela i cudotwórcy. Retor Filostratos napisał jego żywot. Spełnił w tym względzie jedynie życzenie cesarzowej Julii Domny, żony Septymiusza Sewera. Na dworze tego imperatora wiele zajmowano się magią. On sam umiał wyklądać sny i znaki wróżebne, a na gwieździarstwie znał się jak astrolog. W tym środowisku powstał romans Filostratosa, mający być wierną biografią tego świętego pogańskiego.

Apoloniusz urodził się w miejscowości Tiana w Kapadocji, w Azji Mniejszej, mniej więcej gdzieś około czasu urodzenia Chrystusa, z którym go porównywano. Rodzice jego byli bardzo zamożni. Kiedy matka jego była w ciąży, spotkała raz na swej drodze bożka morskiego, Proteusza. Nie przestraszyła się, lecz owszem, zapytała, jakim będzie to, co urodzi. Odpowiedział, że będzie takie jak on sam -- mądry, stupostaciowy bożek morski. Urodziła go zaś na łące, otoczona śpiewającymi łabędziami. Mówiono jeszcze, że wówczas błyskawica wywinęła się szkarłatnym zygzakiem z pogodnego nieba. Z tego powstało mniemanie, że Apoloniusz jest synem Dzeusa. On sam temu zawsze zaprzeczał.

Kiedy miał lat czternaście, zawiózł go ojciec na naukę do miasta Tarsos. Ale życie w tym mieście nie podobało się młodemu Apoloniuszowi. Panował tam nastrój zbyt wesoły, ludzie nosili delikatnie tkane szaty i lubili całymi godzinami przesiadywać nad przejrzystymi wodami Kydnosu. Zwłaszcza to mu się u nich nie podobało; nazywał ich pingwinami.

Znacznie lepiej czuł się w pobliskim Ajgaj, które roiło się od filozofów. Miał on już wówczas ustalony tryb życia. Nie jadał mięsa i nie ubierał się w suknie z materii wełnianej. Chodził boso, w białej szacie i czystego lnu, nosił długie włosy i mieszkał w świątyni. W świątyni Asklepiosa. Mówiono, że sam bóg udzielił mu u siebie gościny.

Kiedy mu ojciec zmarł, podzielił się majątkiem z bratem i krewnymi w ten sposób, że im oddał prawie wszystko, a sobie zostawił tylko bardzo niewiele. Co uczyniwszy, zamilkł. Dosłownie. Przez pięć lat przestrzegał zupełnego milczenia. Pomimo to brał udział w życiu towarzyskim, umiał być miłym i zajmującym gościem. Spojrzeniem, ruchem ręki, skinieniem głowy wypowiadał swe myśli, bynajmniej nie czyniąc wrażenia człowieka ponurego, owszem, zachowując właściwą sobie pogodę usposobienia.

Po tych pięciu latach wybrał się w podróż. Najpierw do Babilonii. Na dworze królewskim

podejmowano go z szacunkiem należnym wielkiemu mędrcom. Apoloniusz, który przez pięć lat milczał, miał teraz wiele do powiedzenia. Poruszał wszystkie kwestie, nawet najdrażliwsze. Razu jednego zapytał swego towarzysza:

-- Damis, zastanawiam się nad tym, dlaczego barbarzyńcy dopuszczają eunuchów do pokojów niewieścich?

-- Ależ, Apoloniuszu -- odparł tamten -- to wie przecież każde dziecko! Ponieważ nóż odjął im żądzę, stoją przed nimi otworem pokoje niewieście, tak że nawet mogą tam spać spokojnie.

-- Myślisz tedy, że nóż zabrał im jednocześnie zdolność kochania i popęd płciowy?

-- Oczywiście -- rzekł Damis. -- Albowiem, skoro odejmie się komuś organ, który obudza żądzę, tym samym i zdolność kochania ustaje.

Apoloniusz pomyślał chwilę i rzekł:

-- Jutro przekonasz się, że rzezańcy kochają...

Cóż tedy stało się nazajutrz? Oto gdy król zabawiał się z Apoloniuszem filozoficzną rozmową, posłyszano w głębi pałacu krzyk niewiast i eunuchów. Schwytano bowiem jednego z rzezańców na cudzołóstwie z niewolnicą królewską. Wszyscy patrzyli z podziwem na Apoloniusza, którego proroctwo tak rychło się spełniło..

Z Babilonu ruszył Apoloniusz do Indii, gdzie pragnął zetknąć się z braminami. Wszędzie spotykał dumne ślady Aleksandra Wielkiego i wchodził do domu królów, którzy mówili pięknie po grecku i wyznawali zasady Pitagorasa. Bramini przyjęli go jako równego sobie, choć mógłby być ich uczniem. Ludzie ci wiedzieli i wszystko. Oczy ich odgadywały zarysy rzeczy i wydarzeń, odbywających się z daleka od ich siedzib, a równocześnie patrzyły w głąb przeszłości. Każdy z nich wiedział dokładnie, czym był w poprzednich żywotach, i to samo umiał powiedzieć o swych znajomych i przyjaciółach. Były to nawet czasem wiadomości nieco krępujące. Przy ich skromnych stołach usługiwały figury z brązu, poruszające się jak żywe, niby w pałacu kulawego Hefajsta.

Przez Eufrat i Morze Czerwone wrócił Apoloniusz do Jonii. Cały Efez wyszedł na jego spotkanie. Robotnicy porzucali warsztaty, kupcy zamykali sklepy, urzędy w dniu tym zawieszały swe czynności. Z innych miast przychodziły poselstwa z zaprosinami.

Wtedy wybuchła w Efezie zaraza, od której Apoloniusz uwolnił miasto w taki mniej więcej sposób. Skrzyknął dokoła siebie młodzież i zaprowadził ją przed teatr. Stał tam jakiś starzec, wstrętny z oblicza, w łachmanach, z torbą na ramieniu. Podobny był do zwyczajnego żebraka, jeno mu ślepią dziwnie gorzały. Apoloniusz pokazał go efezyjczykom i zawołał: „Weźcie kamieni i zabijcie go!” Zarzucono go tedy kamieniami, tak że cały się pod nimi schował.

Wówczas Apoloniusz kazał go odgrzebać. Ale nie znaleziono go wcale. W miejsce starego żebraka leżała padlina ogromnego psa z pianą w pysku. Był to demon zarazy.

Apoloniusz zwiedzał miasta jońskie, wprowadzając reformy w służbie bożej, poświęcając nowo zbudowane chramy, głosząc swe nauki po gajach i ze stopni świątyń. Słuchano go chętnie, bo morały umiał przeplatać opowiadaniem rzeczy cudownych, których sam był świadkiem. Pod Troją na przykład wyszedł doń z kurhanu duch Achillesa, wysoki na kilkanaście łokci i piękny nad wyraz wszelki. Apoloniusz zadawał mu pytania w sprawie niektórych problemów homeryckich, a bohater odpowiadał uprzejmie i bardzo przekonująco. Z Azji Mniejszej udał się Apoloniusz na kontynent grecki i w Olimpii wygłosił szereg odczytów o mądrości, dzielności, panowaniu nad sobą i innych cnotach pitagorejskich. Kiedy zaś znalazł się w Rzymie, gdzie miał trochę do czynienia z podejrzliwą policją nerońską, dokonał wielkiego cudu: wskrzesił człowieka. Opowiada o tym Filostratos tymi słowami:

„Pewna dziewczyna umarła w dzień swego ślubu; przynajmniej uważano ją za zmarłą. Narzeczoney szedł z płaczem za jej trumną i cały Rzym podzielał jego boleść, albowiem panna pochodziła ze znakomitego rodu. Kiedy Apoloniusz spotkał pochód żałobny, rzekł: «Postawcie trumnę, a uczynię tak, że przestaniecie płakać.» Potem zapytał, jak było dziewczynie na imię. Wszyscy myśleli, że chce wygłosić zwyczajną mowę pogrzebową. On zaś dotknął umarłej, wymówił kilka niezrozumiałych wyrazów i zbudził ją z rzekomej śmierci; i ona natychmiast odzyskała głos i wróciła do domu...” W wędrówkach swych nie mógł Apoloniusz ominąć Egiptu. Do tego kraju chętnie jeździli filozofowie. Od piramid, sfinksów i chłodnych sanktuariów świątyń wiał jakiś dech nieśmiertelności. Apoloniusza najwięcej interesowali pustelnicy egipscy, gimnosofiści, bezpośredni prekursorzy chrześcijańskich anachoretów. Byli to asceci łagodnego usposobienia, którzy unosili jedynie, gdy wspomniano o braminach. Wiedząc, że Apoloniusz był w Indiach, kładli mu w uszy rozmaite o swych rywalach złośliwości.

Mówili tak: „Bramini nęcą przybyszów wszelkimi sztuczkami czarodziejskimi, my zaś wychodzimy nago na ich spotkanie. Nie zastawiamy dla gości stołów zbyt kochanych, nie wznosimy się w powietrze, lecz pokornie śpimy na ziemi, a żywimy się tym, co ona nam daje.” Żeby go jednak przekonać o swej mocy, pokazali mu drzewo, mówiąc: „Drzewo, pozdrów Apoloniusza!” I drzewo natychmiast przemówiło jakimś pieściwym, niewieścim głosem, witając gościa uprzejmymi słowami.

Gdy Apoloniusz powtórnie przyjechał do Rzymu, panował cesarz Domicjan, wróg filozofów. Ludziom miłującym mądrość wzbroniony był wstęp do stolicy i Apoloniusz narażał

się na tym większe niebezpieczeństwo, że w ostatnich czasach rozpolitykował się nad miarę i głośno krytykował postępkę cesarza. Toteż prawie natychmiast dostał się do więzienia. Po kilku dniach zaprowadzono go przed imperatora. Rozmowa trwała krótko, Domicjan się wściekł, kazał Apoloniuszowi głowę i brodę ogolić i nałożyć kajdany. Postawiono go przed sądem, gdzie wygłosił dłuższe przemówienie, po czym znikł nagle w tajemniczy sposób. Z przyjaciółmi wrócił do Grecji. Zatrzymał się w Olimpii, gdzie po dawnemu przyjmował poselstwa i wygłaszał kazania. Wtedy podszedł doń towarzysz jego i uczeń, Damis, mówiąc, że podróż pochłonęła wielkie sumy i że prawie nic im nie pozostało. Apoloniusz uspokoił go: „Jutro się tym zajmę.” Jakoż na drugi dzień udał się do kapłana i rzekł: „Daj mi, kapłanie, tysiąc drachm ze skarbu świątyni Dzeusa, jeśli sądzisz, że bóg się za to nie pogniewa.” -- „Nie dlatego się będzie gniewał -- odparł kapłan -- jak dlatego raczej, że żądasz tak mało...”

Wolny od trosk pieniężnych, pełen zebranej po świecie mądrości, życzliwy dla ludzi, żył Apoloniusz jeszcze długo, nauczając i czyniąc cuda. O śmierci jego istnieje kilka sprzecznych legend. Wybieram najpiękniejszą, jako jedynie godną takiego żywota. Gdy był już bardzo stary i bawił na Krecie, wszedł raz późną nocą do jednej świątyni. W chramie tym znajdowały się wielkie skarby, których strzegły ogromne, złośliwe psy. Apoloniuszowi nie uczyniły nic złego, a jeszcze przypodchlebiały się ogonami. Słudzy świątyni domyślili się w nim czarownika, który przyszedł kraść. Związali go tedy i tak zostawili. Aliś ci o północy opadły zeń kajdany, po czym nie wstrzymywany przez nikogo wyszedł Apoloniusz przez wrota, które się same rozwarły i znów się za nim zamknęły. Słudzy świątyni opowiadali, że z zewnątrz słychać było cudny śpiew dziewic: „Pójdź z ciemności ziemskich ku niebieskiej światłości...”

Filostratos tak kończył jego żywot: „Grobu Apoloniusza, choćby nawet przypuszczalnego, nie udało mi się nigdzie znaleźć, mimo że zwędrowałem w tym celu większą część ziemi; wszędzie zaś słyszałem o nim cudowne podania, a w Tianie widziałem świątynię, którą mu wzniesiono za cesarskie pieniądze, albowiem sami cesarze uznali go godnym czci im tylko należnej.”

XI

W średnich wiekach utrzymywano, że Apoloniusz z Tiany żył przeszło tysiąc lat dzięki kamieniowi filozoficznemu, który posiadał. Umarł dopiero w XII stuleciu. Znali go wówczas wszyscy jako alchemika, imieniem Artephius.

W tak bezpośredni sposób łączyła się starożytna wiedza tajemna ze średniowieczną. Dla jej wyznawców nie ma w tym nic dziwnego. Widzą oni ciągłość swej tradycji, idącej nieprzerwanym biegiem przez całe tysiąclecia, i Edward Schure z łatwością wydobywa na jaw pogrzebane tajniki sanktuariów egipskich i misteriów eleuzyńskich. W istocie magia nie zmieniła się w ciągu wieków. Rytuał i doktryna pozostały nienaruszone. Te same myśli, te same wskazówki odnajdujemy w pismach alchemików średniowiecznych, te same u Reuchlina, Agryppy, Paracelsa, a dzisiejsza teozofia opiera się na pomieszanych elementach neoplatonizmu, gnostycyzmu, kabały żydowskiej. W tej jednej dziedzinie ani na chwilę nie powstało mniemanie o wyższości naszej epoki nad starożytnością.

I jeszcze jedno: już w czasach rzymskich magia nie była wyłącznie własnością żadnego narodu. Wszystkie wieki i wszystkie ludy współdziałały nad stworzeniem tej obszernej a zawilej wiedzy i lada człowiek, nie uświadamiając sobie tego, spełniał polecenia zawarte w przepisach dawno wymarłych Akkadów, stosował praktyki zalecane przez najstarsze hieroglify egipskie, wykonywał gesty indiańskich sannyasi, o których być może nawet nie słyszał.

Magia jest prastara. Zrodziła się razem z religią, z którą pierwotnie stanowiła jedno, w czasach kiedy człowiek żywo odczuwał swą słabość wobec potęg przyrody. Nie pojmował ich inaczej, jak tylko w postaci istot mających wolę, pragnienie, uczucia te same co on; musiał walczyć z nimi, aby żyć. Walczył zaś dwojaką bronią: pokorą i nieugiętością. Pierwsza wyrażała się w modlitwie, w ofierze, w obrzędach religijnych; druga w zaklęciach i praktykach magicznych. Kapłan starał się sobie zjednać bóstwo, przebłagać je i rozbroić, czarownik usiłował je podporządkować swojej woli i zmusić do uległości. W ten sposób układał się między religią a magią stosunek raczej życzliwy.?

Ale starożytni rozróżniali magię białą i czarną. Obie miały te same metody, lecz dążyły do odmiennych celów. Magia biała sprzyja życiu społecznemu i nie wyrządza szkody nikomu; czarna zaś nie liczy się ze słuszością i zaspakaja wszelkie pragnienia ludzkie, choć by najniższe i najbardziej okrutne. Czarowników ścigała policja, jako szkodników społecznych. Surowe prawa, jakie przeciw nim wydawano, nie były dyktowane duchem jakiejś nietolerancji religijnej. Dopiero cesarze chrześcijańscy, działając pod nakazem Kościoła, występują przeciw poganom, jako zwolennikom i krzewicielom magii. Do tego zaś czasu tępiono czarowników jedynie jako trucielei i zbrodniarzy. Nie było występku, o który by ich nie podejrzewano. Posądzano czarowników, że dzieci krają w kawałki albo zakopują żywcem, aby gdy umrą, wybierać z nich szpik i wątrobę, że krwią pomordowanych dziewcząt skrapiają uczestników swych bezecnych ceremonii. Co tylko fantazja mogła stworzyć okropnego, wszystko układano w jeden piekielny

obraz praktyk czarnoksiężskich, obraz, z którego rozwinęła się koszmarna wizja średniowiecznych sabatów.

W tych zarzutach było wiele przesady, ale mogło być i sporo prawdy. W każdym bądź razie magia nie cieszyła się nigdy sympatią policji czy to duchownej, czy świeckiej. Atoli prześladowania prowadzone w ciągu wieków metodycznie i z pochwałą godną pilnością nie na wie się przydały. Magia wraca dziś do chwały z większą niż kiedykolwiek okazałością. Poprzedzona dziwnymi zjawiskami, otoczona tłumem fantomów, powiększona o cały dorobek wieków i wszystko to, co się dało wciągnąć w jej otchłanne granice z ludów świeżo poznanych -- zaczyna tworzyć te same cuda co dawniej.

Wiem, że są jeszcze sceptycy. Mam wrażenie, że sam do nich należę. Ale jest nas już coraz mniej. Uważamysiebie za ludzi postępowych i wolnych od przesądów, tymczasem zarzucają nam wsteczność i zaślepienie. Pocieszamy się, że nie widzimy tych cudów przez zbytek zdrowego rozsądku. Zdaje się jednak, że niepotrzebnie i sobie schlebiamy. Brak nam dostatecznie wrażliwej wyobraźni, tego „mistycznego rozumu”, jak ją nazywa Maeterlinck. A kto wie, czy w głębi nie tai się w nas pewien żal, że nie możemy brać udziału w tych rzeczach nierównie ciekawszych niż nasza rzeczywistość. Ale wy zapewne chcecie wiedzieć na koniec, co o tym wszystkim sądzić należy. Cóż wam powiem? Sądzę, że uczynię najroztropniej, powtarzając to, co pisze La Bruyere:

„Co myśleć o magii i czarnoksiężstwie? Teoria ich jest ciemna, zasady chwiejne, niepewne i bliskie wizjonerstwu; wszelako istnieją fakty zastanawiające, potwierdzone przez ludzi poważnych, którzy je widzieli; przyjmować je wszystkie lub wszystkie odrzucać byłoby jednak nieroztropnie, i ośmielam się twierdzić, że w tym, jak we wszystkich rzeczach nadzwyczajnych, które wychodzą poza zwykłą regułę, można znaleźć stanowisko pośrednie między łatwowienością a niewiarą.”

Lwów 1924

Człowiek i książka

Z Anatolem France'em zawarłem znajomość bardzo wcześnie i jak cały świat byłem pod jego urokiem. Jego ostatnie książki: „La revolte des Anges”, „Le Petit Pierre”, „La vie en fleur”, czytałem, gdy tylko wyszły, pisałem o nich artykuły i felietony. Jeszcze w gimnazjum przetłumaczyłem fragment z „Jardin d'Epicure” o kobiecie i drukowałem go w „Polskim Universum”. W roku 1924 będąc latem w Paryżu odkryłem willę Said i dobijałem się do jej drzwi w nadziei, że zostaną przyjęty. Powiedziano mi, że Anatol France jest w Bechellerie pod Tours, ale że i tam nikogo nie przyjmuje, bo jest bardzo osłabiony. W istocie, niewiele mu już zostawało życia, umarł w parę miesięcy później.

Od razu, jakby się tama zerwała, zaczęły płynąć wspomnienia, pamiętniki, notatki z rozmów i spotkań z France'em, pisał każdy, kto go znał bodaj przelotnie. Co miesiąc, co parę tygodni otrzymywałem z Paryża jakiś nowy tom i dawałem o nim recenzję, najczęściej w „Wiadomościach Literackich”, zebrałoby się tego sporo. Zapisałem się nawet do Societe Anatole France, którego prezesem był Jacques Lion, jego przyjaciel i niezachwiany wielbiciel, dostawałem organ Towarzystwa „Lys Rouge”.

Kiedy jednak w roku 1930 miałem napisać wstęp do zamierzonych przez Mortkowicza dzieł zbiorowych France'a, spostrzegłem, że mój stosunek do monsieur Betgeret uległ głębokiej zmianie: patrzyłem nań inaczej i to zostało utrwalone w szkicu, który najpierw pojawił się w „Pamiętniku Warszawskim”, następnie jako przedmowa do pierwszego tomu Mortkowiczowskiego wydania, wreszcie w cyklu „Odwiedziny i spotkania”. Był to właściwie pożegnanie ze starym mistrzem.

Czytałem tę najnowszą książkę France'a^{*4} w piękny dzień sierpniowy i dzisiaj, gdy szare niebo zasnuwane jest szarugą jesienną, miło mi otworzyć książkę i przewracając jej kartki, odnajdywać tam zwiędłe listki i kwiaty, którymi zakładałem piękniejsze ustępy. Był to dzień pełen tej ciepłej słodyczy kończącego się lata, tak usposabiający do marzeń i wspomnień. Niebo o tonie głębokiego błękitu rozciągało się nad leśną polaną, gdzie z rzadka wyciągały się w górę wysokie sosny i jodły. Dokoła słychać było nieustanny śpiew świerszczy. Ukryte gdzieś w trawie, niewidzialne dla oka, spełniały tę swoją powinność, za jaką starożytni Grecy uważali ich muzykę. W bajkach Ezopa świerszcz idzie zimą do mrówki, aby mu jeść dała, i usprawiedliwia się, że w lecie nie miał czasu gromadzić zapasów, albowiem śpiewem swym uprzyjemniał drogę

podróżnym, idącym przez lasy lub pola.

Gdy położyłem książkę na trawie, kilka świerszczów, .zwabionych białością kartek lub z przywiązania do tego autora, który je tak lubi, usiadły wśród czarnych czcionek ciche i spokojne. Patrzyłem na nie z uśmiechem, albowiem przypomniał mi się jeden mit starożytny, trochę dziwny i zabawny. Różanopalca Jutrzenka, ciągnąc na szczerzolistym rydwanie, widziała młodego i pięknego księcia trojańskiego Tithonosa. Zakochawszy się w nim porwała go i uniosła daleko za ostatnie rubież e ziemi, nad brzegi Okeanosa. Na jej prośbę Dzeus mu darował nieśmiertelność.

Wiele lat upłynęło im w szczęściu i miłości, gdy naraz urocza bogini zauważyła, jak włosy kochanka, dawniej do złotych zbóż podobne, z wolna stawały się siwe i wypadały. Wiele z jej uczuć zamarło, albowiem przekonała się, że prosząc o wieczne życie, popełniła straszliwą omyłkę, nie zażądawszy dlań wiecznej młodości. Ubrany w piękne szaty, pijąc nektar i jedząc ambrozię, starzał się Tithonos coraz bardziej. Eos wstydziła się już teraz swojego małżonka, był on bowiem niedołężny, nie mógł się ruszać o własnej sile, stał się zgryźliwy i narzekał wciąż na swe dolegliwości. Ukryty za firankami swego łóżka skrzeczał nieznośnie przez dzień cały. Na prośbę Eos zmienił go w końcu Dzeus miłościwy w świerszcza. Może żaden z pisarzy nie pozwala tak swobodnie bujać myślom jak Anatol France, który sam, ilekroć coś czyta, snuje sobie tysiączne marzenia i bawi się obrazkami własnej fantazji. „Jestem tylko marzycielem -- mówi o sobie -- i bez wątpienia patrzę na rzeczy ludzkie niby w półś nie zamyślenia.” Takim był on zawsze, zwłaszcza ile razy pisał o cudzych dziełach. Lubił wtedy mówić o sobie i snuć własne wspomnienia. Wszędzie przynosił swoją Biblię starą, z której wytworzył sobie pierwsze pojęcie o wszechświecie.

Kto czytał dwa lub trzy utwory France'a, zna tę szanowną książkę, pełną sztychów z XVII wieku, gdzie raj ziemski miał obfitą świeżość holenderskiego pejzażu, gdzie Ewa wśród zwierząt stworzenia odsłaniała swą piękność flamandzką. W ilustracjach zaś wojen z Filistynami i Amalekitami podziwiać można było różnaitość ubiorów głowy. „Widziało się tam kaski, korony, kapelusze, czapki i turbany dziwaczne. Nigdy w życiu nie zapomnę nakrycia głowy Józefa, które on nosił w Egipcie. Był to co prawda turban, i jeśli chce nawet szeroki turban, lecz zakończony spiczastą czapeczką, z której strzelała kita z dwóch piór strusich, a było to ubranie głowy szanowne.” Lubiąc tak często mówić o sobie A. France nie mógł znaleźć wygodniej s formy nad wspomnienia, gdzie by pod zmyślonymi nazwiskami snuł dziwną opowieść o chłopczyku wyrosłym w samym sercu Paryża na pięknej quai Malaquais.

Najpierw pojawia się skąpiana w tęsknocie *Książka mego przyjaciela*, po latach kilku nowy

tom *Pierre Noziere*, a dziś, gdy sędziwy akademik francuski co chwilę spogląda w tamtą stronę, gdzie znikły wszystkie kultury świata i gdzie błądzą cienie tylu ukochanych mistrzów -- wydał jeszcze jedną książkę o „małym Piotrusiu”. Nim znam pisarza, który by umiał być tak miłym, tak zajmującym i tak jednocześnie szczerym jak France. Ale ta jego szczerota jaśniej naprawdę dopiero w tej ostatniej książce. Prostota stylu, która jest największą sztuką: tego wytwornego pisarza, ma tutaj wdzięk prawie wręcz przerażający. Ogromne, miłosne zżycie się z duszą dziecka nastąpiło dopiero teraz zupełnie. W poprzednich książkach zbyt wiele jeszcze popełniał błędów, właściwych starszym osobom, które nie rozumieją dzieci. Zbyt mistrzowskie, nieoczekiwane skoki myśli i przerafinowana subtelność nie pozwalały osiągnąć tej harmonii, jaka panuje wśród tych obrazów tak tkliwych w swej prostocie i w tym opowiadaniu tak nie wyszukanych.

France nie wprowadził do literatury wielorakich typów. Owszem, wyobrażenia jego jest raczej uboga i nie ma w sobie nic z Balzakovskiej potęgi twórczej. Trzyma się on swoich upodobań i idzie tylko tam, gdzie go miłość wiedzie lub ciekawość. Z miłości urodził się u niego typ uczonego, miły nicpoń Piotruś i kilka znakomitych figur psów, ciekawość zaś była matką tych licznych sylwetek kobiecych, nakreślonych zawsze z pewnym zacięciem satyrycznym. Zmysłowy pisarz jest pobłażliwy niezmiernie dla kobiety, ale na tej pobłażliwości wychodzi ona gorzej niż na najcięższych klątwach, na zaciętej nienawiści. France nie umie i nie chce nienawidzić.

Nienawiść jest uczuciem brutalnym i wymaga siły, której France nie posiada. Nienawiść przechyla się mocno ku fanatyzmowi, a nic nie może dlań być bardziej odrażającego niż fanatyzm, bezwzględny wyraz duszy prymitywnej i umysłu ograniczonego. Fanatyzmowi w sferze idei odpowiada naturalizm w dziedzinie sztuki. Podziwiający geniusz Zoli nie może mu darować, że go tak źle użył. „On jest brutalny. On nie obawia się ani tego, że napawa wstrętem, ani tego, że może się nie podobać. Sądzi, że dokonał wszystkiego, gdy obraził dobre obyczaje i podeptał konwenanse.”

France jest zgoła innym człowiekiem. Dla potężnych namiętności ludzkich nie stwarza żadnego pokarmu, a jego dzieła nie rozpalają wyobraźni. Są to przeważnie rozmyślenia i dialogi w cieniu więzów. Przychodzi on tam ze swoim Homerem in folio albo z którymś z ojców kościoła i dyskutuje lub patrzy. Interesują go objawy życia i dusze ludzkie. Analizuje, z uśmiechem patrząc na ich błędy, a jeszcze bardziej będąc wyrozumiałym dla ich cnót. Wielkie ukochanie człowieka wieje z kart jego książek. Nie potępia nic i nikogo, lecz stara się wszystko wyrozumieć, wiedząc, że *on se laisse de tout, excepté de comprendre*. Jest wyrazicielem tej kultury, która dąży do poznania wszystkiego, podobna do gablotki, gdzie zebrane stoją obok

siebie figurki z Tanagry i porcelanowe cacka chińskie, skarabeusz egipski, amulety asyryjskie i zabawki z epoki Ludwików. On jakie ta sztuka, którą tworzy, i ta kultura, w której żyje, ma wady i zalety.

„Oddajmy sobie sprawiedliwość -- powiada -- pielęgnowaliśmy sztukę i studiowaliśmy naturę. Zbliżyliśmy się do prawdy o tyle, o ileś my tylko mogli, i odkryliśmy małą cząstkę piękna, która uspiona była jeszcze b« kształtu i bez barwy w zawistnej ziemi. Nie deklamowaliśmy nigdy, byliśmy świadomymi artystami i prawdziwymi poetami. Chcieliśmy się wiele nauczyć, nie mając nadziei zbyt wiele wiedzieć. Zachowaliśmy cześć dla mistrzów. Bez wątplenia brakło nam szerokiego oddechu, odwagi i awanturniczego geniuszu, ale posiadaliśmy, wierzę w to, zmysł doskonałości i wytworności.”

Niepodobna znaleźć lepszych słów na określenie,; czym jest France we wszystkich swoich utworach. Trzeba jednak zawsze pamiętać o tym, czego on sam o sobie nie mówi -- o jego słonecznej, lecz trochę mgłą smutnego współczucia przysłoniętej miłości człowieka. Ten ognek uczucia doprowadził go pod okna pracowni starego Sylwestra Bonnard, gdzie znalazł złote serce wśród pożółkłych katalogów opatów z Saint-Germain-des-Pres, i znów do biblioteki rodziny d'Esparvieu, gdzie siedział stary dziwak, kochany ojciec Sariette, lub wreszcie do małego miasteczka, do księgarni pana Paillot, gdzie poznał pana Bergereta, cichego przyjaciela książek i ludzi.

Pesymista pojednany z życiem i sceptyk wierzący w dobro i piękno, Anatol France odnajduje w dzisiejszych lub dawnych czasach takie świetlane postacie, jak kuglarza Najświętszej Panny lub księdza Longuemara, który idąc na szafot jest smutny, że sędziowie trybunału rewolucyjnego nie potrafią odróżnić barnabity od franciszkanina.

Trzeba znać France'a, aby go kochać, i trzeba go kochać, aby poznać tę duszę ciekawą, piękną i bogatą. Nigdy nie liczył i nie może liczyć na szerokie koła czytelników i wielbicieli. „Zjadacze romansów”, paryscy czy lwowscy, przeczytają jego *Lys rouge* lub *Thaïs* z niejakim zainteresowaniem, może sięgną również po któryś z tomów *Histoire contemporaine*, ale o takiej już *Gospodzie pod Królową Gęsią Nóżką* powiedzą, że nudna. Jego bowiem książki źle się przystosowują do tych wydań w żółtej papierowej okładce, które się drą, idąc z ręki do ręki, a butwieją potem, rzucone w przedpokoju za piecem. On powinien być oprawny w cielęcą skórę, jak dawniej oprawiać książki lubiano, ze złożonymi brzegami, starannie tłoczonym napisem na grzbiecie i czytać go można zawsze, a zwłaszcza wtedy, gdy jest smutno. Bo w takiej chwili France dziwnym się staje przyjacielem. Opowiada bajki, a gdy one się znudzą, zacznie wychwalać smutek i cierpienie, które jest wielkim dobrem na świecie, bo przez łzy

człowiek po raz pierwszy zobaczył piękno, poznał dobro, a w cierpieniu tworzył sztukę i poezję, budował systemy filozoficzne i moralne, śnił o bogach. I słucha się tych opowieści bez końca, i upaja się tymi myślami, wciąż nowymi, ogarniającymi szeroką przestrzeń i sięgającymi głęboko.

Ci, którzy patrzą na nas, mówią, że nie ruszyliśmy się z pokoju zastawionego półkami pełnymi książek, wśród których na samej górze widnieją klasycy w wydaniu Teubnera -- greccy w ceglastej oprawie, rzymscy w niebieskiej, gdy tymczasem nam się zdaje, że odbywamy jakąś niezmiernie długą podróż, nie męczącą! wcale, bo droga jej idzie poprzez wszystkie kraje, ludy i wieki.

Tym razem France powrócił znowu do dziejów swego dzieciństwa. O północy, któregoś tam dnia i roku przed wiosną ludów, urodził się mały Piotruś w tej samej chwili, w której przyszedł na świat mały Puck w sąsiednim pokoju pod starym dywanem. Razem wzrastali w lata i ojciec Noziere musiał przyznać, że inteligencja jego psa rozwija się o wiele szybciej niż umysł jego syna. Przy ojcu romantyku i melancholiku i matce pobożnej, lecz nie wierzącej w piekło, jak dobra pani de Warens, rośł mały Piotruś, który dopiero potem, zostawszy wielkim pisarzem, zauważył, że Chateaubriand, katolik i monarchista, Beranger, napoleończyk, republikanin i wolnomyśliciel, oto były dwa znaki, pod którymi on się urodził.

Trzeba mi wybaczyć ten lekki przesąd o wszelkich pozorach prawdy, z jakim ja, mówiąc o Piotrusiu, myślę o samym France'ie. I on sam, jak się zdaje, więcej tu myślał o sobie niż w innych książkach. Odczuwa się większe zbliżenie i bardziej bezpośrednie do dziejów własnego dzieciństwa. Imiona, które dawniej były zmyślane, teraz pojawiają się z pełną prawdą historyczności. Wiele jednak osób i faktów powtarza się bez zmiany.

Niewymuszony, szczerzy, a wysoce artystyczny obraz dziecka kojarzy się z szeregiem innych obrazów, skąpanych w tym czystym, złotym świetle dnia jasnego, który on oglądał wówczas oczyma szczęśliwymi.

France jest filozofem i nie może się oprzeć chęci przedstawienia ogólniejszych zjawisk na tle tego małego życia. Gdy mówi o tym, jak mały Piotruś wyobraża sobie, że jego pokój jest środkiem świata, rozumiemy go dobrze, wiedząc, że w podobny sposób prymitywne narody wyobrażają sobie, że ich mały kraik jest „pępkiem świata”. Dziecko jest w skróceniu prymitywnym ludem, a jego rozwój obrazem rozwoju kultury ludzkiej. Mały Piotruś namiętnie rysował żołnierzy. „Moi żołnierze składali się z kółka, które wyobrażało głowę, jedna kreska stanowiła tułów i po jednej kresce przypadał na każdą rękę i na każdą nogę. Linia łamana jak błyskawica przedstawiała karabin z bagnetem i było to bardzo ekspresywne. Nie wkładałem im czapki na głowę. Rysowałem je u góry, aby okazać całą moją wiedzę i wyszczególnić jednocześnie

kształt głowy i jej nakrycia.”

Na tym stopniu sztuka jego utrzymywała się dość długo, aż nagle, w błysku geniuszu, przyszła myśl odtworzenia rąk i nóg nie za pomocą jednej kreski jak dotąd, ale dwiema liniami równoległymi. Zdumiony swoim odkryciem, pragnął uznania. Lecz matka, nie widząc w tych bazgrołach żadnej uderzającej różnicy, odsunęła go łagodnie: „Jakie to dziecko jest nerwowe!” -- westchnęła. Biedny Piotruś nie wiedział, że kilka tysięcy lat temu podobne odkrycie mogłoby go było uczynić przedmiotem podziwu.

Dziś na to wszystko patrzy on ze sceptycznym uśmiechem, albowiem dziwna w nim nastąpiła przemiana. Gdy jeszcze małym będąc zaczął pisać traktat teologiczny od słów: „Co to jest Bóg?” -- za nic w świecie nie chciał tam postawić znaku pytania, upierając się, że znak ten jest niepotrzebny, albowiem on wie, co to jest Bóg. „Zmieniłem się bardzo od tego czasu. Nie waham się stawiać znaków zapytania wszędzie, gdzie się je stawiać zwykło. Miałbym nawet wielką ochotę dawać wielkie znaki pytania nad wszystkim, co piszę, co myślę i co mówię. Moja dobra matka, gdyby żyła, powiedziałaaby mi być może, że teraz stawiam ich wiele.”

France jest poetą półtonów i półcieni, człowiekiem nad wyraz wysubtelnym. Nad jego książką się srebrna, delikatna koronka smutku i melancholii, której on nie chce ukrywać nawet w imię tego rozumu, tak przez siebie wielbionego. Jego umysł jest lekki i poddaje się żadnym więzom, żadna zasada nie trzyma go w swej mocy i w nic nie wierzy on z taką siłą, sądził, że przeciwny pogląd pozbawiony jest słuszności. Wie dobrze, jaką rolę w życiu człowieka grają zmysły, i sam poddaje się ich władzy. On nigdy nie zapomni tego dotknięcia uperfumowanej i opiętej w rękawiczkę dłoni artystki Rachel i z tkliwą wdzięcznością będzie wspominał pannę Merelle, która zamiast gramatyki dała mu poznać wielką i niezgłębioną słodycz miłości pokornej i nie podejrzewanej.

Przerzucając kartki tej pięknej książki widzę, jak jasne i pogodne oczy Anatola France'a zasnuwają mgłą smutku. Mówi, że poznał boleść po raz pierwszy, gdy od nich odeszła jego stara piastunka Melania. Gdzie indziej znów mówi o zgonie małego kotka. „Twoje oczy zgasły, a wraz z nimi i ten świat, o którym ty prawie nic nie wiedziałeś. O! jeśli by twój drogi mały cień mógł mnie słyszeć, powiedziałbym mu: Wkrótce i moje oczy, się zamkną na zawsze, a ja również nie dowiedziałem się wiele więcej od ciebie o życiu i śmierci. Miałem wiele słuszności, gdy będąc dzieckiem, sądziłem, że ten świat nieznan, którego szukałem, był blisko mnie. Świat nieznan nas otacza, on jest wszystkim, co jest poza nami. A ponieważ nie możemy wyjść z siebie, nie osiągniemy go nigdy.”

Dla poznania samego France'a cały cykl o Piotrze Nozière, a zwłaszcza ostatnia książka --

jest bardzo ważna. Odnajdujemy tu bowiem bardziej bezpośrednio te rysy samego pisarza, które spotykamy wszędzie, i przekonywamy się, że w każdej książce jest jakaś szczególnie droga mu postać, w której on przedstawił jakąś część własnej duszy, najczęściej będzie to uczonego lub filozof. Sylwester Bonnard, członek Instytutu, miał także w dzieciństwie Biblię ze sztychami i lalkę brzydką i tanią, którą nad inne przekładał. Lucjan Bergeret, profesor literatury łacińskiej, Paul Wance z *Lys rouge* i Troublet z *Histoire comique*, stary Brotteaux, noszący w swej *redingote puce* Lukrecjusza i ojciec Sariette z *Buntu aniołów* i nawet ten egiptolog zahipnotyzowany, piszący wesołe przygody tragarza w Konstantynopolu -- wszyscy oni odtwarzają pewną część duszy France'a, są głosicielami jego idei lub skłonności uczonego. France kocha uczonego i kocha naukę. To zaś, co on naprawdę wnosi nieśmiertelnego do literatury -- to typ uczonego, skreślony rysami tak pełnymi miłości, tak wypieszczony i tak artystycznie piękny, że jego Sylwester Bonnard żyć będzie zawsze i w oryginale, i w licznych kopiach. Ci wszyscy filozofowie i uczeni mają miłosny kult książek i umieją wyczuwać dreszcze rozkoszne, gdy ich palce dotykają pięknych starych opraw, są miłośnikami starożytności i poeci łacińscy i greccy stanowią dla nich źródło niewyczerpanych słodyczy artystycznych. Przeważnie są to historycy lub także historycy. Dla muzy Klio miał France zawsze szczególniejsze względy, jej imieniem nazwał jeden ze swych zbiorów nowel historycznych, a w swej ostatniej książce tak o niej mówi: „Muza Klio jest poważną, a nawet czasami surową, której słowo poucza (jak sądzę), zajmuje, podnieca, bawi. Chciałoby się jej słuchać dzień cały. Lecz zauważyłem, bywając u niej stale, że często miewa złą pamięć, jest próżna, stronnicza, niedobrze poinformowana i kłamliwa. Pomimo jej braków kochałem ją bardzo i Kocham ją dotąd. Są to jedyne węzły, jakie mnie łączą z tą muzą.”

Co jest uderzającą rzeczą u France'a, to że on postaci, które najbardziej kocha, i w ogóle to wszystko, do czego przywiązane jest jego serce, pokrywa lekką warstwą ironii. Ta ironia, stanowiąca najbardziej mistrzowską manierę artystyczną, unosi się nad kim, co on mówi, jak jakieś dalekie, białe obłoczki, które nieraz raczej myśl odgaduje lub instynkt, okiem uchwycić ich niepodobna. Oparł swą ironię sztucznej naiwności, która mu pozwala z taką prostotą odtwarzać najdziwniejsze mity i legendy, postaciom historycznym nadaje dziwne życie, a dialogom swobodnego, nie zmałowanego toku rozmowy, w której jakby autora własne przekonania nie brały udziału.

Inny niż Platon, jest Anatol France mistrzem dialogu.

Zakochany w książkach i bibliotekach żywi France serdeczną miłość do szkoły. W uszach mu jeszcze brzmi wesoły świegot wróbli, przy których śpiewie zawarł pierwszą znajomość z

autorami starożytnymi i zetknął się w niemiły sposób z Racine'em. Było to w kolegium, gdy profesor kazał chłopcom kupić sobie Racine'a *Esterę* i *Atalię*. Mały Piotruś bardzo chciał przeczytać tę ciekawą historię, o której miał już własne pojęcie. Estera była dziewczynką wiejską. Razu jednego przechadzając się po wsi spotkała małą dziewczynkę, omdlałą ze znużenia na środku drogi. Zaprowadziła ją do siebie, dała jej chleba, mleka i dowiedziała się, że dziewczynce na imię Atalia. Matka nie mogła przekonać Piotrusia, że *Estera* i *Atalia* są to dwa oddzielne dramaty. „Piętnaście dni później, w dzień Wszystkich Świętych, dostałem *Esterę* i *Atalię*. Mały tomik w niebieskiej płóciennej oprawie, który na grzbiecie miał naklejony skrawek szarego papieru z napisem: Racine, *Esther et Athalie*, tragedie wzięte z Pisma Świętego, wydane do użytku szkolnego. Ten tytuł nie zapowiadał nic dobrego. Otworzyłem książkę: to było gorsze, niż się obawiać mogłem. *Estera* i *Atalia* były pisane wierszem. Wiadomo, że wszystko, co pisane wierszami, daje się trudno rozumieć i nie jest zajmujące...” Zamknął książkę, obiecując sobie nie otwierać jej więcej.

Nie dotrzymał słowa i oto co pisze dalej we fragmencie, który mimo wszystko pragnę przytoczyć, bo odsłania nam głębi duszy France'a, duszy entuzjastycznej i pełnej tęsknoty do poezji: „O słodki i wielki Racine'ie! najlepszy, najdroższy z poetów! takie było moje pierwsze z tobą spotkanie. Teraz jesteś moją miłością i radością moją, całym moim zadowoleniem i najdroższymi rozkoszami. Z wolna idąc w życie -- poznając ludzi i rzeczy -- nauczyłem się znać ciebie i kochać. Corneille jest przy tobie tylko zręcznym deklamatores i nie wiem, czy nawet sam Moliere jest równie prawdziwy jak ty, mistrzu najwyższy, w którym jest sama prawda i samo piękno! W mej młodości, zepsute lekcjami i przykładami tych barbarzyńców romantycznych, nie pojąłem od razu, że ty jesteś najgłębszym i najczystszy z tragików. Oczom moim brak było siły, aby patrzeć na twój blask. Nie zawsze mówiłem o tobie z dostateczną czcią. Nie zawsze mówiłem, że stworzyłeś charaktery najprawdziwsze, jakie kiedykolwiek na świat wydał poeta. Nie zawsze mówiłem, że ty jesteś samym życiem i samą naturą. Ty jeden ukazałeś nam prawdziwe kobiety. Czymże są kobiety Sofoklesa, a nawet Shakespeare'a, wobec tych, które ty powołałeś do życia? Lalki! Twoje jedynie mają czucie i ten ogień wewnętrzny, który nazywamy duszą. Twoje jedynie kochają i pragną: inne tylko mówią. Nie chcę umrzeć, póki nie napiszę kilku wierszyki na twoim pomniku, Janie Racine'ie, w dowód mojej miłości i czci mojej. A jeśli nie będę miał czasu na wypełnienie tego świętego obowiązku, niechaj te słowa rzucone od ręki, lecz szczerze, będą dla mnie dobrym świadectwem.”

Ożywiony tajemnym ogniem, który płonie w tej duszy wielkiego pisarza, czytał em piękną

książkę pod i sierpniowym niebem błękitnym, aż „słońce, które zaczęło zachodzić, złamało swe strzały ogniste na liściach | spokojnych drzew”. I wracając ciemną aleją, po której snuły się jaskrawe blaski słońca, widziałem ten mały pokoik, w którym się kształtował duch France’a, „biedny pokoik dziecinny, wśród twoich czterech ścian przychodziły kolejno nawiedzać mnie barwne cienie wiedzy, iluzje, które ukryły przede mną naturę i stanęły potem między mną a nią, gdy starałem się ją odnaleźć; wśród twoich czterech ścian prostych, usianych kwiatami niebieskimi, ukazywały mi się błędne i dalekie, groźne zjawiska miłości i piękna”.

Słońce już zaszło dawno. Na pociemniałe niebo wypłynął sierp księżycy, jak wiór odcięty od wielkiej sztaby złota. Powiew chłodniejszy nocy wstrząsnął mną i dopiero wówczas spostrzegłem, że stoję niedaleko domu, zapatrzony w tę stronę, gdzie słońce zapadło i skąd jeszcze lekki czerwonawy rąbek się wychylał i że książkę jakąś w żółtej okładce przyciskam do piersi.

„Gazeta Lwowska” 1919, nr 264 i n.

Lepianka mędrca

Anatol France u siebie

Niedaleko Lasku Bulońskiego stoi willa Said, ustronie paryskie Anatola Francéa. W czasie wojny była opustoszała, albowiem France, rozgoryczony, usunął się w głąb Francji, nad brzegi Loary, do swego wiejskiego majątku. Te rozmowy, których ton i koloryt poznać nam daje sprawozdanie Gsella, toczyły się przed wojną i podjęte zostaną znowu, dopóki nie zamkną się na zawsze usta, które umiały wypowiadać najtkliwszą pociechę w formie najrozkoszniejszej.

Drzwi furtki, trącone starą florentyńską klamką, rzeźbioną w brązie, prowadzą przez mały ogród do sieni, gdzie stara Józefina nieufnie wita każdego przybysza, zupełnie nieczuła na najwyższe dostojęstwa, ona, trzymająca codziennie u progu książąt, markizów, generałów, ministrów, najświetniejsze nazwiska całego świata. W przedpokoju perskie fajanse, w goździki niebieskie, zielone i czerwone, mieszają się z wazami rodyjskimi, które z daleka grzeją oko swym ciepłym ceglastym kolorem. Na konsolach i gerydonach stare posążki: gruby mnich przesuwa kuleczki różańca obok niemieckiej Madonny o wijących się włosach, która z obojętną słodyczą patrzy na Lukrecję, wbijającą sobie nóż w serce. Schody oświetla tęczyowy blask starych witraży, przysypanych blaszkami złota. Kilka lat temu uciekła z tego przedpokoju pewna młoda studentka rosyjska, przerażona i onieśmielona przepychem domu „apostoła”.

Cały dom jest historią twórczości Anatola France'a. Urządzał go on równie kapryśnie, jak porzucał starożytność dla średniowiecza, a renesans dla rokoka.; Pomiedzy głowami, torsami, statuetkami i stelarni starożytnymi błąka się wspomnienie kurtyzany Aleksandryjskiej; włoskie fajanse przywiozła Teresa Martin-Belleme z Florencji, gdzie nad Arno Dechart re mówił jej o swej miłości; po obiciach z XV w. przesuwa się cień Dziewicy Orleańskiej; bogowie łaknący ukryli się w meblach i sztychach z czasów Ludwika XVI i rewolucji. Przeważa styl końca w. XVIII. W głębi widać wspaniałą sypialnię; wielkie łóżko renesansowe nakrywa baldachim włoski z zielonego jedwabiu, wsparty na krętych kolumnach. France śpi pod cudownym ornatem genueńskim, pod którym ma sny przedziwnie urocze.

Na drugim piętrze jest biblioteka. Prowadzą do niej stare drzwi, okute miedzią, z jakiejś zakrystii. Biblioteka sprawia wrażenie kaplicy. Witraże malowane w stare godła i herby cedzą tajemnicze światło, które ledwo dociera do sufitu niskiego, wyl ożonego miedzią wytłaczaną i złożoną. Dokoła ścian półki z książkami aż do sufitu. Są to po większej części stare książki, oprawne w skórę, często okute miedzią. Wśród tych starych opraw spotyka się znaczną ilość

szczególnie ciekawych. Są to pergaminy z antyfonariuszów, zdobne w inicjały i nuty czerwone i czarne. Tę oprawę książek obmyślił sam Anatol France.

W pantoflach, w jakiejś długiej księżej sukni, w czerwonym berecie aksamitnym przechadza się ten kapłan bezbożnej religii wśród niezliczonych przedmiotów kultu, stojących po kątach: cyboriiów, pater, kielichów, monstrancji, kadzielnic. Tam przerzuca on poźółkle kartki starych książek lub z fajeczką siedząc w fotelu, wsparłszy głowę o poduszki, po raz setny w jakimś sztychu śledzi grę miłości z trochę zmysłowym uśmiechem.

Ma same tylko stare książki. „Nie mam książek nowych. Nie trzymam nawet tych, które dostaję. Wysyłam je jednemu przyjacielowi na prowincji. Co mi mó wią moi współcześni, wiem sam bardzo dobrze. Więcej uczę się od Petroniusza niż od Mendesa.” Pewnemu zaś krytykowi, który pisząc o nim studium, przyszedł zasięgnąć od autora *Jardin d'Epicure* bezpośrednich wskazówek, pokazał France swoje stare księgi: „Oto moje źródła. Znajdzie pan wśród nich samych tylko wielkich i rozkosznych pisarzy, którzy mówili dobrą francuszczyzną, to znaczy myśleli dobrze. Albowiem jedno idzie w parze z drugim. Co do mnie, starałem się mówić możliwie najlepiej o tym, co widziałem i czego się nauczyłem od moich czasów, tak jak by o tym mówiły te piękne umysły z dalekiej przeszłości, gdyby patrzyły na te same rzeczy.”

Jest zaś u France'a jeden rys szczególnie wzruszający -- jego miłość dla Francji, jej ducha i jej języka. On, najpełniejszy wyraziciel tego latyńskiego pierwiastka psychiki francuskiej, wziął swój pseudonim od imienia *doux pays*, a nie ominie żadnej sposobności, żeby z gorącym, jak żywy ogień, entuzjazmem nie wypowiedzieć swych uniesień nad językiem Racine'a i Woltera.

Kiedy raz pewien zażarty esperantysta przyszedł go prosić o pozwolenie przekładu kilku jego dzieł na język międzynarodowy, France nie mógł ukryć pewnego niezadowolenia, że jego myśli, wyrwane z ukwieconego łożyska harmonijnego stylu francuskiego, popłyną w szarym korycie słów bez wyrazu, bez wdzięku, bez życia. „Wasze esperanto -- mówił -- to lalka. Mowa francuska to prawdziwa kobieta. A ta kobieta jest taka piękna, taka dumna, taka skromna, taka odważna, wzrusza i daje rozkosz, czysta jest i szlachetna, taka bliska, taka szalona, taka mądra, że się ją kochać musi całą duszą i nigdy nie ma się pokusy, aby ją zdradzić.”

Wśród starych książek zdobywał France przez lata | całe zadziwiającą, a tak rozkoszną erudycję. Amorki swawolnie i kapryśnie wydobywały mu z szaf książki, a małe Psychy, fruując dokoła jego głowy, w chwili gdy pisał, nawiewały mu słodkie myśli, splecione, jak zieleń z girlandą kwiatów -- z najmilszymi opowiadaniem. France w literaturze jest dziś ostatnim, najpiękniejszym tworem tego samego ducha, który niegdyś ożywiał francuskich *conteurs* i *nouvellistes*. France w życiu jest najprzyjemniejszym causeurem, który zna mnóstwo

rzeczy niesłychanie interesujących i opowiada je z wdziękiem niezrównanym. Posłuchajmy kilku takich anegdot. Najlepsze z nich dotyczą akademików. France lubi opowiadać o „Nieśmiertelnych” rzeczy wprost fantastyczne. Drobną część podobnych występków przeciw kulturze, jakie odsłania nam autor Zbrodni Sylwestra Bonnarda, wystarczyłaby, żeby pogrzebać na zawsze dobrą sławę naszej Akademii Umiejętności. Wzniosła tradycja pałacu Mazarin okrywa jednak doskonale śpiącą w jego murach Abderę.

Wybitny literat francuski, Haraucourt, pragnie kandydować do Akademii. Składa w tym celu wizyty „Nieśmiertelnym”. Zaszedł do France'a, któremu opowiada swe przygody i zmartwienia. Najwięcej boli go to, że żaden z akademików nie zna jego dzieł. „Co się panu wydaje? -- woła France -- nigdy, przenigdy akademicy nie zaglądną do książek kandydatów.”

Dowód. Leconte de Lisle, bluźnierca, który napisał *Poemes borbores*, został wybrany jako poeta chrześcijański. Popierał go książę de Broglie. Książę de Broglie wiedział, że Leconte de Lisle jest poetą. Nikt nie potrafił dociec, skąd on o tym wiedział. Książę przedstawił kandydaturę poety za pomocą takiego sylogizmu: „Ten poeta jest spirytualistą jak wszyscy poeci. Spirytualizm a chrystianizm to jedno. Mój Leconte de Lisle jest zatem chrześcijaninem, dobrym chrześcijaninem, wzorowym chrześcijaninem. Głosuję za nim. Róbcie tak jak ja.”

Wybór Leconte de Lisle'a ułatwiła jeszcze ta okoliczność, że większość „Nieśmiertelnych” przypisywała mu *Le vase brisé Sully-Prudhomme'a*...

France z prawdziwą rozkoszą przypomina sobie pierwsze swoje posiedzenie *du dictionnaire*. Posiedzenia te, na których cała Akademia układa wielki Słownik, są po prostu boskie. Litera A (nie wiem, czy i dotąd jeszcze nie siedzą „Nieśmiertelni” przy literze A). Redagowano artykuł „anneau” (pierścień). Większością głosów przyjęto następującą definicję: „Kawałek metalu w kształcie koła.” W tej chwili France poddał: -- Pierścień dymu. -- Chwila konsternacji. Zgodzono się na wniosek pewnego gramatyka, aby dodać: „*Par catachrèse: anneau de fumée.*” Dla przykładu podano jeszcze: „Pierścień Saturna.” France zauważył: -- Astronomowie odkryli ich kilka. Trzeba więc napisać: „Pierścienie Saturna.” -- Odpowiedziano mu na to: -- Nie. Mówi się zwykle „pierścień Saturna”. Naszym zadaniem jest przyjmować formy zwyczajnie używane. Tym gorzej dla pańskich astronomów.

Wówczas przyszła France'owi szatańska myśl. Najbliższym jego sąsiadem był poczciwy Bornier, wicehrabia de Bornier, poeta dramatyczny starej daty, który spał, chrapiąc z lekka. France trącił go łokciem: -- Oni zapominają o pierścieniu Hansa Carvela.

Henri de Bornier, który żył w bajecznym świecie Rolanda, nie czytał nigdy Rabelais'go i nie znał historyjki o pierścieniu Hansa Carvela z trzeciej książki *Pantagruela*. Wdzięczny tedy

France'owi, że mu ów daje taką sposobność wzięcia czynnego udziału w pracach Akademii, zawołał:

-- Panowie zapominają o pierścieniu Hansa Carvela.

Kilku obecnych się zaśmiało. Książę de Broglie, który znał doskonale Rabelais'go, lecz umiał zawsze zachować dostojną powagę:

-- Idźmy dalej, panowie -- rzekł.

France pochylił się ku swemu sąsiadowi.

-- Nie dosłyszano słów pańskich.

Bornier powstał i począł wołać przez cały stół:

-- Ależ, panowie, panowie, zapominacie o pierścieniu Hansa Carvela.

Tym razem ogarnęła wszystkich burza wesołości.

-- Co im się stało? -- pyta Bornier.

-- Nie wiem -- odpowiada France.

Oburzony książę de Broglie przerwał posiedzenie. Wychodząc z sali wziął pod rękę France'a i rzekł:

-- Śmieszny pocziwiec ten Bornier. Piękne nazwisko, dobra rasa, stary ród z Perigord, ale chyba podpił, że tak ni stąd, ni zowąd opowiada *des cochonneries*...

Aby utwierdzić swego przyjaciela w przekonaniu, że ogólne *désintéressement* „Nieśmiertelnych” w rzeczach literatury opiera się na dawnej tradycji, France opowiada historię Luizy Collet.

W czasach drugiego cesarstwa powszechnie znano tę kobietę o majestatycznej piękności, kochankę wszystkich sławnych ludzi epoki, począwszy od filozofa Wiktora Cousin. Ponieważ Luiza pisała wiersze, zażądała od swego metafizyka, aby jej wyrobił nagrodę poetycką Akademii Francuskiej. Otrzymywała ją tedy co rok, tak że to weszło już w regułę.

Pewnego razu Collet zapomniała o przygotowaniu swego konkursowego kawałka. W przeddzień ostatniego terminu nie miała jeszcze ani jednego wiersza. Tego wieczora zebrał się u niej sporo pisarzy i artystów, między innymi był Flaubert i Bouilhet, poeta dramatyczny. Po obiedzie wzięła Luiza obu do swego gabinetu, dała im tytoniu i wódki i zapowiedziała, że nie śmieją się jej pokazać na oczy, jeśli do północy we spółkę nie ukują dla niej jakich dwustu wierszy o nieśmiertelności. (Taki bowiem był temat konkursowy.) Po czym wróciła do swych gości.

Dwaj przyjaciele palą, piją, gawędzą.

-- Tam do licha! -- zrywa się Bouilhet około jedenastej -- a „Nieśmiertelność”?

Flaubert powstał, wyjął z szafy tom Lamartine'a, otworzył:

-- Siadaj i pisz -- rozkazał.

Podyktował mu dwieście wierszy z Harmonies. W nagłówku napisano *L'immortalité*.

W tej chwili weszła Luiza. Z ostentacją podano jej utwór. Przebiegła wiersze oczyma.

-- No, nie natężyliście się zbytnio. Ale ostatecznie ujdzie. Jesteście aniołami.

Posłała poemat i otrzymała swą zwykłą nagrodę z serdecznymi gratulacjami. Akademia wydrukowała wiersze Lamartine'a pod nazwiskiem Luizy Collet. Nikt ich nie czytał. Flaubert odsłonił swą mistyfikację o wiele później...

Rozmowy Anatola France'a⁵ pełne dowcipu i zupełnie szczerzej wesołości zawierają jednocześnie ziarna jego słodkiej filozofii i nie dziw, że aby posłyszeć jej wykład z ust samego mistrza, przyjeżdżają ludzie z końca świata, jak ów prof. Brown z Sydney w Australii, który po wszystkich krajach szukał rozwiązania zagadki geniusza. Wszędzie przejawia się duch France'a, łagodnie uśmiechnięty, wypowiadający się w słowach harmonijnych, przepojonych wielką dobrocią, albowiem autor *Jardin d'Epicure* jest serdecznym przyjacielem ludzkości.

„Tygodnik Ilustrowany” 1922, nr 5.

O zrozumienie „nowej sztuki”

Ten szkic wiąże się z dwoma różnymi zdarzeniami. Pierwszym był jeden z wieczorów dyskusyjnych, jakie urządzał w seminarium archeologii klasycznej profesor Edmund Bulanda.

Serdecznie wspominam ten zakład. Wszedłem doń w pierwszym roku studiów uniwersyteckich, w 1913, kiedy kierował nim nieodżałowany profesor Hadaczek, i zadomowilem się w tej sali, obitej pod sufit idącymi półkami książek, z których większość przeczytałem sumiennie. Byłem tam codziennie, nawet już po skończeniu uniwersytetu. Bulanda zachęcał nas do odczytów nie tylko w zakresie archeologii (sam kiedyś mówiłem o nowym wystawieniu Sofoklesowego „Edypa”) i któregoś wieczora rozprawiano o najnowszych kierunkach w sztuce, o ile pamiętam, raczej z przekąsem. Zabrałem głos w dyskusji i tak mnie poniosło, że mówiłem prawie tak długo jak referent. Była to obrona nowej sztuki, którą w jakiś czas później spisałem sobie z pamięci. Drugim zdarzeniem, jakie wiąże się z tym szkicem, był przyjazd do Lwowa dwóch poetów -- Przysieckiego i Wierzyńskiego. Odbył się wieczór w sali konserwatorium, ja miałem słowo wstępne, które na afiszu nosiło nazwę introdukcji. Tekst tu podany składa się z elementów; obu przemówień i w tej formie był drukowany w r. 1922.

Zdarzyło mi się w ostatnich czasach bardzo wiele rozmawiać o nowej sztuce, która przejawia się w ty lub owym wierszu, w obrazach, manifestach, jednodniówkach i pismach wydawanych w Polsce.

Nie kończące się nigdy polemiki Irzykowskiego do starczyły nam materiału i pobudzały do dyskusji. Zauważyłem przede wszystkim jedno: że jeśli się dobrze wsłuchać w ton, jakim o swej sztuce mówią jej wyznawcy, czuje się jakby pewne rozdrażnienie, chęć polemizowania, walczenia. Młodzi twórcy chętnie przyjmują hasła buntownicze, rewolucyjne i z dość nieumiarkowaną skwapliwością godzą się nawet na nazwy poniżające. Jest to ich słabostka, którą trzeba wybaczyć, a przede wszystkim zrozumieć.

Dla każdej nowej szkoły walka jest niezbędnym warunkiem utrwalenia się i rozwoju. Każdy nowy prąd musi napotkać opór, aby mógł ocenić własne siły i na kruszeniu kładzionych mu tam wypróbować swą żywotność. Chrystianizm rozkwita na gruncie polanym krwią męczenników, romantyzm tym więcej tworzy, im zacieklejszą toczą z nim walkę. Jeśli prąd napotka zamiast spiętrzonych skały, po której chciałby zlecieć kaskadą -- szeroką, apatyczną mieliznę, wówczas rozlewa się w bagnisko, wsiąka i wysycha.

Nowym prądom spieszy ku pomocy stary grzech każdego pokolenia, które nie chce czy nie

może ich zrozumieć. Czy to samo jest dziś? Czy usposobienie nasze jest tego rodzaju, że odrzucimy ekspresjonizm, formizm, futurystę na to, aby po latach kilku czy kilkunastu zatriumfował nad naszą ignorancją, rozbiwszy nasze przesady i utrwaliwszy swe panowanie?

Głosy protestu, jakie tu i ówdzie dają się słyszeć, są za słabe, nazbyt rozpierzchłe, aby mogły rodić taką obawę.

Leży to w usposobieniu naszej epoki, której znamionami cechami są -- zmysł historyczny i ciekawość kolekcjonerska. Kiedy Osiński nie mógł słuchać wierszy Mickiewicza, a stary Koźmian, któremu nagle przerwano rozkoszne dłubanie się w *Ziemiaństwie*, odzegnoywał się od *Sonetów krymskich* -- to były czasy, kiedy nie miano tego szerokiego spojrzenia w głąb historii, jakie nas dziś chroni od wszelkich nieporozumień, ale i niestety! od wielu niespodzianek. Usłużny wiek dziewiętnasty nagromadził dla nas tak obfity materiał porównawczy, że dzisiaj bez wszelkich trudności spełniamy zalecenie Horacego, by się niczemu nie dziwić. Możemy sobie pozwolić na tę filozoficzną równowagę ducha. Jesteśmy starzy i dość wiadzeni. Wiemy, jak powstają nowe prądy, jak wnikają do sztuki i do duszy społeczeństwa, jaką następnie przechodzą ewolucję, stając u mety i ustępując z kolei miejsca nowym prądom. Dzieje się tak nie tylko w sferze sztuki i literatury, ale w modzie, obyczajach, zwyczajach, urządzeniach społecznych i politycznych i w tej ustawicznej przemianie jest jednocześnie wielki smutek i prawdziwa rozkosz życia.

My jednakże odczuwamy więcej smutku niż rozkoszy. Płynie to z naszej wiedzy, którą zrodziła ciekawość, nienasycona, niespokojna, stale odwracająca się od człowieka współczesnego na to, aby go szukać w przeszłości. Staramy się wszystko zrozumieć i zanalizować. Staliśmy się dziwnie bezkrywi, bo nie mamy zasadniczych uprzedzeń. Uznajemy wszystkie możliwości i z góry zgadzamy się, aby przed naszymi oczyma dokonywano eksperymentów. Epoka nasza nie ma jednolitej, określonej fizjonomii, ale jest mozaiką wszelkich epok. Nie mamy własnego stylu i bolejemy nad tym. Byłoby nam przyjemnie, gdyby pewnego dnia ktoś nam go odkrył, ale tak, że aby wszyscy uczeni razem wzięci nie umieli w nim odnaleźć ani hellenizmu, ani gotyku, ani odrodzenia, ani Egiptu, Indii, Chin, Asyrii. Jesteś my wszystkiego ciekawi -- i ekspresjonistów, futurystów, formistów zamykamy do gablotki z stosownym napisem.

Taki stan rzeczy nie sprzyja nowej twórczości. Wyłamuje ona z hałasem drzwi, które zawsze u nas stoją otworem, i nie słuchając mdłego szmeru zainteresowania, łowi bacznym uchem każdy głośniejszy odzew protestu lub zachwytu. O zachwyty nawet dziś łatwiej niż o zgorszenie. Rozpustną stała się dusza współczesna i nie tak łatwo ją zgorszyć. Mam wrażenie, że prędzej by

to można było osiągnąć, pisząc tragedie na modłę Corneille'a lub sonety w duchu i formie Petrarcki niż wydając całe tomy krzykliwych poezji.

Nowa sztuka przychodzi do nas z tą samą starą duszą, jaką w sobie wszyscy czujemy. Przewaga elementu teoretycznego zbyt jaskrawo wydaje ludzi mających upodobanie do poszukiwań. Zamiast tworzyć namiętnie, żywiłowo, nie znając swych poprzedników, nie myśląc o następcach, zamiast rozpętać Pegaza po jakichś śnieżnych stepach, które są jak „zgotowana do pisania karta” -- oni najpierw określają, kim są i jak się będą nazywać. Sami, mając w sobie zmysł historyczny, z utajoną rozkoszą widzą, jak psują robotę przyszłym historykom literatury, wydzierając im najsmaczniejszy kęs, jakim jest wyszukanie nazwy dla danego kierunku i wyprowadzenie jego rodowodu. Sami się gatunkują i szufladkują. Wiedzą, kto ich rodzi i dokąd pójdą, bo znają wszystkie furtki, jakie im jeszcze pozostały.

W rozwoju sztuki są dwie główne drogi: Jedna prowadzi ku doskonaleniu się w raz stworzonych formach, druga ku poszukiwaniu form nowych. Sztuka grecka do epoki hellenistycznej oddaje się z nie zaspokojoną namiętnością powolnemu doskonaleniu form, stworzonych jeszcze przez prymitywów. Nawet nie szukają nowych tematów artyści V w. „Walka z gigantami lub z centaurami pojawia się w nieskończonym szeregu metop, fryzów, przyczółków i artyście idzie jedynie o wydobycie z tego starego, zwietrzałego, nadużytego tematu nowych efektów, ułożenie w doskonalszą kompozycję, nadanie figurom większej prawdy, większego życia lub owianie ich serdeczniejszym idealizmem. Wystarcza mu, jeśli w ciałach ludzkich czy końskich znalazł nowy nerw życia, odkrył sytuację lub pozycję dotychczas nie wyzyskaną. Ci artyści nie zrywają z przeszłością, owszem, przyjmują ją w całej rozciągłości i starają się dorzucić do niej coś, co im się wydaje cenne i co może powiększyć ogólny dorobek. Jest to świadome lub podświadome zmaganie się z materiałem, który się w końcu opanowuje zupełnie i wszechstronnie.

Szukanie zaś zasadniczo nowych form, nie znanych dotychczasowej sztuce, ma zwykle powód dwojaki: niechęć do sztuki poprzedniej z pobudek religijnych, narodowych itp. lub przesycenie się nagromadzoną spuścizną przodków. Malarstwo katakumbowe na przykład jest wyrazem niechęci do sztuki pogańskiej. Można co prawda posłyszeć zdanie, że malarze katakumbowi byli po prostu partaczami, którym nie starczyło ani sił, ani zdolności na współzawodniczenie z artystami pogańskimi, wydaje mi się jednak, iż sąd ten jest powierzchowny. Ci ludzie po prostu nie chcą tak tworzyć jak dotychczas. W katakumbach znajdzie się niejeden obraz świadczący, że twórca jego dorównywał współczesnym malarzom pogańskim we władaniu pędzlem, a mimo to poszedł zupełnie inną drogą. Żywa niechęć do

wszystkiego, co pogańskie, pragnienie wypełnienia nową treścią starych form weszło nieoczekiwanie w gwałtownym poszukiwaniu form nowych, które z początku rzeczywiście okazały się za słabe i zbyt nieudolne.

Dziś nie jest inaczej. Czynniki uczuciowe są podobne. Artyści są zniechęceni do dotychczasowych form sztuki. Jest im po prostu za ciasno. Trudno oddychać w tej atmosferze muzealnej, jaka nas otacza. Żaden wiek nie był tak zgnębiony przeszłością, jak jest nią obecna epoka. Odrodzenie patrzyło tylko na Grecję i Rzym, które zresztą znano wówczas raczej powierzchownie. To samo było za Ludwików we Francji, kiedy prócz tego wszyscy byli rozkochani w swych czasach, dla których mieli tylko podziw.

Dusza zaś współczesna błąka się po cmentarzyskach wszystkich epok i wszystkich kultur na przestrzeni kilku czy kilkunastu tysięcy lat. Co dzień wpatrujemy się w oryginały lub reprodukcje dzieł architektury, rzeźby, malarstwa Egiptu, Asyrii, Grecji, Rzymu, średniowiecza, renesansu. Czytamy ich poezje, poznajemy ich myśli, w których szukamy siebie samych.

Koło oryginalności ludzkiej, które lat temu sto wydawało się bardzo szerokie, zacieśnia się w naszych oczach coraz bardziej. Stajemy się z konieczności eklektykami, dyletantami i czujemy zarazem, że słowo po słowie, zdanie po zdaniu z tego, co napiszemy, odnajduje się w jednej z tych ksiąg, które milionami tomów zawaliły nasze wielkie biblioteki. Można za pomocą wariacji matematycznych sprawdzić, że wszystkie kombinacje zostały już zużytkowane.

Ledwie zaczniemy czytać powieść, już znamy jej koniec; rozumując przez analogię już wiemy, kto pisał podobnie, u kogo spotkaliśmy już taki typ lub taką sytuację. Pierwszy wiersz poematu, pierwsze pociągnięcie pędzla, gest posągu budzą te same reminiscencje. Liszt powiedział pewnego razu, że wszystkie melodie tak się wyczerpały, że niepodobna stworzyć dzieła, które by było zupełnie nowe i nie przypominało czegoś, co już znamy skądinąd. A Liszt umarł kilkadziesiąt lat temu... Ma się wrażenie, że w istocie nic nie zostało do zrobienia. Możemy tylko zakładać towarzystwa konserwatorów i opiekować się zabytkami.

Czy pamiętacie zakończenie *Wyspy pingwinów* Anatola France'a? Widnieje tam, jak upiór, miasto-potwór, które dymem, łoskotem i miazmatami żywi piętnaście milionów nędzarzy i miliarderów, jednako zgniecionych w niesamowitych kleszczach kapitalizmu, maszynizmu i całej tej cywilizacji, która się stała zmorą życia. Grupa idealistów wysadza je w powietrze. „Tak będzie lepiej” -- powiadają. I teraz dobrze patrzcie, jak się dalej rozwija ta wizja. Po katastrofie, której uległo miasto potworne, kraj cały nie podniósł się więcej i zmienił się w pustynię. „Myśliwi gonili niedźwiedzie na wzgórzach pokrywających miasto zapomniane; pasterze wypędzali tam swoje trzody; rolnicy szli za pługiem; ogrodnicy sadzili tam kapustę i szczepili

grusze. Nie byli oni bogaci; nie znali sztuk; winna latorośl i krzewy różane otaczały ściany ich domów; skórą kozłą okrywali swe członki spalone od słońca; kobiety ich odziewały się w wełnę, którą same przędły. Kozłarze lepili z gliny małe figurki ludzi i zwierząt albo śpiewali piosenki o dziewczynie, która w las idzie za kochankiem, i o kozach, które pasą się wówczas, gdy sosny szumią i szemrzą wody.”

I znowu z biegiem wieków zmienia się ta słodka sielanka, aby na jej miejsce mogło, jak polip, rozrosnąć się miasto, w którym kłębi się piętnaście milionów ludzi.

W tej wizji jest jednocześnie nasza gorycz na widok rosnącej wciąż cywilizacji, która odbiera nam spokój i pogodę, jest i tęsknota do prostoty jakichś pierwszych dni człowieka, jest w końcu i przewyciężenie myśli ewolucyjnej na rzecz bardziej historycznie ugruntowanej idei ciągłych powrotów. Miasto, o którym mówi Anatol France -- to symbol. Wyobraża on całą na cywilizację z jej techniką, kapitalizmem, literaturą i sztuką.

Mówmy o literaturze. Rozciąga się ona na przestrzeni kilku tysięcy lat i milionach warsztatów pracy. Produkcja jej doszła w Europie do rozmiarów potwornych. Pochłania się ją z równą szybkością, z jaką ona wstaje, i wciąż goni za nowym pokarmem. Czuje się zaś niesmak w ustach. Podniebienie jest stępione. Ma się chwilami wrażenie pustki wśród tego całego rojowiska i ma się gorsze jeszcze wrażenie, że dusza nam po prostu wysycha. Nabieramy przekonania, że wszystko już zostało powiedziane i na wszystkie sposoby. Powstają ce z dniem każdym nieomal nowe prądy, kierunki, szkoły literackie bierzemy za bezsilne miotanie się na wszystkie strony, aby przecież znaleźć jakąś przez nikogo dotychczas nie odkrytą furtkę i wyrwać się na wolne powietrze, nie zatrute wyziewami stu butwiejących bibliotek.

„Revue de l'Époque” w Paryżu rozpisała taką ankietę „na pół żartem, na pół serio”: „Jakiej metody będzie się pan trzymał przy wydawaniu swych przyszłych utworów? Będzie pan udawał plagiat czy też popelni pan plagiat rzeczywiście? A jeśli zaniecha pan podobnych sztuczek, to niech nam pan powie, co pan właściwie zamyśla robić?”

Bardzo smutny żart. Plagiat -- to upiór naszej epoki. Czuje się plagiat w literaturze, sztuce, filozofii. Czuje się, że wszystko zostało powiedziane i że my przeżywamy tylko pokarm, który żywił dawne pokolenia.

Niektórym się wydaje, że jest na to jedna rada -- zabić przeszłość. Obecnie najbardziej rewolucyjnie usposobiona grupa w Paryżu, dadaiści, nie pozwalają nic tworzyć, a jednocześnie chcą niszczyć muzea i biblioteki. Są to owi idealisci z *Wyspy pingwinów*, którzy wysadzają w powietrze potworne miasto, mówiąc: „Tak będzie lepiej!”

Znam takich, co ich rozumieją, a nawet pochwalają. Gdyby się to stało -- mówią -- duch

ludzki oczyściłby się z pyłu wieków. Świeże, rozkoszne, rześkie powietrze napęłniłoby płuca. Pisałoby się czule wiersze o kochaniu i rozłące i nikt by nie mógł powiedzieć, że to już było, i słuchano by tych dźwięków po raz pierwszy, jak słucha ich każdy chłopiec i każda dziewczyna. Obrazy, rzeźby, linie architektoniczne układałyby się w umyśle spokojne, nie wykoszlawione myślą, że się popełnia bezwiedny może plagiat!

Lecz są inni, którzy nie chcą czekać, aż się urzeczywistnią te herostratowe marzenia, starają się sforsować okopy przyszłości wstępny bojem. Czynią to z takim hałasem, że przypomina się wiersz o górze jęczącej, która rodzi z wielkim wysiłkiem mysz. Do tych należą ci wszyscy poeci, którzy w zupełnie jałowym udręczeniu myślą nad stworzeniem czegoś zgoła niesłychanego w treści i nie widzianego w swej formie. Oni to cały trud swych wspaniałych koncepcji zrzucają na barki zecera, aby ich wiersz ułożył w cudaczne piramidki, kółka i zygzaki. Inni tworzą epokę, wprowadzając pisownię pólanalfabetów. Zdaje im się że zmienia wygląd naszej duszy, gdy zamiast kropek, przecinków i średników wprowadzą znaki muzyczne i algebraiczne. To nie jest poważna twórczość. Jest to po prostu błąźństwo, które za pomocą nowych trików chce ściągnąć na siebie uwagę obojętnej publiczności.

I metoda sama jest opaczna. Nie wierzę w nowość! zamierzoną i z góry postanowioną. Najlepszą bowiem receptą na to, aby się stać nowatorem -- to być nim bezwiednie, mimowolnie, w sekrecie.

Trzeba dobrze odmierzyć swoje siły. Poeta niemali wszystko otrzymuje z zewnątrz. Język, którym mówili wraz z jego składnią i wszystkimi formami. Myśli nawet nawiewa mu czas i środowisko, w którym żyje.; Od siebie dać może zawsze tylko odcienie, a od jego talentu zależy, aby odcienie te były wartościowe i prawdziwie twórcze. Skoro ktoś z góry utyskuje na banalność motywów artystycznych, jak się to dzieje dziś powszechnie -- ten z pewnością nie ma w sobie ognia twórczego." Zupełnie tak, jak mówi Boy: „Nowość leży w czym innym niż w treści; nową, wiecznie tajemniczo nową, jest ta żywa krew, którą twórca wlewa w swoje dzieło. Można wprowadzić na scenę kumoszki z sąsiedztwa i być nowym; można ściągnąć na nią karawaniarzy ogoniastych z Marsa i dwugłowe kokoty z Syriusza i mówić oklepanki.”

Innych zaś ogarnia wielkie znużenie. Mózg współczesny jest przeładowany i przemęczony. Życie psychiczne skomplikowało się do ostatecznych granic, stało się różnolite, pełne dysharmonii. Na przeciętną kulturę składają się dziś całe tysiąclecia i wciąż się ją jeszcze bardziej pogłębia, rozszerza, wikła.

Już w wieku XVIII nie wystarczała Europie cywilizacja grecko-rzymska. Zaczęto się oglądać za nowymi źródłami, które by naszą starą krew mogły ożywić. Wiek XIX dał nam wszystko,

czego można było tylko żądać. Odkrył nieznaną dotąd Indie z ich poezją marzycielską i filozofią mistyczną, odsłonił nam Egipt z jego Sfinksem i piramidami i pokazał pierwsze wcielenie absolutu i nieskończoności zamknięte w żywych kamieniach, Asyrię i Babilonię z ich sędziwą historią, sięgnęliśmy wreszcie do starych mędrców chińskich i zajrzeliśmy do szkicowników japońskich. Archeologia i prehistoria, historia i dzieje literatury odkryły nam tysiące lat w kamieniach i malowidłach, w piśmie, słowie, myśli. Rozglądając się wśród tych ludzi dawnych epok, doświadczaliśmy coraz częściej goryczą zaprawionej radości, widząc, że „*tout est comme chez nous*”.

Dusza europejska pogłębiła się, rozszerzyła swój horyzont i osłabła jeszcze bardziej. Psyche zatraciła swą świeżość, dziewiczość i piękność harmonijną. Zbielały jej złote włosy, pomarszczyło się niepokalane jasne czoło i pozółkło jak stary pergamin, który ona bez końca zwija i rozwija. Nowe prądy w sztuce i literaturze, które dawniej wystarczały na całe wieki, zaczęły się przewijać teraz wężykami małych potoczków, gibkie, zwinne, nieuchwytnie, wysychające równie prędko, jak nieoczekiwanie się pojawiły.

W wielkim smutku i wielkim znużeniu stłoczona dusza artysty zaczęła iść srebrną smugą ku prostocie. Pierwszy silniejszy okrzyk wyrwał się z piersi Gauguina, gdy na Tahiti zobaczył odmienne życie i odmienny świat sztuki je odzwierciedlającej. Powrót do prostoty, aby oczyścić duszę, odwalić z mózgu bezużyteczny bagaż, serce swe zbliżyć do natury takiej, jaką widzi człowiek dziki, rysujący swe otoczenie w liniach prostych. Jakaś tęsknota do małej chatki bambusowej pod wachlarzami palm, na których wisi słońce, jak w koło wycięty kawałek żółtego perkalu -- tęsknota ułomna, sterana, ale mocna jak mania wyrywa czbwieka spośród naszych okropnych miast i z katakumbowej płataniny naszej kultury.

Chce się tworzyć, jak tworzy człowiek dziki. Nie na to, aby wyrazić naszą kulturę tymi środkami, które przecież są niewystarczające, naiwne, tylko właśnie to, aby samemu stać się naiwnym, niedorośniętym, alej prostym duchowo i krzepkim. Jest to może najsilniejsze uczucie, jakie zrodziło się w ostatniej dobie.

W rozmowach o sztuce najnowszej, jakie prowadziłem w ostatnich czasach z ludźmi, którzy kwestiami tymi zajmują się jedynie po amatorsku, napotykałem nieraz pewien moment szczególnie charakterystyczny. Oto bardzo wielu „nie ma przekonania” do młodych poetów. Jednym wydaje się, że mówią nie o tym, o czym mówić powinni, innym znów, że tematy ich są dobre, ale ujęcie niemiłe i -- niepoetyckie.

Rzecz prosta, idzie tu o przewyciężenie romantyzmu, który tak głębokie zapuścił korzenie w dusze polskie. Między poetą z doby niewoli a poetą doby obecnej stoi wskrzeszona Polska --

fakt niesłychanej doniosłości dziejowej i psychologicznej. Poeci z tamtej strony naszej historii budowali w duszach Polskę której nie było, tym zaś przypadła o wiele skromniejsza rola ozdobienia swoją sztuką odbudowanej Polski. Rola bardziej skromna, ale kto wie, czy dla poety nie bardziej wdzięczna, czy nie odpowiedniejsza.

Z powstaniem państwa polskiego następuje odciążenie poezji, której ten fakt odebrał troskę różnorodnych zadań politycznych i społecznych. Nie przestaną te sprawy zajmować tych, którzy ku nim się skłaniają, ale nie będą to już sprawy jedyne i jedynie uświęcone. Bez wątplenia wpłynie to orzeźwiająco na nastrój naszej poezji. Nutę *Dies irae* zastąpi jakaś mniej żalobna, choćby jakieś polskie *Ça ira!*

Poeta zatacza szerokie spojrzenie dokoła siebie i czuje się człowiekiem -- prywatnym. Darujcie mi to wyrażenie, ale fakt ten wydaje mi się szczególnie ważnym. Na tej bowiem zasadzie stali się najnowsi poeci „poetami dnia dzisiejszego”. I tu bodaj jest jedyny punkt nieporozumienia między nimi a publicznością. Trafili na niedostatecznie przygotowany grunt. Stąd poczuwam się do obowiązku mówienia dziś jeszcze o rzeczach, które na Zachodzie byłyby niewybaczalnymi komunałami. Mam na myśli tę „dzisiejszość” naszych poetów. Wszak już Mallarmé wznosił okrzyk: „*Le vierge et le bel aujourd'hui!*”

A Emerson kilkadziesiąt lat temu pisał: „Czytelnicy wykształceni poetycko, widząc fabryki i koleje żelazne, wyobrażają sobie, iż cierpi na tym poezja krajobrazu, a to dlatego, ponieważ dotychczas w ich lekturze rzeczy tych nie uświęciła sztuka; poeta jednak widzi z łatwością, że dadzą się one tak samo postawić w wielkim szeregu, jak ul lub geometryczna przędza pająka. Przyroda przyjmie je niebawem w kręgi swego życia, a pędzący naprzód pociąg pokocha jak własne twory.” We Francji istniała już poezja socjalna, która chciała nauki przyrodniczo-matematyczne wziąć za podstawę poezji i stworzyć w ten sposób sztukę dla całej ludzkości, żyjącej w sferze cyfr i ujarzmionej przyrody. Grupa Abbaye w Paryżu zbudowała falanster, a poeci zarabiali pracą zecerską. (Rzecz godna u nas naśladowania, która by walnie przyczyniła się do poprawienia bytu literatów.) Dalej dynamizm francuski stara się pochwycić nowy rytm życia społecznego, opiewa fabryki, proletariat, handel międzynarodowy.

Nie dziwiło to bynajmniej jednego z myślicieli, który mówił: „Banki i taryfy, dzienniki i posiedzenia klubów... będą tylko w oczach płytkiego tłumu zjawiskiem jałowym i płytkim, spoczywają bowiem na tym samym podłożu cudownym, na którym stała Troja i świątynia delficka, i tak samo prędko przeminą jak one.”

Po gloryfikacji życia współczesnego w utworach Verhaerena nikogo już na Zachodzie nie skandalizował i maszynizm futurystów. I w istocie nie należy się temu dziwić. Gdyby

Anakreon dziś pisał swe wiersze, n wahałby się z pewnością na tle delikatnej wizji swej kochanki mówić o kinie lub samochodzie.

„Estetyka rozgwaru życia współczesnego” ma swe głębokie uzasadnienie i w psychice ludzkiej, i w samej istocie poezji. Niegdyś powiedział Hebbel: „Tworzyć, jak tworzy poeta -- znaczy owijać się światem jak płaszczem i grzać się.”

Nie tylko siebie grzać, ale i resztę ludzi. Wierście mi -- książka ogrzewa. Nie -- wrzucona do pieca, lecz położona na sercu. Ludzie nieustannie szukają czegoś, co by ich życie połączyło z żyłami tego wielkiego życia, które oni gdzieś tylko niejasno przeczuwają.

Książka jest dzisiaj i ołtarzem dymiącym, i sanktuarium nakrytym ciszą i urokiem, i iglicą katedry gotyckiej pnącej się ku niebu. Daje słodycz ofiary, dreszcz ekstazy i górny lot.

A kapłanem jest poeta. Poeta żyje wśród was, a wy nic o tym nie wiecie. Jest bratem wszystkich rzeczy i wiecznie zespala się zarówno z tym, co wzniosłe, jak i z tym, co poziome. Rozciąga się nad nim jakieś prawo, sroższe od wszystkich praw ludzkich, jakiś nieugięty zakon, który mu nie pozwala zamykać oczu na jakąkolwiek część istnienia, a uszu na najdrobniejszy choćby szmer.

Wy wybieracie z życia to, co wam potrzebne, i to, co daje rozkosz-- jemu nie wolno czynić takiego wyboru.

Wszystko więc zbiera i rzuca do potwornego tygła swej wie dzy tajemnej, „w którym wypławia złoto czystsze od złota ziemskiego i bardziej trwałe”. I czyż możecie się dziwić, że nagle w tej pracowni nowoczesnego alchemika ujrzeliście dziewczę pochylone nad źródłem i robotnika na dnie czarnej, sadzą pokrytej szychty, że tam w grotach Ellory słyhać gwizd lokomotyw, a faun tańczący przebiega ze śmiechem równie radosnym jak dawniej -- po drutach telegraficznych?

Nie szukajcie harmonii innej prócz harmonii duszy. Dysonanse, które was może być rażą, są zewnętrzne, konwencjonalne, czasowe. Jeżeli poeta jest naprawdę poetą, a więc jeżeli jest w zgodzie z sobą samym i ma pewność swego głosu, bądźcie przekonani, że spośród łoskotu maszyn i rozgwaru ulicy wywinie się pieśń jego równie harmonijna i dźwięczna, jak z ciszy dolin arkadyjskich. Albowiem ten sam czarodziej, dla którego umarli zmartwychwstają -- jest jednocześnie bratem wszystkiego, co dziś żyje, raduje się i płacze.

Zrozumieć przecie, że jemu nie wystarczy wiedzieć, że kiedyś na dworach królów Homer uderzał w struny złotej liry, a Dante w pierwszy dzień nowego stulecia „pośród ciemnego znalazł się lasu”, że Fedra w noc parną wołała ku sobie czystego Hipolita, a w modrzewiowym dworze Zosia ze spuszczonego oczyma słuchała wyznań Tadeusza -- albowiem poza tym

wszystkim, co było i co było wielkie i piękne, są miliardy rzeczy, które się również proszą o życie.

Zaiste, gdzie tylko pada śnieg lub wiśnie okrywają się kwiatem, gdzie tylko dzień ustępuje przed nocą i gdzie ludzie spotykają się w miłości, gniewie, szczęściu lub nędzy, wszędzie tam jest królestwo poety, królestwo piękne, w którym nie ma nic niepotrzebnego, nic, co by się godziło odrzucić.

„Kurier Poznański” 1922, nry 104-103.

Wróble

Ten drobiazg wypadł mi zupełnie z pamięci, patrzyłem z niedowierzaniem na notatkę bibliograficzną mówiącą o jakichś „Wróblach”, drukowanych w r. 1924, podejrzewałem wręcz pomyłkę. Dziś, mając przed sobą kopię, nie mogę mieć wątpliwości, ale nic nie pamiętam z okoliczności, w jakich tę rzecz pisałem. Tak doszczętnie zapomniana, zataiła się jednak w jakiejś fałdce mózgu i z pewnością cię odezwała się w momencie, w którym po tylu latach pisałem szkic „Olimpijskie prace i dni”. Tam w opisie poranka, który wzeszedł po nocnym trzęsieniu ziemi, znalazła się apostrofa do wróbla wiążąca się pewnymi zwrotami z tą zapomnianą stronicą z lat młodości. Tak wszystko w nas trwa, świadome czy utajone, i nierzadko to, co się nam, wydaje natchnieniem chwili, kiedy układamy zdania, jest w istocie szeptem, pamięci.

Patrzę na gromadkę wróbli. Jest ich pięć czy sześć. Są to moi przyjaciele. Zbliżamy się do siebie jedynie w dniach niedoli.

Późną jesienią i przez całą zimę stosunki nasze są najbardziej trwałe. Są one oparte na podobnej zasadzie, jak stosunek klienta do patrona w społeczeństwie rzymskim. Rano przychodzą pod okno mówić mi „dzień dobry” i otrzymują garść ziarna lub okruchów chleba. To im wystarcza. Widocznie nie wiedzą o tym, że dałbym więcej, gdyby postępowały nawet mniej ekonomicznie. One jednak wolą poprzestać na małym. Tę samą porcję rozkładają sobie na śniadanie, obiad i wczesną wieczerzę. Dzięki temu mogę na nie patrzeć o każdej porze dnia.

Wróbel jest gadatliwy, ale mówi jasno, bez sentymentalnych zwrotów, bez ozdób zbytecznych. Zanadto jest sprytny i wyrobiony życiowo, aby się upajać własnym śpiewem. Głos jego to prawdziwy wyraz zdrowego rozsądku. Nigdy nie zrobię z tych moich łobuzów bodaj trochę znośnych poetów, bodaj nieco mniej rozważnych marzycieli. Bo wróbel, chociaż milczy -- a milczy nieraz straszliwie, jak zakłęty -- nigdy nie popada w kontemplację. Spod szarych piórek otwiera się oko szerokie. Jak on umie patrzeć na wszystko, co się dzieje wokoło! To chłop, prosty i trzeźwy chłop, a trochę szelma i złodziej. Przywiązany do ziemi, jeśli marzy, to chyba o tym, aby się najeść do syta -- daleki od wszelkich fantastycznych projektów.

Taka bestia szara, codzienna, pospolita, aż nieraz złość bierze. A taka jednocześnie miła i kochana. Cóż! teraz to nic -- teraz zima, bieda, pogoń za ziarnkiem lub okruszyną, szukanie ciepłego kąta i nakrytego bodaj trochę, aby się zbyt wiele zimnej wody za kark nie lało. Ale niech przyjdzie wiosna, lato -- ho, ho!

Wróbel jest rzetelny. Nie uznaje żadnej przesady. Nie lubi śmiesznych sentymentów. *Prima charitas ab ego*. Nie zna wdzięczności. Porzuci mnie, gdy pierwszy cieplejszy promień słońca załaskocze go po grzbiecie. Może zresztą wie, że wtedy ja pójdę go szukać. Wszędzie tam, gdzie jest lepiej niż w domu...

Tak. Patrzę na nie i zdaje mi się że w takiej chwili, poznając te małe szare ptaszki, uczę się siebie poznawać. Zdaje mi się, że żyję, rosnę, śpiewam razem z nimi. To byłoby cudownie, gdyby tak było! Albowiem są one wrażliwe, proste, dziecinne.

Czasem jest mi przykro, że tak mało się nimi ludzie zajmują. Bo i kto o nich pamięta? Raz, gdzieś tam w Irkucku, biedny, zziębnięty wygnaniec przypomniał sobie wróble, gdy mu już bardzo źle było. A zresztą -- idzie człowiek, spłoszy całą ich gromadkę i ani się obejrzy. Dla ludzi ptaki są tym samym co kamienie. Roztrącają je nogą. Serce tych ludzi nie bije nigdy jednym tętnem z sercem ptaka. I to jest źle.

Wielbię świętego Franciszka z Asyżu, który rozmawiał z ptakami. Prawił im kazania. A one słuchały. Albowiem mówił do nich w słowach najprostszych, jakby ich własną mową. I jakież inne mógł mieć słowa w obliczu takich słuchaczy? Były to nie kazania, lecz jakby żywy głos przyrody. Sama przyroda mówiła cichymi wargami świętego człowieka. W chwili gdy święty Franciszek z Asyżu rozmawiał z ptakami, głowę jego otaczała bładoniebieska aureola.

Raz go takim właśnie widziałem. Było to w lecie, na polu. Siedziałem pod złotym łanem zboża i czytałem książkę. O ile pamiętam, była to Ewangelia. (Albowiem dobrze jest czytać Ewangelię pod złotym łanem dostającego zboża, skąd wyglądają niebieskie oczy bławatków.) Zmęczony, odłożyłem otwartą książkę. Zostawiłem ją obok, na kamieniu.

Leżałem na miedzy. Widziałem, jak mały szary ptaszek przyleciał skądś i usiadł na kamieniu. Zaczął się zbliżać nieśmiało: poruszał głowę, pochylał ją, przekręcał na wszystkie strony -- jakby zaglądał do książki. Czarne literki wydały mu się zapewne tym, czym są w istocie -- ziarnem.

Ale to pomyślałem dopiero później. Wtedy zaś przez senne wpół odchylone powieki widziałem wróbla czytającego Ewangelię, a gdzieś dalej, na skraju, tuż pod wielką starą gruszą, ciemną postać Franciszka z Asyżu, z taką właśnie bładoniebieską aureolą dokoła głowy...

„*Kurier Poznański*” 1924, nr 7.

Poezja śmierci

Nie mogą tych stronic pozostawić bez epilogu, który był dziełem okrucieństwa i zbrodni w wiele lat później, lat wypełnionych naszą przyjaźnią i zażyłością. Józef Mirski został zabity przez Niemców -- kiedy, gdzie i jak nie wiadomo. Podczas okupacji mieszkał w Warszawie, widywaliśmy się nieraz, zachodziłem do jego domu. Ze swego okna pokazywał mi podwórze przy jakiejś fabryce, a na nim stosy książek -- polskich książek, przeznaczonych na zniszczenie. Mówił, że nawiązał potajemne stosunki ze stróżem nocnym i udaje mu się od czasu do czasu ocalić kilkanaście albo kilkadziesiąt tomów, które potem umieszcza w księgarniach i bibliotekach.. Był znużony okropnym życiem, mówił, że chętnie opuściłby Warszawę i zamieszkał gdzie indziej. Ale gdzie? dokąd pójść? Któregoś dnia wyszedł z domu i więcej nie wrócił.

Aż się wzdrygnąłem pisząc ten posępny tytuł. Okrutnie nie lubię myśleć o śmierci, zwłaszcza tak, jak nas myśleć o niej nauczono, w imię zasad, że życie doczesne winno być jedynie należytym przygotowaniem dobrego zgonu, który jest z kolei wejściem do nowego, prawdziwego żywota. Myśli podobne są mi obce, nieomal wrogie. O samej śmierci mam wyobrażenie nader niejasne, a jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi ochota odtworzyć sobie obraz tej nieznaney pani, w duszy mej nie zarysuje się z pewnością ponury kościotrup, ale któryś z owych aniołów skrzydlatych starożytności, jakiś łagodny brat snu, Tanatos o oczach ciemnych, wywołujący ducha z ciała potęgą otchłannego spojrzenia. Będzie to obraz z owych czasów, kiedy małe dzieci porywała różanopalca Eos, bogini jutrzeńki, a śmierć nie była *nulli tristis imago*. Nie odgradzano wówczas zmarłych murem odległego cmentarza, lecz grobowce ich, stojąc przy ludnych ulicach, były miejscem wypoczynku dla znużonych łazęgów i gawędziarzy.

Jeśli zaś nie lubię myśleć o śmierci, tym bardziej nie potrafię o niej pisać. Skoro to jednak dziś czynię, zmusza mnie do tego pewien zbiorek wierszy, który właśnie czytałem.

De profundis -- poezje Józefa Mirskiego. Dobre wiersze. Dlaczego -- powiedzieć nie umiem. Nigdy nie czytałem niczyich wierszy z ołówkiem w ręku, nie badałem doskonałości rymów, nie starałem się odnaleźć jakiegoś niezłomnego *principium*, wedle którego sądzić należy dobroć wiersza. Nie sądziłem. Odczuwałem tylko. Zdawało mi się zawsze, że jedną z tych rzeczy, co do których nigdy ludzie nie zdobędą pewności, jest pytanie: jaki wiersz jest dobry i dlaczego. To rzecz uczucia. Kiedyś poeta Lechoń dał słowo honoru krytykowi Ostapowi Ortwinowi, że wiersze pani Pawlikowskiej są prześliczne. I dobrze uczynił. Należy zawsze wierzyć słowu

uczciwego poety.

Mój poeta jest równie uczciwy. Bardzo uczciwy, bardzo skromny i bardzo prosty. Wchylimy go, gdy patrzę na jego książkę, widzę go przed sobą: jego rozumne patrzące łagodnie oczy spoza binokli, bujną grzywę zwichrzonych nieco ciemnych włosów -- jest w nim bowiem coś jeszcze z tych dawnych poetów, którzy mieli fryzurę *en coup de vent* -- widzę jego uśmiech dziwnie spokojny, słowem: prorok, jak go nazywają przyjaciele. Chodzi sobie cicho po świecie, ogląda wszystko przy kawie, trochę się dziwuje nadmiernemu zgiełkowi i wie się cieszy, że mu

...nigdzie nie jest spieszno

ani smutno, ni ucieszno.

A teraz, że to już noc i „spóźniona pora”, więc siedzi zapewne przy biurku, na którym leży trupia czaszka -- niepojęta dla mnie ozdoba stołu -- i spośród rozłożonych książek wytyka od czasu do czasu głowę, aby spojrzeć to na Don Kichota, to na Buddę, to znów ale to już chyba ukradkiem -- na odsłonięte wdzięki trzech Gracyj Canovy, dziwnym trafem tu zabłąkanych boginek, o których sam powiada, że są „jako trzy kwiaty rozkwitłe w Edenie”. (Nigdy się na to nie zgodzę. Leżąca pod klątwą grzechu ziemia Edenu nie mogła wydać takich kwiatów. Poeta myli się zapewne. Chciał może! powiedzieć, że wyrosły one w ogrodzie hesperydskim, na zachodnich rubieżach ziemi, w owym złotym ogrodzie, który w dzień zaślubin podarowała Herze Gaja, dobrotliwa matka wszystkiego, co żyje.)

Co jest jednak smutniejsze, to że Mirski za mało obcuje z owymi trzema siostrami, a reszta towarzystwa: czaszka -- smutny pogromca wiatraków -- mędrzec z Kapilawastu -- kierują umysł jego ku rzeczom posępnym. Zwłaszcza ta poźółkła, brzydka czaszka -- nieomal osobista moja nieprzyjaciółka. Jej to złowrogie podszepty słyhać w *Psalmodium śmierci* i w *De profundis*, ona to piszczelami zagradza przed nim jasną, białą drogę, na której drzewa świegotem ptaków rozspiewane dają chwałę życiu -- jej to nieme współpracownictwo wyczuwa się w każdej nieomal strofie, mającej posmak gorzkiej lzy.

Ale Mirski nie rozstanie się z tą czaszką. Podejrzewam, że jest ona powiernicą i doradczynią. Obawiam się, że jej właśnie zawdzięcza swe najsilniejsze utwory, o ponurej harmonii -- przyznać muszę, bardzo piękne, choć mnie to przyznanie wiele kosztuje. Oczywiście dlatego, że wolałbym, aby wiersze te były radosne i odbijały uśmiech życia, a nie jego zgryzotę. Czuję całą niestosowność moich wymagań. To samo mógłbym żądać od puchacza, by zamiast swego ponurego „uhu” ćwierkał jak wróbel. Puchacz by mi na to odpowiedział, że po nocach ćwierkać

nie wypada, a Mirski, że Wierzyńskim stać się nie może, bo nie ma lat dwudziestu.

Ta ostatnia myśl zdaje się go naprawdę niepokoić. Dowodem: *Strofy jesienne*. Pełne łagodnej melancholii obrazki duszy. Sądzę jednak, że poeta jest młody, skoro mówi, że się starzeje. Nie pomawiam go bynajmniej o przesadę. Owszem, z każdej strofy wieje ku nam zupełnie godna zaufania szczerść. Musi tedy czuć istotnie zbliżającą się jesień. Ale jej jeszcze w nim nie ma. Inaczej by tego nie wiedział. Nie mówiłby o tym, nie pisał. Gdy się jest starym naprawdę, zawsze w to trudno uwierzyć. Tak mi się przynajmniej zdaje. Nie skarży się, nie narzeka -- mówi o tym, co nie wróci, ze smutkiem bardzo łagodnym i z bardzo cichą rezygnacją. Pisze sobie epitafium z takim spokojem, jakby wiedział, że ten kamień znaczy dlań tylko nowy etap nieznanego drogi.

Ile razy biorę do ręki tom liryków, zawsze go muszę przeszukać starannie, czy aby nie znajdę erotyki. Albowiem jestem jak ów szlachcic Szekspirowski, który wiedział, że ze wszystkich książek lubi najwięcej co są pięknie oprawne i mówią wiele o miłości. U Mirskiego też są erotyki i to mnie trochę życzliwie usposabia do owej trupiej czaszki z jego biurka, którą sadzam o wszystkie złe podszepty. Jestem jej wdzięczny, że swemu poecie pozwoliła wstąpić w „Erosów szalony”.

Niech sobie nikt po tym tytule nie obiecuje orgiastycznych entuzjasmów. Nie ma tu tyrsów ani zapalonych pochodni, z głębin boru nie słychać pijanych krzyków bachantek ani pogwizdywania satyrów, których erosy pędzą ku białonogiej gromadzie nimf. płas erosów przypomina raczej owe dziwne skrzydlate istoty, w cichym locie zbliżające się ku ziemi z wstęgą lub gałązką, jakie greccy malarze waz rysowali pod wpływem tajemniczej nauki orfickiej.

Ten poeta stoi przed kochanką blady jak pazik złotowłosa przed ubóstwianą królową i pełen cichej poddańczej pokory przynosi jej w dębniach drżące swoje serce. A gdy raz staje się śmielszy, porywa ją i unosi do swego grodu z kryształów, na którego straży stoją wichry, pioruny i burze, a przy samych wrotach czatuje Anioł Śmierci. Dziwnie to dla kochanków nieprzytulne mieszkanie. Niepodobna więc brać za złe tej pani, której nie znam, ale ją dobrze rozumiem, że z pewnym rozczarowaniem powiedziała jesiennemu poecie tę wielką prawdę: niewiasta jest niewiastą, nie widmo złoto-błękitne.

Zdaje się, że po wsze czasy istniały takie nieporozumienia między niewiastą a poetą. Oboje rozstawali się rozczarowani -- jemu pozostawała wiązanka wierszy, nad którymi ostatnie łyżronił przy korekcie, jej zaś nie pozostawało nic innego, jak rozejrzeć się za bardziej materialną miłością...

Liryka Mirskiego, zwłaszcza ta refleksyjna, odznacza się słodkim spokojem i jeszcze słodsza prostotą. On sam te dwie rzeczy za swe główne cnoty uważa. „Wśród jego wyznań jest jedno bardzo osobiste i bardzo głębokie, które nam mówi, że rzeczy te nie przyszły mu łatwo:

Kusiłem krwią i mąką serca
ten spokój mój i ciszę,
co mnie powoli dziś uśmierca
i w wieczny sen kołysze...

Tak, w istocie jest to jedyna cena, jaką się płaci za ów spokój i prostotę, najbardziej nieocenione zalety każdego prawdziwego dzieła sztuki.

„*Gazeta Lwowska*” 1924, nry 146-147.

Partia szachów

To opowiadanie jest pierwsze, jakie napiszę z myślą o cyklu takich powiastek mitologicznych, które później złożyły się na tom „Eros na Olimpie”. Nie weszło ono do tego zbioru, nie miało widać w moich oczach tych zalet, w jakie starałem się wyposażyć wszystkie następne opowiadania, a może dlatego, że odbiegało od nich tematem i środowiskiem -- było rzymskie, gdy tymczasem „Eros” ukształtował się z samych mitów greckich.

Było to w czasach, kiedy nad młodym Rzymem panował Romulus, a piękne Sabinki poznawszy, że niewola nie jest tak gorzka, jak przypuszczały -- rodziły przyszłych patrycjuszów swym dziarskim rabusiom.

Na Forum Boarium, które byśmy nazwali Rynkiem Wołów, stała niewielka a czcigodna świątynia Herkulesa, patrona obory. Stróżem świątyni był jakiś jowialny pocziwiec, którego imię zaginęło w oszalałym biegu następnych stuleci. Codziennie rano zamiatał świątynię, okurzał starannie posąg swego boga, ulewał mu na ofiarę krzynę kwaśnego wina z glinianego kubka czekał cierpliwie, czy się ktoś z pobożnych nie zjawi. Ale pobożnych było mało, bo Rzym niewiele miał wtedy mieszkańców. Stróż świątyni nudził się nieraz potężnie. Właśnie owego dnia tak było. Deszcz padał i nie widziało się żywej duszy w pobliżu ociekającej wodą świątynki. Zamknął więc wrota, usiadł koło posągu i spojrzał na boga. Ten stał oparty na maczudze i patrzył tak dobrotliwie na swego wiernego sługę, że pocziwie stróżysko mruknęło: -- Hm! dobrze by było w taki dzień zagrać sobie w szachy.

-- A dobrze! -- odpowiedział z góry Herkules i zaraz zszedł z piedestału.

Nasz człowiek ani się nie przestraszył, ani nie zdziwił, albowiem było to w czasach, kiedy cuda należały jeszcze do zwykłego porządku rzeczy. -- A o co gramy? -- zapytał Herkules. Stróż świątynny pomyślał chwilę. No tak: kto przegra, ten drugiemu postawi obiad i dziewczynę. Zgoda. Grali. Herkules wygrał. Trzeba więc było iść, przynieść obiad, no i to drugie. Poszedł. Kiedy Herkules spożywał sobie wygrany obiad, ów tymczasem szukał dziewczyny dla boga.

Deszcz już nie padał. Ludziska chodzili, ale nic stosownego nie można było znaleźć. Wypatrywał i kłął z cicha. Nareszcie! O, znał ją dobrze. Była to nie lada dziewczyna. Nieraz już dzieliła z nim jego łożę z liści. Acca Larentia. Ci, co ją lubili, nazywali ją Fabula-Bajka. Taka bowiem była milutka. A inni po prostu Lupa, co niby znaczy „wilczyca”, ale właściwie coś znacznie gorszego. (Nawet cnotliwy Liwiusz o tym wspomina.) Partner Herkulesa przywołał ją

i opowiedział wszystko. Pokazała swe ostre białe zęby w uśmiechu. Na koniec będzie mieć kochanka na miarę swych pragnień.

Stróż świątyni wpuścił ją do środka, zamknął ta i stanął pod nimi, aby co nieco podsłuchać, wrychle uczyniło mu się ckliwo na duszy, westchnął i odszedł. Usiadł na progu swej sieroczej chatynki.

Wieczór już był i gwiazdy zaczynały migotać pociemniałym niebie, gdy Acca Larentia stanęła przy nim. Była zmęczona bardzo i ciężko oparła się o węgiew. Ale wnet porwała się, ucałowała stróża w sarne usta i pobiegła. Krzyknęła mu tylko:

-- Idę na spotkanie narzeczonego. Albowiem dobry bó g, który przy swej nagości nie miał pieniędzy, żegnając się z nią powiedział:

-- Dziękuję ci, Acca Larentia. Zapłaci jednak kto inny. Idź teraz do domu, a gdy jutro rano wyjdiesz, pierwszy człowiek, którego spotkasz, pojmie cię żonę i będziesz panią.

Tak się stało. Nazajutrz ujrzał ją na ulicy cudzoziemiec pewien z Etrurii, nazwiskiem Teretius, a tak mu się spodobała, że słyszeć o niczym nie chciał, tylko zaraz się z nią ożenił. Nie był on piękny. Jak wszyscy Etruskowie był małego wzrostu, przysadkowaty, twarz miał wysuniętą, nos zakrzywiony, czob szerokie i cofnięte, cerę smagłą, a czaszkę jakby zgniecioną pokrywały grube, czarne, kręjące się włosy. Dużo jadł i mówił bardzo źle po łacinie, jego zaś rodzinnego języka nikt nie rozumiał, tak jak go nie rozumieją dzisiejsi uczeni.

Ale był bardzo bogaty. A kiedy umarł, zostawił swej żonie, z którą był szczęśliwy, rozległe dobra ziemskie. Acca Larentia była patriotką. Umierając, zapisała te ziemie narodowi rzymskiemu. Naród rzymski zachował ją we wdzięcznej pamięci. Wierzył, że nie umarła jak zwyczajni śmiertelnicy, ale znikła w tajemniczy sposób, podobnie jak król Romulus. Może również jak on dostała w drugim życiu boskich zaszczytów? Kto wie?

Na Velabrum, nie opodal owej świątyni Herkulesa, gdzie tak nieoczekiwanie znalazła swe szczęście -- pokazywano jej grób. Corocznie nad tym grobem zbierali się dnia 23 grudnia *pontifices* rzymscy, a dostojny Flamen Quirinalis, kapłan Kwiryne, spełniał obiatę, należną wielkim Zmarłym.

„Gazeta Lwowska” 1924, nr 257.

Nauzykaa

Na końcu tego zbioru pism młodzieńczych stoi „Nauzykaa”, najmłodsza ze wszystkich opowieści, choć muszę ją postarzyć o kilka lat, bo jest znacznie wcześniejsza od daty jej ogłoszenia. Leżała długo w moich papierach, zanim zdecydowałem się ją wydrukować. Powód byli ten, że przeznaczałem ją do tomu mającego objąć wszystkie główne postaci obu poematów Homera. Kilka z nich naszkicowałem podobnie jak „Nauzykaę”, lecz nigdy nie wykończyłem.

Nie oznaczało to zniechęcenia ani niewierności. Trudno o większą wierność niż ta, której bez słubów dotrzymywałem Homerowi od lat szkolnych. W mojej bibliografii jedną z pierwszych pozycji jest „Nieśmiertelność Homera”, którą napisałem w siódmej, a wydrukowałem w ósmej klasie gimnazjalnej. Posłałem tę rzecz do świeżo założonego pisma „Polskie Universum” i jak przez mgłę (różową mgłę, bo pismo miało papier w tym zalotnym odcieniu) pamiętam, że jego redaktor nazywał się Gralewski.

Dziś posiadam tylko szczątek mojego pierwszego hołdu poecie, albowiem roczniki „Polskiego Universum” w naszych bibliotekach zachowały się w strzępach, nie mogę go tu więc przedrukować, powtórzę tylko parę zdań wyrażających moje niezłomne przekonanie o jedynym twórcy „Iliady” i „Odysei”, tak różne od tego, co podawała ówczesna nauka i co było chronione dwójkami w naszym gimnazjum.

„Niech nikogo nie razi, że przez cały ciąg niniejszego artykułu mówiłem o Homerze jako o poecie i autorze «Iliady» i «Odysei», niech nikomu nie przychodzi na myśl rozliczne teorie o powstaniu tych poematów, bo gdy mówimy o ich wielkości, takie myśli odłożmy na bok; w krainie tak wysokiej Poezji nie ma miejsca na cieplarnianą roślinę, jaką jest naukowa hipoteza.”

Co mnie w tej „Nauzykai” zastanawia, to urywki z „Odysei”, które podałem we własnym przekładzie -- prozą. Było to trzydzieści lat przed dniem, to którym zabrałem się do przekładu „Odysei”, a który nigdy nie leżał w moich zamiarach. Może jednak sobie tego nie uświadamiałem?...

Nigdy nie żyła, a jest nieśmiertelna. W pamięci ludzkiej zachowa na zawsze swych lat piętnaście, otoczonych marzeniem i niespełnioną nadzieją miłości. Nie ma obawy, żeby jakkolwiek kamień pokryty klinami lub hieroglifami odsłonił jej imię i uczynił z niej królowę, której dosięgła starość u szczytu zamierchłej dynastii. To wybrzeże, gdzie podskakiwała jej

piłka, choćby się przesunęło bardziej na północ czy na południe, nigdy nie zajmie miejsca na mapie i nieustannie płynie jak mgła, bez określonych granic ni kształtów, przechylać się będzie wiecznie ku purpurowym falom bajki. Zatoki i strumienie Scherii, jej pałace, rynki i ogrody mieszczą się w krajobrazie snu.

I Nauzykaa śpi, gdy zaczyna się o niej opowiadanie. Homer pozwala nam przez jedną chwilę stanąć na progu jej panińskiego pokoju. Nie widać tam wiele, świat ledwo pobielił skąpy otwór okienka. Można je dojrzeć dwa łóżka przy drzwiach i trzecie w Nauzykaa śpi pod opieką dwóch służebnic. Wszystkie trzy dziewczyny są nagie: królowna kształtami i przypomina boginie nieśmiertelne, jej towarzyszkę piękne jak Charyty. Nauzykaa ma sen. Zdaje się jej, że widzi i słyszy jedną ze swych przyjaciółek, która jej mówi o bliskim dniu małżeństwa:

-- Przyjdzie dzień, gdy włożysz cudne szaty par młodej, a tym, co cię odprowadzą do domu męża, złożysz w darze jasne płaszcze z najpiękniejszych materii. Wstawaj! Razem z jutrzenką pójdziemy prać bieliznę. Weź wóz od ojca i muły, albowiem nie wypada iść pieszo.

Nauzykaa wstaje ciepła od snu. Widzenie zesłane od bogów było kształtem i głosem utajonych i niepewnych pragnień jej młodego serca. Pomimo wczesnej pory matka, dobra królowa Arete, siedzi już w wielkiej sali przy ognisku w otoczeniu swych kobiet, obraca wrzeciono, z którego snują się cieniuchne purpurowe nici. Ojciec, król Alkinoos, stoi przy drzwiach, gotów do wyjścia na radę książąt. Nauzykaa zatrzymuje go sówem, które w tych dalekich wiekach tak samo brzmiało jak dziś: papa. Prosi go o wóz i muły, mówi o praniu bielizny, a już on sam domyśla się tego, co dziewczynie sen mówił o małżeństwie. W chwilę później wszystko jest gotowe do drogi, matka chowa w kącie wozu kosz z jedzeniem, bukłak wina i złote naczynko z oliwą dla namaszczenia się po kąpieli.

Pranie odbywa się nad brzegiem rzeki o wodach przejrzystych, uchodzących do pobliskiego morza. Muły wyprężone pasą się na łące. Bielizna suszy się na złotym piasku wybrzeża. Dziewczyny kąpią się, namaszczają oliwą, jedzą śniadanie, grają w piłkę. Pomimo że wszystkie są nagie i piękne, królownę łatwo wśród nich rozpoznać po wspaniałym wzroście i zdrowej, silnej urodzie która ją czyni podobną do Artemidy idącej z oszczepem na dzika w lasach Tajgetu lub goniącej łanie u stóp Erymantu. Nagle piłka, nie pochwyciona przez jedną z towarzyszek, wpada do rzeki. Podnosi się śmiech i wrzawa. Z zarośli nadrzecznych wychodzi nieznanym mężczyzną z gałęzią w ręce dla przykrycia swej nagości, ociekający wodą jak topielec, oblepiony ilem i wodorostami, z oczyma gorejącymi szaleństwem.

Dziewczyny uciekają i kryją się po skałach wybrzeża. Nauzykaa zostaje. Jest jak palma na świętej wyspie Delos. Słucha żalonych słów rozbitka i odpowiada mu wzruszonym sercem.

Jest to przedziwna scena, rozmowa dwojga nagich ludzi, którzy nic o sobie nie wiedząc, witają się słowami pełnymi czci lub litości. Spotkanie bliskiego śmierci rozbitka i cudnej dziewczyny na rozświetlonym wybrzeżu mieści w sobie całą romantyczność morza. Królowa feacka w swej olśniewającej nagości błyszczy na tej wyspie odrzuconej poza brzeg karty morskiej, jak faros, i jej wyciągnięte ramiona idą poprzez mgłę snów żeglarskich na podobieństwo promieni reflektorów.

Służebnice wracają. Prowadzą Odyseusza do kąpieli i dają mu czystą odzież. Ubrany w delikatny chiton i w płaszcz z purpury siada z daleka na skale. Nauzykaa patrzy nań w zdumieniu.

-- Posłuchajcie -- szepce do służby -- posłuchajcie, drogie przyjaciółki. Zaiste, nie bez woli bogów ten cudzoziemiec wszedł do naszego kraju. Najpierw wydał mi się strasznym, a teraz wygląda jak bóg. Jakżebym chciała, żebym takiego człowieka mogła nazwać swym mężem, żeby zechciał tu zamieszkać i być szczęśliwym razem z nami.

Jej serce nieoczekiwanie odkryło związek pomiędzy głosem rannego snu a tą dziwną zjawą.

Czas wracać. Bieliznę ładuje się na wóz, zaprzęga się muły. Nauzykaa biorąc lejce mówi:

-- Wracamy do miasta. Dopóki jechać będziemy przez pola, możesz iść, cudzoziemcze, za moim wozem. Lecz gdy zbliżymy się do miasta, które poznasz po wysokich murach, musimy się rozłączyć. Z obu stron otwiera się wielki port i droga zwęża się między licznymi statkami, które wyciągnięto na brzeg. Albowiem u nas każdy ma swoją ścieżkę i swoje okręty. Lecz ci ludzie morza są dość zuchwali, boją się ich języków. Nie chcę, ażeby widząc mnie z tobą mówiono: cóż to za piękny cudzoziemiec idzie za Nauzykaa? Dlatego skoro zobaczysz wielki ogród, ogród mego ojca, zatrzymaj się, usiądź gdziekolwiek, abyśmy miały czas wrócić do domu. Potem już możesz iść do miasta, każde dziecko pokaże ci pałac Alkinoosa.

Nauzykaa prowadzi muły lekko i bez pośpiechu. Odyseusz nie potrzebuje zbyt nagiąć kroku, aby iść tuż przy wozie. Słońce ma się ku zachodowi. Na placu, przed ogrodem, cudzoziemiec zatrzymuje się, a królowa zwałiej popędza swój zaprzęg. Bracia wybiegają na jej spotkanie. Nauzykaa idzie wprost do swego pokoju. Stara służąca, która ją wykarmiła i wychowała, rozpala ogień i gotuje wieczerzę.

Przez cały dzień następny Nauzykaa nie pokazuje się wcale. Odyseusz jest już w ich domu, w którym odbywa się niezwykła krzątania. Służba nie ma powodu taić, że król kazał przygotować okręt na powrót nieznajomego. Dokąd on wraca? Nauzykaa nie śmiała mówić z nim o tym, sama przed sobą nie śmiała wyjawić więcej nic ponad to, co mu wczoraj powiedziała: „... i prosz moją matkę, aby ci dała możność wrócić do tych, których kochasz, do

twego domu i ziemi ojczystej.” Któż są ci, których on kocha? Po cóż pytać, skoro sam pośpiech jest już odpowiedzią. Jutro o świcie odjeżdża.

Nauzykaa nie pojawia się ani przy stole biesiadnym, ani na boisku, gdzie odbywają się igrzyska i tańce ku czci gościa. O zmierzchu wszyscy wracają do pałacu na ucztę pożegnalną. Odyseusz bierze przedtem ciepłą kąpiel, namaszcza ciało wonnymi olejkami, ubiera się jak król. Jest piękniejszy niż kiedykolwiek. Nauzykaa stoi przy drzwiach do wielkiej sali. Poeta mówi, że ujrzawszy go i spojrzawszy mu w oczy doznała jakby wielkiego zdumienia. Zatrzymała go słowem:

-- Żegnaj, gościu! Nawet gdy wrócisz do ojczyzny, pamiętaj o mnie. Pamiętaj o tej, która ci życie ocaliła.

Słodycz tych słów można zrozumieć tylko po grecku. Zaczynają się wyrazem: *chaire*, który, będąc pożegnaniem, wypowiada zarazem życzenie radości i szczęścia, a w dalszych zwrotach istnieją nie do oddania odcienie prośby i nadziei. Te dwa wiersze tak krótkie, że je w jednym westchnieniu pomieścić można, zawierają więcej niż to, co ich prosty układ wyraża. Ciche dziewczęce serce odeszło już od złudy wczorajszego południa. Pozostała tylko ta pociecha, że w duszy nieznajomego przetrwa wspomnienie dziewczyny z wybrzeża, obraz daleki i słodki, który żyć będzie w jego myślach, pod tym dachem, dokąd dla niej samej nie ma przystępu.

Odyseusz odpowiada grzecznie:

-- Nauzykao, córko wielkodusznego Alkinoosa! Jeśli mi Zeus, groźny małżonek Hery, dozwoli teraz wrócić do domu, będę się tam przez wszystkie dni modlił do ciebie jak do boga, tyś mi bowiem życie wróciła, dziewczyno.

Po czym idzie zasiać przy parze królewskiej. Nauzykaa zostaje przy drzwiach, w cieniu, który ją na zawsze z naszych oczu zabiera. Jak się żegnała bez łez ni krzyku, tak odeszła, nie czyniąc najmniejszego szmeru. Nikt nie potrafi oznaczyć chwili, w której znikła. Można jej obecność za drzwiami czuć przez cały czas uczy, gdy Odyseusz opowiada swoje przygody, można również, tak jak to czyni poeta, odwrócić się od niej i pozostawić ją mrokom odległych pokoi, gdzie w samotności i ciszy wyplakiwała swe serce.

Albowiem urok tego epizodu objawia się nie tylko w jego scenach otwartych i mających swe słowa, lecz może bardziej jeszcze w subtelnych przemilczeniach. Rzadko kiedy miść bywa równie widoczna i zrozumiała, widzimy, jak się rodzi i jak jest głęboła, a poeta nie pozwala nawet dotknąć jej imienia. Ktoś nieuważny mógłby z łatwością przejść mimo, nie domyślwszy się jej wcale. Odyseusz ani przez chwilę nie wie, co się dzieje w sercu dziewczyny. Znam kilku uczonych, nie mających tajemnic w Homerze, którzy okazali ślepotę Odyseusza. Sam zresztą

czytałem niegdyś VI i VIII księgę Odysei bez najmniejszego podejrzenia. Było to co prawda w dobie słówek i reguł gramatycznych, i Nauzykaa wyrastała wówczas niewiele ponad inne czterozgłoskowe wyrazy. Dzisiaj to harmonijne imię wplata się pomiędzy najcudniejsze dźwięki mojej wyobraźni.

Odczuwam osobliwą rozkosz, widząc tę postać u świtu naszej cywilizacji. Gdy Nauzykaa przy słowach pożegnania wyciąga przed siebie ramię, to jest w tym jakby gest błogosławieństwa dla nieskończonego łańcucha jej potomstwa, tych wszystkich dziewczyn, które kochać i cierpieć będą w literaturze świata. Widzę je, jak idą długim szeregiem, ciemne i jasnowłose, w stroju wszystkich wieków i narodów, świetne kapłanki piękności lub skromne służebnice serca, szare jak skowronki, rozśpiewane wierszami lub milczące wśród opisów kunsztownej prozy -- drogocenne ampułki wzruszeń, pachnące jak róże pod ranną rosą -- i widząc je w takich powabach, wielbię potężnego, tajemniczego poetę, który na tej mlecznej drodze zapalił pierwszą i najjaśniejszą gwiazdę.

„Świat Kobiety” 1928, nr 24.

^{1*} Chelidon znaczy po grecku jaskółka. Należy to imię wymawiać z akcentem na ostatniej zgłosce.

^{2*} Apulejusz: *Złoty osioł*, ks. III, przekład E. Jędrkiewicza.

^{3*} Cornelius Agrippa.

^{4*} Anatole France: *Le Petit Pierre*, Paris, Calmann-Lévy, éditeurs.

^{5*} Propos d'Anatole France recueillis par Paul Gsell.